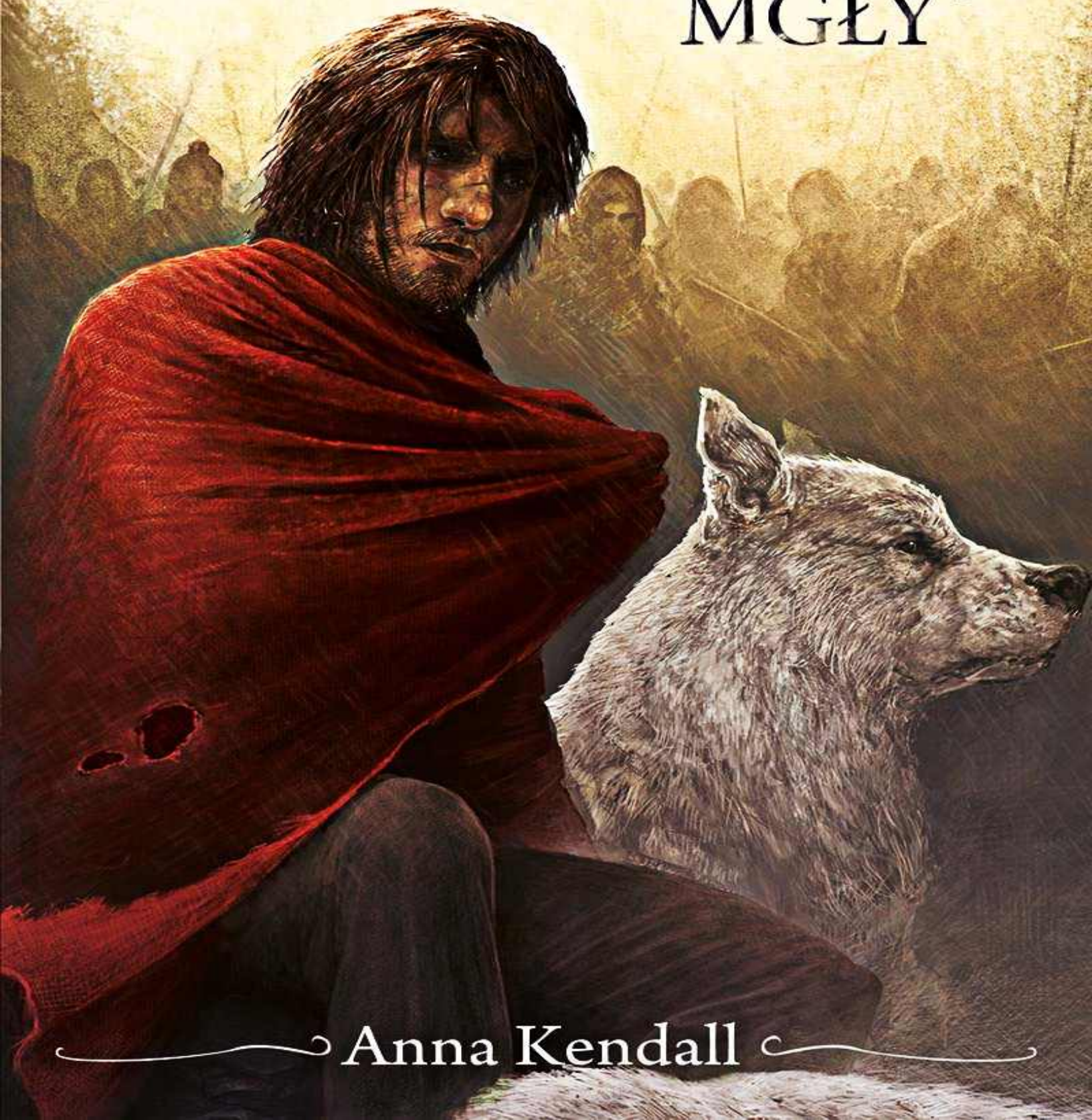


NADEJŚCIE MIROCZNEJ MGŁY



Anna Kendall

ANNA KENDALL

NADEJŚCIE
MROCZNEJ
MGŁY

Przełożył
Michał Jakuszewski

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Anna Kendall
Nadejście mrocznej mgły
ISBN: 978-83-7785-660-4

Copyright © Anna Kendall 2011

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2015

All rights reserved

PROJEKT GRAFICZNY: Tobiasz Zysk

ILUSTRACJE: Maciej Szajkowski

REDAKCJA: Robert Cichowlas

Zysk i S-ka Wydawnictwo

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań

tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67, faks 61 852 63 26

Dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90

sklep@zysk.com.pl www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer.

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Mapka

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53



1

To stare kobiety najchętniej ze mną rozmawiają.

Nie wszystkie i nie tylko one. Czasami starego mężczyznę również da się namówić na pogawędkę, zwłaszcza jeśli się o niego potknę. Zdarza się też półgłówek, który nie wie, gdzie się znalazł. Dwukrotnie rozmawiałem również z królowymi. Z reguły jednak w krainie Umarłych to stare kobiety wyrywają się ze swego niesamowitego transu, by gadać o życiu, które utraciły, niekiedy bardzo dawno temu. Teraz jednak nie przebywałem w krainie Umarłych. Tylko mi się śniło, że w niej jestem, a ten sen był straszniejszy od rzeczywistości.

Płaskie wyżynne wrzosowisko i okrągły kamienny budynek. Czuję w ustach smak pieczonego mięsa, soczystego i tłustego. Duszorośl. W cieniach poza kręgiem światła mojej pochodni wyczuwam jakieś niewidoczne stworzenia. Nieludzkie stworzenia, jakich nigdy nie spotkałem w tej krainie, ani nawet w tej drugiej, która leży za grobem. Wędruje...

— Peter!

...wśród nich jakaś kobieta, i to kobiecy głos dobiega mnie z mroku. Dostrzegam błysk ozdobionej klejnotami korony. Kobieta woła mnie po imieniu.

— Przecież...

— Peter!

— ...nie żyjesz — mówię.

— *Od jedenastu lat* — odpowiada ze śmiechem, od którego dreszcz wnika mi aż do kości. I...

— Peter! Szybciej!

Uderzyłem na oślep, do szaleństwa przerażony tym monstrualnym śmiechem. Moja pięść trafiła w ciało. Rozległ się krzyk i obudziłem się całkowicie. Jee leżał pod ścianą szopy dla owiec, dotykając małą dłonią czerwonej plamy na policzku.

— Jee! Przepraszam! Och, Jee, nie chciałem.

Popatrzył na mnie z wyrzutem, nie odzywając się. Przez uchylone przez niego drzwi do środka wpadało światło wczesnego poranka. Owce — dwie owieczki i trzy jagnięta — patrzyły na mnie ze słomy, na której leżały.

— Jee...

Co jednak mogłem powiedzieć? Już go przeprosiłem i to nic nie zmieniło. Nie mogłem cofnąć uderzenia — podobnie jak wielu wydarzeń w moim życiu.

Od jedenastu lat.

Wziąłem chłopca w ramiona. Nie opierał się. Gdy dotykałem jego kości palcami lewej dłoni, wydawały się bardzo małe. Czy dziesięcioletek powinien być aż tak drobny? Nie miałem pojęcia. Bardzo niewiele wiedziałem o dzieciach. Te, które mieszkały w wiosce, unikały mnie, być może z powodu kikuta. Mówiły na mnie „Peter Jednoręki”, nie wiedząc, jak straciłem drugą rękę, i nieświadome tego, że nie mam na imię Peter.

Czasami odnoszę wrażenie, że nawet Maggie zapomina o przeszłości. Ja jednak zawsze o niej pamiętam.

Jee uwolnił się z mojego niezgrabnego uścisku.

— Maggie mówi, że masz zabić jagnię na obiad. Najtłustsze.

Zamrugalem.

— Czy przybyli wędrowcy?

— Tak. I ich służba. Chodź!

Wędrowcy ze służbą. Naszą ubogą gospodę, przycupniętą nad wioską Applebridge pośród wzgórz u podnóża Gór Zachodnich, rzadko odwiedzają goście, a już nigdy tacy, którzy mieliby służbę. Z pewnością przybyli bardzo wcześnie rano. Spałem z owcami, ponieważ dwa dni temu wilk porwał jedyne jagnię Samuela Browna. Zabił je jeszcze w zagrodzie pod jego chatą. Maggie zażądała, żebym wybudował solidną szopę, a ja postanowiłem, że będę w niej spał.

— Nie ma potrzeby — upierała się dziewczyna, zaciskając usta. — Jest zamknięta ze wszystkich stron i nie ma okien.

Nie odpowiedziałem. Oboje wiedzieliśmy, dlaczego wolę spać w szopie, i żadne z nas nie mogłoby znieść dyskusji na ten temat.

Podniosłem się ze słomy, strzepnąłem jej kawałki z bluzy i nogawic, a potem wciągnąłem buty.

Już od dwóch lat prowadzimy wspólnie tę gospodę. Tylko dzięki Maggie dwoje siedemnastoletnich uciekinierów i Jee są w stanie zarobić na życie. To Maggie za resztę naszych pieniędzy wynajęła walącą się chałupę w Applebridge. Maggie, która wbijała gwoździe, szorowała podłogi i nieustannie zmuszała mnie do robienia tego samego, aż wreszcie chata miała główną salę, nadającą się do użytku kuchnię i trzy maleńkie sypialnie na górze. Maggie, która przyrządzała gulasz z dzikich królików i warzyw z kuchennego ogrodu, tak smaczny, że miejscowi wieśniacy opuszczali domostwa, by zjeść u nas kolację popitą kwaśnym ale, i spędzali długie zimowe noce na rozmowach, zadowoleni, że mają miejsce, w którym mogą się spotykać. Maggie, która kupowała ale, targując się tak zawzięcie, że zdobyła szacunek mężczyzn trzykrotnie starszych od siebie. Maggie, która zdobywała dla nas kurczaki, szyła nasze bluzy, piekła i gotowała. Maggie,

która nie dalej jak tej wiosny kupiła dwie owieczki od wdowy Moore za nasze z trudem zaoszczędzone pieniądze. Zawdzięczałem jej wszystko.

Ale nie mogłem jej dać jedyne go, czego ode mnie pragnęła. Nie mogłem jej pokochać. Stała między nami Cecilia, mimo że przecież umarła. Dwukrotnie. Cecilia, królowa Caroline i mój talent. Choć nie robiłem z niego użytku od z górą dwóch lat, nadal czułem go wewnątrz, jak ropiejący wrzód, który nie chce się zagoić.

Owce wlepiły we mnie głupie spojrzenia. Durne zwierzaki irytowały mnie nieustannie. Bekwały, pierdziały, cierpiały na pryszczycę i grzybicę. Padały na grzbiet i — gdy były porośnięte wełną — nie potrafiły się podnieść bez pomocy. Nieustannie przeżuwały, a potem wypluwały mi resztki pokarmu na buty. Bały się nowych kolorów, niezwykłych zapachów i chodzenia w prostej linii. Śmierdziały.

Mimo to nie cieszyłem się na myśl o zabiciu jagnięcia. Jedna z owieczek leżała przy dwóch młodych, druga zaś karmiła swoje jedno. Które z nich Maggie uważała za „najtłustsze”? Ilu było wędrowców i skąd przybywali?

Powinienem się bać wędrowców, ale przekonałem się, że wcale tak nie jest. Każdą zmianę w ciasnej, nużącej rutynie niezmiennego życia w Applebridge przywitałbym z radością. Nie miałem też powodów do obaw. W Reginokracji już od dwóch i pół roku panował pokój. Lord protektor Robert Hopewell władał nią w imieniu sześciolatniej księżniczki Stephanie. Nikt nie wiedział, gdzie się podziałem i kim teraz byłem. Wędrowcy będą przyjemną odmianą.

— Wybacz — rzekłem do większego i tłustszego z dwóch jagniąt. Popatrzyło na mnie i przysunęło się bliżej matki.

Wyszedłem z szopy, starannie ryglując drewniane drzwi, i ruszyłem ścieżką prowadzącą na zaplecze chaty. Letni poranek był rześki i pogodny. Przy drózkach kwitły dzikie róże, stokrotki, jaskry i dzwonki. Ćwierkały

ptaki. Chata stała u podstawy wzgórza. Za nią ciągnął się lesisty stok. Na dole widziałem gospodarstwa rolne i sady Applebridge, pola i drzewa. Wszystkie miały tę delikatną żółtozieloną barwę, widywaną tylko raz w roku. Rzeka była wartka i niebieska. Prowadził przez nią stary kamienny most, któremu wioska zawdzięczała swą nazwę. W ogrodzie kuchennym Maggie pachniało miętą i lawendą.

Wyszedłem z za rogu chaty na podwórko stajni i stanąłem jak wryty.

Jee powiedział mi, że to wędrowcy i ich służba, ale nie spodziewałem się zobaczyć czegoś w tym rodzaju. Pięć mułów, silniejszych niż osły i bardziej wytrzymałych niż konie, oporządzał i poił chłopak mniej więcej w moim wieku — choć wiedziałem, że po wszystkim, co uczyniłem i co mnie uczyniono, wyglądam na więcej niż siedemnaście lat. Muły były dorodne, ale sprawiały wrażenie zmęczonych ciągnięciem czterech wozów, które staczano teraz z drogi. Trzy z nich to były wozy drabiniaste, jakimi wszyscy zwozili plony na targ, ale wypełniono je wysokimi stosami polerowanych drewnianych skrzyń, bogato rzeźbionych mebli, beczek oraz płóciennych worków. Czwarty pojazd miał dach i wyposażono go w podwójne lejce. Wędrowni handlarze przewożą takimi swe stragany z jarmarku na jarmark w okolicach gęściej zaludnionych niż nasza. Ten wehikuł miał jednak pozłacane koła, mosiężny osprzęt i srebrne ozdoby. To nie był wóz ani karetka, lecz dom na kołach. W środku zapewne wyglądał równie bogato jak na zewnątrz.

Skąd się tu wzięli tacy goście i co ich skłoniło do jazdy nocą, gdy świecił tylko wąziutki sierp księżycy?

— Dzień dobry — przywitałem młodzieńca. — Jestem...

Warknął coś do mnie, ale nie zrozumiałem go z uwagi na silny akcent o wysokiej tonacji.

— Słucham?

Tym razem zrozumiałem wystarczająco wiele słów.

— Ty... półgłówek? Powiedz... się pośpieszą... śniadanie dla mojej pani!

Do ust podeszły mi gwałtowne słowa. Byłem właścicielem tej gospody, a on tylko chłopcem stajennym! Nim jednak zdążyłem go zwymyślać, drzwi chaty się otworzyły i wypadła z nich Maggie.

— Peter! Musisz zaraz zabić to jagnię, jeśli mam podać obiad w południe! Po południu wyjeżdżają!

Wspierała ręce na biodrach, spod czepka wysuwały się jej jasne loki, a od kuchennego żaru czoło pokrywał pot. Biały fartuch zakrywał czystą szarą suknię, którą sama uszyła. Maggie ubierała się na szaro, czerwono albo brązowo, ale nigdy nie na zielono ani niebiesko. To były kolory dwóch królowych, którym służyła jako pomoc kuchenna. Tupnęła nogą obutą w ładny skórzany trzewik. Była ładna, zdeterminowana i bardzo kompetentna: Maggie jako pani i władczyni.

Jak zwykle wzbudziło to we mnie chęć stawienia oporu. Nie lubiłem, by mi rozkazywano. Przez całe życie wykonywałem czyjeś rozkazy: ojczyma, naczelnej praczki, królowej. W mojej chacie nikt nie będzie mną rządził ani mnie beształ.

— W swoim czasie — odparłem z irytacją. — Na razie rozmawiam z tym człowiekiem.

Chłopak ignorował mnie, zajęty karmieniem mułów.

— Peter, musimy...

— W swoim czasie!

W drzwiach chaty pojawił się Jee.

— Maggie, masz przyjść! Chcą...

Nie czekałem, aż usłyszę, czego chcą. Głupi napad złości już mi przeszedł. Maggie ciężko pracowała dla nas obojga. Wędrowcy

z pewnością byli bogaci i dobrze nam zapłacą. Zachowywałem się jak dureń, nie robiąc tego, co mi kazała. Ruszyłem z powrotem ku szopie.

Nagle jednak drzwi z tyłu wielkiego wozu się otworzyły i wyszła z nich jakaś staruszka. Potknęła się na stopniu. Chciałem jej pomóc, ale oboje się przewróciliśmy. Poczulem się tak, jakby przygniótł mnie bardzo wielki i gęsty materac.

— Dziękuję! — zawołała z tym samym dziwnym akcentem.

— Coś ci się stało, pani?

— Nie, ale muszę chwilkę odetchnąć, chłopcze.

Zaprowadziłem ją na drewnianą ławkę stojącą przed chatą. Klapnęła na nią ciężko, a potem zaczęła mówić.

Zawsze to stare kobiety najchętniej ze mną rozmawiają. Po raz kolejny cały mój świat zmienił się z tego powodu.

2

Staruszka była kimś w rodzaju służącej. Miała na sobie prostą brązową suknię i biały czeppek, podobne do noszonych przez Maggie, ale uszyte ze znacznie droższej tkaniny, na jaką moja towarzyszka nigdy nie mogła sobie pozwolić. Na czepku wyhaftowano splecione ze sobą litery „C” i „S”. Gdy kobieta odpowiadała na moje pytania, jej szeroka, pomarszczona twarz ciągle przechodziła z bladości w rumieniec i z powrotem.

— Na pewno nic ci się nie stało, pani?

— Nic mi nie jest. Mam dobrą wyściółkę... pozwól mi tylko...

— Mogę ci przynieść trochę wody. Albo ale.

— A wina?

— Nie.

Wino było za drogie dla naszej gospody.

— To dziękuję.

Jej oddech trochę się uspokoił.

— Jestem Peter Forest, właściciel tej gospody. Skąd przybywacie, pani?

Ku mojemu zaskoczeniu jęknęła.

— Stracone! Wszystko stracone! — zawołała i zakryła oczy dłońmi.

— Stracone? Co jest stracone?

Wypląnął z niej strumień słów. Rozumiałem co trzecie z nich.

— Dwór... pożar... dziecko... moja pani... to wszystko, co zostało...
dziecko...

Położyłem dłoń — swą jedyną dłoń — na jej ramieniu w uspokajającym
geście.

— Pożar? We dworze twojej pani wybuchł pożar?

— Nie! — Z jej ust znowu popłynęły słowa. Tym razem zrozumiałem
tylko trzy. — Zniszczony... armia... dzikusy.

Dzikusy. Armia dzikusów.

Ścisnąłem jej ramię tak mocno, że nie tylko poderwała masywne ciało,
lecz również przestała mówić.

— Armia? Dzikich wojowników w futrzanych strojach? I przybywacie
z zachodu?

— Tak, chłopcze. Puść mnie!

Zrobiłem to. Wstała chwiejnie z ławki, przesywając mnie oburzoną
spojrzeniem. Ja również się podniosłem.

— Wybacz, pani. Zaskoczyły mnie twoje wieści. Czy jesteś pewna?
Armia dzikusów maszeruje na nas z zachodu? Przekroczyła góry i niszczy
osady po drodze? Czy wiesz, kim są?

Potrząsnęła głową, nadal łypiąc na mnie ze złością. Nagle w wielkim
wozie rozległo się piskliwe kwilenie. Niemowlę. Staruszka poczłapała
w tamtą stronę. Znowu złapałem ją za ramię.

— Pani, proszę, jeszcze tylko jedno pytanie i...

Strząsnęła jednak moją rękę i weszła do wozu, zamykając za sobą drzwi.
Ujrzałem przelotnie mroczne wnętrza, pełne dywaników i ozdobionych
haftami poduszek. Stała w nim rzeźbiona drewniana kołyska.

Opiekunka nie powiedziała mi, czyja armia maszeruje z zachodu, ale ja
i tak to wiedziałem.

Przez długą chwilę gapiłem się na zamknięte drzwi wozu. Nie widziałem ani ich, ani w ogóle nic na podwórku, a jedynie przeszłość. Wreszcie rozjaśniło mi się przed oczyma, otworzyłem drzwi gospody i wszedłem do środka.

Nasza główna sala jest mała. Są w niej dwa długie, ustawione na kozłach stoły, zajmujące całą przestrzeń między paleniskiem a drzwiami. Siedziało za nimi dwóch mężczyzn. Był piękny letni poranek i na palenisku nie palił się ogień, choć oczywiście zapalono go w kuchni na zapleczu. Dwa uchylone okna wpuszczały do środka delikatny wietrzyk. Wąskie schody wiodły do pokojów na górze. Schodziła z nich dziewczyna, wspierająca się jedną ręką o ścianę, jakby bała się, że z nich spadnie. Młodszy z dwóch mężczyzn — obaj byli odziani w bogate aksamitne stroje, zmięte i brudne od trudów podróży — zerwał się z miejsca, by jej pomóc.

— Joanno! Ostrożnie!

— Nic mi nie jest.

Rozciągnęła usta w drżącym, pełnym miłości uśmiechu. Ich akcent łatwiej mi było zrozumieć niż ten, z jakim mówiła służba na podwórku. Dziewczyna miała pospolitą twarz i była bardzo wychudzona. Wdziała brokatową suknię, za luźną w talii i na brzuchu. Mogła być w ciąży, ale domyślałem się, że raczej niedawno urodziła i nie wróciła jeszcze w pełni do siebie. Młody mąż zaprowadził ją do stołu, gdzie siedział starszy mężczyzna pochłaniający chleb, ser i ale.

— Czy nie ma nic innego? — zapytał młodszy. — Joanna nie może tego jeść!

Dziewczyna zadrżała.

— Mogłabym spróbować trochę chleba.

Na jej bladym czole perlił się pot, choć w gospodzie nie było ciepło. Oczy lśniły zbyt jasnym blaskiem.

— Żona oberżysty obiecała nam wiosenne jagnię — mówił młody mężczyzna z desperacją w głosie. — Mogłabyś je zjeść, prawda, kochanie? Mięso prześliznęłoby się do żołądka i dodało ci sił.

— Tak, Harry. — Podtrzymywanie słodkiego uśmiechu wymagało od niej straszliwego wysiłku. Nagle złapała się krawędzi stołu. — Gdybym mogła na chwilę wyjść na dwór...

Harry pomógł jej to zrobić. Starszy mężczyzna popatrzył na mnie.

— Idź zapytać, czy...

— Jestem Peter Forest, właściciel tej gospody — oznajmiłem. Powtarzałem te słowa już wiele razy i zawsze pobrzmiwała w nich odrobina niedowierzania. Wziął mnie za sługę. Sam często tak się czułem.

— Wybacz, proszę. Jestem lord Carush Spenlow. Kiedy gulasz z jagnięcia będzie gotowy? Musimy jak najszybciej wrócić na trakt.

— Gulasz wymaga czasu, mój lordzie — odparłem z całą stanowczością, na jaką mogłem się zdobyć, choć jagnię nadal chodziło na własnych nogach. — Powiedziano mi też, że wy i wasze muły potrzebujecie co najmniej pół dnia odpoczynku.

— To prawda, to prawda. — Lord Carush wstał, uderzając z brzękiem mieczem o skraj stołu. Rozejrzał się wkoło, znowu usiadł i wbił wzrok w chleb z serem. — Moja synowa nie czuje się dobrze — wyznał nagle. — Czy w wiosce jest aptekarz?

— Obawiam się, że nie ma.

— A gdzie znajdziemy najbliższego lekarza?

— Zapewne w Morsebury, dwa dni szybkiej jazdy na wschód stąd.

— Macie położną?

— Tak. Panią Johns. Jest bardzo biegła.

— Wyślij po nią, proszę.

— Już się robi, mój lordzie.

Popatrzyliśmy na siebie. W głębi jego oczu przemieszczały się cienie. Wiedział równie dobrze jak ja, że jeśli lady Joanna ma gorączkę połogową, nawet najbieglejsza położna nie zdoła jej pomóc. Lekarz również nie. Młody Harry Spenlow wkrótce zostanie wdowcem, a dziecko w pozłaczonym wozie będzie sierotą.

— Panie, podróżowaliście przez całą noc — odezwałem się. — Jakie wieści z zachodu przywozicie?

— Nie słyszałeś? Starłem się opowiedzieć o tym wszystkim, których spotkaliśmy po drodze. Zza gór nadciągnęła armia. Najeźdźcy łupią po drodze wszystkie posiadłości, zarzynają zwierzęta na mięso, rabują dobytek i palą dwory. To armia dzikusów. Ledwie przypominają ludzi w swych futrach i piórach, ale mają straszliwą broń, którą zwą strzelbami. Te strzelby wyrzucają kawałki metalu z wielką prędkością i siłą. Nigdy nie widziałeś nic w tym rodzaju!

Owszem, widziałem.

— Puścili z dymem mój dwór — ciągnął lord Carush. — Ledwie uszliśmy z życiem. Moja biedna kucharka... Naszych sąsiadów dzikusy również spaliły. Tak przynajmniej słyszałem. Szlachta w górach mieszka daleko od siebie i wieści przyniósł mi goniec. Nie patrz tak, proszę. Wszystko, co słyszałem, sugeruje, że dzikusy nie palą wiosek i nie krzywdzą prostych ludzi. Tylko szlachtę.

— Dlaczego?

Wzruszył ramionami z pełną frustracji bezradnością człowieka przyzwyczajonego do tego, że jego rozkazy są wykonywane.

— Być może to szaleńcy albo półgłówki, ale najprawdopodobniej pragną wysłać do pałacu ostrzeżenie mówiące: „Jeśli nie dacie nam tego, czego chcemy, zniszczymy waszą szlachtę”.

— A czego chcą?

Serce łomotało mi powoli i boleśnie, jakby rzucano mi na pierś kamienie, jeden po drugim.

Prowincjonalny lord niecierpliwił się już faktem, że rozmawia z wiejskim oberżystą jak równy z równym. Mimo to odpowiedział mi.

— Nie wiesz? Synowi wodza dzikusów obiecano rękę księżniczki Stephanie. Przed trzema laty, nim królową Caroline spalono jako czarownicę. A teraz przybyli po księżniczkę. Armią dowodzi syn lorda Soleka, Młody Wódz...

— Ale...

— Zajmij się wreszcie tym gulaszem!

— Tak jest, mój lordzie.

Odwrociłem się i powlokłem z powrotem do szopy dla owiec. Ostatnie słowa Carusha Spenlowa doścignęły mnie, gdy już wyszedłem w blask słońca. Brzmiały przepaszająco. Żałował, że potraktował mnie nieuprzejmie. To był dobry człowiek.

— Goniec z dworu mojego sąsiada mówił, że dzikusy oprócz księżniczki szukają kogoś jeszcze. Wypytywali służbę, w tym również moją kucharkę, która oczywiście nic nie wiedziała. Bydlaki!

Moje serce zamarło w bezruchu.

— Kogo... O kogo...?

Lord Carush potrząsnął głową.

— Nie wiem. Proszę, zajmij się tym gulaszem.

3

Zarząłem jagnię. Jee był potrzebny w gospodzie i nie mógł pobiec po położną, poszedłem więc po nią sam, ponieważ w kuchni nie ma ze mnie żadnego pożytku. Maggie zrobiła gulasz, goście spożyli go w południe i odjechali, nim rzucane na trawę cienie zrobiły się długie. Pani Johns zjadła resztę gulaszu w pustej sali, siedząc przy stole z Jee, Maggie i ze mną. Pomieszczenie miało grube ściany i kamienną podłogę. Wypełniał je chłodny półmrok. Po podbródku chłopca spływał sos. Jee wytarł go kawałkiem chleba.

— Ta dziewczyna, lady Joanna, umrze — oznajmiła położna. — Nie mogłam nic dla niej zrobić.

Maggie skinęła głową. Uczesała przed chwilą włosy i zmieniła fartuch. Znowu miała minę pani i władczyni. Staralem się na nią nie patrzeć.

— Wielka szkoda — ciągnęła pani Johns. — To miła dziewczyna. Ale w ogóle nie ma sił. Nie jest stworzona do rodzenia dzieci. Ty, Maggie, mogłabyś urodzić tuzin, nie przerywając prowadzenia gospody.

Zacząłem jeść szybciej, nie odrywając spojrzenia od talerza.

Pani Johns połknęła z żalem ostatni kawałek mięsa i otarła usta.

— Świetna z ciebie kucharka, moja droga Maggie. Śmiem twierdzić, że mogłabyś gotować dla takich jak ten cały lord. Wiesz, że jego kucharka umarła podczas podróży?

— Nie — zaprzeczyła Maggie, zbierając puste talerze.

— Tuż za Applebridge, w Two Forks. Zapłacili Smallingom, żeby pochowali biedaczkę. Nie mieli czasu sami tego zrobić, bo biedna lady Joanna jest bardzo ciężko chora.

— Dlaczego umarła?

— Z powodu poparzeń. Podczas pożaru próbowała ocalić swoje specjalne przyprawy. Pochodziły aż z Benili.

Maggie skrzywiła się. Wiedziałem, że widziała zbyt wiele śmierci i niebezpieczeństw, by narażać życie dla przypraw, choćby nawet najdroższych i najbardziej egzotycznych.

— Ale była już stara — dodała pani Johns z pełnym samozadowolenia tonem kogoś, kto dopiero niedawno wkroczył w wiek średni. — Śmiem twierdzić, że jej czas i tak by wkrótce nadszedł. Wszyscy musimy kiedyś odejść. To najczystsza prawda.

Jee uniósł wzrok. Maggie niedawno ostrzygła mu włosy. Krótkie delikatne kosmyki poruszały się na świeżym wietrzyku wpadającym przez drzwi. Nie odrywał spojrzenia ciemnych oczu od Maggie, którą uwielbiał. Nie bez powodu: uratowała go przed nędzą, głodem i ojcem, który się nad nim znęcał.

— Maggie, czy uciekniemy przed armią dzikusów jak ci wędrowcy? — zapytał.

— Nie — odpowiedziała.

— Tak — odparłem.

Pani Johns przenosiła spojrzenie z jednego na drugie z nas. Dopija kufel ale.

— No cóż, ja nie opuszczę Applebridge — oznajmiła. — Moja kuzynka ze Starbury słyszała od swej szwagierki z Buckhurst, która dowiedziała się tego od mieszkańca wioski, przez którą przechodziły dzikusy, że

wojownicy z zachodu nie krzywdzą prostych ludzi. Żadnej dziewczicy nie spadł z głowy nawet jeden włoszek. Nawet jeden. Nie palili ani nie kradli. Mszczą się tylko na szlachcie. Nas to nie dotyczy.

To samo słyszałem od lorda Carusha. Otworzyłem usta, chcąc powiedzieć: „Skąd wiemy, czy dzikusy będą się trzymać tego planu?”, ale Maggie mnie uprzedziła. Jak zwykle.

— To prawda — zgodziła się pośpiesznie. — To samo powiedział mi ich stajenny, kiedy jadł śniadanie w kuchni. Nam, w Applebridge, nic nie grozi.

— Ale skąd wiemy, czy dzikusy... — zacząłem.

— Zupełnie nic!

Popatrzyliśmy na siebie ze złością. Wystraszony Jee odsunął się od Maggie. Pani Johns wstała.

— Pójdę już. Trzeba przyznać, że ten lord Carush nie okazał się skąpcem. Jest zrujnowany i spalili mu dwór, ale i tak zapłacił mi trzy razy więcej, niż zwykle dostaję.

Otworzyła szeroką czerwoną dłoń i pokazała leżące na niej srebrne monety.

— To znaczy, że nie uciekniesz z Applebridge, pani Johns? — zapytała Maggie z pasją w głosie.

— Nie, nie, dziecko. Już ci mówiłam, nie ma potrzeby.

— A czy rodzina twojej córki ucieknie?

— Nie.

— A Smallingowie, Staffordowie i Trentonowie?

— Też nie. Do widzenia, moi drodzy.

Pani Johns wyszła. Maggie obrzuciła mnie triumfalnym spojrzeniem.

— Muszę się zająć owcami — oznajmiłem.

— Peter...

Wyszedłem z gospody, wiedziałem jednak, że odwlokłem sprawę tylko na chwilę. Dziś w nocy dojdzie do konfrontacji.

Tymczasem sprawdziłem plastry w ulu — choć świetnie wiedziałem, że pora jest jeszcze za wczesna na miód, przyniosłem owcom wody ze studni i oczyściłem zagrodę. Powinno się je dzisiaj wyprowadzić na pastwisko, ale przeszkodził mi ten cały interes z gośćmi. Zrobię to teraz. Na pastwisku owce będą łązić bez celu, przeżuwać trawę, a gdy tylko usłyszą albo zwęszą coś dziwnego, rzucają się do ucieczki i będę musiał je gonić. Maggie nie będzie zadowolona. Powie, że późne popołudnie to nie pora na pasienie owiec. Ja jednak musiałem wyrwać się choć na chwilę z chaty.

Syn lorda Soleka przybywał na czele armii po swą małąletnią narzeczoną, księżniczkę Stephanie. Lord Robert Hopewell, który był nie tylko lordem protektorem, lecz również dowódcą wojsk Reginokracji, z pewnością już o tym wiedział. Dzikusy miały strzelby, a Reginokracja nie.

To nie moja sprawa. Tak powiedziała Maggie.

Wyprowadziłem owce dalej na pole, niż miały ochotę iść, na pastwisko położone nad Two Forks. Zmierzch dopadł nas nad Apple River. Brzegi gęsto porastały lilie i zielone sitowie, a łąki były pomarańczowe od nagietków. Srebrnozielone liście topoli drżały na ciepłym wietrzyku. Żaba, spłoszona przeze mnie, gdy siadałem na trawiastym wzniesieniu, skoczyła do bagienego stawu. Otaczało mnie letnie popołudnie, długie i złote, przesycone wonią koniczyny, dzikiej mięty oraz czystą, ostrą wonią rzeki.

Jedna z owieczek zabeczała żałośnie — albo ze zmęczenia, albo dlatego, że zarznąłem jej drugie jagnię. Jeszcze o tym nie zapomniała.

Ja również nie mogłem zapomnieć. O niczym. O terażniejszości ani o przeszłości. Teraźniejszością była Maggie. Spałem z nią tylko raz i teraz uważała mnie za swoją własność. Przeszłością była cała reszta.

Maggie mogłem okłamać. Samego siebie również byłem w stanie okłamywać, ale tylko przez krótki czas. Nieprzypadkowo zaciągnąłem te głupie owce aż do Two Forks. Tam właśnie umarła poparzona kucharka lorda Carusha Spenlowa. Tam mieli ją pochować Smallingowie.

— Dzikusy szukają kogoś jeszcze — powiedział mi lord Carush. — Wypytywali służbę.

Nie, nie trafiłem tu przypadkowo.

Miałem zamiar przejść na drugą stronę.

Minęły już z górą dwa lata, odkąd ostatnio to robiłem, ale wszystko we mnie — nerwy, kości, ciarki przebiegające po skórze — pamiętały ową zdolność. Urodziłem się z nią i używałem jej od szóstego roku życia. Nie, to nieprawda. To nie ja używałem tej umiejętności. Inni wykorzystywali ją dla swoich celów i mnie również. Bądź też stawiali mnie w sytuacji, w której musiałem przejść na drugą stronę albo zginąć. Ale nie tym razem. Tu i teraz, na pastwisku nieopodal Two Forks, powyżej Apple River, z własnej woli przejdę do krainy Umarłych.

A co, jeśli nie potrafiłem już tego robić? Jeśli dojrzałość, brak praktyki albo jakiś inny, niezgłębiony czynnik zniszczyły mój talent? Tak właśnie nazywały to królowa Caroline i Matka Chilton: „twój talent”. Nienawidziłem tego talentu. Korzystałem z niego tylko po to, by utrzymać się przy życiu, a w końcu nadużyłem go, aby ocalić Maggie. Potem znienawidziłem go jeszcze bardziej. Ale on był mój — był mną — a życie w Applebridge sprawiło, że znowu musiałem z niego skorzystać.

Potrzebny jest ból. Ból i poddanie się, które — paradoksalnie — jest kwestią woli. Przywiązałem owce do drzewa hikory, położyłem się na trawiastym wzniesieniu i ująłem w rękę nóż. Szybko, szybko, nim zdążę zmienić zdanie. Wbiłem sobie sztych noża w udo i stało się.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba wiążąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Ale tylko przez chwilę. W końcu nie umarłem naprawdę. Smak śmierci utrzymywał się jedynie przez krótki moment przejścia przez barierę, której nie potrafi przeniknąć nikt, kto nie jest hisafem, nawet sami Umarli. To potężna bariera, lita i wielka jak sama Ziemia. Bariera grobu. Próbowałem krzyknąć, ale nie byłem w stanie tego zrobić, gdyż usta wypełniała mi ziemia. Chciałem machać rękami, ale nie mogłem, bo na moich nagich kościach nie było mięśni ani ciała. I nagle było po wszystkim. Ziemia zniknęła, a moje ciało odzyskało poprzednią postać. Przeszedłem na drugą stronę. Wstałem i rozejrzałem się.

Kraina Umarłych przypomina naszą, ale jest dziwnie rozciągnięta, a niekiedy również zniekształcona. Kilka kroków na podgórskim pastwisku mogło się równać połowie mili tutaj albo dwóm milom czy pięciu. Albo kilku krokom. Czasami nasze rzeki, lasy i wzgórza istnieją w tej krainie, a w innych przypadkach nie. Kraina Umarłych jest większa od naszej i mam wrażenie, że zmienia się z czasem — tak samo jak nasza, ale nie w taki sam sposób. Jest naszym cieniem obróconym w ciało. Podobnie jak cień kurczy się i rozszerza, ale pod wpływem czegoś niewidzialnego, co nie jest słońcem. Tu nie ma słońca.

Ale jest tu światło, zawsze słaby blask, jak w pochmurny dzień. Niebo wisi nisko, jest szare i jednolite. W tym chłodnym, łagodnym blasku ujrzałem rzekę, pastwisko i bagienny staw, do którego przed chwilą skoczyła żaba. Tu jednak oczywiście nie było żadnych żab ani moich owiec. Nie ma tu nic żywego. Tylko Umarli.

Kilku z nich leżało albo siedziało na łące. Nigdy nie oddalają się zbyt od miejsca śmierci. Siedzą — przez całe dni, lata, być może stulecia — wpatrując się w pustkę albo gapiąc na twarze towarzyszy, w całkowitej apatii, bezmyślnym spokoju, który nigdy się nie zmienia. Tylko starców można czasem wytrącić z transu, a i oni szybko zapadają weń z powrotem.

Moje ciało, pozostawione wśród żywych, również będzie teraz wyglądało jak pogrążone w transie, aż do chwili, gdy wrócę, by znowu je ożywić.

Posuwałem się wzdłuż brzegu rzeki ku miejscu, gdzie w krainie żywych znajdował się cmentarz Smallingów. Wiedziałem, że dotarłem we właściwe miejsce, nie tylko dzięki potężnemu dębowi, lecz również dzięki większej liczbie Umarłych. Cmentarz się rozciągnął, by zapewnić miejsce wszystkim, zbliżając się rozmiarami do całkiem sporego lasu. Niektórzy Umarli siedzieli w kręgach. Zdarza się to często, nie mam pojęcia dlaczego. Szedłem między drzewami, przyglądając się twarzom i ubraniom.

Kucharkę lorda Carusha Spenlowa nietrudno było rozpoznać. Ktoś ubrał ciało w brązową suknię i haftowany czepek, takie same, jakie nosiła opiekunka do dziecka lady Joanny. Tak właśnie pochowali ją Smallingowie. Siedziała teraz, gapiąc się na polny kwiat. Jej stara, pomarszczona twarz była całkowicie spokojna. Ślady po poparzeniach zniknęły; Umarli nie przynoszą tu ze sobą ran ani chorób. W jakimś innym miejscu krainy Umarłych siedziała moja matka, równie bezmyślna. Kiedyś rozpaczliwie pragnąłem ją odnaleźć, ale teraz każdy mój czyn i każdy oddech należały do Maggie.

— Pani — przywitałem kucharkę. Nie poruszyła się. Niemniej to stare kobiety najchętniej ze mną rozmawiają, jeśli tylko wykażę się wystarczającym uporem. Uklęknąłem na trawie obok niej, złapałem ją za bark i potrząsnąłem. — Pani kucharko!

Jej stare oczy powoli skierowały się na mnie. Nagle pojawił się w nich błysk świadomości.

— Czego chcesz? Znowu chleba z rozmarynem? Powiedziałam im...
Och!

Widziałem, że nagle uświadomiła sobie prawdę. To jej jednak nie przerażyło. Umarli rzadko boją się prawdy.

— A więc umarłam?

— Tak, pani.

— Chleb...

Zamrugła, a potem zaczęła się ode mnie oddalać. Umarłych mało interesuje ich niedawne życie, nie po tym, jak po raz pierwszy zapadną w trans. Tego właśnie nie potrafią zrozumieć ich najbliżsi, pozostawieni w świecie żywych. Żeby w ogóle nawiązać rozmowę z Umarłymi, trzeba mówić o ich dzieciństwie, które najwyraźniej pamiętają lepiej, albo szybko zadawać pytania. Ja byłem szybki.

— Pani, zaczekaj! Armia dzikusów...

— Przestań mną potrząsać, młody człowieku. Pozwól mi odejść!

— Przepraszam. Chodzi mi o armię dzikusów, którzy spalili dwór lorda Carusha.

— Lorda Carusha — powtórzyła na próbę, jakby ćwiczyła wymowę jakiegoś obcego języka.

— Tak, jego dwór. Pożar. Dzicy żołnierze kogoś szukali. Wypytywali o niego służbę. O kogo chodziło?

Zapadała już w bezmyślny spokój. Potrząsnąłem nią tak mocno, że jej głowa się zakołysała, a haftowany czepek przekrzywił na siwych włosach. Umarli nie czują bólu, ale można ich wyprowadzić z równowagi.

— Pozwól mi odejść!

— Przeszanę, jeśli mi powiesz, kogo szukali dzicy żołnierze. Kogo?

Zmarszczyła brwi w skupieniu.

— Szukali... Szukali...

— Kogo?

Zmarszczki na jej twarzy przerodziły się w głębokie żleby i wysokie wzgórza, cały krajobraz poświęcony próbie przywołania wspomnień. W końcu jej się udało.

— Młodego czarownika. Tego, który poprowadził armię magicznych iluzji przeciwko lordowi Solekowi. Który zabił jego dziką lordowską mość za panowania królowej Caroline. Szukają... Szukają...

Przestałem nią potrząsać.

Twarzą staruszki targnął ostatni spazm.

— Rogera Kilbourne'a! — zawołała triumfalnie.

Puściłem ją i natychmiast znowu zapadła w spokój Umarłych. Gapiłem się na nią przez pewien czas, a potem wpatrzyłem się w pustkę.

Pamiętałem przeszłość, ale armia dzikusów również o niej nie zapomniała. Oni też pamiętali bitwę pod pałacem, podczas której czerwona krew ich wodza splamiła zielone płytki pokrywające dziedziniec królowej Caroline. Pamiętali armię, którą wysłałem wtedy przeciwko nim. Mieszkańcy Reginokracji zwali ją „magicznymi iluzjami z Kraju Czarowników”, ja jednak wiedziałem, że w rzeczywistości byli to żołnierze, których na krótko sprowadziłem tu z krainy Umarłych. Nie można ich było pozbawić życia po raz drugi, dzięki czemu bezkarnie zabijali wrogów. Dzicy nie zapomnieli o poniesionych wtedy stratach i o śmierci wodza. Przybyli tu nie tylko po księżniczkę, której rękę im obiecano, lecz również po zemstę.

Szukali mnie. Rogera Kilbourne'a.

4

Powrót do krainy żywych wymaga znacznie mniej bólu niż przejście w tamtą stronę. Nie wiem, dlaczego tak jest. Wystarczyło, bym zacisnął lekko zęby na wewnętrznej powierzchni policzka. I już...

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Poczułem, że znowu leżę na trawiastym wzniesieniu na pastwisku pod Two Forks. Niebo przybrało granatową barwę. Czas — podobnie jak krajobraz — może się rozciągać albo kurczyć po drugiej stronie. Spędziłem tam wiele godzin. Pojawiły się już pierwsze gwiazdy. Nowy księżyc był wąziutkim sierpem, ściskającym stary w świetlistych ramionach.

Coś przedzierało się z trzaskiem przez nadbrzeżne sitowie.

Zerwałem się na nogi. Owce beczwały, a jagnięta, które zasnęły u boków matek, próbowały się podnieść, popiskując cichutko. Wilk, który porwał jagnię Samuela Browna? Wyjąłem nóż. Wiedziałem, że postąpiłem głupio, prowadząc maleńkie stadko Maggie tak daleko od domu o tak późnej porze. Nie miałem czasu rozpalić ogniska, a Peter Jednoręki nie mógł się mierzyć z wilkiem.

To nie był wilk.

Z sitowia wypadł wielki pies. Podbiegł prosto do mnie i polizał mnie po rękę. Miał krótką, szarą sierść, niewielki ogon i potężny pysk. Ujrzałem podwójny szereg ostrych zębów, ale wielki różowy jęzor zwierzęcia ślinał się radośnie na moje palce, nie mogłem więc się go bać.

— Hej, piesku, hej...

Owieczka wydała z siebie przenikliwy pisk przerażenia. Jej jagnię podniosło się na chwiejne nogi i zaczęło kwilić.

— Wszystko w porządku, głupie zwierzaki. Popatrzcie, to jest dobry pies. Prawda, piesku?

Owce nadal wydawały z siebie dźwięki, z jakimi nigdy dotąd się u nich nie zetknąłem. Pies je ignorował. Młodsza owieczka wykrzywiła głupi pysk w grymasie strachu i rzuciła się do ucieczki, porzucając jagnię. Była znacznie szybsza, niżbym się tego spodziewał. Popędziłem za nią. Maggie by mnie zabiła, gdybym stracił jedną czwartą jej cennego stada. Po chwili dorwałem durne bydlę. To było tak, jakbym skoczył na koc położony na poruszającym się kamieniu. Przetoczyliśmy się razem po gąbczastej trawie — owca, człowiek, a potem również pies, który radośnie przyłączył się do zabawy.

— Złaż! Złaż natychmiast! — wrzasnąłem. Ku mojemu zdumieniu posłuchał mnie i położył się na trawie w odległości kilku stóp.

Uwiązałem nadal przerażoną przewodniczkę stada, zarzuciłem sobie jej jagnię na plecy (niełatwo było to zrobić jedną ręką) i ruszyłem do domu. Druga owca i jagnię podążyły za mną. Pies posuwał się kilka długości ciała za nimi, ale niewystarczająco daleko, by owca od czasu do czasu znowu nie wpadała w panikę i nie próbowała uciekać, wlokąc mnie za sobą. W tej chwili nie byłem hisafem, który potrafił wędrować poza grób, lecz

nieudolnym jednorękim pasterzem, wlokącym się po ciemku z powrotem do gospody, by stawić czoło Maggie.

Nic mi nie powiedziała, dopóki nie zrobiło się bardzo późno. Przez cały wieczór w gospodzie roiło się od miejscowych, przeżuających wieści o najeździe.

— Dzikusy nie krzywdzą prostych ludzi. Wszyscy tak mówią.

— Ale na wszelki wypadek schowam cynowy talerz po babci.

— Lepiej schowaj tę swoją ładną córkę, Jack.

— Nie krzywdzą prostych ludzi.

— Chcą dostać księżniczkę. Młoda królowa im ją obiecała.

— Ta czarownica! Mieli rację, że ją spalili!

— Temu szlachcicowi puścili z dymem dwór. I zabili jego siostrę.

Kobietę!

— Chcą zabrać naszą księżniczkę daleko od Reginokracji!

— To się nie godzi. Królowe zostają w domu i rządzą, a mężczyźni bronią. Barbarzyńskie sukinsyny!

— To dzicy, Hal. Czego się po nich spodziewałeś?

— Słyszałem, że podczas pełni zmieniają się w wilki. Z tymi swoimi futrami wyglądają jak zwierzęta.

— Nie gadaj głupot! Noszą futra, ale to ludzie.

— Jeffries z rodziną wyjeżdżają jutro rano.

— Jeffries zawsze był tchórzem.

— Nie krzywdzą prostych ludzi.

— Peter, Maggie, więcej ale!

Nalewałem piwo z beczułki i nosiłem kufle, jeden po drugim, do dwóch stołów, trzymając je w jedynej ręce. Maggie krzątała się w kuchni, myjąc naczynia i przygotowując chleb do jutrzejszego pieczenia. Gdy tylko zamawiano jakieś zimne potrawy, wysyłała Jee do spiżarni. Było już późno,

gdy wyszedł ostatni gość, stary, pijany Riverton. Zataczał się tak mocno, że wyrznął po drodze w ościeże. Być może powinienem go odprowadzić do domu, ale noc była ciepła i nawet jeśli prześpi ją gdzieś na ścieżce, to nie będzie pierwszy taki przypadek.

Zamknąłem okiennice. Jee poszedł na górę. Kiedy nie było gości, każde z nas spało w jednej z maleńkich sypialni, jakbyśmy byli szlachtą i mieszkali w wielkim domu. Jeśli dwie sypialnie były zajęte, chłopiec kładł się na pryczy w pokoju Maggie, a ja w głównej sali, „żeby pilnować ognia”. Latem nie paliliśmy ognia i spałem w szopie z owcami. Główną salę oświetlały jedynie dwa zapalone pęki sitowia wetknięte w uchwyty na ścianie i dwie grube świece ustawione na stołach. Jedna z nich wypaliła się już do ledwie się tłącego ogryzka. Po zamknięciu okien jej wypełniający mroczne pomieszczenie odór zgęstniał na podobieństwo krzepnącego łożu.

Gdy podszedłem do drzwi, by je zaryglować, do środka wpadło szare psisko. Zwierzak polizał mnie po rękę, a potem uwalił się na kamiennej posadzce obok kominka, jakby sypiał tu przez wszystkie dni swego życia.

— Hej, piesku, po prostu sobie wejdiesz i zajmiesz mi miejsce, tak?

W odpowiedzi pomerdał miniaturowym ogonem.

— Podejrzewam, że Maggie nie będzie zadowolona.

Dziewczyna wróciła właśnie z kuchni i usiadła na ławie. Nie zauważyła psa, schowanego za drugim stołem.

— Peter, usiądź. Musimy porozmawiać.

— Owce...

— Chrzanić owce! Siedzą bezpiecznie w szopie i świetnie o tym wiesz.

Dlaczego powiedziałaś Jee, że uciekniemy z Applebridge?

— Dlatego, że to prawda.

Przygotowałem się. W słabym świetle Maggie robiła wrażenie spokojnej i znużonej, być może nawet bezbronnej. Kiedy popadała w taki nastrój,

trudniej się jej było sprzeciwić niż wtedy, gdy była zła. Zdjęła czepek i jej jasne włosy opadały na niebieskie oczy, podkrążone ze zmęczenia.

— Ależ, Peter — odparła ze spokojem — tu nic nam nie grozi. Słyszałeś, co wszyscy powtarzają. Dzikusy nie krzywdzą prostych ludzi. Każdy tak mówi.

— Plotki z czwartej ręki, pochodzące od szwagierki kuzynki czyjejś żony!

— Lord Carush też tak mówił. Słyszałam to.

— Maggie, ja nie jestem prostym człowiekiem.

To źle zabrzmiało, jakbym uważał się za szlachcica, co było śmieszne. Niemniej powiedziałem prawdę. Byłem hisafem.

— Nikt, kto tu przychodzi, nie mógłby skojarzyć Petera Jednorękiego, oberżysty, z Rogerem Kilbourne'em, błaznem królowej.

— Błaznem, który przyprowadził armię z krainy Umarłych.

— Cicho!

Rozejrzała się wkoło, jakby spodziewała się, że odkryje podsłuchiacza czającego się w głównej sali, gdzie nie było żadnych kryjówek. Zamiast tego zobaczyła psa.

— Skąd się tu wzięło to zwierzę?

— Jest moje.

Te słowa usprawiedliwienia spontanicznie wyrwały się z moich ust. Nie znosiłem kłócić się z Maggie. Z reguły przegrywałem, a jej uparte przekonanie, że zawsze ma rację, działało na mnie jak powodująca swędzenie wełna. Z drugiej strony, polubiłem tego zwierzaka. Niczego ode mnie nie żądał.

— Odkąd to masz psa?

— Od dzisiejszego popołudnia. On mieszka teraz z nami, Maggie. Może jeść odpadki albo będzie polował. Może też... — Nawiedziła mnie nagła

inspiracja. — Może pomagać w pasieniu owiec.

— To nie jest pies pasterski. Spójrz na niego.

— Może i nie jest, ale jeśli...

— Chrzanić psa! — Jej twarz poczerwieniała. — Peter, pracowaliśmy bardzo ciężko, żeby stworzyć tę gospodę i namówić miejscowych, by wydawali u nas pieniądze. Mamy teraz kury, owce, pszczoły...

Gdybym pozwolił jej mówić dalej, wymieniłaby wszystko, co udało się nam zdobyć. Każdą rzecz na tej liście zawdzięczałem jej. Nie mogłem tego znieść.

— Dokonałaś bardzo wiele, Maggie. Wiem o tym. Zawsze będę ci wdzięczny, ale...

— Nie chciałam powiedzieć...

— Wiem, że nie chciałaś. Ale...

— Jeśli teraz stąd odjedziemy, stracimy wszystko! Syn lorda Soleka nie ma pojęcia, kim jesteś! Wszyscy myślą, że Roger Kilbourne nie żyje!

— Gdyby Młody Wódz tak sądził, nie kazałby mnie szukać.

Temu nie można było zaprzeczyć. Poczułem nadchodzący triumf. Świeca zamigotała po raz ostatni i zgasła. Twarz Maggie oświetlały tylko palące się na ścianie żagwie.

— Właśnie o twoje bezpieczeństwo mi chodzi — odparła. — Przyznaję, że o moje i Jee również. Applebridge jest mało ważne i leży na uboczu. Dlaczego uważasz, że gdzie indziej w Reginokracji będziesz się mógł czuć bezpieczniej? Trakt z zachodu biegnie brzegiem Apple River. Gdy armia dzikusów przejdzie góry, również nim powędruje. To droga do stolicy. Znacznie łatwiej znajdą cię na traktach niż tutaj.

— Gdybym wyruszył już teraz, wyprzedziłbym armię.

— Nie sądzisz, że wyślą zwiadowców i straż przednią? Lord Solek znał się na żołnierce. Sam mi to powiedziałeś. Jestem pewna, że jego syn

również coś o niej wie.

Znowu miała rację. Poczułem, że grunt, na którym wspierają się moje argumenty, robi się śliski.

— Nie muszę wędrować traktem.

— A dokąd byś poszedł? Jeśli, jak twierdzisz, Młody Wódz rzeczywiście wie, że żyjesz, gdzie w Reginokracji mógłbyś być bezpieczny? Nigdzie!

— Musiałbym wyruszyć na Ziemię Niczyją.

— W tym celu musiałbyś przemierzyć pół Reginokracji.

Miała rację. Potem jednak dostrzegła ukryte znaczenie moich słów.

— Na Ziemię Niczyją. Chcesz powiedzieć, że poszedłbyś tam. Chcesz odnaleźć ją.

Miała na myśli Wrzosowisko Duszorośli. Miała na myśli Cecilię. Miała na myśli poszukiwania w krainie Umarłych. Ale Cecilia, choć nie żyła, nie przebywała w owej krainie. Nie było jej nigdzie i nigdy więcej nigdzie jej nie będzie. Nigdy nie będę mógł zdradzić Maggie żadnych szczegółów tej straszliwej opowieści.

— Nie — zapewniłem. — Nie będę szukał Cecylii.

— W takim razie po co chcesz tam iść? — zawyła przeraźliwie. Wstrząsnęło to mną tak bardzo, że wstałem niezgrabnie, przewracając kozioł. Maggie nie wyje. Nie płacze. Nie traci panowania nad sobą. Teraz jednak zrobiła to wszystko. Nie widziałem czegoś takiego od z górą dwóch lat. Skryła głowę w dłoniach i zanosła się łzami. Jej jasne loki kołysały się przy każdym spazmatycznym oddechu. Płakała i płakała, jakby nigdy nie miała zamiaru przestać.

— Och, Roger... — Nigdy nie mówiła na mnie „Roger”. — To takie niesprawiedliwe! Robiłam to wszystko dla ciebie. Tylko dla ciebie pracowałam, tylko dla ciebie tak bardzo się starałam w tej gospodzie, a ty nie chcesz ze mną spać ani mnie pokochać, ani... Na trakcie znajdą cię

dzikusy, ale nawet jeśli rzeczywiście cię szukają, nigdy nie przyjdzie im do głowy, że Roger Kilbourne kryje się w miejscu takim jak to, choć kiedyś mieszkał z królową w pałacu, i... Zabiją cię!

„Robiłam to wszystko dla ciebie”.

„Nie chcesz ze mną spać ani mnie pokochać”.

„Jeśli teraz stąd odejdziemy, stracimy wszystko”.

Każde zdanie było jak kamień w moich ustach. Dławiłem się nimi, czułem w brzuchu ich ciężar. Każde słowo było prawdą, a wobec ich granitowej rzeczywistości moje pragnienie odejścia było niedotykalne jak mgła. Wcale nie wierzyłem, że coś nam tu grozi, że Młody Wódz wpadnie na to, by szukać mnie w Applebridge, czy rozpozna Rogera Kilbourne'a w Peterze Jednorękiem. Chciałem opuścić wioskę dlatego, że czułem się tu straszliwie znudzony i niespokojny. Dlatego, że niezadowolenie z tego, co miałem, przeważało we mnie nad wdzięcznością za to, że tak wielu innych rzeczy udało mi się uniknąć. Dlatego, że nadal byłem głupcem i miałem nim pozostać na zawsze.

— Nie płacz, Maggie. Nie płacz. — Nie potrafiłem się zdobyć na to, by okrążyć stół i wziąć ją w ramiona. Mogłem jednak wydusić z siebie słowa: — Masz rację. Zostaniemy tutaj.

Leżący przy kominku pies nagle uniósł potężny łeb i zawył.

5

Tej nocy sny były wyjątkowo nieprzyjemne. Barwne jak realne życie. Nieprawda. Barwniejsze.

Płaskie wyżynne wrzosowisko i okrągły kamienny budynek. Czuję w ustach smak pieczonego mięsa, soczystego i tłustego. W cieniach poza kręgiem światła mojej pochodni wyczuwam jakieś niewidoczne stworzenia. Nieludzkie stworzenia, jakich nigdy nie spotkałem w tej krainie, ani nawet w tej drugiej, która leży za grobem. Wędruje wśród nich jakaś kobieta, i to kobiecy głos dobiega mnie z mroku. Dostrzegam błysk ozdobionej klejnotami korony.

— *Roger. Hisaf.*

— *Przecież nie żyjesz — odpowiadam.*

— *Już od jedenastu lat — odpowiada ze śmiechem, od którego dreszcz przenika mnie aż do kości.*

W szopie obudziła mnie ostra woń owieczek oraz beczenie jednego z jagniąt. Zaczął się już kolejny letni poranek. Nieco niżej na stoku ładna córka Jacka Lamberta prowadziła kozy na pastwisko. Pomachała do mnie ręką. Odwzajemniłem pozdrowienie, wciąż jeszcze pamiętając o koszmarze, a potem strzepnąłem słomę z ubrania. Kury gdakały w kurniku. Jee wyszedł z gospody, by nabrać wody ze studni.

Wszystko wyglądało jak zwykle, wszystko było normalne. Nic nie wskazywało na to, że z zachodu nadciąga armia dzikich najeźdźców.

Pies spędził noc przed szopą, choć nie było jasne, czy zamierzał bronić zwierząt, czy raczej je zjeść. Dopiero teraz zauważyłem, że ma obrożę, cienki pasek skóry tego samego koloru co krótka szara sierść. W skórze wypalono serię bezsensownych esów-floresów. Przebiegłem po nich palcami, podczas gdy pies próbował odwrócić głowę, by mnie polizać.

— Czy jesteś czyjś, piesku? — zapytałem.

Pomerdał ogonem.

Z powodu psa owce nie chciały wyjść z szopy. Popychałem i ciągnąłem przewodniczkę stada, potem zacząłem tłuc ją po bokach, a wreszcie po upartym łbie, ale nie ustępowała. Jedyne, co zdołałem uzyskać, to zapaskudzenie podeszwy buta owczym łajnem. Z tego powodu nie mogłem zaprowadzić owiec prosto na pastwisko, nie jedząc śniadania i unikając spotkania z Maggie. Z przekleństwem na ustach zamknąłem zwierzaki w szopie — może Jee później sobie z nimi poradzi — umyłem but u studni i poszedłem do kuchni, mając rozpaczliwą nadzieję, że nie zobaczę już łez.

Nie było ich.

— Śniadanie czeka na ciebie w głównej sali — oznajmiła z uśmiechem Maggie. — Na pewno jesteś głodny.

Na niedawno wyszorowanym stole stały drewniany talerz i cynowy kufel. Ser, świeże jaja, poziomki z bitą śmietaną i małe ciasteczka gęsto posypane cukrem. Maggie z pewnością wstała przed świtem i zajęła się przygotowaniem nagrody pocieszenia dla pokonanego w naszej sprzeczce. Noblesse oblige.

Głód nagle mnie opuścił, ale gdybym nie zjadł tego wszystkiego, pogorszyłbym tylko sytuację.

— Świetnie! — oznajmiłem z zapalem, usiadłem i zjadłem poziomkę. Maggie przysiadła naprzeciwko mnie. Miała na sobie czystą bluzkę, czarny, ciasno zasznurowany gorset oraz spódniczkę z czerwonej wełny włożoną na pasiastą halkę. Jej najlepsze ubranie. Jasne, świeżo umyte włosy przewięzała czerwoną wstążką. Wszystko to wyglądało groźnie.

— Peter, zastanawiałam się nad tym wszystkim.

Maggie ciągle się nad czymś zastanawiała. Odgryzłem kawałek ciasteczka. Było pyszne.

— Tak?

— Tak. Musimy... Dzień dobry, psie.

Wielkie zwierzę weszło za mną do środka, a teraz usiadło przy stole, gapiąc się na jedzenie. Dałem mu ciasteczko i spojrzałem wyzywająco na Maggie, czekając, aż się sprzeciwi, oznajmiając, że cukier jest za drogi, żeby go dawać psom. Nie zrobiła tego.

— Jak chcesz go nazwać? — zapytała radosnym tonem.

Nie zastanawiałem się nad tym. Oczywiście musiał jakoś się nazywać. A Maggie starała się mnie zadowolić.

— Nie wiem — przyznałem. — Masz jakieś pomysły?

Przyjrzała się wielkiemu szaremu psisku.

— Ma bardzo dziwne oczy. Sierści takiego koloru też chyba nigdy nie widziałam.

Do tej pory nie zwracałem uwagi na jego oczy. Teraz to zrobiłem i byłem zdumiony. Miały taki sam kolor jak oczy Cecylii: czysta jaskrawa zieleń. Z pewnością zauważyłbym to wczoraj. Czyżby miały wtedy inny kolor, były mniej jaskrawe. Światło nieraz wyczynia z oczami dziwne sztuczki.

Maggie najwyraźniej nie kojarzyła ich z Cecilią. Cieszyłem się z tego.

— Widziałam koty z takimi oczami, ale nigdy psy — dodała. —
Mógłbyś go nazwać Zielonka.

To było najgłupsze imię, jakie słyszałem w życiu.

— Nie, nie sędzę. To... to do niego nie pasuje.

— Kapitan?

— Nie.

— Reks?

— Nie.

— Łowca?

— Nie.

— Bandzior?

— Nie.

— Ciągłe mówisz „nie”, bo te imiona ci się nie podobają, czy raczej dlatego, że to ja je sugeruję?

Nie odpowiedziałem jej natychmiast. Mój umysł wypełniło niezwykle wrażenie, jakby marzenie senne przesączało się powoli przez moją czaszkę, a potem rozpraszało niby dym na silnym wietrze.

— Cień — wycedziłem powoli. — On się nazywa Cień.

Pies spojrzał na mnie. Jego oczy były jak czysta zielona woda.

— To ładne imię — stwierdziła ciepło Maggie. — Tak się składa, że właśnie o nadawaniu imion chciałam z tobą porozmawiać. Uważam, że powinniśmy jakoś nazwać naszą gospodę.

— Nazwać?

— Tak. A także namalować szyld i zawiesić go.

— Szyld?

— Żeby ludzie wiedzieli, dokąd przyszli.

Niemal wszyscy nasi klienci byli miejscowi i świetnie wiedzieli, dokąd przychodzą, ponieważ była to jedyna gospoda w promieniu pięciu mil.

Natychmiast zauważyłem w sali rzeczy, na które przedtem nie zwracałem uwagi: kufel ze stokrotkami stojący na drugim stole, mała makatka wisząca na ścianie, wystrugany z drewna królik na szerokim parapecie. Kiedy Maggie miała czas to wszystko zrobić? Czy wszystkie kobiety czuły tę potrzebę wicia gniazda, dekorowania tego, co już przedtem było całkiem zadowolające?

Spoglądała na mnie z błyskiem nadziei w oczach. Dostrzegałem w nich również coś pełnego determinacji, a nawet bezlitosnego. Gdyby jednak Maggie rzeczywiście taka była, nie uratowałyby mnie przed śmiercią w ostatnich dniach panowania królowej Caroline. Nie mogłem jej odmawiać prawa do zawieszenia szyldu, nawet jeśli ta myśl mi się nie podobała. A co właściwie miałem przeciwko temu? Nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie.

— To dobry pomysł — odparłem z tak wielkim entuzjazmem, na jaki mogłem się zdobyć. — A jak ją nazwiemy?

— Myślałam, że może „Pod Czerwonym Dzikim”?

Wskazała na makatkę. Zauważyłem teraz, że przedstawia ona dzika wyszytego czerwoną wełną.

— Może być.

— Chyba że wolałbyś coś innego?

— Nie, to jest w porządku.

— Jeśli wolisz coś innego, powiedz to, Peter. Proszę.

— To jest w porządku!

Przestań już o tym gadać!

— Dobra. Pozwól, że coś ci pokażę.

Poszła do kuchni i po chwili wróciła z deską, na której napisano „Pod Czerwonym Dzikim”, a na górze namalowano takie właśnie zwierzę.

Umiem czytać. Maggie mnie nauczyła. Pamiętałem jej śmiały charakter pisma z lekcji, których cierpliwie udzielała mi w zimowe popołudnia. Przygotowała szyld, nim jeszcze omówiliśmy tę sprawę.

— Jee namalował dzika — wyjaśniła. — Nie wiedziałam, że potrafi tak ładnie malować. On też nie. Czy mógłbyś zrobić ramię i zawiesić na nim szyld?

— Tak.

— Dzisiaj?

— Tak.

— Dziś rano?

— Tak, tak, tak!

Maggie nie jest pozbawiona wrażliwości.

— Uważasz, że się ciebie czepiam — powiedziała cicho.

Czepiała się mnie. Ale to nie ona była winna, tylko ja, z jakiegoś głęboko ukrytego powodu, którego nie rozumiałem. Winne było życie, jakie prowadziliśmy.

— Przepraszam, Maggie — rzekłem szczerze. — To bardzo piękny szyld. Powieszę go dziś rano.

Okrażyłem stół i zrobiłem coś, co zdarza mi się rzadko: pocałowałem ją w czubek głowy. Znieruchomiała. Nim zdążyła zapragnąć czegoś więcej — poprosić o to, zażądać tego, wszcząć o to kłótnię — wyszedłem z gospody. Cień podążał za mną.

A niech to! Zjadłem zaledwie kilka kęsów z jej wspaniałego śniadania.

Zabrałem owce na ich codzienne pastwisko. Cienia przywiązałem na podwórku stajni. Dogonił mnie po dziesięciu minutach, ciągnąc za sobą zerwany sznurek. Owce natychmiast zaczęły beczeć przenikliwie z przerażenia.

— Niedobry pies — skarciłem go.

Cień pomachał ogonem.

Resztką sznurka przywiązałem go do drzewa, a potem odprowadziłem owce wystarczająco daleko, żeby przestały beczeć. Po paru minutach Cień zerwał sznurek i pognął za nami. Młodsza owieczka rzuciła się do ucieczki. Obaj z psem popędziliśmy za nią, porzucając resztę beczących zwierząt. Przewróciłem się o korzeń. Cień złapał owcę, skacząc na jej grzbiet.

— Nie, Cień! Nie!

Rozszarpie owcę, zabije ją i zje. Podniosłem się z wysiłkiem.

Cień jednak nie skrzywdził owieczki. Stał spokojnie obok niej i gdy tylko głupie bydlę się ruszyło, przesuwał się, by zablokować mu drogę ucieczki. Zamrugalem. Widziałem już, jak psy zaganiają owce, ale nie psy tej rasy (jakakolwiek rasa mogła to być). Co więcej, wczoraj niczym nie zdradzał, że to potrafi.

Owce nadal beczwały i pojękiwały. W tym stanie umysłu — jeśli te głupie zwierzaki w ogóle miały coś takiego jak umysł — nie mogły się paść. Z westchnieniem zaprowadziłem zbiegłą owieczkę do pozostałych, a potem przerzuciłem sobie przez ramię jej jagnię i ruszyłem z powrotem w stronę gospody. Reszta głodnego stadka podążyła za mną. Kolejna nieudana wyprawa. A to, co na mnie czekało, wydawało się równie bezcelowe. Czyszczenie kurnika. Pielenie kuchennego ogrodu. Zawieszenie nowego szyldu. Pomaganie przy praniu.

Ale sprawy nie tak się potoczyły. Wszedłem do gospody przez kuchnię. Maggie tam nie było. Znalazłem ją w głównej sali. Stali z Jee przed paleniskiem i gapili się na nie. Dziewczyna wyciągnęła rękę. Na wystygłych kamieniach kominka leżał spory głaz.

— Wpadł... wpadł przez komin — wyszeptła. Jej twarz zrobiła się równie biała jak bluzka. — Przed chwilą. A na dachu nie było nikogo.

Jee trzymał się jej spódnicy, jakby miał pięć lat, nie dziesięć.

Podszedłem bardzo ostrożnie do kamienia. Miał kształt idealnego dysku i średnicę równą rozpiętości rozpostartej dłoni. Był płaski po obu stronach, a gdy wziąłem go w rękę, poczułem, że jest ciężki. Moim oczom wydał się z początku jednolicie szary, ale kiedy go podniosłem, zobaczyłem w nim zielone punkciki malachitu albo chryzoprazu. Odwróciłem go. Na drugiej stronie, równie płaskiej jak pierwsza, zielone plamki układały się w litery. Nie przytwierdzono ich do kamienia, lecz były jego integralną częścią. Maggie, która przeczytała niewiarygodne znaki, spoglądając mi przez ramię, wciągnęła nagle powietrze.

NIEBEZPIECZEŃSTWO — UCIEKAJ NATYCHMIAST — MC

6

Matka Chilton. Najwyraźniej wiedziała, gdzie się ukrywam. Od jak dawna? Jak daleko rozciągała się ta wąła sieć kobiet, które „studiowały sztuki duszy” z mniejszym lub większym powodzeniem? Czy tu, w Applebridge, mieszkał ktoś, kogo spotykałem co drugi tydzień?

— To wiadomość od... — odezwała się Maggie.

— Tak.

— Co widziałeś? — zapytała chłopca.

— Nic.

Jee dotknął kolejno obu oczu, a potem zacisnął mocno powieki. Wieśniacy wierzyli, że to chroni przed czarami. A przecież wiedział, kim jestem.

— Nic? — powtórzyłem. — Lepiej się dobrze zastanów, Jee.

— Nic. Poza...

— Poza czym?

— Jastrzębiem. Leciał wysoko na niebie.

Uniosłem kamień. Był za ciężki, by jastrząb mógł go udźwignąć, zwłaszcza jeśli „leciał wysoko”.

Maggie opanowała już nerwy. Zawsze szanowała Matkę Chilton, „wielką aptekarkę”, a teraz strach przed nią skłonił dziewczynę do tego, co przychodziło jej najłatwiej: zabrania się do roboty.

— Możemy wyjechać przed upływem godziny, Peter. Spakuję prowiant. Jee, wypełnij wodą ten stary bukłak z szafki pod schodami. Nie zapomnij najpierw przepłukać go trzy razy. Potem zwiń zimowe płaszcze najciaśniej, jak się da, i przewiąż je sznurkiem wiszącym na kołku w kuchni. Peter, ty powinieneś... Ojej, co ze zwierzętami? Chyba nie możemy ich zabrać ze sobą, choć jeśli zabijesz kurę, nie, lepiej dwie... Jestem pewna, że mamy czas.

Położyłem dłoń na barku dziewczyny i odwróciłem ją ku sobie. Nie sposób było uniknąć tej bitwy. Gdy tylko Jee pobiegł wykonać jej rozkazy, zaczerpnąłem głęboko tchu.

Była jednak szybsza ode mnie.

— Nie, Roger — rzekła cicho, zwracając się do mnie prawdziwym imieniem. — Nie możesz mnie tu zostawić. Ani mnie, ani Jee. W tej armii są dzicy, którzy mnie poznają. Już raz wzięli mnie do niewoli, żeby dopaść ciebie, pamiętasz? Jeśli Młody Wódz rzeczywiście jest tak bystry, jak mówisz, zrobi użytek z tych ludzi. Grozi mi takie samo niebezpieczeństwo jak tobie. I Jee również. Nie możesz nas tu zostawić, chociaż... — Maggie oczywiście nie mogła przemilczeć ostatniej frazy. — Chociaż tego pragniesz.

A przecież ostatniej nocy próbowała mnie przekonać, że dzikusy nie rozpoznają żadnego z nas. Dzisiaj jednak miała rację w obu sprawach. Młody Wódz spróbuje ją wykorzystać, żeby mnie pojmać, tak samo jak jego ojciec. A ja rzeczywiście chciałem tu zostawić ją i Jee.

Gdy tylko zaczęliśmy rozmawiać o naszym wspólnym życiu, twarz Maggie nabierała płaczliwego, lecz nieustępliwego wyrazu. Nie po raz pierwszy pragnąłem, by nie czuła się zobowiązana wymieniać na głos wszystkich nieprzyjemnych prawd. Dałem za wygraną. Na razie.

— Maggie, sama powiedziałaś, że mamy mało czasu. Ruszamy w drogę wszyscy troje, i to przed upływem godziny. Spakuj prowiant, a ja zabiję kury. Musimy opuścić gospodę, nim zjawią się pierwsi goście.

Skinęła energicznie głową i popędziła do kuchni. Po chwili usłyszałem grzechot garnków i stukot zamykanych pudełek na prowiant. Wyszedłem na dwór, złapałem dwie kury, zabiłem je i skrwawiłem. Wszystko, co mogłem zrobić dla owiec, to otworzyć drzwi ich szopy w nadziei, że przyłączą się do czyjegoś stada, albo jakiś gość, zauważywszy, że opuściliśmy gospodę, zabierze je sobie razem z resztą kur.

Ruszyliśmy w drogę po półgodzinie, znikając na lesistym stoku za budynkiem. Cień szedł za nami. Gdy już zagłębiliśmy się w las na tyle, że nikt nie mógłby nas zauważyć, Jee nagle się zatrzymał.

— Dokąd pójdziemy? — zapytał.

To było rozsądne pytanie. Dziecko spoglądało na mnie wyczekująco, a także z odrobiną dumy. Jee, łowca królików, zbieracz orzechów i jagód, znał okolicę w promieniu wielu mil. Dokądkolwiek chciałem się udać, on potrafił nas tam zaprowadzić.

Miałem nadzieję, że Magie wyczerpała już tygodniowy zapas pełnego urazy i oburzenia, chociaż jednak w to wątpiłem.

— Ruszymy w stronę stolicy, Jee. Ale nie wzdłuż rzeki.

Nad jej brzegiem można było znaleźć trakty, wioski i armie.

— W stronę Glorii? — sprzeciwiła się Maggie. — Tam właśnie zmierza armia dzikusów. Chcą zabrać księżniczkę!

— Nie do samej Glorii, Maggie. Tylko w jej okolicy.

To wzbudziło jej podejrzliwość.

— To znaczy gdzie?

Nie mogłem nic na to poradzić. Nie chciałem jej okłamywać.

— Do Tanwell.

— Chcesz... Chcesz zostawić mnie i Jee u mojej siostry.

Nic nie powiedziałem.

— U mojej wrednej, skąpej siostry. Mnie będzie traktowała jak niewolnicę, a Jee jak psa.

Usłyszawszy wzmiankę o psie, Cień pomachał ogonem.

— Nie — skwitowała Maggie.

Mimo woli poczułem podziw. Nie próbowała się kłócić, nie zrobiła płaczliwej miny, nie zalała się łzami. Tylko proste „nie”, twarde i gładkie jak kamień, który w niewytłumaczalny sposób wpadł do mojego komina. Nadal milczałem.

— Możemy pójść na południe, trzymając się lasów i wzgórz — zaproponowała Maggie. — W ten sposób też dotrzemy na Ziemię Niczyją, tyle że dłuższą drogą. Osiedlimy się w jakiejś ubogiej wiosce na pograniczu między Reginokracją a Ziemią Niczyją. Tak będzie najbezpieczniej. Możemy znaleźć pracę jako robotnicy rolni, a potem zacząć od nowa. Jee, prowadź.

Chłopiec przenosił spojrzenie z Maggie na mnie i z powrotem. Po chwili podniósł bez słowa plecak i ruszył naprzód. Maggie szła za nim, ja za Maggie, a Cień za mną. Na razie.

Wędrówka wczesnym latem. Długie dni maszerowania w piekących promieniach słońca, krótkie noce poświęcone na odsypianie zmęczenia. Unikaliśmy wiosek, chyba że musieliśmy uzupełnić zapasy, a i wtedy wysyłaliśmy po nie Jee w towarzystwie Cienia. Kupowaliśmy jednak bardzo niewiele. Chłopiec co wieczór zastawiał sidła na króliki. Cień również polował na małe zwierzęta i o dziwo kładł je nietknięte u moich stóp. To zjednało mu sympatię Maggie, która potrafiła oskubać kuropatwę szybciej niż ktokolwiek w Applebridge. Kiedyś przyniósł nawet małe prosię, ukradzione z chlewika jakiegoś wieśniaka. Maggie go zbeształa, ale

myślę, że nawet pies zorientował się, że nie wkładała w to serca. Upiekła prosię i zjedliśmy je wszyscy. Smakowite soki wypełniły nam brzuchy, a chrupiąca skórka pękała w naszych ustach. Czyste, wartkie strumienie pozwalały nam wypełniać bukłak. Spaliśmy pod jasnymi letnimi gwiazdami, owijając się w płaszcze albo kładąc się na nich.

Rozmawialiśmy tylko o podróży, nigdy o powodzie, dla którego w nią wyruszyliśmy. Gdy Jee wybierał się do którejś z wiosek po chleb i ser, przynosił niewiele wieści. Mieszkańcy tych odległych osad wiedzieli jeszcze mniej niż ludzie z Applebridge. Tam przynajmniej docierali wędrowcy podróżujący nadrzecznym traktem. Nikt nie wspominał o armii dzikusów, która napadła na Reginokrację. My również o niej nie rozmawialiśmy. To było tak, jakby te dwa tygodnie były czymś odrębnym od reszty świata, jakbyśmy przebywali w ruchomej mydlanej bańce, przezroczystej i lekko zabarwionej, jak te, które dzieci puszczają w dzień prania. Nie było deszczu ani silnych wiatrów czy burz. Noce były pogodne i ciepłe, pachniały dzikim tymiankiem oraz leśnymi kwiatami. Nic mi się nie śniło. Znaleźliśmy spokój i schronienie, choćby nawet fałszywe.

Reginokracja jest rozległą równiną, otoczoną od północy, zachodu i południa przez góry, a na wschodzie graniczącą z morzem. Północne góry to niewiele więcej niż wzgórza: za nimi leży Reginokracja Isabelli, spowinowaczonej przez małżeństwo z księżniczką Stephanie. Zachodnie góry są wysokie i skaliste. Na południu nie ma właściwie wzgórz ani gór, lecz dzika kraina niepodobna do innych: wysokie płaskowyże, głębokie żleby i maleńkie dolinki, skaliste i nieurodzajne. Mieszkają tam tylko biedni rolnicy i myśliwi, z trudem mogący przeżyć na tym niegościnnym terenie. Ziemia Niczyja. Tam właśnie urodził się Jee.

A za Ziemią Niczyją leży Wrzosowisko Duszorośli.

Maggie nie wiedziała, co zamierzam zrobić. Byłem tego pewien. Przez całe dwa tygodnie wędrówki demonstrowałem spokój i pogodę ducha, graniczące niemal z bez troską. Cieszyłem się, że udało mi się oszukać dziewczynę, choć bowiem byłem daleki od bez troski, czułem zadowolenie, któremu towarzyszyło również poczucie winy, spowodowane tym, że przez pewien czas rzeczywiście chciałem wieść spokojne życie i budowałem je razem z Maggie. Wydawało mi się okropne, że już nie pragnę tego, co ona.

Powiedziała, że znajdziemy pracę jako robotnicy rolni, a potem zaczniemy od nowa. Nie wątpiłem, że ona to zrobi. Wybierze jakąś wioskę, a po dwóch latach znowu będzie kierowała gospodą, garkuchnią albo domem wymiany. Opanuje rzemiosło szewca, bednarza albo aptekarza. Potrafiła nauczyć się wszystkiego i zrobić wszystko. Absolutnie wszystko. Nie pozwoli mi na to, co zawsze pragnąłem uczynić: udać się na Wrzosowisko Duszorośli, przejść na drugą stronę i odnaleźć matkę wśród Umarłych. Tylko od niej mogłem się dowiedzieć, kim był mój ojciec i nosząca koronę kobieta z moich straszliwych snów. Kim byłem ja sam.

— Będiesz szukał matki. Nic, co mogłabym ci powiedzieć, nie skłoni cię do zmiany zdania — rzekła mi przed dwoma laty Matka Chilton. Ja jednak tego nie zrobiłem. Ale teraz szansa nadeszła i nie spocznę, aż odzyskam matkę i usłyszę od niej to, co muszę wiedzieć.

Szliśmy na południowy wschód. Okolica stawała się coraz bardziej górzysta i zalesiona, a także rzadziej zaludniona. Przerzucaliśmy się z Maggie żartami, a nocami spaliśmy po przeciwnych stronach wygaszonego ogniska. Nic jej nie wspominałem o swych planach. Wreszcie dotarliśmy do Haryllbury.

* — To jest odpowiednie miejsce — stwierdziła Maggie.

Późnym popołudniem zatrzymaliśmy się na wysokim wzniesieniu, spoglądając z góry na położoną nad niewielkim jeziorem wioskę. Była

większa niż inne osiedla spotykane w tych stronach, być może właśnie ze względu na jezioro. Wpadała do niego mała rzeczka, która spływała z gór, wijąc się niczym szczupły, wartki wąż między stromymi wzgórzami i tworząc głębokie jary. Pola były maleńkie i nieregularnie rozrzucone, niemniej uprawiano je. Nie wiedziałem, czy jeszcze jesteśmy w Reginokracji, czy też przekroczyliśmy już granicę Ziemi Niczyjej. Później, gdy poznałem nazwę wioski, nadal nie byłem tego pewien. „Haryll” sugerowało to drugie, natomiast „Bury” to pierwsze. Osada była mieszana, zapewne nie należała w pełni do żadnej ze stron.

— Wioska jest wystarczająco duża, byśmy mogli znaleźć tu pracę — ciągnęła dziewczyna. — Ale na tyle mała, że nikt nie zwraca na nią uwagi.

— Tak, masz rację. Jee, weź Cienia i idź kupić trochę chleba.

Dałem chłopcu grosz.

Jee ruszył na dół. Cień pędził obok niego. Usiedliśmy z Maggie na gęstej trawie, ciesząc się z szansy rozprostowania nóg. Zaczęła zrywać stokrotki i splatać z nich wianek. Wokół brzęczały pszczoły, spijające nektar z łąkowej koniczyny. Nieopodal przemknął królik. Miał szczęście, że nie było z nami Jee ani Cienia.

— Nie idź tam, Peter — odezwała się cicho Maggie.

Wiedziała. Być może od samego początku. Nie byłem w stanie na nią spojrzeć.

— Nie opuszczaj nas. Miałeś zamiar wykraść się nocą niepostrzeżenie, prawda? Upewnić się, że mamy pracę i dach nad głową, a potem ruszyć w dalszą drogę samemu. Opuścić mnie. Znowu.

Raz już próbowałem ją porzucić, gdy opuściłem pałac i ruszyłem na poszukiwania Cecylii. Wtedy Maggie uparła się, że ze mną pójdzie, wyczuwałem jednak, że tym razem będzie inaczej. Nie zechce mi towarzyszyć. Miała swoją dumę i wystarczająco wiele już przeze mnie

wycierpiała. Nie będzie nalegała, że ze mną pójdzie, ale zrobi, co tylko będzie mogła, by powstrzymać mnie przed odejściem.

— Nie okłamuj mnie, proszę — ciągnęła ze sporą dozą godności. — Chcesz wyruszyć na Wrzosowisko Duszorośli, prawda? Żeby odnaleźć matkę. Nie okłamuj mnie, proszę!

„Będziesz szukał matki. Nic, co mogłabym ci powiedzieć, nie skłoni cię do zmiany zdania”.

— Tak — odpowiedziałem tak cicho, że musiała pochylić ku mnie głowę, by usłyszeć moje słowa. — Muszę to zrobić, Maggie.

— Nieprawda. Chcesz to zrobić — odparła po prostu.

Na to nie potrafiłem jej odpowiedzieć. Nie wściekała się, nie próbowała się sprzeczać, ani nawet nie płakała. Pomyślałem, że wolałbym każdą z owych reakcji od tego cichego cierpienia, głębokiego jak morze. Wianek ze stokrotek leżał na jej kolanach. Pochylała nad nimi głowę, a jasne, niesforne loki opadały jej na twarz. Znieruchomiła tak całkowicie, że gdyby nie napięte mięśnie szyi mógłbym pomyśleć, że nie żyje. Że jest jedną z tych nieruchomych Umarłych, siedzących przez wieczność po drugiej stronie w spokojnych kręgach.

Na tę myśl przeszył mnie dreszcz. Nie mogłem znieść jej widoku w takim stanie. Maggie zawsze była pełna energii i planów na przyszłość. Nie mogłem tego znieść.

— Maggie...

Wyciągnąłem zdrową rękę i dotknąłem jej ramienia.

Zwróciła się ku mnie tak szybko, że byłem zaskoczony. Nie płakała, ale objęła mnie mocno, jak tonący chwyta się tratwy, i przycisnęła mi gorące usta do ucha.

— Jeśli naprawdę chcesz odejść, nie możesz mi tego odmówić — wydyszała. — Ten jeden, ostatni raz, Peter. Mogę już nigdy cię nie

zobaczyć. Nie możesz mi tego odmówić. Nie możesz, och, nie możesz.

Miała rację. Jej ból wnikał do mojej duszy, a ciało było ciepłe i miękkie. Słońce grzało nas oboje, nieustanne brzęczenie pszczoł również powodowało coś w rodzaju transu, wonne trawy szumiały na lekkim wietrzyku. Mieliśmy po siedemnaście lat i mój członek pulsował życiem. Położyłem delikatnie Maggie wśród kwiatów i uniosłem spódnicę jej sukni.

Gdy było po wszystkim, zasnęła. Jee i Cień nie wracali. Po cichu wyjąłem z naszych plecaków trochę zapasów — tylko tyle, ile potrzebowalem — i zostawiłem ją na słonecznym stoku. Skierowałem się na południe, wspinając się samotnie w kierunku Ziemi Niczyjej.

7

Wieczorem dotarłem na podgóorską łąkę, maleńką, porośniętą trawą płaszczynę na lesistym stoku usianym sterczącymi spod ziemi głazami. Kiedy poprzednio wędrowałem przez tę dziką okolicę, miałem dwie ręce. Przekonałem się, że z tylko jedną jest to znacznie trudniejsze, nawet kiedy zrobiłem sobie laskę z mocnego konaru dębu. Po zapadnięciu zmroku poddałem się zmęczeniu. Rozpaliłem ognisko, zjadłem trochę chleba i zimnej baraniny, a potem owinąłem się w płaszcz i zasnąłem. Z jednej strony miałem wielkie, ciepłe ciało Cienia, z drugiej zaś ognisko. Myślałem więc, że będę spał spokojnie. Byłem w błędzie.

Minęła godzina. Wzeszły gwiazdy oraz księżyc — wielki, okrągły i żółty jak dobry ser. Przed rozpoczęciem tej podróży przez ponad dwa lata zawsze spałem pod dachem. Nocne niebo przywoływało najróżniejsze uczucia, najrozmaitsze wspomnienia. Dzieciństwo i młodość spędzone na podróżach z ciotką Jo i jej brutalnym mężem, Hartahem. To, co Hartah kazał mi robić na jarmarkach, by wyciągnąć kilka groszy z pogrążonych w żałobie, łatwowiernych wieśniaczek. Ukryty w naszym namiocie, słuchałem ich opowieści o zmarłych matkach, dzieciach albo mężach. Potem przechodziłem na drugą stronę, budziłem jakąś staruszkę, by opowiedziała mi coś o swej rodzinie, i wracałem, z fałszywymi

zapewnieniami o miłości i szczęściu za grobem. Po dziś dzień, wspominając te kłamstwa, płonąłem ze wstydu i upokorzenia.

To, do czego zmuszał mnie Hartah, było jednak niczym w porównaniu z tym, co robiłem dla królowej Caroline jako jej nadworny błazen. I z tym, co uczyniłem jej samej!

Iluz Umarłych obudziłem! Zawsze byli starzy, bo tylko ich można było wyciągnąć z głębokiego transu. Być może jedynie oni żyli wystarczająco długo, by zachować wspomnienia z krainy żywych. Myślę, że Umarli na coś czekają, ale nie wiem na co i nikt inny też tego nie wie. Mogłem się mylić. Być może wcale nie czekają. Być może właśnie ten spokojny bezruch jest celem, do którego zmierzali przez całe życie.

Chciałbym, żeby tak było. To by oznaczało, że wcale nie odebrałem Cecylii zbyt wiele. Jej, a także innym, których przyprowadziłem tu z tej dalekiej krainy, doprowadzając do tego, że teraz nie istnieli w żadnym z tych miejsc i nigdy już nie będą istnieć. Oto było źródło nieustannego cierpienia wypełniającego mój umysł. Nie chodziło o to, że Cecilia umarła, lecz o to, że przeze mnie nie było jej wśród Umarłych. Jeśli jednak śmierć była tylko sztywnością i bezruchem, nie odebrałem jej nic wartościowego.

Za to Maggie ukradłem wszystko, czego pragnęła.

Gdybym jednak zabrał ją ze sobą, naraziłbym na niebezpieczeństwo kolejną kobietę. Postąpiłem słusznie, zostawiając ją. Ale ona była innego zdania i ta myśl mnie nie pocieszała. Pragnąłem czegoś więcej i tylko matka mogła mi to dać. Pamiętałem ją. Miała na sobie lawendową suknię, trzymała mnie na kolanach i śpiewała. We włosach miała lawendowe wstążki. Pamiętałem jej zapach, promienne oczy i delikatny dotyk.

Od jedenastu lat.

Nie. Kobieta w potwornym śnie nie była moją matką. Moja matka nie nosiła korony, nie była królową żadnego kraju. Głos, który słyszałem we

śnie, był też delikatniejszy od jej głosu i miał wyższą tonację. Nie był to również głos królowej Caroline, która zresztą nie żyła dopiero od dwóch i pół roku, a do tego widziałem, jak siedziała spokojnie w krainie Umarłych, pogrążona w bezruchu. Nie, ta kobieta była tylko złym snem, nierealnym tworem utkanym z powietrza i bolesnych wspomnień. Nie istniała naprawdę ani w tej tkaninie, ani w tamtej. To była tylko senna mara.

W końcu udało mi się zasnąć. Wydawało mi się, że minęło zaledwie kilka minut, gdy nagle obudził mnie kopniak w zębra. Szarpnąłem się gwałtownie i zamrugąłem, oślepiony blaskiem poranka. Obudziłem się i zobaczyłem dwóch stojących nade mną wojowników. Trzymali w rękach krótkie noże, wymierzone w moje gardło.

— *Aleyk ta nodree!*

— *Hent!*

Wyrwałem się, ale niewiele mi to pomogło. Jeden dzikus podniósł mnie na nogi i wykręcił mi ręce do tyłu. Drugi spojrział mi w twarz, jakby próbował zdecydować, kim jestem. Nie znałem go, ale z pewnością był żołnierzem w armii Młodego Wodza. Nosił tunikę z kosmatego futra, jak wszystkie dzikusy, a do tego skórzany pas i buty z metalowymi noskami. Twarz miał spaloną słońcem, a długie, splecione w warkoczyki włosy zaczesał do tyłu. Nie nosił krótkiej peleryny z piór i nie wplótł też piór we włosy, co znaczyło, że nie jest oficerem. Zapewne był zwiadowcą albo kimś w tym rodzaju. Jak większość dzikusów miał niebieskie oczy. Nie jaskrawobłękitne jak oczy Soleka, lecz raczej niebieskoszare. W pałacu nauczyłem się kilku słów ich gardłowego języka, ale nie znałem żadnego z tych, które wypowiedział do tej pory. Następną wymianę jednak zrozumiałem.

— *Mit?*

On?

— *Tento*.

Nie wiem.

— *Jan fee kal*.

Tych ostatnich słów nie znałem. Niemniej nie potrzebowałem języka, by zrozumieć ręce, które przeszukały brutalnie mnie i mój plecak. Zabrali mi wielki nóż myśliwski, ale zostawili mały nożyk do golenia, który miałem w bucie. Potem popchnęli mnie naprzód i ruszyliśmy w drogę. Opuściliśmy łąkę, zmierzając w dół.

Byłem jeńcem, ale jak dotąd nie zrobili mi żadnej krzywdy. Nie byli też pewni, kim jestem. Zmieniłem się przez dwa i pół roku, nabrałem ciała, moja twarz zrobiła się wychudła i opalona, wyrosła mi broda, straciłem rękę. Nie byli pewni, kim jestem. Uczepiłem się desperacko tej myśli, ponieważ poza nią nie pozostało mi zbyt wiele. To byli potężni mężczyźni w sile wieku i u szczytu swych sił. Większy z nich przewyższał mnie wagą o co najmniej trzy kamienie. Gdybym spróbował uciekać, nie skończyłoby się to dla mnie dobrze.

Jak mnie znaleźli? Czy pojмали już Maggie i zmusili ją do mówienia? Kiedy ją zostawiłem, spała spokojnie na pachnącym koniczyną stoku. Nie zdradziłaby mnie, chyba żeby ją zmusili. Każdy powie wszystko, jeśli poddać go torturom. A Jee, ze swymi drobnymi kosteczkami...

Potknąłem się i runąłem ciężko na ziemię, nie mogąc powstrzymać upadku tylko jedną ręką. Dzikusy zatrzymały się i zaczęły, aż wstanę. Żaden z nich mnie nie dotknął. Podniosłem się chwiejnie i znowu ruszyliśmy w dół stoku. W miarę jak schodziliśmy coraz niżej, góra za naszymi plecami rosła, zasłaniając słońce, tak iż mogło się wydawać, że zachodzi zamiast wschodzić.

Szliśmy na północ, z powrotem do Reginokracji. Do Haryllbury? Strach o Maggie i Jee uderzył we mnie z siłą letniego gromu.

Po kilku godzinach dzikusy zatrzymały się na posiłek. Pozwoliły mi napić się wody z mojego bukłaka i zjeść trochę sera, który miałem w plecaku. W gardle zaschło mi tak okropnie, że trudno mi było cokolwiek przełknąć. Żołnierze mówili niewiele, nawet do siebie nawzajem. Sprawiali wrażenie, że w ogóle ich nie zmęczyło pół dnia szybkiego marszu przez trudny teren. Myślałem, że wiele godzin codziennej pracy w gospodarstwie dało mi wytrzymałość, ale pasanie owiec i wbijanie gwoździ nie mogło się równać ze szkoleniem, jakiemu najwyraźniej poddano tych ludzi. Tempo naszej wędrówki z Maggie i Jee wydawało mi się teraz naprawdę powolne. Dziesięć minut na zjedzenie posiłku i napełnienie bukłaków w wartkim strumieniu, a potem znowu ruszyliśmy w drogę.

— *Alt!* — zawołał raptem jeden z dzikusów, a potem oparł strzelbę o bark i wystrzelił. Jeleń, który wyskoczył nagle z chaszczki dwadzieścia stóp od nas, został gwałtownie wyrzucony w górę, a następnie zwałił się na ziemię.

Po raz pierwszy byłem świadkiem wystrzału ze strzelby z tak bliska. Przerazający huk odbił się echem od gór. Jeleń był martwy. Jego głowę zboczyła krew. To była broń, która raz już pozwoliła lordowi Solekowi i jego armii zapanować nad Reginokracją. Najwyraźniej historia się powtarzała, jako że dwaj żołnierze nie próbowali ukrywać swej obecności przed wieśniakami z pobliskich gospodarstw. Uszy nadal wypełniało mi echo wystrzału. Miecze nie mogły się mierzyć z taką bronią.

Dzikus obdarł jelenia ze skóry swym krótkim nożem, a potem go poćwiartował. To była użyteczna informacja. W przeciwieństwie do noża lorda Soleka, przez który straciłem rękę, ten nie był zatruty. Dzikus posługiwał się nim jeszcze bieglej niż Maggie, gdy oprawiała króliki. Pokroił mięso, posolił je i schował do plecaka niewiarygodnie wręcz szybko.

Nawet tak krótki odpoczynek bardzo mi pomógł. Potem jednak wznowiliśmy wędrówkę i zdobyłem kolejną cenną informację. Słońce skłaniało się już ku zachodowi, barwiąc na czerwono niebo za naszymi plecami, nie przed nami. Szliśmy na północny wschód, ku morzu. Wszedłem na obszar Ziemi Niczyjej, kierując się na południowy wschód. To znaczyło, że nie zmierzamy do wioski, w której zostawiłem Maggie i Jee, lecz ku jakiemuś miejscu położonemu dalej na wschód. Oczywiście, dzikusy mogły ich pojmać i zabrać na wschód, czemu jednak mieliby to robić, zamiast zaprowadzić mnie do nich? Ożyła we mnie nadzieja, że Maggie jest bezpieczna, że dzikusy mnie nie poznały i być może mnie wypuszczą.

Kości bolały mnie ze zmęczenia. Kilkakrotnie nawiedziła mnie myśl, że nie wytrzymam już tego dłużej, że nogi za moment odmówią mi posłuszeństwa. Dzikusy kazały mi jednak iść, zwiększając jeszcze tempo, odkąd dotarliśmy do płaskiego terenu. Dawno już minęliśmy granice Reginokracji. W półmroku dostrzegałem wokół oznaki dobrobytu w żyznej dolinie, przez którą szliśmy. Co więcej, słyszałem go i czułem jego zapach. Tu pole użyźniono bydlęcym nawozem, jego ostry odór niósł się na wieczornym wietrzyku. Ówdzie żaby kumkały w stawie przy młynie. Z ogrodu zielnego napływały zapachy mięty i tymianku. Zamknięte na noc w zagrodzie gęsi układały się do snu z głośnym gęganiem.

Wreszcie dotarliśmy do wioski. Choć letnia noc była ciepła, a na niebie świecił księżyc w pełni, drzwi wszystkich chat zaryglowano, a okiennice zamknięto. Nie było kobiet plotkujących przy studni, kochanków trzymających się za ręce podczas spaceru ani młodzieży tańczącej na błoniach. Mijaliśmy ogrody widoczne za malowanymi bramami. Malwy, ostróżki i róże lśniły w księżycowym blasku. Weszliśmy do jednej z chat.

Czekało tam na nas dwóch mężczyzn. Utraciłem ostatnią szansę na to, że mnie nie rozpoznają.

Chata należała do jakiegoś bogatego wieśniaka. Była piętrowa, zbudowano ją z miękkiej czerwonej cegły, a kryjąca ją strzecha pozieleniała od mchu i porostów. Byliśmy w kuchni. Jej drzwi otwarto na ciepłą letnią noc. Czysta posadzka z kamiennych płyt, wielkie palenisko obwieszane wyszorowanymi do czysta garnkami z miedzi i cyny, pęki ziół zwisające z krokwi na górze. Mieszkała tu kobieta, skrzętnie dbająca o liczną rodzinę, ale i ona, i jej rodzina gdzieś zniknęli. Czułem zapach mydła, łożu i lawendy.

Moja matka w lawendowej sukni...

Maggie, bezpieczna czy związana i bezradna w pokoju na górze?

Ćmy krążące wokół pęków sitowia płonących w uchwytych na ścianach.

Mężczyzna, który szedł ku mnie, ocierając ale z ust grzbietem dłoni.

Moje bezładne myśli skupiły się na nim. Mężczyzna trzymał w ręce cynowy kufel. Przyjrzał mi się z uwagą, ale właściwie nie musiał tego robić.

— *Ven* — oznajmił towarzyszom.

„Tak”.

— Roger, błazen królowej — rzekł do mnie, mówiąc w moim języku z silnym akcentem.

Milczałem. Nie miałem nic do powiedzenia.

Minęło dwa i pół roku, odkąd ostatnio go widziałem. Był wówczas jeszcze chłopcem, śpiewakiem o głosie potężnym jak łoskot wojennego bębna. Widziałem, jak śpiewał, gdy armia lorda Soleka wchodziła do sali tronowej królowej Caroline. Dzikusy napływały do środka niekończącym się z pozoru strumieniem, waląc pałkami w posadzkę i rycząc pieśń bojową. Potem widziałem, jak śpiewał dla tej armii, gdy maszerowała na bój

z żołnierzami konkurencyjnej królowej. Dzikusy zwyciężyły z łatwością dzięki swym strzelbom oraz znakomitemu wyszkoleniu. Młody śpiewak wplatał sobie we włosy gałązki i malował twarz na czerwono, podobnie jak ja malowałem swoją na żółty kolor błazna królowej.

Nie był już śpiewakiem. Nie było barwników, gałązek ani muzyki. Ja jednak pozostałem błaznem.

— *Tel mit.*

Adiutant wojownika-śpiewaka złapał mnie i powlókł ku wąskim i krętym schodom. Dwaj mężczyźni, którzy mnie tu przyprowadzili, zostali na dole. Weszliśmy na piętro i minęliśmy dwa pokoje. Oba miały otwarte drzwi i były puste. W chacie nie było Maggie ani Jee. Trzecie pomieszczenie, nieco większe, ulokowano na końcu korytarza. Sypialnia. Adiutant popchnął mnie na krzesło o prostym oparciu i wprawnie owiązał sznurem. Nie mogłem poruszać rękami ani nogami. Były śpiewak podążał nieśpiesznie za adiutantem, nadal trzymając w ręce kufel. Dopił go, a potem postawił na kufrze z dębiny na wysoki połysk.

— Zabijeś... Soleka... — oznajmił, szukając słów w języku, który nie był jego ojczystym.

— Nie.

Nie ja wbilem miecze w ciało Soleka. Nie ściałem mu też głowy i nie zatknąłem jej na pice nad wschodnią bramą miasta. To pierwsze zrobili Niebiescy żołnierze, a to drugie lord Robert Hopewell. Ale to ja przywiodłem do pałacu Niebieskich, uważanych przez dzikusów za magiczne iluzje. Przyprowadziłem żołnierzy z tak daleka, że nikt — nawet ja — nie uwierzyłby, że to możliwe. Z krainy Umarłych.

— Tak — sprzeciwił się. — A teraz Tarek, syn Soleka, syna Taryna...

Zabrakło mu słów, ale wiedziałem, co chce powiedzieć. Młody Wódz pragnął zemsty za śmierć ojca.

Z kuchni na parterze dobiegały głosy, śmiechy i odgłosy picia dwóch żołnierzy, którzy mnie tu przyprowadzili. Czułem też napływającą schodami woń wędzonej szynki. Zawładnęło mną niedowierzanie. Z pewnością nie umrę z zapachem dobrej szynki w nozdrzach; z pewnością nie umrę w tym małym pokoju z dębowym kufrem na wysoki połysk, jaskrawą, pikowaną narzutą; z pewnością nie umrę...

Starszy z wojowników wyjął coś spod futrzanej tuniki. Nigdy dotąd nie widziałem podobnego przedmiotu, ale trzy lata temu słyszałem jego opis z ust młodego chłopca uczącego się na stajennego. Zrozumiałem, że faktycznie nie umrę, przynajmniej nie od razu, ale wkrótce zapragnę śmierci.

— Nie!

Krzyk wyrwał się z moich ust niespodziewanie. Natychmiast poczułem wstyd, ale z pewnością będę krzyczał jeszcze wiele razy. Urządzenie było proste — zawężlony sznur związany w krąg i wpleciony w niego kij. Starszy dzikus owiązał mi sznurem czoło. Potem wykonał pół obrotu kijem i węzły wbiły mi się w ciało.

Krzyknąłem po raz drugi. Ból był porażający.

— Zabiłeś Soleka, syna Taryna — powtórzył były śpiewak.

Kolejny obrót kija. Szarpałem się i krzyczałem. Mój pęcherz nie wytrzymał

— Zabiłeś Soleka, syna Taryna.

Jeśli obrócą kij wystarczająco wiele razy, gałki oczne wypadną mi z czaszki.

— Zabiłeś...

Uciekłem przed bólem w jedyny dostępny dla mnie sposób. Przeszedłem na drugą stronę.

8

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba wiążąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Tym razem jednak, po raz pierwszy w życiu, owe straszliwe doznania wcale mi nie przeszkadzały. Wolałem je od cierpienia, przed którym uciekłem. Przez kilka minut siedziałem spokojnie, dysząc pod wpływem strachu, który przed chwilą mnie wypełniał. Bólu jednak nie było. Czułem tu ból, ale tylko zadany w krainie Umarłych. Choć nie cierpiałem, nadal miałem na czole zawężlony sznur, a moje kończyny były przywiązane do krzesła. Zawsze zabieram na drugą stronę to, co mam na sobie, ale nigdy dotąd nie przeszedłem z krzesłem.

Nieopodal siedział jeden z Umarłych, dżentelmen w staromodnym kubraku z rozcięciem, krótkich spodniach i zielonych rajtuzach. Oczywiście, w ogóle mnie nie zauważał.

Zakołysałem ostrożnie krzesłem, aż się przewróciło. Potem zacząłem się więc, jak odziana i obuta dżdżownica, by po chwili pochwycić w jedną dłoń kamień. Nie był bardzo ostry, ale i tak przydatny. Zacząłem cierpliwie szarpać nim sznur krępujący moje ręce. Zadanie ułatwiał mi fakt, że dzikus

nie był w stanie spętać mi nadgarstków. Kikut zbyt łatwo wysliznąłby się z więzów. Dlatego przywiązał mnie do krzesła o wysokim oparciu i mogłem zginać zdrową rękę w łokciu. Niemniej potrzebowiałem sporo czasu, by uwolnić górną część ciała.

Gdy już miałem swobodną rękę, zerwałem zawężony sznur z czoła i rzuciłem na ziemię. Dotknąłem delikatnie skroni w miejscach, gdzie były supły, i zobaczyłem na palcach krew. Przetoczyłem się na bok i przeciąłem sznur krępujący mi kostki.

Przez kilka następnych chwil leżałem bez ruchu, zastanawiając się, co się stanie, jeśli dzikusy zabiją moje ciało w krainie żywych. Najprawdopodobniej nie będę mógł do niego wrócić. Czy jednak zapadnę w nieświadomy niczego spokój, jak reszta Umarłych? Czy raczej — cóż za straszliwa myśl — mój stan się nie zmieni i zostanę jedyną przytomną, zdolną do ruchu osobą po tej stronie? Na zawsze? Całe moje ciało przeszył dreszcz, już przedtem zeszywniałe od skrępowania kończyny szarpnęły się konwulsyjnie.

Wstałem powoli i rozejrzałem się wkoło. Od czasu mojej poprzedniej wizyty — przed dwoma tygodniami — w krainie Umarłych zaszła jakaś zmiana.

Nie było burz, wichrów i wstrząsów, jakie spowodowałem dwa lata temu. Nie, to było coś innego. Niebo i krajobraz wyglądały spokojnie jak zawsze. Strumień przy młynie, bez młyna i jego kanału, toczył sennie swe wody. Drzewa pod jednorodnym niebem nie szeleściły. Jednakże w oddali, nisko nad ziemią, unosiły się strzępy nieruchomej szarej mgły. Mało brakowało, by nogi znowu się pode mną załamały. Widziałem już kiedyś taką mgłę. Być może jednak się myliłem. Ruszyłem ostrożnie w stronę oparów.

W krainie żywych dolina była żyzna i piękna. Ludzie mieszkali w niej od dawna, co znaczyło, że umierali tu od długiego czasu. Krajobraz upstrzyło wielu Umarłych. Niektórzy, jak dżentelmen w kubraku i rajtuzach, siedzieli sami, wpatrując się spokojnie w ziemię, niebo, kwiat albo kamień. Odkąd jednak po raz pierwszy przeszedłem na drugą stronę w wieku sześciu lat, widziałem wielu Umarłych siedzących w kręgach. Mgła skupiała się wokół jednego z nich. Trzy kobiety i jeden mężczyzna zwracali się do siebie twarzami. Nie dotykali się, wpatrzeni w środek kręgu. Nie było tam nic poza perłowoszarą mgłą. Taka sama mgła spowijała wszystkie nieruchome sylwetki, była jednak rzadka i bez trudu dostrzegałem twarze oraz ubrania Umarłych. Wszyscy byli młodzi, a ich stroje świadczyły, że pochodzili z różnych epok. Krąg wyglądał podobnie jak wszystkie, które widziałem w ciągu z górą dziesięciu lat, ale mgła była czymś nowym.

Zbliżyłem się.

Przed dwoma laty przeszedłem na drugą stronę na Wrzosowisku Duszorośli i zauważyłem, że towarzyszy mi szara mgła: tłum mieszkańców Duszorośli, niewidzialnych, lecz w jakiś sposób obecnych. Czułem ich ciężar, otaczający mnie żar, aż wreszcie uciekłem z wrzaskiem. Wystarczyło kilka kroków, bym zdołał wydostać się z mgły, ale ona nie zniknęła. Duszoroślanie nie potrafili zmaterializować tu swych ciał, jak ja to robiłem. Nie byli w stanie się przemieszczać ani rozmawiać ze starszymi wiekiem Umarłymi. Nie byli hisafami. Mimo to w jakiś dziwny sposób przeszli razem ze mną, a ich nieuchwytna obecność miała postać mgły — gęstej, wilgotnej i ciemnoszarej.

Ta mgła nie była gęsta ani ciemna, a tylko rzadka i szarawa. Znajdowaliśmy się daleko od Wrzosowiska Duszorośli. Być może się myliłem i to był tylko zwyczajny opar. Ale w krainie Umarłych pogoda się

nie zmieniała. Nie zdarzało się to przed moją ingerencją ani po jej zakończeniu. Teraz nie ingerowałem. Przez z górą dwa lata nie przybywałem tu w ogóle, aż do chwili krótkiego epizodu na pastwisku w Two Forks. Czymkolwiek była ta mgła, nie ja ją sprowadziłem.

Skąd więc się wzięła?

Wyciągnąłem rękę i sięgnąłem w głąb oparu, wspierając dłoń na czole jednego z Umarłych, mężczyzny odzianego w prostą bluzę i nogawice noszone przez robotników rolnych. Rzecz jasna, nie zareagował. Nie czułem nic, nawet wilgoci naturalnej mgły. Podeszedłem bliżej, aż wreszcie nieżyjący mężczyzna i ja stykaliśmy się ze sobą i moją głowę również spowiła mgła.

Czy mój umysł odbierał jakieś słabe wrażenie? Nie byłem tego pewien. Lekkie ożywienie w mojej głowie mogło być po prostu wynikiem szybkiego bicia serca i wzmożonego wysiłku płuc. Serce i płuca Umarłego oczywiście nie funkcjonowały. Jego ciało nie było ani ciepłe, ani zimne. Po prostu istniał. Nie miałem pojęcia, czy w jego mózgu coś się dzieje. Jeżeli w krainie Umarłych zachodziły jakieś zmiany, ich również nie potrafiłem dostrzec.

Jednego byłem jednak pewien. Jeśli ta mgła nie była naturalna, jeśli stanowiła przejaw nieuchwytniej obecności Duszoroślan, musieli przejść na drugą stronę w towarzystwie kogoś, kto był hisafem, tak samo jak ja. Ja nie sprowadziłem tu tej mgły. Przyniosłem ze sobą krzesło, trochę sznura, narzędzie okrutnych tortur, i krew na głowie, ale nie mgłę. Kto więc to zrobił? Czy gdzieś tu był drugi hisaf?

Jedynym, o jakim słyszałem, był mój ojciec, który porzucił matkę i mnie tak wcześnie, że nie zdążyłem go zapamiętać. Jednakże zielonooki starzec z Wrzosowiska Duszorośli, przywódca z Hygryll, powiedział mi kiedyś: „Twój ojciec był hisafem. Inaczej ty nie mógłbyś nim być”.

Ostrożnie odsunąłem się od Umarłego mężczyzny, opuściłem mgłę i wstałem. Rozejrzałem się z uwagą wokół, przyglądając się wszystkiemu. Trawa, mały lasek, staw, trochę głazów, krzaków i zielska oraz Umarli. Na samej granicy wzroku dostrzegałem w nieruchomym powietrzu lekkie migotanie. Ruszyłem w tamtą stronę.

To był kolejny krąg Umarłych, tym razem składający się z dziesięciu osób, jeden z największych, jakie kiedykolwiek widziałem. Wszystkich otaczały pasma perłowszarej mgły. Również pośrodku kręgu unosiła się jej plama. Ponownie klęknąłem przed jedną z Umarłych, starą kobietą, i przysunąłem głowę do jej głowy. Tym razem również wydało mi się, że mój umysł wypełnia słabe mrowienie. W niczym jednak nie przypominało ono silnego poczucia obecności towarzyszącego mgłę na Wrzosowisku Duszorośli, nie mogłem więc być niczego pewien.

Często to właśnie stare kobiety najchętniej ze mną rozmawiają. Odsunąłem się od staruszki i zacząłem nią potrząsać, aż wreszcie się obudziła.

— Boże, zmiłuj się, co ty wyrabiasz, młodzieńcze? Zostaw mnie!

Odepchnęła mnie mocno i padłem na trawę. Może i nie żyła, ale była silna.

— Dobra pani...

— Jeśli już musisz do mnie mówić, mów mi po nazwisku!

— Przepraszam. A jak się nazywasz?

— Nie poznajesz mnie?

Westchnęła z teatralną przesadą i zatrzepotała zalotnie rzęsami. Wreszcie udało mi się zauważyć, jak jest ubrana. Jej suknia miała dekolt tak niski, że zawstydziłby damy dworu królowej. Obwisłe, pokryte brązowymi plamami piersi w każdej chwili mogły się wyrwać spod przepoconego atłasu, a krótka spódnica odsłaniała jedwabne pończochy, umocowane tuż poniżej

kolan podwiązkami ozdobionymi fałszywymi diamentami. Pomarszczoną twarz pokrywała gruba warstwa różowobiałego pudru. Obudziłem starą ladacznicę, która aż do śmierci pozostała równie lubieżna jak za młodu.

— Były czasy, gdy z pewnością wiedziałbyś, jak się nazywam, młodzieńcze. Jestem Sally Cleggers i byłem kiedyś kochanką... Ale nie wolno mi o tym mówić, prawda? Wasi wielcy ludzie zachowują swe sekretne życie w tajemnicy, jeśli tylko mogą. — Mrugnęła do mnie filuternie i rozejrzała się wkoło. — A więc umarłam, prawda?

— Tak, pani Cleggers. Czy mogłaby mi pani powiedzieć...

— No cóż, wszyscy musimy kiedyś umrzeć. Miałam długie, wesołe życie. Pamiętam, jak byłam małą dziewczynką...

— Tak — przerwałem jej pośpiesznie. Starsi wiekiem Umarli z radością gadają o swym dzieciństwie. W gruncie rzeczy, często tylko o tym chcą mówić. Ich dorosłe jaźnie, długie życie, rodziny, które zostawili po drugiej stronie — wszystko to nic już dla nich nie znaczy. Ale oni sami jako małe dzieci — to czasami ich porusza. Czasami. Być może dlatego, że małe dzieci w swej prostocie zbliżają się do tego, czym Umarli są teraz. Nie wiem. Żadne z prawdziwych dzieci, które tu widziałem, nigdy ze mną nie rozmawiało. Chyba mnie nawet nie zauważały. — Była pani uroczym dzieckiem, pani Cleggers.

— To prawda! — zawołała, wysuwając ku mnie brodę i mrużąc powieki. — Nie wątp w to, młodzieńcze.

— Ale teraz pani nie żyje.

— Na to wygląda. — Jej twarz przybrała wyraz zdziwienia. Widziałem, że kobieta znowu zapada w spokojny bezruch Umarłych. Znowu potrząsnąłem ją za ramię i zawołałem z desperacją w głosie: — Była pani najładniejszą dziewczynką w całej... — Wiosce? Dzielnicy? — W całej okolicy!

Ożywiła się.

— No cóż, nie mogę twierdzić, że tak było, młodzieńcze. Nell Goodman była ładniejsza. Pewnego razu wybrałyśmy się z Nell...

— Pani, czy jest tu gdzieś hisaf?

— Co?

— Hisaf!

— Mów po ludzku, młodzieńcze. Nie ma takiego słowa. Nie było żadnych „hisafów” w Barrington Heath, gdzie Nell Goodman i ja...

— Ale tutaj, teraz! Kiedy pani tak tu siedzi, na co właściwie pani czeka? Co pani czuje?

Jej zdziwienie przeszło w gniew.

— Ja nie żyję, młodzieńcze! Na nic nie czekam.

— A czy czuje pani, że ktoś tu z panią jest?

— Ty tu jesteś! W życiu nie widziałam bardziej natarczywego idioty.

— Ale czy w pani umyśle jest ktoś...

Opuściła mnie. Znowu zawładnął nią spokój. Jeśli raz jeszcze potrąsnę jej ramieniem, usłyszę tylko nudną historyjkę o Nell Goodman wywodzącą się z czasów o sześćdziesiąt lat poprzedzających śmierć kobiety. Niczego się nie dowiedziałem.

A może jednak? Gdyby pani Sally Cleggers wyczuwała w swym pogodnym transie obecność Duszoroślan, to czy by o tym nie wiedziała? Czy nie ocknęłaby się przerażona, podobnie jak ja wystraszyłem się dwa lata temu, gdy po przejściu na drugą stronę poczułem w umyśle dotyk gęstej, wilgotnej mgły? Może i nie. Nie miałem pojęcia, co czują Umarli. Byłem jednym z żywych.

Albo i nie. Nie wiedziałem, co żołnierze Młodego Wodza robią z moim bezbronnym ciałem w sypialni na piętrze przytulnej chaty. Niewykluczone,

że już zaliczałem się do Umarłych, ale nie dowiem się o tym, dopóki nie wrócę — jeśli zdołam wrócić.

Przeraziła mnie nowa myśl. Sprowadziłem Cecilię z powrotem z martwych. I tego marynarza, Gacka. A potem całą armię Niebieskich, którzy pokonali ludzi lorda Soleka, ponieważ Umarłych nie można było zranić ani zabić po raz drugi. Ale dwa tygodnie po powrocie wszyscy oni się rozpuścili, nie pozostawiając po sobie nawet pyłu. Zniknęli na wieki i nie można ich było znaleźć ani wśród żywych, ani wśród Umarłych. Czy to samo czekało teraz mnie?

Jeśli w krainie żywych poddawano mnie teraz śmiertelnym męczarniom, to czy kiedy wrócę, to nie będzie tak, jakbym sam siebie sprowadził z martwych? Czy przeżyję po drugiej stronie dwa tygodnie, zdrowy i niepodatny na ciosy, a potem rozpuszczę się w groteskowy sposób, tracąc szansę na wieczny byt?

Nie wiedziałem tego. W ogóle nic nie wiedziałem. Bałem się tu zostać i bałem się wrócić. Strach ścisnął mi pierś tak mocno, że oddychałem szybko i płytko. Serce tłuło mi boleśnie. Skryłem twarz w dłoniach i tutaj, w spokojnej krainie Umarłych, rozplakałem się jak sześciolatek, którym kiedyś byłem, sześciolatek pozbawiony matki przez śmierć, której nie pojmował.

9

Długo zwlekałem w krainie Umarłych, ale nie mogłem tam zostać na zawsze. Nie wiedziałem, ile czasu minęło w krainie żywych. Czas nie płynie w obu krainach tak samo. Niemniej jeśli ból okaże się zbyt silny, zawsze będę mógł tu wrócić. Oprawcy nie zdołają odebrać mi szansy ucieczki. Ona należała do mnie.

Choć się bałem, musiałem się dowiedzieć, czy już umarłem w owej sypialni w Reginokracji. Rzuciłem ostatnie spojrzenie na zagadkową szarą mgłę, otaczającą nieruchomymi pasmami krąg Umarłych. Potem ugryzłem się w język i przeszedłem z powrotem do krainy żywych.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba wiążąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Wróciłem do sypialni w chacie. Znowu byłem przywiązany do krzesła, a w moją głowę boleśnie wrzynał się zawężony sznur. W chwili powrotu poczułem nagły ból wokół oczu. Minęła chwila, nim przejaśniło mi się przed zalanymi krwią oczyma. Tak wiele krwi. Potem zauważyłem, że nie cała krew pochodziła ode mnie. Tylko jej drobna część.

Dwaj dzicy żołnierze, wojownik-śpiewak i jego adiutant, leżeli na podłodze. Adiutanta widziałem wyraźnie, ale większą część ciała byłego śpiewaka zasłaniało łóżko, za które upadł. Wyszywaną w polne kwiatki narzutę również splamiła krew. Adiutantowi rozszarpano gardło. Zwisały z niego strzępy krwawego mięsa. Ręce uniósł bezradnie nad głowę. Jedna z nich odchodziła od nieruchomego ciała pod groteskowym kątem. Obok siedział Cień i merdał ogonem.

Minęła chwila, nim zdołałem cokolwiek z siebie wykrztusić.

— Cień... — odezwałem się wreszcie ochryplym, wysokim głosem. —
Czy to ty?

Pewnie, że on. Wielkie psisko spoglądało na mnie radośnie, czekając na pochwałę. Jego zielone ślepia lśniły. Szarą sierść splamiła krew. W słabym blasku jedynej łojowej świecy stojącej na kredensie wydawała się ona niemal czarna, lepka i oleista jak smoła.

Dopadły mnie mdłości, ale jednocześnie poczułem ulgę i wdzięczność. Przede wszystkim jednak strach. Gdzie się podzieli dwaj pozostali żołnierze, ci, którzy mnie tu przyprowadzili? W każdej chwili mogli wbiec na górę ze strzelbami w rękach. Nie wierzyłem, by nawet Cień mógł się mierzyć z taką bronią. Dlaczego jeszcze się nie zjawili? Z pewnością usłyszeli hałasy. Pies nie mógłby zabić dwóch ludzi bezgłośnie.

Ktoś wchodził na piętro.

— Cień, bierz go! Zabij!

Pies jeszcze mocniej zamachał ogonem.

W drzwiach pojawiła się jakaś sylwetka. Widziałem tylko zarys przybysza, nim wszedł ostrożnie do pokoju.

To nie był dzikus, lecz młodzieniec mniej więcej w moim wieku. Liczył sobie co najmniej sześć i pół stopy wzrostu, a jego potężne ciało wydawało się jeszcze większe z uwagi na plecak, który dźwigał. Miał blond włosy,

a jego podbródek pokrywała krótka szczecina. Wełniana koszula i nogawice oraz masywne skórzane bucioro nadawały mu wygląd syna bogatego kmiecia. W potężnym łapsku ścisnął rzeźnicki nóż. Gapiliśmy się przez chwilę na siebie, aż wreszcie potężnie zbudowany chłopak pochylił się i przeciął zawężony sznur opleciony wokół mojej głowy. Głęboko odetchnąłem z ulgą. Potem nóż przeciął sznury przywiązujące mnie do krzesła.

— Kim jesteś? — zapytał wreszcie chłopak.

Jak odpowiedzieć na takie pytanie? Zdecydowałem się na najprostszą wersję:

— Peter Forest.

— Usłyszałem... prowadziłem owce z górnego pastwiska i... Twój pies nigdy przedtem nic takiego nie zrobił?

Wskazał na zabitych żołnierzy.

Cień podbiegł do niego i polizał mu dłoń, merdając krótkim ogonkiem.

— Pomóż mi wstać... proszę — odezwałem się.

Zawahał się, ale najwyraźniej zdecydował, że jestem niegroźny. Ktoś o jego budowie i sile, a w dodatku uzbrojony w nóż rzeźnicki, z pewnością nie musiał się mnie bać. Jedną ręką podciągnął mnie na nogi, ale nie mogłem się na nich utrzymać i zwałem się na łóżko. Izbę wypełniał fetor świeżej krwi.

— Jest jeszcze dwóch dzikusów... — zacząłem niespokojnym tonem.

— Leżą martwi w kuchni. Więcej ich żołnierzy pilnuje dróg prowadzących do wioski. Czy to z twojego powodu zdobyli Almsbury?

— Nie.

Ale czy na pewno? To wydawało się prawdopodobne. Nie chciałem jednak mówić o tym temu nieznanemu, spoglądającemu na mnie ze szczerą, nieustraszoną ciekawością. Tak jest, nieustraszoną. Młodzieniec

głaskał od niechcenia psa po splamionej krwią głowie, nawet w najmniejszym stopniu niezaniepokojony czterema zamordowanymi mężczyznami, zwierzęciem, które ich zabiło, ani żołnierzami Młodego Wodza, okupującymi jego wioskę.

— Jeśli nie z twojego powodu tu przyszli, to dlaczego cię torturowali?
— zapytał, spoglądając na moją głowę. Krwawiące rany zadane przez węzły nadal paliły mnie jak ogień.

— Nie wiem — skłamałem. — Ilu dzikusów jest w... w Almsbury?

— Nie mam pojęcia. Od kilku dni siedziałem na górnym pastwisku z owcami ojca. Zszedłem na dół o zmierzchu, żeby odwiedzić Betsy Turner. No wiesz, to miejscowa dziwka. Opowiedziała mi, cała przerażona, że są tu żołnierze Młodego Wodza i przeszukują chaty oraz stodoły. Szukali czegoś. Czy może raczej kogoś. — Przyjrzał mi się z namysłem. — Czy te rany cię bolą?

— Pewnie, że bolą.

— Rękę też ucieli ci żołnierze?

— Nie. Straciłem ją już dawno.

Skinął głową, przyglądając się mojemu kikutowi.

Raz jeszcze spróbowałem wstać. Tym razem nogi utrzymały mój ciężar, dopóki wspierałem się ręką o stelaż łóżka. Głowę wypełniał mi palący, pulsujący ból, ale mogłem go wytrzymać. Musiałem stąd natychmiast zwieźć. W każdej chwili mogły się pojawić kolejne dzikusy.

— Wysłuchaj mnie, chłopcze — zacząłem, starając się przemawiać możliwie autorytatywnym tonem. — Dam ci srebrnika, jeśli nikomu nie powiesz, że mnie tu widziałeś. Jeśli zostawisz mnie teraz i wrócisz do swoich owiec albo do... do dziwki czy do domu ojca, dzikusy nigdy się nie dowiedzą, że tu byłeś. Nie stanie ci się nic złego. I będziesz bogatszy o srebrnika.

Miałem nadzieję, że nieznajacemu życia chłopakowi srebrnik wyda się majątkiem, a nie tym, czym był dla mnie: zapłatą za tydzień pobytu w gospodzie w Applebridge.

— Lepiej zabierz mnie ze sobą — odpowiedział natychmiast.

Wlepiłem w niego zdumione spojrzenie.

— Ze sobą? Ale ty... ja...

— Tak! — Wypełniał go entuzjazm połączony z naiwnym brakiem strachu. Uświadomiłem sobie, że jest młodszy, niż mi się zdawało. Jego wzrost i budowa wprowadziły mnie w błąd. — Nie znasz okolicy. Ja ją znam. Osłabłeś po torturach. Masz tylko jedną rękę.

Być może miałem jakieś słabe strony, których nie wymienił, ale żadna nie przychodziła mi na myśl.

— Poza tym — dodał — jeśli dzikusy szukają jednego człowieka, widok dwóch wprowadzi ich w błąd. Moglibyśmy udawać, że jesteśmy kuzynami. Albo braćmi. Wymyślimy jakieś imiona, które będą do siebie pasowały.

— To nie jest zabawa!

— Wiem. Ale i tak chcę z tobą pójść. Z tobą i z psem.

Trącił palcami uszy Cienia. Zwierzę go polizało.

— Ojciec wyśle ludzi w pościg za tobą.

— Nie. Powinienem wrócić dopiero jutro. Przyszedłem dla Betsy.

— Ale jeśli twój ojciec...

— Zapomnij o nim — przerwał mi innym tonem, ostrym i pełnym goryczy. — Stary, śmierdzący skąpiec nie będzie mnie szukał. Nienawidzi mnie, a ja nienawidzę jego. Ucieszy się na myśl, że zniknąłem albo, jeszcze lepiej, umarłem.

Nie odpowiedziałem, przypominając sobie wujka Hartaha.

— Mogę ci się przydać. Znam okolicę równie dobrze jak tyłek Betsy Turner. Jestem też najlepszym tropicielem w trzech hrabstwach. Ale

musimy wyruszyć natychmiast. No wiesz, wszyscy w wiosce zamknęli się w chatach, przerażeni jak myszy, ale nie będą tam siedzieć bez końca.

Miał rację. Podjąłem szybką decyzję. W końcu zawsze będę mógł go zostawić, gdy już znajdziemy się na Ziemi Niczyjej, wykraść się niepostrzeżenie, kiedy będzie spał, tak samo, jak wykradłem się od Maggie.

— Zgoda. Cieszę się, że chcesz mi pomóc.

— No to ruszajmy! — zawołał z przesadną radością.

Zeszliśmy na dół. Musiałem się wspierać o ścianę przy każdym kroku na wąskich schodach. Kuchenne drzwi pozostawiono otwarte. Na dworze była ciepła letnia noc. Cień bez trudu dostał się do środka. Dwóch pozostałych dzikusów leżało na podłodze. Jeden z nich nadal wspierał stopy na drewnianej ławie ustawionej przy stole. Na posadzce krew mieszała się z ale. W kącie stały cztery długie strzelby. Cień nie dał im czasu, by z nich wystrzelić. Chłopak złapał jedną z nich.

— Nie możesz jej zabrać — sprzeciwiłem się. — Robi za wiele hałasu. Czy chociaż umiesz z niej strzelać?

— Mogę się nauczyć — odparł, pochylając się nad zabitymi żołnierzami.

— Chodź, nie mamy czasu!

— Chwileczkę.

Przeszukał pośpiesznie kieszenie obu mężczyzn, przełożył kilka przedmiotów, których nie zauważyłem, do własnych, a potem wziął ze stołu niedopity kufel ale, osuszył go i uśmiechnął się do mnie jak chłopiec, który wygrał jakąś nagrodę na letnim jarmarku. Rzeczywiście był młodszy, niż sugerował to jego wygląd, a do tego nadzwyczaj przystojny. Nie okazywał nawet najmniejszego strachu na myśl, że po wyjściu z chaty znajdzie się w okupowanej wiosce w towarzystwie nieznanego człowieka i psa zabójcy, mając tylko broń, którą nie potrafił się posługiwać.

Był idiotą.

Ale go potrzebowałem.

10

Nazywał się Tom Jenkins i miał szesnaście lat. Z dużą pewnością siebie wyprowadził mnie przez kuchenne drzwi w rozświetloną blaskiem księżycą noc. Okrążyliśmy studnię i weszliśmy w gęsty żywopłot biegnący wzdłuż wąskiej alejki. Pośrodku żywopłotu znajdował się długi i wąski placyk ogołoconej ziemi, całkowicie niewidoczny z obu stron.

— Zrobiłem go dla siebie i dla Joan Westfield — wyszeptał Tom. — Ma największe cycki w Almsbury! Zostań tu. Ja rozejrzę się po okolicy.

Świetnie się bawił.

Skuliłem się na maleńkiej przestrzeni. Drapały mnie gałązki, nozdrza nadal wypełniał mi smród krwi, a moja własna krew krzepła na bolących skroniach. Tom wrócił po kilku minutach.

— Tędy, Peter.

Poprowadził mnie alejką w głębokim cieniu żywopłotu. Gdy z niego wyszliśmy, Tom popędził przodem, biegnąc przez pola osrebrzone blaskiem księżycą. Pochylaliśmy się nisko podczas biegu. Raz potknąłem się i runąłem na ziemię. Coś małego i szybkiego umknęło przede mną przez wysoką trawę.

Minęliśmy stodołę.

— Nie — wyszeptał Tom. — To pierwsze miejsce, w którym będą cię szukać.

Biegliśmy dalej, aż wreszcie poczułem, że nie mam już sił. Nogi po prostu nie chciały mnie dalej nieść. Osunąłem się na ziemię przy rowie.

— Peter, musimy iść dalej!

— Nie mogę...

Poczułem, że przykucnął obok. Potem zarzucił mnie na potężne ramiona, ułożył na szczycie plecaka, który już dźwigał, i ruszył w dalszą drogę.

— Połóż mnie! Nie możesz... Nie możesz...

Niósł mnie jeszcze jakieś sto jardów. Był niewiarygodnie silny, ale nie mógł wytrzymać tego długo. To był teatralny pokaz jego nadzwyczajnych możliwości. Gdy zsunąłem się z jego ramion, dyszał ciężko. Pod wpływem wstydu ruszyłem chwiejnie naprzód. Być może o to właśnie chodziło Tomowi.

Księżyc w pełni lśnił jasnym, okrutnym blaskiem. W pewnej chwili usłyszałem w oddali jakieś krzyki. Żołnierze? Czyżby odkryto ofiary rzezi w wiosce?

Po raz pierwszy zadałem sobie pytanie, dlaczego nie ma z nami Cienia. A może szedł gdzieś z tyłu? Czyżby on też był ranny, a ja w swym bólu tego nie zauważyłem?

— Cień...

— Nie próbuj mówić — ostrzegł mnie Tom. — Jesteśmy już prawie na miejscu.

„Miejsce” okazało się jaskinią w stoku wzgórza. Wejście do niej zasłaniały krzaki. Wewnątrz było tak ciemno, że nie mogłem nawet określić jej rozmiarów. Nie miałem płaszcza, na którym mogłbym się położyć, ale Tom wyciągnął płaszczy z plecaka.

— Śpij — rzekł cicho i czule jak kobieta.

Zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, mój lewy bok był znacznie cieplejszy od prawego. Cień leżał obok mnie. Tom Jenkins zniknął.

Przez krzaki u wejścia przedostawał się do środka słaby blask słońca. Usiadłem i zobaczyłem, że jaskinia ma mniej więcej rozmiary wiejskiej kuchni. Niskie sklepienie tworzyła nierówna skała. Nie można było tu stanąć prosto. Z tyłu woda spływała powoli po skale. Wnętrze wypełniał zapach wilgoci. Wciągnięto tu głązy i kłody służące jako stół oraz krzesła, jak często robią bawiące się dzieci. Plecak Toma Jenkinsa był otwarty. Jego zawartość wysypała się na ziemię. Młodzieniec mówił, że spędził kilka dni na pastwisku z ojcowskimi owcami. W plecaku były krzemień i stal do rozpalania ognia, cienki koc, mały garnek, cynowy kufel i łyżka oraz sól zawinięta w kawałek papieru. Nie widziałem rzeźnickiego noża. Strzelba zabrana z chaty stała oparta o ścianę jaskini, ale nie umiałem z niej strzelać, a do tego nie miałem kul.

Cień się poruszył.

— Hej, piesku, hej...

Ledwie zdołałem wykrztusić z siebie te słowa. Gardło mi obrzękło, w ustach poczułem suchość, a głowę rozsadził mi pulsujący ból. Wszystkie mięśnie miałem obolałe. Co gorsza, nie wiedziałem, co robić dalej. Gdzie byłem? Czy Tom Jenkins wróci, a jeśli tak, czy przyprowadzi ze sobą dzikich żołnierzy? Jeśli Młody Wódz wyznaczył nagrodę za schwytanie zabójcy czterech jego ludzi...

Ta myśl była jak gorący miecz wbity między żebra. Natychmiast wyczołgałem się z jaskini. Zamrugalem, oślepiiony blaskiem słońca, starając się jak najszybciej oddalić. Tom Jenkins podszedł do mnie, machając wypełnionym wodą bukłakiem. Był sam.

— Dzień dobry, Peter! Jak się dziś czujesz?

Jak się czułem? Nie przychodziła mi do głowy żadna prosta odpowiedź, ale Tom i tak na nią nie czekał.

— Mam wodę i jedzenie. Chodź, wracaj do jaskini. Nie możesz jej opuszczać przed zapadnięciem nocy. W Almsbury aż roi się od dzikusów. Chrzanić moją dupę, wyglądają naprawdę groźnie! Masz, lepiej coś zjedz.

Cieszył się, jakby wrócił z porannej przechadzki po ogrodzie. Nie wiedząc, co zrobić, wróciłem do jaskini. Jeśli Tom zawiadomił żołnierzy, bez trudu zdoła mnie tu zatrzymać, zanim przybędą. Miałem tylko mały nożyk do golenia, tak samo groźny jak kobieca igła do szycia. Dzikusy nie zadały sobie trudu, by mi go zabrać. Usiadłem z Tomem w wilgotnym półmroku jaskini, napiłem się świeżej wody z bukłaka i zjadłem dobry chleb z serem, słuchając gadającego przy śniadaniu młodzieńca.

— Chleb dostałem od Agnes Coldwater. Już od przeszło miesiąca chciała, żebym się z nią przespał, ale jest za brzydka. Szkoda, bo piecze najlepszy chleb, paszteciki i ciastka w Almsbury. Dobry, prawda? No wiesz, będę dziś musiał zostać z tobą w jaskini. Ojciec wkrótce zauważy, że mnie nie ma. Stary, wredny ramol! Kiedy byłem mały, bawiliśmy się tu z Johnem Crenshaw. John trzy lata temu umarł na zarazę. Bawiliśmy się w rozbójników i... Chodź, piesku, chcesz trochę chleba, tak? To daj łapę!

Cień nie miał w zwyczaju dawać łapy. Wlepił spojrzenie w ser i znieruchomiał całkowicie, jakby chciał zaczarować kasek albo Toma, czy może i jedno, i drugie.

— Nie umie dawać łapy? No cóż, możemy temu zaradzić. Hej, piesku, siad!

Cień już siedział. Tom zaczął go uczyć dawania łapy, nie przestając przy tym mówić. Miał niewyczerpaną energię. Poczuję się znużony. Osłabiły mnie ból i strach. Od dobrego jedzenia brzuch zrobił mi się wielki jak

bęben. Dopiero przed chwilą się obudziłem, ale znów ogarnęła mnie senność. Mimo woli zasnąłem.

Nadszedł koszmar.

To nie był sen o ukoronowanej postaci wędrującej po krainie Umarłych. Ten był gorszy. Przyśnił mi się przed dwoma laty i miałem nadzieję, że nigdy już nie wróci. Śniła mi się matka:

Miała na sobie lawendową suknię i siedziała z dzieckiem na kolanach. Byłem jednocześnie obserwatorem i tym dzieckiem, bezpiecznym w ciepłych matczynych ramionach. Śpiewała mi coś cicho. Z początku myślałem, że to melodia bez słów. Potem stały się one wyraźniejsze i krew w żyłach Rogera Obserwatora zmroziła groza. „Umrzyj, dziecko, umrzyj, umrzyj, moje maleństwo, umrzyj, umrzyj...”. Roger dziecko słuchał jednak potwornej piosenki, tuląc się do matki. Na jego małej buzi pojawił się uśmiech. Podobała mu się melodia. „Umrzyj, dziecko, umrzyj, umrzyj, moje maleństwo, umrzyj, umrzyj...”.

Obudziłem się z głośnym krzykiem. Cień przedarł się przez chaszczę i wpadł do jaskini, szukając tego, co mnie zaatakowało. Po chwili Tom również wsadził głowę do środka.

— Peter, co to było? Niedźwiedź?

— Nie, to... to...

— Nie było niedźwiedzia?

Wczołgał się z powrotem do jaskini. W rękach trzymał strzelbę dzikusa. Jej widok przegnał ostatnie resztki strasznego koszmaru.

— Tom, tutaj nie możesz z niej strzelać. Huk jest bardzo głośny. Żołnierze usłyszeliby go z odległości wielu mil.

— Wiem o tym — odparł radośnie. — Chciałem tylko poćwiczyć jej trzymanie. Na Ziemi Niczyjej mogą być niedźwiedzie. Tam będę mógł je

zastrzelić. Zabrałem metalowe kulki temu dzikusowi w chacie... No wiesz, tym właśnie się strzela z tej broni, metalowymi kulkami i...

— Nie! Nie możesz używać strzelby! Nawet na Ziemi Niczyjej.

— Pewnie, że mogę. To łatwizna. Popatrz, otwierasz tę małą komorę i...

— Tom, nie możesz.

Uśmiechnął się do mnie.

— Czy zawsze tak się wszystkim martwisz, Peterze Forest? Niech to szlag, jesteś nerwowy jak dziewczyna. Ale brzydki. Chodź, masz jeszcze trochę sera Agnes.

Nie chciałem już więcej sera Agnes. Tom wymierzył we mnie strzelbę, jakby celował z dobrze naciągniętego łuku.

— Kwong! — zawołał ze śmiechem.

Skryłem twarz w dłoniach.

Nie pojawiły się żadne niedźwiedzie. Cień nauczył się dawać łapę. Tom wiercił się niecierpliwie w jaskini, czekając na nadejście zmierzchu. Od czasu do czasu wyglądał na zewnątrz. Wreszcie zasnął na chwilę, a potem znowu się wiercił. Kiedy nie spał, gadał. Kiedy spał, gryzłem się. Tomem — czy można mu było zaufać? Dzikusami — czy mnie złapią? A także Maggie, którą porzuciłem. Ona jednak potrafiła zadbać o siebie. I o Jee również. Oddała mi jednak wszystko, co miała, a ja zostawiłem ją bez niczego. Poczucie winy gryzło mnie niczym szczur.

Dlatego niemalże mi ulżyło, gdy wreszcie nadeszła noc i Tom wyprowadził mnie z jaskini. Niestety, pogoda się zmieniła. Siąpiła zimna mżawka, a ciemność była tak nieprzenikniona, że nie widziałem Toma, ani nawet własnych stóp. Chłopak jednak sprawiał wrażenie, że wie, dokąd idzie. Wziął mnie za rękę i powiódł przed siebie, potykając się co chwila.

— Tom, nie możemy teraz wędrować. Jest za ciemno.

— Chwileczkę. — Zaprowadził mnie za wzgórze. — Zaczekaj tutaj.

Drżałem z zimna na deszczu. Mój towarzysz zniknął w ciemności. Po paru chwilach ujrzałem kołyszące się światło. To była mała lampa z pojedynczym grubym knotem w szklanym pojemniku. Po obu stronach w szkłe zrobiono dziury, zapewniające dopływ powietrza.

— Niespodzianka! — zawołał triumfalnym tonem młodzieniec. — Dziś rano dostałem tę lampę od Agnes, razem z chlebem i serem. Schowałem ją, żeby ci zrobić niespodziankę. Cieszysz się?

— Jeśli żołnierze zobaczą światło... — zacząłem z niepokojem w głosie.

— Och, nie chrzań! W takim deszczu niczego nie zobaczą. Zresztą założę się, że wszyscy siedzą w chatach i pieprzą się z naszymi dziewczynami. Stawiam sześć do jednego. Peter, naprawdę potrafisz popsuć niespodziankę.

— Przepraszam, Tom. Jestem ci wdzięczny, ale myślę...

— Za dużo myślisz — stwierdził po prostu.

— Ja tylko...

— Śmiem twierdzić, że nie wpadłbyś na to, by poprosić Agnes o lampę. Doszedłem do wniosku, że lepiej będzie go udobruchać.

— Nie wpadłbym.

— Czego właściwie chcą od ciebie dzikusy?

Zapytał mnie o to po raz pierwszy. Przygotowałem odpowiedź mającą wprowadzić go w błąd, a jednocześnie zgadzającą się z tym, co mógł słyszeć w Almsbury.

— Myślą, że jestem kuzynem człowieka, który kierował atakiem w Wellford i zabił trzech ich żołnierzy. Chcą go znaleźć dzięki mnie.

Gapił się na mnie, otwierając szeroko oczy. Nie zważał na deszcz spływający mu po włosach i twarzy.

— Ktoś zaatakował dzikusów?

— Tak. W Wellford.

— Gdzie to jest?

— Nie wiem.

Wymyśliłem tę nazwę.

— Napastnicy zabili dzikusów i udało im się uciec?

— Tak słyszałem.

— A niech to, szkoda, że mnie tam nie było!

Najwyraźniej zapomniał o podstawowej kwestii.

— Ktoś opisał dzikusom dowódcę napastników — dodałem — i powiedział im, że ten człowiek ma młodego, jednorękiego kuzyna. Myśleli, że to ja.

— Ale ty nic im nie powiedziałeś o swoim kuzynie, prawda?

— To nie jest mój kuzyn — wyjaśniłem cierpliwie. — Nic go ze mną nie łączy.

— Aha.

W jego głosie zabrzmiało rozczarowanie.

— W jaki sposób straciłeś dłoń? — zapytał nagle.

Na to pytanie również byłem przygotowany. Udzieliłem mu najmniej interesującej odpowiedzi, jaka mi przyszła do głowy.

— Omsknęła mi się ręka przy rąbaniu drewna siekierą.

— Aha — powtórzył, po raz drugi wyraźnie rozczarowany. — Myślałem, że przeżyłeś jakieś przygody z kuzynem. No to ruszajmy!

Szedłem w deszczu za potężnie zbudowanym młodzieńcem, ze wszystkich sił starając się nadążyć za kołyszącym się światełkiem małej lampy. Cień podążał za mną. Rozpoczęliśmy długą powolną wspinaczkę na Ziemię Niczyją, którą przed zaledwie kilkoma dniami opuściłem jako jeniec.

11

Szliśmy nocą, a spaliśmy w dzień. Tom zrobił dla nas grube laski z konarów drzew, pomagające nam na stromych odcinkach. Pogoda nadal była paskudna, choć na szczęście zrobiło się cieplej. Dręczyła mnie myśl, że nigdy już nie będę suchy. Tom miał niesamowity talent do znajdowania bezpiecznych kryjówek oraz szlaków w głuszy, przez którą nigdy dotąd nie wędrował. Co rano rozpalał małe ognisko osłonięte przed deszczem i piekł nad nim upolowanego przez Cienia królika albo trochę sera — dopóki go mieliśmy — a potem osłaniał węgielki, by wieczorem zapalić od nich swą cenną lampę. Pielęgnował je jak matka noworodka, spoglądając na mnie co chwila, by mieć pewność, że to zauważam.

— To zdumiewające, jak sobie z tym radzisz — oznajmiłem i w moim pochlebstwie była nuta szczerości. Nie dodałem, że równie dobrze mógłby zapalać lampę na nowo za pomocą krzemienia i stali.

— Myślę, że radzę sobie z tym całkiem nieźle — odparł.

— To prawda.

— Trzy do jednego, że nawet twój kuzyn nie potrafiłby zrobić tego lepiej!

— Jestem tego pewien.

Nie mogłem mu wybić z głowy myśli o moim dzielnym kuzynie. Ta wizja przypadła mu do gustu i w związku z tym uznał ją za prawdę.

— To jak ma na imię ten twój kuzyn?

— George.

— Tak jest, nawet George nie potrafiłby zrobić tego lepiej.

Tom uśmiechnął się do swych węgielków, osłoniętych wielkim płaskim kamieniem zawieszonym na mocnych gałązkach. Po chwili zasnąłem na deszczu. Spałem długo, pomimo wilgoci. Obudziłem się o zmierzchu, zjadłem zimny posiłek i powlokłem się za Tomem. Dopóki jednak miałem Cienia, który polował na drobną zwierzynę i spał u mojego boku, bałem się mniej, niż można by się tego spodziewać. Kiepska pogoda maskowała też nasze ślady i czyniła pościg mniej prawdopodobnym. Tak przynajmniej sądziłem.

Posunęliśmy się już daleko w głąb Ziemi Niczyjej. Okolica stawała się coraz dziksza, mniej żyzna i bardziej skalista. Pola pełne zboża ustąpiły miejsca łąkom, na których pasło się bydło, potem owce, a wreszcie kozy. Nie było tu wiosek, a tylko pojedyncze gospodarstwa, małe i ubogie. Tom kupował w nich prowiant za moje ostatnie pieniądze.

— Mam nadzieję, że nie zdradziłeś nikomu z tych ludzi, jak się nazywasz — powiedziałem, gdy rozbiliśmy obóz przy skalnym osypisku, ledwie osłaniającym nas przed wiatrem.

— Nie, nie — zapewnił z uśmiechem Tom. — Mówię im, że mam na imię George. Jak twój kuzyn. Peter, ile dziewczyn już miałeś?

— Dziewczyn?

Owinąłem się szczelnie w płaszcz Toma, zostawiając dla niego cieńszy koc. Tomowi nigdy nie było zimno.

Wreszcie przestało padać, ale nadal byłem mokry. Deszcz najwyraźniej wniknął mi aż do kości. Cień przytulił się do mnie, jakby wiedział, jak bardzo potrzebuję ciepła. Wielkie ognisko, na jakie teraz sobie pozwalaliśmy, tańczyło na wietrze, sypiąc skrami. Nie miałem pojęcia, jak

Tom zdołał co rano znajdować suche drewno. Jakoś jednak to robił. Wiedział prawie wszystko o życiu w lesie.

— Tak, dziewczyn. Ile?

Była tylko Maggie. Z Cecilią nigdy nie spałem. Tylko ją obejmowałem, podziwiałem i zgubiłem.

— To osobista sprawa, Tom.

— Och, nie chrzań! Niby dlaczego? Ja miałem trzynaście.

Czy mówił prawdę? Przyjrzałem mu się w świetle wczesnego poranka. Byłem zmęczony po całonocnej wędrówce i chciało mi się spać. Czy w wioskach otaczających Almsbury można było znaleźć trzynaście młodych i chętnych dziewcząt? To nie miało znaczenia. Musiałem po prostu zachować jego sympatię, by przetrwać.

Zupełnie jak na dworze królowej.

— Trzynaście? — zapytałem sennym głosem. — Naprawdę?

— Tak. Mówiłem ci już o Betsy Turner i Joan Westfield. Moją pierwszą była Annie Palmer. Miałem dopiero dwanaście lat, ale byłem już wyrośnięty, prawie tak samo duży, jak teraz. Ona miała piętnaście. Pewnego dnia przyłapała mnie na kradzieży jabłek w sadzie jej ojca i powiedziała... A potem, w stodole... Ale ja...

Jego głos cichł co chwila. Wzeszło słońce. Ciepłe promienie przyjemniej grzały mój mokry płaszcz. Zrobiłem się jeszcze bardziej senny.

— Naprawdę — wyszeptałem.

— Nell Potter... w dojarni... Annie dowiedziała się, że... Susannah Tenler... Peter, nie słuchasz!

Jego ton, niecierpliwy i pełen wyrzutu, obudził mnie natychmiast. Na dworze królowej człowiek uczy się natychmiast rozpoznawać wszystkie groźby. Potrzebowałem Toma Jenkinsa.

— Słuchałem! Susannah i... i dojarnia.

— Nie, w dojarni była Nell. Susannah spotkałem w lesie. Mogła mnie wydoić, jakbym był karmiącą owieczką, do licha.

Wiedziałem, co powinienem powiedzieć, czego ode mnie oczekuje.

— Tyle dziewczyn! Zazdrozczę ci.

Jego przystojna twarz rozpromieniła się od satysfakcji.

— Założę się, że nawet George nie miał w moim wieku tylu dziewczyn, co?

— Nawet połowy.

— I ty też nie?

— Tylko trzy — odparłem. Wydawało mi się, że to dobra liczba. Wystarczająco wysoka, by zapewnić mi szacunek, ale nie na tyle wysoka, by uznał mnie za rywala.

Tom zaliczał się do ludzi, których zwycięstwo czyni szczodrymi.

— Założę się, że z czasem będziesz miał więcej. Stawiam dwa do jednego. Mimo że masz tylko jedną rękę.

— Być może.

— Prześpij się, Peter. Wyglądasz na zmęczonego. Nie jesteś bardzo silny, prawda?

— Nie tak silny jak ty.

Nawet góra, na której się zatrzymaliśmy, nie mogłaby być tak silna jak Tom Jenkins.

Pochylił się nade mną i otulił mnie szczelniej swym płaszczem.

— Nie chcesz czegoś zjeść przed snem? — zapytał. — Zostało jeszcze trochę królika.

— Zjedz go.

— Nie. Zostawię go dla ciebie. Zjesz, jak się obudzisz. Teraz śpij.

Odwrócił się, jakby widok jego witalności mógł zakłócić mój odpoczynek.

Nie sposób było go nie polubić. Był zuchwały, próżny i miał bardzo luźny kontakt z rzeczywistością, ale w jego bezmyślnym mózgu nie znalazłoby się nawet cienia złości. Tuż przed zapadnięciem w sen uświadomiłem sobie, że chodzi o to, że czuję się od niego lepszy. Podobnie było z Cecilią. Z Maggie nie zdarzało mi się to prawie nigdy.

Maggie. Co działo się teraz z nią i Jee? Chciałem zostawić im Cienia dla ochrony, ale trzymał się mnie tak samo mocno, jak pchły trzymały się jego. Drapał się teraz tylną łapą po szyi i przy tym uspokajającym dźwięku wreszcie zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, Cienia nie było.

W pierwszej chwili nie przejąłem się jego zniknięciem. Poszedł polować, oznaczyć teren albo gonił wiewiórkę. Toczył nieustanną wojnę z tymi zwierzętami. Usiadłem, przeciągnąłem się i wstałem. Płaszcz wysechł po całodziennym wystawieniu na promienie słońca. Kiedy go zdjąłem, przekonałem się, że nawet bluza już schnie. Uniosłem wdzięczne spojrzenie ku słońcu.

Tom, jak to miał w zwyczaju, obudził się w jednej chwili i natychmiast sprawdził swe węgielki.

— Jeszcze trochę się tłą. A niech to, ale jestem dobry. Gdzie Cień?

— Gdzieś polazł.

Przeciągnąłem się raz jeszcze, ciesząc się ciepłem słońca oraz słodką wonią pogodnego popołudnia.

— Polazł? Dlaczego zdjąłeś mu obrozę?

Tom miał bystrzejsze oczy ode mnie. Przeszedł na moją stronę ogniska. Szara skórzana obroza leżała na ziemi. Podniósł ją i przebiegł palcami po wytrawionych w skórze esach-floresach.

— Nie zdejmowałem jej — odparłem. — Musiał sam ją sobie ściągnąć.

— Aha. No cóż, właściwie jej nie potrzebuje. Ciekawe, co znaczą te litery.

— To nie są prawdziwe litery.

— Umiesz czytać? — zapytał, spoglądając na mnie ze zdumieniem.

To go wyraźnie skonsternowało. Skrzywił się. Miałem coś, czego on nie posiadał. Nie trzeba się było do tego przyznawać.

— Ale nie za dobrze — skłamałem. — Tylko trochę.

— A czy George też umie?

— Nie. Ani w ząb.

— Aha. Mam dla ciebie złe wieści, Peter.

Poczułem nagły ucisk w brzuchu. Twarz Toma miała niezwykle poważny wyraz. A więc to nie moja umiejętność czytania go zaniepokoiła.

— Ostatniej nocy, kiedy zasnąłeś, wdrapałem się na szczyt urwiska, które wczoraj mijaliśmy — ciągnął. — Tego, które opada do wąwozu, gdzie płynie potok. Pamiętasz?

Pewnie, że pamiętałem. Przez wiele godzin wyszukiwaliśmy po ciemku drogę wzdłuż brzegu tego urwiska. Cały czas się bałem, że potknę się i spadnę w przepaść. Musieliśmy przeciąć ten wąwóz, by zmierzać w stronę Gwiazdy Południa. Wreszcie znaleźliśmy prosty most sznurowy zbudowany przez miejscowych i o świcie przeszliśmy na drugą stronę. Nie mógłbym zapomnieć o tym wąwozie ani o starych linach, kołyszących się pod moimi stopami. Gdyby się zerwały, z pewnością nie przeżylibyśmy upadku. Tom jednak najwyraźniej uważał, że radzę sobie na pustkowiach tak beznadziejnie, że nie tylko nie zdołałbym przemierzyć ich sam, lecz nawet nie jestem w stanie ich zapamiętać.

— Pamiętam urwisko — odparłem z urazą w głosie.

— Po drugiej stronie, na tej wielkiej wyżynnej łące, przez którą przechodziliśmy, pamiętasz? Zauważyłem tam światła. Trzy albo cztery

ogniska.

Wzdłuż kręgosłupa przebiegł mi zimny dreszcz.

— Może to wyprawa łowiecka.

Przed dwoma laty Jee napomknął, że jego ojciec, mieszkający w chacie tuż przy granicy Wrzosowiska Duszorośli, wyruszył kiedyś na „długie polowanie” w towarzystwie kilku innych mężczyzn.

— Może i tak — przyznał Tom. — A może to żołnierze dzikusów.

Uśmiechnął się i zrozumiałem swój błąd. To, co wziąłem za powagę, a potem za niepokój, było w rzeczywistości jego wersją skrywanego podniecenia. Cieszył się, że ścigają nas dzikusy. Życie zrobiło się za spokojne dla Toma Jenkinsa.

— Przeciąłem most sznurowy — dodał, nim zdążyłem się odezwać. — Nie będą mogli przejść przez wąwóz w tym miejscu co my. Czy to nie było sprytne?

— Było — potwierdziłem z całym entuzjazmem, jaki mogłem wydobyć ze swego odrętwiałego mózgu. Ścigali nas ludzie Młodego Wodza... Znowu poczułem sznur zaciskający się na mojej czaszce, okrutne węzły wbijające się w skronie, oczy wyłazące mi z czaszki w strasliwym bólu.

— Śmiem twierdzić, że George nie wpadłby na to, żeby przeciąć most — stwierdził z satysfakcją Tom. — Co ty na to, Peter? Wpadłby czy nie? A do tego mamy też teraz spory zapasik liny.

— Bardzo sprytne — zgodziłem się. Moje usta miały trudności z kształtowaniem słów. — Musimy już ruszać.

— W porządku. Dokąd idziemy, Peter? — zapytał po chwili po raz pierwszy. — Czy George tam będzie?

12

Nie powiedziałem Tomowi, dokąd idziemy, a on zapomniał o tym pytaniu, podekscytowany widokiem jelenia, który wypadł z chaszcy niespełna dziesięć stóp od nas, ścigany przez wilka. Młodzieniec krzyknął jak szalony i pognął za nimi. Po chwili wrócił, zdyszany i czerwony na twarzy.

— Peter! Widziałeś to? Widziałeś?

— Widziałem. Co zamierzałeś zrobić, gdybyś je dogonił?

— Och, nie mógłbym ich dogonić — przyznał radośnie Tom. — Ale zabawnie było spróbować.

Nie był idiotą, tylko dzieckiem.

— No wiesz, mógłbym je tropić znacznie dłużej. Śmiem twierdzić, że jestem najlepszym tropicielem w Reginokracji. Ojciec, to stare skąpiradło, nie chce w to uwierzyć. Nie pozwala mi tropić, a polować też rzadko. Cały czas tylko pasę te śmierdzące owce. — W jego głosie zabrzmiała nuta goryczy. — Mówi na mnie „Tom Przygłup” albo „Tom Półgłówek”. Tylko dlatego, że pewnego razu John Crenshaw i ja... Nienawidzę owiec. Mam nadzieję, że całe jego stado dostanie czarnej zgnilizny, a on udławi się na śmierć. Peter, ty nie masz ojca, prawda?

— Nie mam.

— Masz szczęście. Twoja matka nie żyje?

— Tak.

— Moja żyje, ale nigdy się za mną nie ujmuje. No wiesz, kobietom nie można ufać. Miło jest z nimi spać, ale albo cię zdradzają, albo chcą cię mieć na własność. A do tego płaczą. Często nie robią nawet tego szczerze. Nie ma nic mniej godnego zaufania niż łzy dziewczyny. Zawsze mówię, że to broń kobiety. — Tom umilkł na całe dwie minuty, pograżając się w głębokim zamyśleniu. — A która z tych trzech dziewczyn była najlepsza? — zapytał wreszcie z uśmiechem.

Przez całą noc posuwaliśmy się naprzód szybkim marszem — a przynajmniej na tyle szybkim, na ile było to dla mnie możliwe. Szliśmy na południowy wschód. Przed dwoma laty podróż przez Ziemię Niczyją zajęła mi tylko dwa tygodnie, ale wtedy zacząłem wędrówkę w Glorii, stolicy Reginokracji. Teraz wyruszyliśmy z miejsca położonego znacznie dalej na północny zachód i wędrowaliśmy z Tomem już od trzech tygodni. Księżyc przybywało, był już w połowie drogi do pełni. To ułatwiało nocną wędrówkę, choć zapewne ścigający mnie dzicy żołnierze również mieli łatwiejsze zadanie.

Ale czy rzeczywiście mnie ścigali? Nie widzieliśmy ich już więcej. Czasami, gdy szedłem za Tomem stromymi ścieżkami albo balansowałem na omszałych kamieniach, przechodząc przez strumyk, powtarzałem sobie, że Młody Wódz ma na głowie ważniejsze sprawy niż uganianie się za mną. Musiał pojmać swą małoletnią narzeczoną. Pokonać armię lorda Roberta Hopewella. Podbić i okupować Reginokrację. Nie mógł poświęcać żołnierzy na pościg za mną.

W innych chwilach widziałem śpiewaka, który stał się żołnierzem. Leżał na podłodze chaty w Almsbury razem z trzema swoimi ludźmi. Ich gardła rozdarł Cień. Widziałem lorda Soleka, gdy padał na zielone płytki dziedzińca pod zaryglowanymi drzwiami komnat królowej, przeklinając

mnie w chwili śmierci. Widziałem niezliczonych dzikich żołnierzy zabitych przez niewrażliwych na ciosy Niebieskich, których sprowadził z krainy Umarłych „młodociany czarownik”, jak mnie zwano. Wtedy dochodziłem do wniosku, że Młody Wódz będzie mnie ścigał aż po koniec świata.

Żywiłem jednak rozpaczliwą nadzieję — choć nie mogłem być tego pewien — że nie spróbuje mnie ścigać na Wrzosowisku Duszorośli. Żołnierze są najbardziej przesądnymi ludźmi na świecie. Z pewnością dzikusy usłyszały już od mieszkańców Reginokracji, co ponoć się dzieje w owej krainie. Nawet niecywilizowani mieszkańcy Ziemi Niczyjej nie przekraczali tej granicy. Ja również nie zamierzałem tego robić, ponieważ wiedziałem, co w niej się dzieje naprawdę. Liczyłem na to, że dzikusy dadzą za wygraną, jeśli zdołam ich przekonać, że chcę szukać schronienia na Wrzosowisku Duszorośli.

Ale nie mogłem być tego pewien.

Niemniej ani tego dnia, ani następnego nie zauważyliśmy już żadnych żołnierzy. Nocą nie widzieliśmy też ognisk. Cień nie wrócił. Brakowało mi go, jego ciepłego ciała grzejącego mnie podczas snu. Bez psa często nie mieliśmy też mięsa. Tom rzeczywiście był dobrym tropicielem, jego przechwałki mówiły prawdę, ale nie potrafił zastawiać sideł tak biegle jak Jee, nie miał łuku i strzał, by zapolować na większą zwierzynę, a nie pozwalałem mu korzystać z ukradzonej strzelby. Owego wieczoru nie mieliśmy do jedzenia nic poza garścią poziomek zebranych w padających z ukosa promieniach zachodzącego słońca. Burczało mi w brzuchu z głodu.

— To wygląda na prawdziwą drogę, Peter, a nie myśliwski szlak — odezwał się Tom — Na pewno dokądś prowadzi. Daj mi trochę pieniędzy. Znajdę jakieś gospodarstwo i kupię nam chleb.

— Nie mam już pieniędzy.

— Nie masz pieniędzy? — zapytał z niedowierzaniem, jakby były one czymś, co mogłem produkować do woli, ale z jakiegoś powodu postanowiłem tego nie robić.

— Nie mam!

— Hmm. — Zastanowił się nad tym. — I co teraz zrobimy?

Czułem się zmęczony. Byłem głodny. Dręczył mnie strach. Miałem już dość wędrowania z ładnymi dziećmi, którymi musiałem się opiekować, takimi jak Tom i Cecilia. Sny wróciły. Nawiedzały mnie co noc. *Umrzyj, dziecko, umrzyj, umrzyj, moje maleństwo, umrzyj, umrzyj...*

— Co zrobimy? — warknąłem. — Będziemy głodować.

— Hmm.

Nie rozmawialiśmy już więcej ze sobą. Tom rozpałił ognisko, położył się i natychmiast zasnął, jak wszystkie zdrowe, młode zwierzęta. Ja leżałem bezsenny, bojąc się straszliwego koszmaru. Gdy jednak wreszcie zapadłem w niespokojny sen, śniło mi się jedzenie. Wonny chleb z rozmarynem, prosto z pieca. Gęsta grochówka Maggie, w której pływały małe chrupiące klopsiki. Pieczona baranina, słodkie ciastka błyszczące od lukru, wielkie miski...

Trzask!

W lesie, gdzieś po lewej, ktoś użył strzelby. Zerwałem się natychmiast, sięgając jak głupi po łaskę — jakby mogła się na cokolwiek zdać przeciwko broni dzikusów! Jutrzenka zabarwiła niebo na czerwono i pomarańczowo. Mój przerażony, oszołomiony snem umysł odnosił wrażenie, że to niewidoczna strzelba zbryzgała niebo kolorami, tak samo jak następny strzał wkrótce rozrzuci mój mózg na dzikiej trawie.

Trzask!

Toma nie było.

Podskoczyłem w górę. Mój strach ustąpił miejsca furii.

— Tom!

Trzask!

— Tom, ty synu rajfura!

Nie odpowiedział. Minęło dziesięć minut, nim wyłonił się z hałasem z chaszczy. Unosił w ręce dwie zabite kuropatwy. Twarz pałała mu radością, a strzelba zwisała bezwładnie w drugiej ręce.

— Spójrz, Peter! Śniadanie! Ja to zrobiłem!

— Ty idioto!

Skoczyłem na niego, nim zdążył się zorientować, i zacząłem go tłuc po twarzy i barkach zdrową ręką, krzycząc, że jest półgłówkiem, ptasim mózdzkiem, bezmyślnym głąbem...

Odepchnął mnie jednym ruchem. Jego twarz była pełna zdumienia i urazy.

— Co? Spójrz, śniadanie! Zabiłem je dla nas!

— Wystrzeliłeś ze strzelby!

— To łatwe. Bez trudu się zorientowałem, jak to zrobić. Trzeba po prostu...

— Tom. — Nakazałem sobie zachować spokój. Ciosy Hartaha, spiski królowej Caroline i nastroje Cecilii nie zdołały odebrać mi panowania nad sobą, a teraz je utraciłem. Nie mogliśmy sobie na to pozwolić. — Tom, ta strzelba robi mnóstwo hałasu. Dzicy wojownicy z pewnością ją usłyszeli, nawet jeśli są wiele mil od nas. Teraz wiedzą, gdzie nas szukać.

— Och, nie chrzań. Przeciąłem most sznurowy.

— To było dwa dni temu! Na pewno znaleźli już jakieś inne przejście przez wąwóz.

Naburmuszył się.

— Nie widziałem w lesie ich śladów. Myślałem, że się ucieszysz z kuropatw.

Jak zdołał dożyć do szesnastego roku życia? Zaczynałem czuć sympatię do jego ojca, który wykorzystywał go tak brutalnie. Tom wyczerpałby nawet cierpliwość posągu. Gapił się na mnie z wyrzutem, zdruzgotany faktem, że nie zachwyciłem się kuropatwami, które zastrzelił na śniadanie.

Westchnąłem.

— Tylko nie strzelaj już z niej więcej, zgoda?

— Zgoda. Ale nadal myślę, że dzikusy są daleko. Założę się, że nigdy nie jadłeś kuropatwy równie smacznej jak te! Cztery do jednego!

Miał rację. Głód jest najlepszą przyprawą. Tłuste kuropatwy pieczone z dziką cebulą nad hikorowym ogniskiem i popite zimną wodą z górskiego potoku okazały się najlepszym śniadaniem w moim życiu.

— A nie mówiłem! — zawołał radośnie Tom. Potem beknął i nagle zamarł w bezruchu, otwierając szeroko oczy.

Odwrociłem się i spojrzałem przez ramię. Na skraju polany stało dwóch dzikusów, celując do nas ze strzelb.

Tom skoczył po swą kradzioną broń, ale przydepnąłem ją nogą. Nie miał szans wystrzelić przed nimi. Zabiliby go. Mnie i tak zabiją, ale Młody Wódz nie miał nic przeciwko Tomowi Jenkinsowi. Może uda mi się...

— *Aleyk ta nodree!*

— *Hent!*

— Synowie przeklętych złodziei! — wrzasnął Tom. — Nie ważcie się!

— Tom! Nie! — zawołałem, lecz na próżno. Chłopak zerwał się na nogi i wyciągnął nóż. Pobiegł ku dzikusom. Dzieliło go od nich co najmniej dwadzieścia stóp. Jeden z napastników skierował ku niemu od niechcenia gładką metalową rurę strzelby. Zaraz wystrzeli. Ponownie wydałem z siebie krzyk, nieartykułowany i pełen rozpacz.

Coś szarego wypadło z lasu i skoczyło na dzikusa, obalając go na ziemię. Strzelba wypaliła w powietrze, nie czyniąc żadnej szkody.

Drugi dzikus zatoczył z krzykiem ćwierć kręgu, przesuając broń ze mnie na szarego intruza. Nim pies obalił pierwszego mężczyznę na ziemię, Tom pokonał sprintem pozostałe dziesięć stóp i chwycił drugiego.

Kiedy Cień zabijał czterech żołnierzy w chacie w Almsbury, byłem w krainie Umarłych i nie widziałem tego na własne oczy. Teraz odnosiłem wrażenie, że każdą sekundę odtworzono dla mnie nie tylko w zwolnionym tempie, lecz również z najdrobniejszymi szczegółami, jak na miniaturach malowanych przez nadwornych artystów. Widziałem wszystko i wszystko wyryło się w moim mózgu: pies stanął nad leżącym na ziemi żołnierzem i pochylił się z gracją kochanka, sięgając do jego gardła. Krew trysnęła silnym strumieniem, oczy dzikusa zapadły się w głąb czaszki, a jego ciałem targnął spazm bólu. Drugi napastnik siłował się z Tomem. Silne męskie ciała zwały się ze sobą. Żołnierz był starszy, ale Tom większy i w przeciwieństwie do dzikusa zdążył wyciągnąć nóż. Zwalili się na ziemię, tak blisko drugiej pary, że pies, potrząsający teraz martwym dzikusiem jak terier szczurem, poplamiał Toma bryzgami krwi. Ujrzałem błysk słońca odbijający się w stali, gdy Tom uniósł nóż, a potem drugi, jaśniejszy, kiedy uderzył. Nagle połączyło się to w moim umyśle z blaskiem, który ujrzałem kiedyś w krainie Umarłych, gdy coś jasnego i straszliwego rozdarło niebo w tej samej chwili, w której przeszedłem na drugą stronę z ukradzioną armią Umarłych. Jasne i straszliwe — i tu, i tam.

Potem było po wszystkim. Tom wyprostował się chwiejnie, zakrwawiony i zwycięski.

— Hej! A niech to, widziałeś? Peter, nic ci się nie stało? Załatwiliśmy ich, prawda, Cień? Hej, Cień, dobry piesek!

— To nie jest Cień — stwierdziłem z odrętwieniem w głosie.

Nie usłyszał mnie. Głaskał psa, szturchając go dla zabawy. Przyglądał się zabitym dzikusom. Podziwiał własną sprawność.

— Hej, popatrz, lepiej niech z nami nie zaczynają. Jesteśmy dla nich za dobrzy, prawda, Cień? A niech to, Peter! Śmiem twierdzić, że twój kuzyn George nie spisałby się o wiele lepiej? Prawda, Cień? Dobry piesek, odważny zabójca...

— To nie jest Cień.

Tym razem mnie usłyszał. Przestał gadać i spojrzał ze zdziwioną miną na psa.

— Pewnie, że jest. Co ci dolega, Peter?

Podszedłem bliżej i stanąłem obok niego. Pies spojrzał na mnie i pomachał ogonem. Pysk nadal miał uwalany krwią. Nie mam pojęcia, skąd wiedziałem, że to nie Cień. Miał taką samą sierść — krótką i szarą — krótki ogon, potężny pysk i zielone oczy. Wiedziałem jednak, że to nie Cień, tak samo, jak mężczyzna wie, którą z dwóch bliźniaczek poślubił, nawet jeśli innym wydają się bardzo podobne.

Tom uklęknął.

— Daj łapę, piesku.

Zwierzę nie zareagowało. Nie spuszczało ze mnie spojrzenia.

Młodzieniec się wyprostował.

— Masz rację, Peter. To nie jest Cień. Ten pies nie umie dawać łapy. Hej, co za dziwny zbieg okoliczności! Dwa psy bardzo podobne do siebie i oba uratowały ci życie! Dziwny zbieg okoliczności! Hej, mamy teraz dwie dodatkowe strzelby! Może skurczybyki miały też pieniądze albo coś do jedzenia?

Dziwne zbiegi okoliczności nie niepokoiły zbytnio Toma Jenkinsa. Mnie jednak mroziły krew w żyłach i powodowały koszmary.

Tom, który nie brzydził się łatwo, sprawdził kieszenie i plecaki zabitych. Ja tymczasem przykucnąłem obok psa.

— Czym jesteś? — zapytałem cicho, nie licząc na odpowiedź.

I oczywiście jej nie otrzymałem, Czymkolwiek mógł jeszcze być nowy przybysz i skądkolwiek pochodził, z całą pewnością był psem. Polizał mnie po ręce i pomachał ogonem. Potem podbiegł do Toma, który znalazł przy jednym z dzikusów kawał pieczonego królika owinięty w czystą tkaninę.

Wyprostowałem się.

— Tom, tu może być więcej dzikusów. Musimy ruszać. Natychmiast.

— Tak... Tylko chwileczkę... A niech to! Srebrniki!

Wyciągnął ku mnie potężną łapę. Na jego otwartej dłoni leżało sześć albo siedem srebrników z Reginokracji, z podobizną królowej Caroline. Jej piękny profil spoczywał na brudnej skórze młodzieńca, delikatne srebrne rysy na tle krzepnącej krwi.

13

Każdego dnia wspinaliśmy się coraz wyżej. Nowy pies szedł za nami. Tom nadał mu imię Owc.

— Mówiłeś, że nienawidzisz owiec, które hoduje twój ojciec — zauważyłem.

— Pewnie. To głupie zwierzaki.

— To dlaczego tak go nazwałeś?

— A czemu nie? — odparł Tom, wzruszając ramionami. — To dobry pies. Prawda, piesku? Dobry pies! Chodź, posiłujemy się!

Padł na ziemię, a zwierzę skoczyło na niego z entuzjazmem. Walczyli na niby przez kilka dobrych minut, a gdy wstali, byli zadowoleni i brudni od błota. Przyglądałem się temu jak pobłażliwy dziadek. Lubiłem Cienia, ale ten nowy pies mnie niepokoił. Nie chodziło o jego zachowanie. Był równie uczuciowy i oddany jak jego poprzednik — tak samo machał ogonem, był równie skory do lizania i z chęcią przynosił zwierzynę, którą piekł Tom. Owc nie miał obroży... ale jakie były szanse, że dwa identyczne psy przybłąkają się do mnie w ciągu miesiąca? Nie było jednak sensu tłumaczyć tego mojemu towarzyszowi.

— Tom, zastanów się. Jakie są szanse, że dwa identyczne psy przybłąkają się do nas w ciągu miesiąca?

— Nie mam pojęcia. Jakie?

— Nie wiem dokładnie, ale...

— Czemu mnie o to pytasz? A niech to, chciałbym mieć parę kości!
Umiesz grać w sichbo?

— Nie.

Kolejne kłamstwa. Na dworze znano tę grę. Grałem kiedyś z Cecilią o fant, którego wówczas nie rozumiałem.

— Mógłbym cię nauczyć. Ale nie mamy kości. Już wiem, wystrugam je!

W ciągu kilku ostatnich dni przeszliśmy do wędrowania za dnia i spania nocą. Reginokracja została daleko za nami. Wieczorem Tom usiadł przy ognisku i ze sporym wysiłkiem wystrugał z kawałka gałęzi dwa pokraccze sześciiany.

— Popatrz, Peter. Najpierw rzucasz jedną kostkę i jeśli wypadnie szóstka...

— Tom, nie chcę grać w sichbo.

— Och, to świetna zabawa! Pokażę ci!

— Nie.

Rzadko odmawiałem Tomowi wprost, ale nie mogłem znieść myśli o graniu z nim w kości. Widziałem tylko Cecilię w zielonej sukni, jej piękne włosy opadające na ramiona oraz zielone oczy, lśniące gorączkowym podnieceniem, które było bliskie hysterii.

— *Roger! Zagram z tobą! O srebrną monetę z podobizną Jej Miłości!*
Chodź!

— Nie wiedziałem, że taki z ciebie zrzęda — poskarżył się Tom.

— Zagram z tobą jutro wieczorem — obiecałem.

— No dobra.

Przetoczył się na brzuch i natychmiast zasnął.

Jutro wieczorem już mnie z nim nie będzie.

Wiedziałem już, gdzie jesteśmy. Górski szlak, którym zmierzaliśmy, połączył się z drugim. Był on równie kamienisty, ale go poznawałem. Szedłem już tędy, i to nie raz. Wrzosowisko Duszorośli leżało dzień forsownego marszu na południe stąd. Tom z pewnością o tym nie wiedział. Choć był znakomitym tropicielem, nigdy nie oddalał się zbyt od Almsbury, a o geografii świata wiedział równie mało co ongiś ja. Nie odważę się wejść na teren samej Duszorośli, ale blisko granicy będę mógł pozostać ciałem na Ziemi Niczyjej i wkroczyć na Wrzosowisko tylko w krainie Umarłych. To mi pozwoli bezpiecznie poszukać matki. A przynajmniej bardziej bezpiecznie.

Nie mogłem jednak tego uczynić w towarzystwie Toma. Co by zrobił, gdybym zbyt długo pozostawał w transie? Zawłókłby mnie do jakiejś prostej chaty i zaczął wzywać uzdrowiciela? Doszedłby do wniosku, że umarłem, i pochowałby mnie? Spróbowałby mnie ożywić, wylewając mi na głowę tyle wody, że utonąłbym w niej?

Co najgorsze, mógłby zrozumieć, czym jest mój trans. Ludzie ze wsi z reguły chętniej wierzyli w dawne zwyczaje i prastare moce. Na dworze nikt poza królową Caroline nie dopuszczał myśli, że potrafię przechodzić na drugą stronę. Ale wieśniacy, których Hartah oszukiwał przy mojej pomocy na letnich jarmarkach, zbyt często wiedzieli, że mój dar jest realny. W dodatku wielu z nich sądziło, że to czary, a co zrobiłby Tom Jenkins, gdyby doszedł do wniosku, że jestem czarownikiem? Nie wierzyłem, by mógł mnie zdradzić świadomie, ale między jego mózgiem a ustami nie było żadnej bariery. Zawsze mówił wszystko, co tylko przyszło mu do głowy. Im mniej będzie o mnie wiedział, tym mniej będzie mógł wygadać każdemu, kogo spotka.

Dlatego ułożyłem plan i wieczorem następnego dnia wprowadziłem go w życie.

Nie wolno ufać planom.

Zatrzymaliśmy się w miejscu, które znałem aż za dobrze. Tu mieszkała kiedyś rodzina Jee.

Chatę, która zawsze była ruiną, teraz porzucono. W silnym blasku popołudniowego słońca ujrzałem zwisające pod dziwnym kątem drzwi. Połowa zawiasów zrobionych ze sznurka się zerwała. W dachu ziała wielka dziura. Na siennikach roiło się od wszy i pajaków. Nawet szczury nie znalazły tu żywności, mogącej je skłonić do założenia gniazd.

— Nikt tu nie mieszka — stwierdził Tom, marszcząc nos z niesmakiem.

— Już nie — zgodziłem się. Ale kiedyś mieszkała tu rodzina Jee. Chłopiec uciekł od niej dwa i pół roku temu. Tu zostawiłem Maggie, wściekłą i zapłakaną, by wyruszyć samotnie na Wrzosowisko Duszorośli. I tu, czy raczej w tym samym miejscu w Krainie Umarłych, leżałem, trzymając w ramionach Cecilję. Była wtedy Umarła, pogrążona w transie i nieświadoma mojej obecności. To było za chatą, w sosnowym gaju przy małym wodospadzie, który nadal spływał po skałach do płytkiego, zimnego stawu.

— Peter? — odezwał się Tom. — Co to jest? Byłeś już tu kiedyś? — zapytał z niezwykłą dla siebie spostrzegawczością.

— Tak — potwierdziłem, nakazując sobie powrót do terażniejszości. — Woda jest dobra do picia. Powinniśmy wypełnić bukłak.

— W porządku. Owc dzisiaj nie polował. Niedobry pies! Niedobry! Ale ja mogę spróbować, chociaż pewnie lepiej... Czuję zapach dzikiej cebuli.

— Nie potrzebujemy jej — odparłem z roztargnieniem w głosie, nadal myśląc o przeszłości. — Suszone mięso, które zabrałeś dzikusowi, jest już dobrze przyprawione.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie.

— Skąd wiesz?

Wlepiłem w niego spojrzenie.

— Że mięso, które jedzą dzikusy, jest już dobrze przyprawione — powtórzył, marszcząc czoło. — Jadłeś je już kiedyś?

— Nie. Jak mogłem je jeść? George mi to powiedział.

Tom pokiwał głową, jak zwykle gotowy uznać mojego mitycznego, bohaterskiego kuzyna za najwyższy autorytet w każdej dziedzinie. Kłamstwa. Nie mogłem otworzyć ust, by nie powiększyć stosu swych kłamstw, który piętrzył się nade mną, wielki jak góra. A teraz będę musiał dodać do niego następne.

— Tom, właśnie o George’u chciałbym teraz z tobą porozmawiać.

— O George’u?

Rozejrzał się wkoło, jakby spodziewał się zobaczyć mojego kuzyna wychodzącego spomiędzy drzew. Pusty bukłak zwisał z jego ręki.

— Tak jest, o nim. Pamiętasz, jak ci opowiadałem, że George zabił dzikich żołnierzy i dlatego właśnie mnie szukali. Chcieli, żebym im powiedział, gdzie on się ukrywa.

— Ale tego nie zrobiłeś — wydyszał Tom. — Nigdy byś im nie powiedział, nawet na torturach.

— Tak jest, nie powiedziałem im, gdzie można znaleźć George’a — zapewniłem. Nigdy nie wypowiedziano prawdziwszych słów. — Ale tobie to powiem. Dlatego, że on potrzebuje naszej pomocy.

— Zrobię wszystko! — zawołał Tom z błyskiem w oczach.

— George planuje bunt przeciwko armii dzikusów. Chce z nimi walczyć. Nie mówię o wielkiej bitwie, jaką poprzednim razem stoczono pod Glorią, ale o atakach na małą skalę, przeprowadzanych nocą przy wykorzystaniu lepszej znajomości okolicy. Mówi, że możemy sobie z tym poradzić. Ale potrzebuje żołnierzy.

— Potrzebuje nas!

— Potrzebuje ciebie, Tom. Ja mam tylko jedną rękę, pamiętasz? Nie nadaję się do walki.

Zmarszczył brwi. Niemalże dostrzegalem powolną pracę jego mózgu, jakby ciężki kamień młyński rozgniatał nieliczne ziarna pszenicy.

— Ale mógłbyś pomóc George'owi w jakiś inny sposób — odezwał się wreszcie Tom.

Szedł tam, gdzie go prowadziłem, choć o tym nie wiedział.

— To prawda. George mnie również wyznaczył pewne zadanie. Nie mogę ci zdradzić, na czym ono polega, ale powiem ci, czego pragnie od ciebie. Chce, żebyś powędrował tą ścieżką na północny wschód. Za dwa dni znajdziesz gospodę. Zaczekaj tam na George'a i jego ludzi. Ukrywaj się w lesie.

— A jak go poznam?

— Jest bardzo podobny do mnie, tylko starszy i silniejszy. Będzie miał znak wyhaftowany na lewym ramieniu bluzy. Czerwonego dzika.

— Czerwonego dzika — powtórzył Tom. — Na lewym ramieniu. Tak, rozumiem. Ale, Peter, skąd George wie o mnie? Odkąd cię spotkałem, z nikim nie rozmawialiśmy.

— Cień przekazał mu wiadomość. No wiesz, dlatego właśnie nas opuścił. Wysłałem go do George'a.

— Używacie psów do przekazywania wiadomości! Świetny pomysł! Czy Owc też...

— Tak. Przyniósł dla mnie wiadomość.

— A kiedy powiedziałeś, że to dziwne, że spotkaliśmy dwa identyczne psy, chciałeś tylko poddać mnie próbie, prawda, ty skurczybyku? Sprawdzić, ile już wiem o tym wszystkim!

— Tak.

Połowę kłamstw sam za mnie wygłaszał. Wstyd mieszał się we mnie z ulgą. Ale z pewnością nie miałem powodów do wstydu. Czyż nie robiłem tego dla bezpieczeństwa Toma w równym stopniu co dla własnego? Po dwudniowej wędrówce przekona się, że nie znalazł gospody, George'a, czerwonego dzika ani oddziału bojowników walczących z okupującymi Reginokrację dzikusami. Poczucie się rozczarowany, ale poza tym nic mu się nie stanie i uwolni się od mojego niebezpiecznego towarzystwa. Dzikusy raz już mnie złapały i mogły to zrobić znowu. W pewnym sensie moje kłamstwa ocalą mu życie, tak samo, jak on przedtem uratował moje.

— Kiedy powinienem ruszyć w drogę do gospody? — zapytał.

Przymrużyłem powieki, spoglądając na widoczne za sosnami słońce.

— Możesz dziś jeszcze wędrować przez kilka godzin.

— Masz rację! Wyruszę natychmiast. Peter, zostawię ci jedną strzelbę, a dwie pozostałe zabiorę. Ojej, zaczekaj, czy dasz radę wystrzelić z niej jedną ręką? Nie, to niemożliwe. A może strzelby przydadzą się ludziom George'a? Pewnie, że tak! Świetny pomysł! Zostawię ci duży nóż, proszę, weź go, a do tego bukłak z wodą i mięso od dzikusów, bo... Nie, przecież będziesz miał Owca, żeby dla ciebie polował. On woli ciebie ode mnie. To w porządku, bo ja mam dwie ręce, więc Owca bardziej przyda się tobie. Możesz zachować mój płaszcz i...

Nie mogłem już znieść jego entuzjazmu i płynącej z dobroci serca troski o mnie.

— Powinieneś już ruszać, Tom — powiedziałem mu. — Im prędzej znajdziesz George'a, tym prędzej będziesz mógł się przyłączyć do buntu.

— Tak, oczywiście. No to do widzenia.

Wyciągnął rękę i uściśniłem mu dłoń. Zapomniał o bukłaku, który trzymał w drugiej ręce. Idąc, uderzał nim o udo. Trzy strzelby niósł na plecach. Odprowadzałem go wzrokiem, aż wreszcie zniknął na ledwie

widocznym szlaku — zdrowy młodzieniec gotowy walczyć w powstaniu, które istniało jedynie w moim kłamliwym mózgu.

Upewniwszy się, że sobie poszedł, skierowałem się ku Wrzosowisku Duszorośli.

14

Szedłem na południe aż do zmierzchu, a potem rozbiłem obóz przy leśnym stawie. Żaby kumkały w ciemności, skacząc z pluskiem do wody, gdy przystawiłem do niej usta, by się napić. Tafla jeziora lśniła srebrzyście w blasku księżyca. Z gałęzi wysokiej sosny dobiegało pohukiwanie sowy, ciche i żałobne.

Owc przyniósł królika. Powoli, nie mając energii Toma ani jego dwóch zręcznych rąk, rozpaliłem ogień, obdarłem ze skóry upolowane zwierzę i upiekłem je. Po kolacji zamaskowałem wszelkie ślady po ognisku i ukryłem się w wielkim stosie gałęzi oraz butwiejących kłód. Owc położył się przy mnie. Na łożu z mchu było mi wygodnie, ale nie mogłem zasnąć. Od Wrzosowiska Duszorośli dzieliło mnie zaledwie pół dnia drogi. Od Wrzosowiska Duszorośli i od matki.

Będzie ze mną rozmawiać. Musi to zrobić. Wyrwę ją z pośmiertnego transu. (*Przecież — szeptała logiczna część mojej osobowości — nigdy nie dokonałeś tej sztuki z nikim, kto umarł tak młodo*). Opowie mi, w jaki sposób umarła i dlaczego ojciec zostawił mnie z ciotką Jo. (*Przecież Matka Chilton mówiła ci, żebyś nie szukał tej wiedzy*). Powie mi, kim był. (*Przecież Umarli zawsze opowiadają tylko o swoim dzieciństwie*). A przede wszystkim powie mi, kim ja jestem, dlaczego przeklęto mnie tym „darem” i co muszę zrobić, by osiągnąć w życiu spokój, którego nigdy dotąd nie

udało mi się odnaleźć. Ani z Hartahem, ani na dworze królowej, ani w Applebridge z Maggie. Pamiętałem ją bardzo wyraźnie, moją matkę w lawendowej sukni, z lawendowymi wstążkami we włosach. W jej ramionach byłem bezpieczny i szczęśliwy. Powie mi, dokąd muszę pójść i jak żyć, by znowu odnaleźć szczęście i bezpieczeństwo.

Uniosłem wzrok, spoglądając na jasną gwiazdę, jedyną, jaką widziałem ze swej kryjówki. Nie mogłem już czekać dłużej. Od granicy między Ziemią Niczyją a Wrzosowiskiem Duszorośli nadal dzieliło mnie pół dnia drogi. W krainie Umarłych czas i odległość wyglądały jednak inaczej, niewykluczone więc, że nie będę musiał dochodzić do samej granicy.

Wyjąłem z buta mały nożyk do golenia, skaleczyłem się w udo i przeszedłem na drugą stronę na fali bólu. Ostatnim, co dotarło do mojej świadomości w krainie żywych, był Owc, poruszający się gwałtownie obok mnie.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba wiążąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Ale tylko przez chwilę. Potem znalazłem się w krainie Umarłych. Sterta gałęzi zniknęła. Leżałem na otwartej przestrzeni. Podniosłem się z trudem i rozejrzałem wkoło. Przez długą, pełną oszołomienia chwilę nie byłem w stanie nic rozpoznać.

Wszystko skrywała gęsta mgła.

Wisiła nad ziemią, nie pozwalając dostrzec nic, co znajdowało się dalej niż na wyciągnięcie ręki. Nie potrafiłem nawet określić, czy okolica wygląda tu tak samo jak w krainie żywych, czy też rozciągnęła się albo

skurczyła, co często się zdarzało. Widziałem tylko jasnoszare opary — nieruchome, milczące i rozstępujące się przede mną bez oporu.

Potknąłem się o jednego z Umarłych, mężczyznę w zimowym stroju myśliwskim. Był za młody, bym mógł go obudzić. Potem wpadłem do płytkiego leśnego stawu. Ziemia, której nie widziałem wyraźnie, urwała się nagle pod moimi nogami i runąłem do głębokiej na stopę wody. Kiedy z niej wylazłem, byłem mokry i ubłocony aż po kolana. Przynajmniej jednak dowiedziałem się, że krajobraz wygląda tu tak samo jak po drugiej stronie. Przy tak słabej widoczności nie wiedziałem jednak, w którą stronę iść, by dotrzeć na Wrzosowisko Duszorośli. Tu nigdy nie było gwiazd, słońca ani księżyca, które wskazałyby drogę.

Mimo to nie mogłem znieść myśli o powrocie do krainy żywych. Jeszcze nie w tej chwili. Pokonałem bardzo długą drogę i musiałem przynajmniej spróbować odszukać matkę.

Okrażyłem ostrożnie staw, starając się w miarę możliwości ocenić, w którym momencie pokonałem połowę jego obwodu. Oddaliłem się wtedy od brzegu w kierunku, który powinien być południem. Szedłem tak prosto, jak to możliwe. Mgła zrobiła się nieco mniej gęsta. W lewym bucie pluskała mi woda. Pokonawszy niespełna sto jardów, natrafiłem na krąg Umarłych. Krew zamarła mi w żyłach.

Umarli często siedzą w kręgach złożonych z czterech do ośmiu osób. Czasami dotykają się nawzajem, a czasami nie. To był większy krąg, czternastu Umarłych. Wszyscy trzymali się za ręce. Widziałem ich splecione dłonie leżące na trawie. Siedzieli ze skrzyżowanymi nogami albo wyciągali je przed siebie, ale ich głowy otaczały skupiska mgły gęstszej i ciemniejszej niż ta, która unosiła się nad ziemią, całkowicie zasłaniającej ich ciała od karku w górę. Kolejna, równie gęsta plama mgły znajdowała się pośrodku kręgu.

Gdy poprzednim razem zakłóciłem spokój krainy Umarłych, w sztuczny sposób nie pozwalając Niebieskim żołnierzom zapaść w trans, a potem sprowadzając ich na pewien czas z powrotem do krainy żywych, moja ingerencja znalazła odbicie w krajobrazie. Nadeszły wichry, burze i trzęsienia ziemi, a na koniec rozdarło się samo niebo i wyłoniła się z niego ta straszliwa świetlista rzecz, którą ujrzałem tylko na mgnienie oka. Próba zmiany natury samej śmierci wywołała straszliwe zaburzenia w jej krainie. Tu jednak ziemia zachowała stabilność, powietrze się nie poruszało, a w lesie było cicho jak w grobie. Tylko mgła była czymś nowym. A jej gęstość znacznie wzrosła od mojej poprzedniej wizyty.

Podszedłem ostrożnie do kręgu. Najbliżej mnie siedziała staruszka. Sądząc po nędznej spódnicy z samodziału oraz bosych, pomarszczonych stopach — nie widziałem nic więcej — była wieśniaczką z jakiegoś wyżynnego gospodarstwa. Właśnie stare kobiety najchętniej ze mną rozmawiały. Wsadziłem dłoń w ciemną mgłę i położyłem ją na głowie kobiety.

Natychmiast cofnąłem rękę z głośnym krzykiem. Głowa wibrowała. To było tak, jakbym dotknął ula pełnego podekscytowanych pszczoł. Moja dłoń nie ucierpiała, a dolna połowa ciała staruszki siedziała równie spokojnie, jak przedtem.

— Pani! Obudź się!

Trąciłem jej nogę czubkiem buta. Nic. Nacisnąłem mocniej. Nic. Wreszcie ją kopnąłem, wiedząc, że Umarłym nie można zrobić krzywdy. Przewróciłem ją, ale się nie ocknęła. Niemniej wypuściła z rąk dłonie sąsiadów.

Gęste skupiska mgły otaczające głowy rozproszyły się natychmiast. Trzynastu Umarłych trzymało się za ręce, a czternasta leżała spokojnie na

trawie. Wszystkich widziałem wyraźnie. Ich głowy nie wibrowały, ale od strony ciemnej plamy mgły pośrodku kręgu dobiegło gniewne brzęczenie.

To byli obserwatorzy z Wrzosowiska Duszorośli.

Nie odważyłem się zbliżyć do rozgniewanej mgły. Nic nie wskazywało na to, by obłok mógł się ruszyć z miejsca, ale przecież nie miałem pojęcia, co tu właściwie się dzieje. Nawet najmniejszego. To było coś nowego i niepokojącego. Nie znałem nikogo, kto pomógłby mi to zrozumieć. Chyba że odnajdę matkę.

W krainie żywych Wrzosowisko Duszorośli dzieliło pół dnia drogi od miejsca, gdzie przeszedłem na drugą stronę. Tutaj mogło leżeć bliżej. Albo dalej. Przeszedłem wkrótce po zapadnięciu zmroku. Mogłem spędzić w krainie Umarłych całą noc, a gdyby okazało się to potrzebne, również następny dzień. Moje ciało wytrzyma tak długi trans. To było ryzykowne, ale dobrze się schowałem pośród gałęzi i wątpiłem, by dzicy wojownicy mogli mnie znaleźć, a przed czworonożnymi drapieżcami obroniłby mnie Owc. Ruszyłem na południe przez mgłę.

Niełatwo było zachować orientację. Cały czas jednak posuwałem się w górę i las stawał się coraz rzadszy, byłem więc pewien, że zbliżam się do Wrzosowiska. Minąłem jeszcze dwa wielkie kręgi Umarłych. Oni również trzymali się za ręce, ich głowy otaczały nieprzeniknione obłoki ciemnej mgły, a pośrodku obu kręgów widniało skupisko jeszcze mroczniejszej. Nie zbliżałem się do nich.

Wreszcie, po wielu godzinach wspinaczki, wkroczyłem na płaski grunt. Czuję, jak sprężynuje mi pod nogami, mlaszcząc przy tym cicho. Torf. Byłem na Wrzosowisku Duszorośli.

Po kolejnej godzinie natrafiłem na największy jak dotąd krąg. Dwudziestu jeden Umarłych. Poza wielkością nie różnił się niczym od tych, które widziałem na Ziemi Niczyjej. Wiedziałem jednak, jak umierają ludzie

na Wrzosowisku Duszorośli — a przynajmniej ci będący obcymi przybyszami albo tubylcami, którzy odeszli, a potem wrócili. Tak właśnie umarła Cecilia.

Nie myśl o tym.

Wtem ujrzałem coś, co przegnało wszelkie myśli o przeszłości. We mgle poruszały się jakieś sylwetki. Ruch tam, gdzie przedtem nie ruszało się nic oprócz mnie.

Szli ku mnie bardzo powoli. Było ich troje, spowitych mgłą jak nieruchomi, siedzący w kręgach Umarli. Gęste obłoki mgły poruszały się razem z nimi. Powoli, tak bardzo powoli, zbliżali się do mnie, aż wreszcie zatrzymali się po drugiej stronie kręgu dwudziestu jeden Umarłych.

— Czym jesteście? — wyjąkałem. Nagle sobie uświadomiłem, że po drugiej stronie to samo pytanie zadałem Owcowi. Ale on był psem — czymś znajomym i dotykalnym — przynajmniej jeśli idzie o postać. Tych sylwetek nie widziałem wyraźnie, bo przesłaniała je mgła. Nie miałem pojęcia, czy są dotykalne. Nie wyobrażałem sobie, by mogły takie być.

Żaden z intruzów nie odpowiedział.

Staliśmy po przeciwnych stronach nieruchomego kręgu Umarłych, szarzy i milczący. Nie wiem, jak długo to trwało. Czekałem ze strachem na to, co może się wydarzyć. A na co oni czekali? Miałem wrażenie, że minął długi czas. Może tak było rzeczywiście, a może nie.

— Roger — odezwał się za mną kobiecy głos.

Krzyknąłem i błyskawicznie się odwróciłem. Wszechobecna szara mgła zgęstniała, choć nie stała się ciemniejsza. Unosiła się przede mną jej ściana, kłębiąca się jak na lekkim wietrzyku. Miałem wrażenie, że widzę w niej jakieś sylwetki, przekształcające się i nieludzkie. Dostrzegłem wśród nich błysk korony.

Głos był głosem z mojego snu.

— Roger — powtórzyła. — Nie żyję od jedenastu lat — dodała i zanosła się śmiechem.

To był śmiech, od którego do kości wnikał dreszcz, a umysły rozpadały się na fragmenty. Ściana skłębionej mgły ruszyła ku mnie. Ugryzłem się w język i przeszedłem na drugą stronę.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

To było straszne, ale nie aż tak bardzo jak to, przed czym uciekałem. Po raz drugi w życiu cieszyłem się z podróży przez chłód i pełen robaków grób. Po chwili znalazłem się w krainie żywych. Leżałem na stercie suchych gałęzi na Ziemi Niczyjej, owinięty w płaszcz Toma. Owc zniknął.

Przeszedłem na drugą stronę wkrótce po zapadnięciu nocy. Teraz niebo było jasnoszare. Świt? Wyczołgałem się spomiędzy gałęzi i zobaczyłem czerwone smugi nad horyzontem na zachodzie. Zmierzch. W krainie Umarłych czas płynie inaczej. Nie było mnie prawie dwadzieścia cztery godziny. W brzuchu ścisnęło mnie z głodu. Gdzie się podział Owc?

Pies czekał przy stosie gałęzi. Obok niego stał Tom Jenkins z twarzą wykrzywioną z gniewu.

15

— Tom — odezwałem się ni w pięć, ni w dziewięć. Miał wędrować w poszukiwaniu mitycznej rebelii George’a. A ja miałem mieć czas, by zastanowić się nad tym, co widziałem w krainie Umarłych. Nic nie działo się tak, jak zaplanowałem. — Tom...

— Roger — odparł. W moim burczącym z głodu brzuchu zacisnęła się potężna pięść. — Tak masz na imię, prawda? — ciągnął. — Nie Peter Forest. Roger Coś Tam. Od samego początku mnie okłamywałeś.

Cóż mogłem odrzec? Miał rację. Okłamywałem go i bardzo możliwe, że będę musiał to zrobić znowu. Może i chodziło mi o jego bezpieczeństwo, ale Tom najwyraźniej nie dbał o nie. Nie miał pojęcia o siłach, które mogły mu zagrozić. Ja również, szczerze mówiąc. *Nie żyję od jedenastu lat...*

— Szedłem szlakiem tak szybko, jak tylko mogłem — ciągnął Tom. — Ostatniej nocy natknąłem się na gospodarstwo rolne. Były tam tylko dwie kobiety i grupka małych dzieci. Mężczyźni wyruszyli na coś, co kobiety zwały „długimi łowami”. Widziałem, że są biedne i ciężko im się żyje, ale dały mi coś do jedzenia i miejsce do spania w szopie dla kóz.

Czułem od niego zapach tych zwierząt. Nie doceniłem szybkości, z jaką może podróżować ktoś tak silny. Owc usiadł, przenosząc spojrzenie z jednego na drugiego z nas.

— Ale zanim poszedłem do tej szopy, usiadłem z kobietami i dziećmi przy ich palenisku. Narąbałem im drewna i przyniosłem wody. Były dla mnie dobre. Myślę, że ucieszyły się z mojego towarzystwa.

Pewnie, że się ucieszyły. Na dzikiej i jałowej Ziemi Niczyjej gospodarstwa leżały daleko od siebie, a życie było bardzo ciężkie. Widziałem to oczyma wyobraźni: palące się na palenisku szczapy porąbane przez przystojnego młodego przybysza, który był bardzo rozmowny. Dwie obdarte kobiety, przedwcześnie postarzałe, ich mężczyźni poszli na polowanie. Słuchały gadaniny Toma. Gapiły się na jego blond włosy opadające na czoło. Onieśmiałe, lecz jednocześnie pointrygowane flirtowaniem, równie dla niego naturalnym jak oddychanie. Kryjące się w cieniu dzieci, wpatrzone z zachwytem na tego przybysza z innego świata, jak samo jak kiedyś Jee wpatrywał się w Maggie i we mnie.

— W pierwszej chwili trudno mi było skłonić te kobiety do rozmowy o sprawach osobistych. Nie lubią nieznanym. Ale wkrótce przynajmniej ta młodsza zaczęła mówić. Nazywa się Katha. Są siostrami. Katha opowiedziała mi ciekawą historię. Przed dwoma laty mężczyzna i kobieta ukradli najstarszego syna jej siostry, chłopca imieniem Jee. Po prostu go ukradli. Opisała mi mężczyznę. Miał dwie ręce, ale poza tym wyglądał tak samo jak ty. Czyż to nie dziwny zbieg okoliczności? Jeszcze dziwniejszy niż dwa identyczne psy.

Im dłużej Tom mówił, tym bardziej narastał jego gniew. Musiałem znaleźć jakiś sposób, by go ugasić.

— Tom, wielu mężczyzn wygląda podobnie do mnie. Co ci powiedziała? „Ma tyle i tyle wzrostu, włosy takiego a takiego koloru...”.

— Dość kłamstw! — wrzasnął. — Nie zniosę ich dłużej! Powtarzałeś przez sen imiona „Jee” i „Maggie”. Tak się nazywała kobieta, która była z Rogerem! To byłeś ty!

Mówiłem przez sen. To był mój stary problem. Co jeszcze powiedziałem?

— I to nie wszystko, co mi rzekły, Roger. Dwa dni drogi stąd nie ma żadnej gospody. Trzeba podróżować znacznie dłużej, by dotrzeć do najbliższej. Te kobiety nigdy nie opuszczają swych małych, brzydkich gospodarstw, ale ich mężczyźni to robią, więc wiedziały, co mówią. Opowiedziały mi wszystko. Od początku do końca słyszałem od ciebie tylko kłamstwa!

Ruszył w moją stronę. Nie mogłem się z nim mierzyć. Nawet z dwoma rękami nie miałbym szans. Zacisnął potężne łapska w pięści. Przygotowałem się na cios, przed którym nie mógłbym się uchylić.

Ale on mnie nie uderzył. Gdy już był wystarczająco blisko, by smród kóz spowił nas obu niczym mgłą, skrzywił się nagle w rozpaczliwym grymasie. Oczy zaszczyły mu łzami.

— Dlaczego kłamałeś, Peter? Dlaczego? Lubiałem cię. Myślałem, że będziemy razem przeżywać przygody. Wysłałeś mnie do George'a...

Jego powolny mózg wreszcie wykonał swą pracę. Łzy zniknęły i powrócił gniew.

— Ale czy on w ogóle istnieje? Czy George również jest kłamstwem? Jest nim, prawda, ty śmierdzący sukinsynu!

Tom uniósł pięść. Mógł znieść wszystko, ale nie utratę George'a.

— Nie! — zawołał ktoś. — Nie bij go!

Odwrócił się błyskawicznie. Stała za nim dziewczyna, wyciągająca rękę w błagalnym geście. Nagle wywróciła oczy i zaczęła się osuwać na ziemię. Tom skoczył ku niej, szybki jak kot, i złapał ją, zanim upadła. Owce zaczęły wyć przeraźliwie. Wydawało się, że nigdy nie przestanie.

Była piękna. To mój oszołomiony umysł zauważył najpierw. Czarne włosy opadały jej swobodnie na ramiona, skórę miała białą jak lilia, a usta

prawie tak samo jasne. Była odziana w prostą suknię z szarego samodziału i fartuch z tego samego materiału, a na nogach miała czarne skórzane buty. Wszystkie elementy stroju wyglądały na znoszone, a spódnica szarej sukni była rozdarta. Tom położył dziewczynę na ziemi.

— Skąd się wzięła? — zapytał. — A niech to, nie słyszałem jej! Czemu Owca nie zaszczekał, zanim się zbliżyła? Cicho, ty głupi psie, to tylko dziewczyna!

— Ucisz się — powiedziałem Owcowi. Przestał wyć i położył się na ziemi, wspierając głowę na łapach. Nie miałem teraz czasu na psią zazdrość.

— Tom, czy ona umarła?

— Nie. Tylko zemdląca. Podaj mi bukłak.

Miał go w plecaku. Był pełen wody. Wręczyłem naczynie Tomowi, a ten delikatnie skapnął kilka kropli na twarz dziewczyny. Po chwili poruszyła się i otworzyła oczy. Nagle zaparło mi dech w piersiach. To były oczy Cecylii. Ta sama czysta, jaskrawa zieleń, nie barwa szmaragdów, mchu czy inny łatwy do nazwania odcień, lecz kolor jedyny w swoim rodzaju. To nie była Cecilia. Ta dziewczyna była wyższa i miała mniej delikatne rysy. Niemniej nie ustępowała urodą mojej dawnej ukochanej. Nie była Cecilią, ale miała jej oczy.

Te zielone oczy wpatrywały się we mnie.

— Nic ci się nie stało, pani? — zapytał Tom czułym tonem. — Skąd się tu wzięłaś?

— Nie... nie jestem pewna.

Jej głos był cichy i gardłowy. W ogóle nie przypominał głosu Cecylii ani — choć nie uświadamiałem sobie, że się tego boję, dopóki ów strach nie zniknął — głosu noszącej koronę kobiety z krainy Umarłych.

— Dasz radę usiąść? — zapytał Tom.

— A nawet wstać.

Podniosła się, wsparta na jego ramieniu, i uśmiechnęła się doń. Wszyscy troje gapiliśmy się na siebie. Nagle sobie uświadomiłem, że mój członek zrobił się twardy jak kamień. To samo dotyczyło Toma, sądząc po wyglądzie jego spodni.

— Mówisz, że nie wiesz, skąd przybywasz? — zapytał cichym, serdecznym tonem.

— Nie... nie pamiętam — odparła, marszcząc brwi.

— To nieważne — uspokoił ją. — A czy wiesz, jak masz na imię?

— Fia.

— No widzisz, to już jakiś początek. Fia i co dalej?

Zawahała się.

— Nie wiem.

— Obędziemy się bez tego. Fia nam wystarczy. — Obdarzył ją swym najbardziej zabójczym uśmiechem. — Jestem Tom Jenkins. A to jest... — Skrzywił się, przypominając sobie swoją zdradę. Tomowi trudno było pamiętać o więcej niż jednej rzeczy naraz, ale wspomnienie zdrady nadal czaiło się pod powierzchnią, ostre i niebezpieczne jak miecz. Wiedziałem, że muszę je stępić, zanim znowu zwróci się przeciwko mnie. — Roger — zakończył z naciskiem.

Dziewczyna dygnęła przed nami.

Tom rozdziawił usta. Ja również, choć zapewne z innego powodu. Jego zdumiewało, że ktokolwiek dygnął przed nim, Tomem Jenkinsem, pasającym niekiedy owce i uważanym przez ojca za głupka. Ja byłem zdumiony, że dziewczyna ubierająca się i mówiąca jak ktoś z Ziemi Niczyjej odruchowo wykonuje dworskie gesty. Z pewnością żadna kobieta z tych stron nigdy dotąd przede mną nie dygnęła. Kim była Fia?

— Kim jesteś? — chciał wiedzieć Tom.

— Nie jestem pewna.

— Aha! — skwitował. — Zaczekaj tu chwilę, kochanie — dodał. Złapał mnie za rękę i wyciągnął poza zasięg jej słuchu. — Widziałem to już kiedyś, w Almsbury. Will Larkin oberwał w głowę podczas bójki z jakimś obcym na letnim jarmarku. Obaj byli pijani jak świnie. Cios wybił mu z głowy całą pamięć. Przez dwa tygodnie Will nie wiedział, kim jest, co się zdarzyło ani w ogóle nic. Potem wszystko wróciło, ale powoli. Z tą dziewczyną na pewno było podobnie.

Przytaknąłem. Nie sprawiała na mnie wrażenia kogoś, kto oberwał w głowę. Gdzie były siniaki? Nie miałem jednak lepszego wyjaśnienia i nie chciałem też jeszcze bardziej rozgniewać Toma.

— Musimy się nią zaopiekować, dopóki pamięć jej nie wróci — mówił mój towarzysz z być może zbyt wielkim entuzjazmem. — Ale niech ci się nie zdaje, że o wszystkim zapomniałem, Roger. I nie próbuj już mnie odsyłać ani uciekać! — zakończył i wrócił do Fii.

Chwiała się lekko na nogach, nie spuszczając ze mnie spojrzenia oczu zielonych jak oczy Cecylii.

16

Tom, zwykle tak nieodpowiedzialny, naprawdę stworzył plan. Mieliśmy wrócić do porzuconej chaty pod wodospadem — należącej do rodziny Jee, choć oczywiście Tom o tym nie wiedział — i uczynić ją zdatną do zamieszkania. On i Owc będą polować, ja będę zbierać orzechy i jagody, a Fia będzie odpoczywać i czekać, aż wróci jej pamięć. Nie wspomniał o tym, że będzie z nią spał, podczas gdy ja wyruszę na poszukiwania orzechów i jagód, podejrzewam jednak, że to również była część jego planu. Rzekł tylko:

— W ten sposób przynajmniej będzie miała dach nad głową, dopóki nie wróci do zdrowia.

— Dość kiepski dach — zauważyłem, przypominając sobie wielką dziurę w dachu i zapadające się ściany.

— Naprawię go — zapewnił Tom. — Jestem w tym dobry.

Pewnie, że był. Świetnie sobie radził z wszelkiego rodzaju pracą fizyczną. Umył twarz w stawie, przycesał blond włosy i przytroczył sobie do pleców jedną ze strzelb. Wydawał się bardzo męski i pewny siebie. Fia siedziała nieco z boku, przy płonącym ognisku, choć słońce zaszło dopiero przed chwilą i na niebie nie pojawiła się jeszcze ani jedna gwiazda.

Prawdę mówiąc, sprawiała wrażenie potrzebującej ciepła. Tom rozłożył przy ognisku swój płaszcz, który do tej chwili był moim płaszczem,

i dziewczyna usiadła na nim, pochylając głowę i skryte pod szarą suknią ramiona. Jej szczupłe ciało wyglądało na ledwie zdolne podtrzymać smutek zawarty w wygiętej szyi i opadających ramionach. Obserwowałem ją kąciakiem oka, słuchając jednocześnie planów Toma. W pewnej chwili jej barki zadrżały od czegoś, co mogło być krótkim, bezgłośnym łkaniem.

— ...i wtedy będziemy mogli... Peter, nie słuchasz!

— Słucham. — Faktycznie słuchałem, uważając na każdą zmianę intonacji. Nadal nie byłem pewien, jak i kiedy może spróbować mnie ukarać za kłamstwa. Kiedy myślał o mojej zdradzie, byłem „Rogerem”, w innych zaś chwilach „Peterem”. — To dobry plan.

— Też tak sądzę — odparł z zadowoleniem.

— A co, jeśli nie odzyska pamięci?

— Och, odzyska — zapewnił z przekonaniem. — Tak samo jak Will Larkin. Potem znowu był tak samo wredny jak zawsze. Wszyscy w Almsbury lubili go bardziej, kiedy nie wiedział, kim jest. Ale ona stanie się jeszcze lepsza. — Obrzucił Fię czułym spojrzeniem. — Chodź, powiemy jej.

Przedstawiliśmy dziewczynie plan.

— Nie — odpowiedziała.

— Nie? — Tom był szczerze wstrząśnięty. Nie przyszło mu do głowy, że Fia może odmówić. — A dlaczego?

— Nie mogę zostać w tej... w tej dzikiej krainie. Muszę pójść do Reginokracji.

Wlepiłem w nią zdumione spojrzenie. Już samo słowo „Reginokracja” brzmiało dziwnie, wypowiedziane z jej wyżynnym akcentem. Postawiłbym życie na to, że nigdy tam nie była. Pochodziła z Ziemi Niczyjej, albo nawet z Wrzosowiska Duszorośli. Miała zielone oczy, takie same jak Cecilia albo starzec z Hygryll, który...

Nie myśl o tym.

...ale z drugiej strony dygała jak dama dworu. Kim była?

— Do Reginokracji? — powtórzył osłupiały Tom.

— Tak.

— Ty?

— Ja — potwierdziła z bladym uśmiechem.

— Ale po co?

— Nie wiem. — Cały czas patrzyła na niego, nawet nie spoglądając na mnie. — Wiem tylko, że muszę się tam udać.

— Masz tam rodzinę? — zapytał, marszcząc czoło. Ze wszystkich sił starał się zrozumieć.

— Być może. Nie wiem tego. Myślę, że mogłam tam być pasterką.

— Aha.

Nie przychodziła mi do głowy żadna inna odpowiedź.

— Czy pamięć ci wraca, Fio? — zapytałem. — Czy dlatego uważasz, że mogłaś być pasterką?

— Nie wiem.

Nadal nie chciała na mnie spojrzeć.

— W takim razie skąd ten pomysł?

— Widzę... widzę owce... barany i owieczki...

— Stado — stwierdziłem.

— Tak.

— Małe?

Wreszcie skierowała na mnie oczy. Od ich przejrzystej zieleni umysł mi się zmacił, a członek stwardniał. Poczułem, że się rumienię. Na pewno zauważyła mój wzwód, musiała go zauważyć.

— Tak — potwierdziła delikatnym tonem. — Małe.

— Owce — odezwał się Tom z niesmakiem w głosie. — Nienawidzę owiec. — Nagle jednak poweselał. — Ale czy wystarczy ci sił, by dotrzeć aż do Reginokracji?

— Jestem silniejsza, niż się zdaje. — Ponownie zwróciła twarz ku Tomowi i odzyskałem zdolność oddychania. — Przekonasz się. Możemy już ruszać na północ.

— W tej chwili?

Wszystkie jego plany nagle się załamały. Być może wyobrażał sobie miły wieczór przy ognisku, liczył na to, że zasną szybko, pozwalając mu poflirtować z Fią w blasku księżyca. Kto wie, co mogłoby się wydarzyć później?

— No cóż, możemy wyruszyć jutro — odparła.

— Ja nie mogę iść do Reginokracji — oznajmiłem.

Na chwilę zapadła cisza.

— Tak jest, do licha! — przerwał ją wreszcie Tom. Do jego głosu powrócił entuzjazm. — Nie może! Ścigają go żołnierze dzikusów.

Fia nie zapytała, czego ci żołnierze ode mnie chcą. Pochyliła tylko głowę i zgarbiła się. W przypadku innej kobiety mogłoby to umniejszyć jej urodę, ale gdy chodziło o Fię, obudziło tylko mój instynkt opiekuńczy. Sprawiała wrażenie pełnej napięcia, a jednocześnie dogłębnie smutnej. Przypominała rozciągnięty maksymalnie sznurek, który wie, że w którejś chwili musi pęknąć. Ale z drugiej strony któż byłby spokojny, gdyby utracił wszystkie wspomnienia? Jeśli nie wiemy, kim jesteśmy, czy w ogóle jesteśmy kimkolwiek?

— To prawda, pani — potwierdziłem. — Ścigają mnie żołnierze dzikusów.

Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, czy rzeczywiście tak jest. Nie miałem też pojęcia, skąd mi się wzięło słowo „pani”. Kimkolwiek mogła być ta

dziewczyna, nie była lady Cecilią.

Fia nie zareagowała na moje potknięcie, a wątpię, by Tom je zauważył.

— No dobra, to rozstrzyga sprawę — stwierdził. — Roger musi tu zostać, a ja zaprowadzę cię z powrotem do Reginokracji.

Szczęśliwie dla Toma, wszyscy żołnierze dzikusów, którzy widzieli jego twarz, zginęli.

— Nie — powtórzyła Fia.

— Nie? A dlaczego? — zapytał raz jeszcze Tom.

— Nie możemy zostawić tu Rogera samego.

Tom łypnął na mnie spode łba, ale nadal mówił do Fii.

— Czemu by nie? Jest już dorosły.

— Potrzebuję was obu — odparła po prostu. — Bo... boję się.

— Czego się boisz, Fio? — zapytałem łagodnym tonem.

Pokręciła głową z boku na bok.

— Pewnie, że się boisz, kochanie! — odezwał się Tom. — Nic nie pamiętasz, nie masz broni, jesteś samotną kobietą zagubioną na Ziemi Niczyjej, ale możesz polegać na Tomie Jenkinsie! Roger musi tu zostać, ale ja natychmiast odprowadzę cię do domu. Znajdziemy to twoje stado owiec i może dzięki temu odzyskasz pamięć. No wiesz, znam takiego chłopca, Willa Larkina, i on kiedyś na letnim jarmarku...

Tom nie przestawał gadać, trzymając wielką łapę na ramieniu Fii, oferował jej opiekę, pewność, plany podróży i wszystko poza dozą wiernością, choć nie wątpiłem, że ją również obieca, jeśli okaże się to konieczne, by zaciągnąć dziewczynę do łóżka. Fia słuchała go z powagą, nie odzywając się ani słowem, ale jej zielone oczy co chwila zerkały w bok, na mnie. Wyczytałem w nich przekaz albo błaganie brzmiące: „Nie zostawiaj mnie z nim sam na sam”.

Wiedziałem, że tego nie zrobię. Nie sądziłem, by Tom mógł kiedykolwiek zniewolić kobietę, potrafiłem sobie jednak wyobrazić, że zamęczy ją i zmusi do kapitulacji. W końcu miał przedtem Betsy, Joan, Agnes, Nell i całą resztę dziewczyn, którymi się przechwalał, gdy leżeliśmy po przeciwnych stronach tak wielu ognisk. Słuchałem go z mieszaniną zazdrości i niedowierzania. Jediną kobietą, z jaką w życiu spałem, była Maggie. Muszę im towarzyszyć, na wypadek gdyby Tom miał jednak spróbować zniewolić Fię...

Nie. Nie o to chodziło. Chciałem być przy niej. To prawda, że wysoko na Ziemi Niczyjej groziło mi znacznie mniejsze niebezpieczeństwo niż w Reginokracji, i było też prawdą, że zamierzałem raz jeszcze przejść na drugą stronę, wyruszyć na Wrzosowisko Duszorośli i poszukać matki w krainie Umarłych. W końcu po to właśnie tu przybyłem.

Ale największa prawda brzmiała tak, że bałem się znowu przejść na drugą stronę.

Te ciemniejsze plamy sunące ku mnie pośród mgły oraz poruszające się w ich środku postacie. W krainie Umarłych nigdy nie poruszało się nic oprócz mnie. Te nieruchome, brzęczące obłoki pośrodku kręgów Umarłych. Wiedziałem, że to obserwatorzy z Duszorośli. Niesamowite milczenie wszechobecnej mgły. A przede wszystkim dobiegający z niej kobiecy głos wypowiadający moje imię. Wypowiadający słowa z mojego snu: „Nie żyję od jedenastu lat”. A potem śmiech, od którego dreszcz wnikał mi aż do kości.

Bałem się znowu przejść na drugą stronę. Wszystkie moje plany odnalezienia matki... Nadal zamierzałem je zrealizować. Musiałem to zrobić. Ale jeszcze nie teraz. Na razie zostanę z Fią, by „chronić” ją przed Tomem, co pomoże mi odwlec chwilę, gdy znowu będę musiał stawić czoło

owym straszliwym sylwetkom z mgły i powodującemu dreszcze głosowi. Odwlec ją przynajmniej na krótki czas.

Nie zdawałem sobie sprawy, że wyraz mojej twarzy się zmienił, ale Fia przerwała nagle Tomowi:

— Świetnie. A więc zdecydowaliśmy, że Roger zostanie z nami. Jutro zastanowimy się, jak dotrzeć do Reginokracji. Tom, czy mógłbyś przynieść mi trochę wody? Okropnie chce mi się pić.

Uśmiechnęła się do niego w zapadającym mroku.

Być może nikt nie jest tym, kim się wydaje.

Fia wydawała się bardzo krucha, całkowicie straciła pamięć i ostatniej nocy smętnie osunęła się na ziemię, ale gdy obudziłem się rano, już nie spała. Jadła jagody, zebrane w jej fartuchu. Od pozostałych po poprzedniej nocy węgielków zapaliła ognisko. Nad konstrukcją z zielonych gałązek ustawiła garnek Toma.

— Dzień dobry, Roger — przywitała mnie. — Chcesz herbaty?

Usiadłem.

— Herbaty?

— Tak. Jest dobra.

Ostrożnie naląła brązowego płynu z garnka do jednego z metalowych kufli ukradzionych przez Toma z chaty w Almsbury. Poczułem zapach herbaty. Fia zrobiła ją z jakichś dzikich ziół. Napar nie był słodki, ale mocny i aromatyczny. Jego ciepło wypełniło moje przemarznięte po nocy ciało. Tom chrapał głośno po drugiej stronie ogniska.

— Dziękuję — rzekłem. — Gdzie się nauczyłaś ją parzyć?

— Nie wiem. Może pracowałam w kuchni na jakimś dworze?

— Nie sądzę, by na Ziemi Niczyjej były dwory.

Ale przecież wczoraj przed nami dygnęła.

— Nie wiem.

— Wczoraj powiedziałaś, że mogłaś być pasterką.

— Po prostu nie wiem. O, Owc, dobry pies!

Przyniósł w pysku królika i położył go u stóp Fii. U jej stóp, nie u moich. Do tej pory wszystkie upolowane zwierzęta przynosił mnie. Dziewczyna ułożyła jagody na szerokim liściu, podniosła nóż Toma, leżący obok na ziemi i zaczęła oprawiać królika. Robiła to bardzo szybko i sprawnie, nie okazując ani śladu obrzydzenia.

— Chcesz trochę jagód? Są bardzo słodkie.

— Fio, kiedy właściwie się obudziłaś?

— Nie jestem pewna.

— Źle spałaś?

— Nie, całkiem dobrze. Nie, Owc, to jest dla Rogera. Sam znajdź sobie śniadanie.

Zakręciło mi się w głowie. Od herbaty? Nie, to była Fia. Zajęta krwawą robotą dziewczyna wyglądała tak pięknie w blasku porannego słońca, że wszystkie ścięgna mojego ciała rwały się ku niej. Pożądałem jej tak intensywnie jak niegdyś Cecylii, silniej, niż kiedykolwiek pragnąłem Maggie. Ten fakt całkowicie zbijał mnie z tropu i wypełniał wstydem. Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś zobaczę Maggie. Byłem zbyt niebezpieczny dla niej i dla Jee. Zerwaliśmy ze sobą na tym słonecznym stoku. Zostawiłem ją tam, kiedy spała. Czemu więc uważałem, że pragnąc dotknąć Fii, jestem niewierny Maggie?

Oszołomiony tym, siedziałem bez słowa, nadaremnie próbując trzymać kufel tak, by Fia nie zauważyła mojego wzrodu. Pochyliła się, by włożyć królika do ognia, i jej piersi rozciągnęły gorsecik sukni. Zamknąłem oczy.

— Proszę, pieczony królik!

Po raz pierwszy cieszyłem się z radosnego braku spostrzegawczości, jakim cechował się Tom.

— A niech to, kochanie! Jest świetny! Nie mógłbym zacząć dnia lepiej.

— Naleję ci trochę herbaty — zaproponowała Fia. — Roger, możesz już oddać mi kufel?

Późnym rankiem zdążyła już nas dobrze nakarmić i skłonić do wyruszenia w drogę. Pierwszy szedł Tom. By dodać sobie ważności, uzbroił się w nóż i we wszystkie trzy strzelby. Pomagał Fii przejść przez kłody, które z łatwością mogłaby pokonać sama. Ja podążałem za nimi, trzymając laskę w jedynej dłoni. Kolumnę zamykał Owc. Co kilka minut odbiegał na bok, by zbadać jakąś norę albo stary trop. Poranek był pogodny i bardzo ciepły. Na wszystkich gałązkach śpiewały ptaki.

Szliśmy na północ, kierując się z powrotem do Reginokracji, nie miałem jednak zamiaru zapuszczać się dalej niż do opuszczonej chaty rodziny Jee. To by znaczyło, że od Wrzosowiska Duszorośli nadal będzie mnie dzielił tylko dzień drogi, a zarazem pozostanę tak daleko na południu, że żołnierze Młodego Wodza mnie nie znajdą. Taką przynajmniej miałem nadzieję. Zrobię, co tylko będę mógł, by jak najdłużej zatrzymać Fię w tej chacie. Nie miałem jednak pojęcia, jak długo zechce tam zostać. Sprawiała wrażenie bardzo zdeterminowanej dotrzeć do Reginokracji. Jak ktoś, kto stracił pamięć, mógł mieć cel podróży?

Obserwowałem słoneczny blask tańczący na gładkich, czarnych falach jej rozpuszczonych włosów.

— Nie potknij się o ten kamień — ostrzegł ją Tom. — Czujesz się zmęczona?

— Ani trochę. — Obejrzała się przez ramię. — Roger? Zmęczyłeś się?

Tak jest, byłem zmęczony. I obolały. Czuję ból w stopach, w kikucie ręki, a także w sercu. Suknia Fii zahaczyła o krzak jeżyn i Tom ją uwolnił. Miał silne, zdrowe, nieuszkodzone ciało, przystojną twarz i blond włosy.

Późnym popołudniem dotarliśmy do chaty przy górskim wodospadzie. Fia przyjrzała się jej z uwagą.

— Hmmmm — mruknęła.

Wymieniliśmy z Tomem spojrzenia. Co miało oznaczać to „hmmmm”?

— Hmmmm — powtórzyła dziewczyna. — Nie nadaje się nawet dla kóz.

— Na szczęście nie mamy kóz — odezwał się Tom, próbując być dowcipny.

— Żadni ludzie nie mogliby tu mieszkać.

Nie powiedziałem jej, że ludzie tu mieszkali.

— Zostało jeszcze wiele godzin dnia — ciągnęła Fia. — Możemy zajść dalej. Jeśli... Co to było?

— Nic nie słyszałem — stwierdził Tom.

Ale ja słyszałem. Dźwięk rozległ się znowu, słaby i odległy. Fia miała zdziwioną minę, a ja zdobyłem o niej kolejną informację. Wcale nie pochodziła z Reginokracji, a przynajmniej nie była w niej ostatnio.

— Co to za dziwny hałas? — zapytała.

— Strzelby — odparłem.

Owego dnia nie słyszeliśmy już więcej strzelb. Może to myśliwi dzikusów strzelali do zwierzyny. Żołnierze muszą jeść tak samo jak wszyscy. A może jakimś mieszkańcom Ziemi Niczyjej udało się zdobyć strzelby, podobnie jak Tomowi, i robili z nich teraz dobry użytek. Albo ludzie Młodego Wodza rzeczywiście mnie szukali.

— Nie pójdę dalej — oznajmiłem Fii. — Nie mogę.

Na północy żołnierze, na południu Wrzosowisko Duszorośli, a ja bałem się obu tych zagrożeń. Nie wiedziałem, jaką ostatecznie podejmę decyzję, byłem jednak pewien, że w tej chwili nie zrobię nic. To chyba będzie najbezpieczniejszy wybór. W górach dźwięk niesie się bardzo dobrze,

odbija się echem od skalnych ścian i wzmacniają go kaniony. Żołnierze — jeśli to rzeczywiście byli żołnierze — mogli być bardzo daleko. Albo i nie.

Fia nie patrzyła na mnie, kiedy mówiłem. W pierwszej chwili myślałem, że w ogóle mnie nie słyszała. Wlepiała wzrok w rozsypujący się dach chaty. Potem weszła do środka i spojrzała na niebo przez dziurę w tym dachu. Tom i ja podążyliśmy za nią.

— Hmmmm — powtórzyła raz jeszcze.

— Kochanie — odezwał się Tom — czemu nie miałbym rozpalic ogniska w tym sosnowym gaju i...

— Wszystko da się naprawić — skonkludowała Fia. — Zrobimy z tego przytulną chatę.

Zamrugalem. Tom był wyraźnie zbity z tropu. Nic w tym dziwnego. Czyż Fia przed chwilą nie powiedziała, że chata nie nadaje się nawet dla kóz? Zwróciła się w naszą stronę i obdarzyła nas czarującym uśmiechem.

— Masz rację, Tom — oznajmiła. — Jestem bardziej zmęczona, niż mi się zdawało. Gdy tylko się zatrzymaliśmy, dopadło mnie znużenie. Chyba nie czuję się za dobrze. Czy moglibyśmy się tu zatrzymać na kilka dni?

— Oczywiście, kochanie!

Tom był wyraźnie gotowy zatrzymać się tu na kilka dni, na kilka miesięcy albo i na zawsze. Fia kucnęła wdzięcznie.

— Gdybym mogła dostać trochę wody...

Pobiegł po bukłak. Fia spojrzała na mnie. Uśmiech zniknął z jej twarzy, ustępując miejsca smutkowi tak wielkiemu, że zapomniałem języka w gębie. Jeszcze bardziej niż zwykle. W podobnych chwilach przypominała mi Cecilie tak bardzo, że to było jak fizyczny cios. Ale u Cecilii nigdy nie widziałem takiego smutku. Nie podejrzewałem też, by była zdolna do podobnej dwulicowości. Cecilia była naiwnym kotkiem, kochanym i bezradnym, Fia zaś kimś zupełnie innym. Nie wiedziałem kim.

— Fio, kim jesteś? — zapytałem cicho.

— Nie wiem — odparła. Potrząsnęła głową i moje serce rozpruło się z żalu nad nią. A może z pożądania.

— Dlaczego chcesz iść do Reginokracji?

Znów potrząsnęła głową. Potem wrócił Tom z bukłakiem i jej smutek zniknął, zastąpiony atakiem wicia gniazda, z jakiego mógłby być dumny każdy drozd.

— Dziękuję, Tom. Zostało nam jeszcze kilka godzin dnia. Masz siekierę? Nie? Szkoda. No cóż, jeśli dasz radę ułamać trochę gałęzi grubości twojego nadgarstka, nazbieram trawy na tej polanie i do zmierzchu zdążymy załatać dach. Roger, bardzo byś nam pomógł, gdybyś mógł oczyścić palenisko i rozpalić ogień. Wyślij Owca na polowanie. Przy wodospadzie widziałam dziką cebulę...

— Myślałem, że jesteś zmęczona — przerwałem jej tonem ostrzejszym, niż było to moim zamiarem.

— Jestem — odparła spokojnie — ale musimy to wszystko zrobić pomimo zmęczenia.

Te słowa i ten ton mogłyby pochodzić od Maggie.

— Pewnie, że to wszystko trzeba zrobić! — zgodził się Tom. — Powinniśmy zacząć już teraz.

Pobiegł poszukać gałęzi grubości swego nadgarstka. Fia podążyła za nim, nawet na mnie nie spoglądając.

Spojrzałem na palenisko. Było w nim pełno starego popiołu oraz mysich odchodów. Zacząłem je czyścić jedną ręką.

O zachodzie słońca chata może i nie była przytulna, ale nadawała się do zamieszkania. Spaliśmy w środku, przy ogniu płonącym na prawdziwym palenisku. Fia kazała nam pracować jeszcze po zmierzchu, a za dnia pokonaliśmy bardzo długą drogę, wszyscy troje zasnęliśmy więc szybko

i spaliśmy dobrze. Niemniej nad ranem nadeszły sny. Nigdy dotąd się nie zdarzyło, by dwa moje koszmary połączyły się w jedno.

Moja matka ma na sobie lawendową suknię i siedzi z dzieckiem na kolanach. Jestem jednocześnie obserwatorem i tym dzieckiem, bezpiecznym w ciepłych matczynych ramionach. Matka śpiewa mi coś cicho. Z początku myślę, że to melodia bez słów. Potem stają się one wyraźniejsze i krew w żyłach Rogera Obserwatora mrozi groza. „Umrzyj, dziecko, umrzyj, umrzyj, moje maleństwo, umrzyj, umrzyj...”. Potem scena się powiększa i widzę, że matka z dzieckiem siedzą na dworze, na płaskim wyżynnym wrzosowisku. Jest noc. Czuję w ustach smak pieczonego mięsa, soczystego i tłustego. W cieniach poza kręgiem światła mojej pochodni poruszają się nieludzkie stworzenia oraz jedna kobieta, i to jej głos dobiega mnie z mroku. Dostrzegam błysk ozdobionej klejnotami korony. „Roger. Hisaf”.

— *Przecież nie żyjesz — mówię.*

— *Od jedenastu lat — odpowiada ze śmiechem, od którego dreszcz wnika mi aż do kości. Moja matka krzyczy: „Nie, nie, nie, nie...”.*

— *Roger! Obudź się, do cholery!*

Tom potrząsał mnie za ramię. Fia spała, owinięta jego płaszczem. Z ognia zostały tylko rozżarzone węgielki, rzucające czerwony blask na gniewną twarz Toma.

— *Cholera, jak człowiek może spać, kiedy tak wrzeszczysz! Mogłeś też obudzić Fię! Ona źle się czuje!*

— *Przepraszam — odparłem, choć to nie mogło wystarczyć. Koszmar nadal wypełniał mój umysł niczym żółć.*

— *Przestań to robić — poskarżył się Tom. — Straszysz człowieka! — Jego twarz nagle przybrała bardziej czujny wyraz. Nocą zawsze był przytomniejszy ode mnie. Ja wolałem poranki. — Posłuchaj, Roger. Chyba*

już czas, żebyś wyjaśnił mi tę sprawę z George'em i buntem, którego nie ma.

— Przepraszam — powtórzyłem. Miałem jednak wiele godzin na jawie, by przygotować potrzebne kłamstwa. — Zastanów się, Tom. Chodziło mi tylko o twoje dobro. Wiedzieliśmy, że ścigają mnie dzikusy. Ale z drugiej strony wszyscy, którzy widzieli twoją twarz, nie żyją. Jeśli jednak znajdą nas razem, zabiją ciebie tak samo jak mnie. Mogą cię nawet torturować tak samo, jak już raz zrobili to ze mną. Dlatego...

— Dlatego wymyśliłeś tę pochrzanioną opowieść o George'u i buncie? Chciałeś mnie odesłać w bezpieczne miejsce?

— Tak.

Tom zastanowił się nad moimi słowami. Nawet w panującym w chacie mroku dostrzegłem, w której chwili uznał je za prawdę. Miał szczodłą, wolną od podejrzliwości naturę, a do tego jego mózg pracował tak powoli, że niemal wszystkie kłamstwa mogły go prześcignąć. Tym razem to on, a nie Fia, przypominał mi Cecilie. Mimo potężnych mięśni był małym kotkiem.

— Rozumiem — rzekł. Na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech. — Bardzo się cieszę, Peter. Zawsze wiedziałem, że nie zdradziłbyś mnie naprawdę. Nie mógłbyś tego zrobić. Przecież razem poszukujemy przygód. Ale nie powinieneś próbować mnie chronić. To nie twoje zadanie. To ja mam chronić ciebie!

— W porządku — zgodziłem się. Tom nie miał pojęcia, przed czym potrzebowałem ochrony i jak niewiele mógłby w tej sprawie zrobić.

— Drżysz — dodał. — Zimno ci? Fia ma mój płaszcz, ale jeśli chcesz położyć bluzę na kocu...

— Nie, nie, nic mi nie jest.

— Na pewno?

— Tak. Wracaj spać, Tom.

— W porządku.

Ale żaden z nas łatwo nie zasnął. Udawałem, że chrapię, jednak mój umysł nie chciał się odczepić od koszmarnego snu. Tom wiercił się i przewracał z boku na bok, a dwa razy zapytał cicho:

— Peter?

Pragnął towarzystwa. Ja nie. W końcu uspokoił się i zaczął oddychać głębiej.

Ja zdołałem zasnąć dopiero przed świtem. Bałem się snów, które mogły mnie nawiedzić. Gdy wreszcie obaj się obudziliśmy, niemal jednocześnie, było już dawno po świcie. Fia gdzieś zniknęła, a Owc razem z nią.

18

Wróciła w południe, razem z Tomem.

— Mówiłem, że ją znajdę! — zawołał do mnie triumfalnie. — Potrafię wytropić każdą zwierzynę!

— Nie jestem zwierzyną — odparła poirytowana Fia. — I wcale się nie zgubiłam. Po prostu zbierałam rzeczy, których potrzebujemy.

Związała przed sobą fartuch, tworząc coś w rodzaju torby. Często widywałem, jak wieśniaczki nosiły rzeczy w ten sposób. Kucnęła z wdziękiem i rozwiązała fartuch. Nozdrza wypełniła mi ostra woń dzikiej cebuli. Fia przyniosła też kilka garści orzechów, rozmaitych roślin, których nie poznawałem, pęk liści związanych pnączem, sporo warzyw oraz dwanaście czarnych kamieni wygładzonych w jakimś strumieniu. Gdy rozwiązała liście, okazało się, że w środku są cztery jaja przepiórki.

— A niech to! — zawołał z entuzjazmem Tom. — Uwielbiam przepiórcze jaja!

— W takim razie zmiatajcie i pozwólcie mi przygotować południowy posiłek.

— Po co ci te kamienie? — zapytałem.

Uśmiechnęła się do mnie i moje serce zabiło gwałtownie. Umyła włosy i wyprała ubranie, być może w tym samym strumieniu, w którym znalazła kamienie. Wilgotne kosmyki lepiły się do jej ślicznej szyi. Wyobraziłem

sobie jej kąpiel, nagie ciało w zimnej, wartkiej wodzie, i mój członek natychmiast zareagował jak żołnierz na paradzie. Czy to zauważyła? Miałem nadzieję, że nie.

— Zawołaj mnie, kiedy śniadanie będzie gotowe. Muszę... poszukać Owca. — Oddaliłem się pośpiesznie od chaty, wołając: — Owc! Owc!

Fia zachichotała cicho za moimi plecami.

Przyrzędziła lekką sałatkę z jajami na twardo, a na kolację gulasz z królika. W ciągu kilku następnych dni zrobiła też łóżka z sosnowych gałęzi, których słodki zapach niemal całkowicie przegnał wypełniający chatę odór stęchlizny. Uplotła koszyk do zbierania jagód. Wykonała pochodnie z sitowia zanurzanego w sosnowej żywicy. Wystrugała z kości haczyki i łapała na nie ryby. Kazała Tomowi poszukać w lesie kłód, a w strumieniu gładkich, płaskich kamieni, które posłużyły za ławy i stół. Znalazła w lesie orzechy hikory i letnie jabłka, w strumieniu małże, a na bagnie pałki. Nawet Maggie nie zdołałaby osiągnąć więcej.

— Ale, kochanie — mówił Tom, kładąc wielki płaski kamień na postawionej na sztorc kłodzie — nie potrzebujemy sideł Petera. Owc przyniesie nam zwierzynę.

Spojrzał na chybczący się głaz, świetnie wiedząc, że Fia każe mu go poprawić.

Dziewczyna uniosła wzrok znad orzechów, z których tłukła coś w rodzaju mąki. Smutek powrócił, tak głęboki, że nawet Tom go zauważył.

— Co się stało, kochanie? Owc nie wrócił? — Nie odpowiedziała. Tom spojrzał na mnie. — Peter, czy Owc wrócił?

— On już nie wróci, prawda? — zapytałem Fię.

Ponownie pochyliła się nad pracą.

— Skąd mam wiedzieć? Siedzę tu z wami.

Wiedziała.

— Pewnie, że wróci! — sprzeciwił się Tom. — To dobry pies! Peter, chcę porozmawiać z tobą na dworze.

Zostawiliśmy Fię przy pracy — łup, łup, tłuła kamieniem jądra orzechów — i wyszliśmy z chaty. Tom odciągnął mnie na bok.

— Wysłuchaj mnie, Peter. Dziewczyna mnie lubi, a ja lubię ją. To oczywiste. Czy mógłbyś zostawić nas po kolacji samych na... powiedzmy kilka godzin? Aż zrobi się zupełnie ciemno?

Nie wiedziałem, co mu rzec. Twarz Toma natychmiast pociemniała.

— Nie pragniesz jej dla siebie, prawda? — zapytał bez ogródek. — Bo ona ciebie nie chce.

Czy rzeczywiście? Ostatnio uśmiechała się do mnie częściej niż do Toma, a raz czy dwa zdawało mi się, że w kołysaniu się jej bujnych piersi dostrzegam zaproszenie... ale z pewnością się myliłem. Tom był bardzo przystojny i pewny siebie, a do tego miał znacznie więcej doświadczenia z kobietami niż ja. Ja znałem tylko Cecilie, którą kochałem, ale z nią nie spałem, i Maggie, z którą spałem, ale jej nie kochałem. Nic nie wiedziałem o kobietach i wiedziałem, że nic o nich nie wiem. A Tom uratował mi życie.

— Nie — odparłem z przygnębieniem. — Nie pragnę jej dla siebie. Ale, Tom, nie będziesz nalegał, prawda? Nie spróbujesz jej zniewolić?

Pomyślałem, że może się rozgniewać, a nawet mnie uderzyć. Przygotowałem się na cios. On jednak ryknął serdecznym śmiechem.

— Zniewolić? Chłopcze, Tom Jenkins nigdy nie musiał zniewolić kobiety! Jeśli mężczyzna nie potrafi namówić dziewczyny, by się położyła i dobrowolnie rozstawiła nogi, to znaczy, że na nią nie zasługuje! A ja potrafię! No dobra, znajdź sobie po kolacji coś do roboty w lesie.

Nie czekając na moją odpowiedź, odwrócił się i ruszył z powrotem do chaty. Nawet lord Robert Hopewell, lord protektor księżniczki Stephanie, nie mógłby promieniować większą męską siłą i pewnością siebie.

Odprowadzając go wzrokiem, dotknąłem palcami skórzanej obroży Cienia, którą miałem w kieszeni. Zastanawiałem się, gdzie się podział Owca. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego Fia chciała pójść do Reginokracji i dlaczego zwlekała w tym miejscu. Myślałem o tym, ile czasu będzie potrzebował Tom, by ściągnąć z niej suknię. Próbowałem dociec, dlaczego zawsze było mi przeznaczone utracić wszystko, czego rozpaczliwie pragnąłem.

Fia jednak miała inne plany.

Gdy tylko skończyliśmy posiłek, Tom zaczął ponaglać mnie znaczącymi spojrzeniami. Jedliśmy kolację na dworze, siedząc na gołej ziemi przed chatą. Pochyłe promienie słońca dotykały szczytów drzew, nadając im zielonozłotą barwę. Fia wyjęła z fartucha dwanaście gładkich kamieni i ułożyła je przed nami.

— Zagrajmy w baza! To świetna zabawa! Nauczę was!

Słodki, błagalny uśmiech kłócił się z jej rozkazującym tonem. Była Cecilią, była Maggie, była sobą.

— Co to jest baza? — zapytał Tom z niezadowoloną miną.

— Gra losowa.

Twarz mu się rozpromieniła.

— Och, świetny pomysł! Mam kości! Wiesz co, kochanie? My zagramy, a Peter pójdzie nazbierać drewna na nocne ognisko. Dzisiaj jego kolej.

— Zebrałam już drewno — odpowiedziała Fia.

— Och! W takim razie Peter pójdzie... pójdzie...

— Muszę sprawdzić sidła — przerwałem mu z przygnębieniem w głosie. — Dobrze, że zrobiłaś pochodnie z sitowia, Fio. Wezmę jedną, aby oświetlić sobie drogę. To na pewno zajmie mi sporo czasu. Szczerze mówiąc, mam ochotę na dłuższą przechadzkę.

— Przejdiesz się jutro — stwierdziła łobuzerskim tonem. — Dzisiaj zagramy w baza. Tom zacznie. Weź w rękę sześć z dwunastu kamieni, Tom, i rzucaj nimi do trójkąta, który narysuję na piasku.

Narysowano na piasku mnóstwo trójkątów i wiele razy rzucono kamieniami. Mimo woli dałem się wciągnąć. Okazało się, że baz tylko częściowo jest grą losową. Wymagał również strategii, jak prawdziwa bitwa. Trzeba było przechytrzyć przeciwnika. Fia była w tym dobra, ale ja byłem lepszy.

Tom grał beznadziejnie i szybko się znudził. Zrobił się ponury i mrukliwy, co chwila też spoglądał na mnie znacząco. Zostaw nas! Nie znalazłem jednak pretekstu, który pozwoliłby mi to zrobić, a Fia nalegała, byśmy grali dalej.

— To był bardzo dobry ruch, Roger — pochwaliła mnie. Moje serce rozjarzyło się na moment, dopóki nie spojrzałem na twarz Toma. — Nie potrafię uwierzyć, że nigdy w to nie grałeś.

Była jednak pewna, że nigdy nie graliśmy w baza. Nawet nas nie zapytała, czy znamy zasady, tylko od razu zaczęła nam je wyjaśniać. To była zagraniczna gra, pochodząca z tego samego miejsca co ona. Fia wiedziała, że ludzie z Reginokracji nie mogą jej znać. Skąd?

Tom rzucił swoje ostatnie kamienie.

— Dobranoc — odezwał się nagle, nawet nie próbując ukryć niezadowolenia i poczucia upokorzenia. Obrzucił mnie wściekłym spojrzeniem. — Czy będziecie grać bardzo długo?

Rozumiałem go.

— Nie. Mnie też chce się spać. Dobranoc.

Położyłem się ostentacyjnie na posłaniu z sosnowych gałęzi, zwracając twarz ku ścianie chaty. Kilka cali od moich oczu pająk prządlł swą sieć.

— A więc dobranoc — rzekła Fia i również się położyła, owinięta w płaszcz Toma, jakby był on niezdobytą twierdzą.

Tom kłął po cichu w ciemności. Ja obserwowałem pająka. Złapał muchę i powoli, systematycznie owijał ją w swe jedwabne sidła, zbyt mocne, by mogła je zerwać.

* Rano Tom demonstrował radość, wrodzona pewność siebie odzyskała władzę nad jego umysłem, ale pod powłoką dobrego humoru nadal kryły się pozostałości wczorajszego gniewu. Przy pierwszej okazji wskazał głową na Fię i mrugnął do mnie znacząco. Poszedłem sprawdzić sidła, nim dziewczyna zdążyła mnie poprosić, bym zrobił coś innego. Tym razem zostawiłem laskę. Po drodze dotykałem obroży Cienia, którą miałem w kieszeni bluzy. Raz nawet ją wyciągnąłem, by przyjrzeć się znakom wytrawionym w skórze. Brakowało mi Cienia. Brakowało mi Owca.

Ranek przyniósł mi dwa króliki i ból serca.

Tom jednak nie zyskał nic. Gdy w południe wróciłem do chaty, był zgrzany i spocony od budowania tamy na strumieniu poniżej wodospadu, mającej pogłębić płytki staw.

— Nie poszcęściło mi się — warknął. — Ta dziewczyna jest śliska jak wysmarowany tłuszczem słup! Znowu zniknęła na cały ranek. Poszła „nazbierać prowiantu”, a mnie zostawiła z tą głupią robotą. To ma być „basen”. Po co jej basen? Ludzie nie powinni się kąpać częściej niż kilka razy do roku. To niezdrowe.

Fia kąpała się codziennie, ale żaden z nas tego nie widział. Okazało się, że basen był przeznaczony dla nas. Oczekiwała, że my również będziemy się kąpać każdego dnia. Co więcej, chciała, żebyśmy robili to rano, gdy wyruszała na poszukiwania żywności. Codziennie przynosiła nowe jaja, dzikie warzywa na sałatkę, bulwy psizęba, które piekliśmy na węglach,

a także orzechy, jagody, niezwykle zioła, a nawet trochę młodego dzikiego miodu.

— Jak udało ci się okraść pszczoły? — zapytałem, czując, że ślinka podchodzi mi do ust. — Nie użądliły cię?

— Nie — odparła ze swym ślicznym uśmiechem, niczego nie wyjaśniając. Toma nie interesowały wyjaśnienia ani miód. Jego nastrój zaczynał się robić niebezpieczny. Nie był przyzwyczajony, by dziewczyny mu się wymykały. Krzywił się wściekle, nie spuszczać z Fii oczu, które obróciły się w wąskie, niebieskie szparki.

Zachęcała go jednak podczas południowego posiłku, który ponownie zjedliśmy na dworze, obok nowego basenu. Uśmiechała się do Toma, a nawet trochę z nim flirtowała.

— Tom, ten basen wygląda wspaniale. Jak udało ci się przenieść tam tę kłodę? Na pewno jest okropnie ciężka!

— Aha.

— Ale dałeś radę ją podnieść.

— E, tam. Dźwigałem już większe ciężary.

Wyprostował się i wypiął pierś jak tokujący gołąb.

— Musisz mi to pokazać.

— Oczywiście, kochanie.

Fia poszła do chaty, by nalać mu kolejny kufel słodzonej miodem herbaty, grzejącej się nad paleniskiem.

— Mam ją! — wyszeptał do mnie Tom. — Po południu zostaw nas znowu, Peter!

Zrobiłem to. Usiadłem na zwalonej kłodzie z dala od chaty. Nie miałem nic do roboty, nic więc nie robiłem. Nie mogłem jednak wytrzymać tego zbyt długo. W moim mózgu zrodziła się pewna myśl, potworna i przerażająca. Musiałem poznać odpowiedź.

Istniał jednak tylko jeden sposób dający choć niewielką nadzieję na osiągnięcie tego celu. A ja oczywiście bałem się tego sposobu. Trzy razy wyciągałem mały nożyk, by ukłuć się nim i przejść na drugą stronę, i trzykrotnie się przed tym powstrzymałem. Obawiałem się powrotu do krainy Umarłych.

Postacie we mgle, kobieta wypowiadająca moje imię tonem mrozącym mi krew w żyłach... Właściwie to nie Fia powstrzymywała mnie przed przejściem. Sam to robiłem.

Dlatego siedziałem na kłodzie, przygnębiony własnym tchórzostwem. Dopiero późnym popołudniem powlokłem się z powrotem do chaty. Fia, która wypatrywała mojego powrotu, podbiegła do skraju polany.

— Roger! Gdzie się podziewałeś? Dlaczego nie było cię tak długo? Tom jest bardzo chory, a ja nie dam rady sama go udźwignąć!

19

Tom leżał na ziemi obok basenu. Język mu obrzękł do rozmiarów trzykrotnie większych niż normalne. Opuchlizna zamykała mu oczy. Jęczał z bólu, a jego kończynami od czasu do czasu targały niepowstrzymane spazmy. Klęknąłem obok niego.

— Tom, co się stało?

Odpowiedziały mi jęki.

— Oglądaliśmy basen, gdy nagle Toma dopadła choroba — wyjaśniła Fia. — Chyba... Czy jadł w lesie jakieś grzyby?

— Nie mam pojęcia. — To było możliwe. Tom był zdolny do wszelkiego rodzaju nieprzemyślanych uczynków. — Czy widziałaś już taką chorobę? Czy to grzyby ją powodują?

— Tak mi się zdaje. W każdym razie wiem, co trzeba zrobić.

— A skąd? — zapytałem bez ogródek.

— Nie wiem. Może byłam kiedyś uzdrowicielką?

— I pasterką, i służką damy, i pomocą kuchenną.

Oderwała wzrok od Toma, który jęczał na ziemi, niczego nieświadomy, i spojrzała na mnie. Na jej pięknej twarzy pojawił się grymas bólu.

— Roger, czy się na mnie gniewasz?

Tak. Nie. Nie wiedziałem, poza tym że to był nie tyle gniew, ile strach.

— Słońce świeci prosto w jego biedne oczy — rzekłem jednak tylko. — Musimy go przenieść do środka.

Potrzeba było nas dwojga, by dźwignąć jego ciężar. Ja wziąłem go za rękę, a Fia, silniejsza niżby się zdawało, za nogi. Zdołaliśmy jakoś zaciągnąć go do chaty i rozpałem ogień. Tom zaczął niepowstrzymanie drżeć i krzyczeć z bólu.

— Mogę mu zaparzyć herbaty, od której przynajmniej język się skurczy — zaproponowała Fia.

— Zrób to!

Nie wiedziałem, jak mu jeszcze pomóc. Nic w ogóle nie wiedziałem.

Zaparzyła herbatę, korzystając z nagromadzonego przez siebie zapasu ziół, i na spólkę skapnęliśmy mu trochę płynu do gardła. Po kilku minutach język zaczął się kurczyć i Tomowi trochę ulżyło. Uspokoił się, a potem zasnął. Rozpiąłem mu pas i uniosłem bluzę. Serce tłukło mi mocno. Nie zauważyłem jednak wysypki, krost ani odbarwienia skóry na szerokiej piersi. To nie była zaraza.

— To chyba rzeczywiście mogą być grzyby — stwierdziłem.

— Też tak myślę — potwierdziła Fia i rozplakała się.

Objąłem ją ramieniem i wtedy to się zdarzyło — czy raczej nie zdarzyło.

Fia obróciła się w moich ramionach. Jej łzy płynęły niepowstrzymanie i bezgłośnie na mój bark.

— On nie umrze — próbowałem powiedzieć, ponieważ Tom spał już głęboko, a na jego twarz wracały kolory. Zresztą gdyby zjadł śmiertelnie trujące grzyby, dręczyłyby go bóle brzucha i wymioty. Ale to moje słowa umarły. Fia uniosła głowę i pocałowała mnie.

Już przy pierwszym dotknięciu miękkich ust dziewczyny mój członek zeszywniał i zrobił się twardy jak kamień. Jej piersi przyciskały się do

mojego ciała. Sięgnęła ku mnie ręką i wtedy odnalazłem głos, choć moje słowa zabrzmiały ochryple.

— Nie tutaj...

Nie obok Toma, który także jej pożądał, nawet jeśli leżał teraz bez czucia.

Skinęła głową, ujęła mnie za rękę i wyprowadziła na dwór, kawałek drogi od chaty. Potem objęła mnie i znowu przycisnęła usta do moich ust. Osunęliśmy się na ziemię, całując się jak szaleni.

— Ja... — wyszeptałem. — Nie Tom? Dlaczego?

— To zawsze byłeś ty.

Położyła się na sosnowych igłach i uniosła spódnice, uśmiechając się do mnie.

Może to był ten uśmiech, wahający się między łzami a zaproszeniem. A może gest unoszenia spódnicy. Myślę jednak, że chodziło o sosnowe igły. To właśnie tutaj, w tym gaju, leżałem kiedyś w krainie Umarłych, trzymając w ramionach Cecilie. I tutaj znalazłem Maggie, wracając z Wrzosowiska Duszorośli. Wykopywała bulwy, kiedy zaś wróciłem, jej twarz zapłonęła radością, a zarazem furią na mój widok. Zabrałem ją stąd i zaprowadziłem z powrotem do Reginokracji. Maggie, której twarz zawsze promieniała szczęściem na mój widok. Maggie, która kochała mnie mocniej, niż ja ją kochałem. Mocniej, niż na to zasługiwałem. Maggie, którą zostawiłem na słonecznym stoku po tym, jak ją wziąłem, tak samo jak teraz byłem gotowy wziąć Fię: bez przyszłości albo obietnicy przyszłości. Maggie, od której uciekłem. Myśl o niej wypełniła mnie poczuciem winy i mój członek zwiędł w dłoni Fii.

Mężczyzny nie może spotkać nic bardziej upokarzającego. Choć Fia się starała, nie mogła przywrócić mu życia. Zasłoniłem oczy jedyną dłonią.

— Roger, nic się nie stało. Naprawdę. Jesteś zmęczony. Na pewno chodziłeś przez cały ranek, a do tego szok wywołany chorobą Toma...

— Zobaczą, co się z nim dzieje — oznajmiłem, chcąc uciec przed dziewczyną i przed własnym wstydem. Chciałem wstać, ale uczepliła się mnie.

— Nie odchodź — mówiła. — Proszę, nie odchodź. Za chwilę możemy spróbować znowu.

Żadnych słów nigdy nie wypowiedziano słodszy, bardziej uwodzicielskim tonem. Ale one również nie wpłynęły na miękkość w moich spodniach. Czerwony na twarzy, ze łzami w oczach, poszedłem zająć się Tomem.

Zaczął się okres frustracji, jakiej nigdy dotąd nie zaznałem. Toma przestało boleć, a jego twarz odzyskała kolory, ale codziennie spał bardzo głęboko przez wiele godzin. Rano był przytomny, ale słaby. Fia dbała o niego starannie, podczas gdy ja zbierałem złapaną w sidła zwierzynę. Kiedy szła zbierać zioła, czuwałem nad chorym. Był niespokojny, niecierpliwiła go choroba ciała — coś, czego dotąd prawie nie znał.

— A niech to, jestem słaby jak kot, Peter. Nie znoszę tego!

W południe znowu zasypiał. W późniejszych godzinach słuchałem, jak Fia kąpie się w stawie pod wodospadem. Codziennie mówiłem, że nie przyjdę do niej, ale codziennie to robiłem. Obejmowałem jej szczupłe ciało o pełnych piersiach, w moich żyłach śpiewała krew, a członek unosił się chciwie. Potem kładliśmy się na bujnej trawie na brzegu i myśli o Maggie gasiły moje pożądanie znacznie skuteczniej niż zimna góraska woda. Nie mogłem osiąść Fii.

— Nic nie szkodzi, Roger — powtarzała i przytulała mnie mocniej, aż wreszcie wyrywałem się zawstydzony, dezorientowany i coraz bardziej podejrzliwy. Nie tylko myśli o Maggie prowadziły do uwiąznięcia mojego

członka. Nie ufałem Fii. Dlaczego chciała iść do Reginokracji, z jakiego powodu zatrzymała się tutaj, skąd przybywała? Gdy zadawałem jej te pytania, zawsze odpowiadała, że nie wie. Jeśli moje podejrzania są fałszywe i Fia się o nich dowie, odwróci się ode mnie ze wstrętem. Tego nie chciałem. Jeśli jednak są prawdziwe...

Nie. Te wątpliwości były nieuzasadnione, nie miałem nic na ich poparcie. A nawet gdybym miał, musiałyby ustąpić przez siłą mojego wciąż niespełnionego požądania.

Czasami słyszałem strzelby — daleko, zawsze daleko, ale huk odbijał się echem od wzgórz i nie potrafiłem dokładnie ocenić odległości. Zresztą nawet gdybym wiedział, że dzicy żołnierze są blisko i polują na mnie, nie mógłbym zostawić na ich pastwę chorego Toma oraz Fii. Była silna i zaradna, ale żadna kobieta nie oprze się żołnierzom zdeterminowanym ją osiąść. A jeśli się dowiedzą, że mnie znała...

Strach, podobnie jak poczucie winy i podejrzliwość, nie pomaga mężczyźnie spać z kobietą.

Fia okazywała mi nieograniczoną cierpliwość, ale z biegiem dni pojawiała się u niej również nuta desperacji. Tom czuł się coraz lepiej. Spał mniej. Zaczął obserwować Fię i mnie.

— Roger, czy z nią śpisz?

Do jego oczu wrócił groźny błysk. Znowu stałem się „Rogerem”.

— Nie — odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Jego twarz natychmiast się rozpuściła.

— Wiedziałem, że tego nie zrobisz. Nigdy nie złamałbyś danego mi słowa. A niech to, wybacz, że wątpiłem w ciebie choć przez chwilę. To ta głupia, zaszracona choroba. Przez nią nie jestem sobą. Nienawidzę tego!

— Wkrótce poczujesz się lepiej — zapewniłem, bo musiałem coś powiedzieć, a nie miałem już pojęcia, co jest, a co nie jest prawdą.

Podczas kolacji Tom był przytomny. Fia przyrządziła coś nowego: ciasteczka z orzechowej mączki, którą pracowicie tłukła i zbierała przez całe dwa tygodnie. Upiekła je w liściach na palenisku i posłodziła miodem podebrany pszczołom. Każdy z trzech smakołyków ozdobiła jagodami ułożonymi w inny wzór. Ciasteczka miały cudowną, charakterystyczną woń, słodką jak wszystkie sny o jedzeniu nawiedzające głodnych.

— Bardzo smaczne! — zawołał Tom. Siedział na kłodzie za naszym kamiennym „stołem” i wyglądał prawie tak samo krzepko jak dawniej. Jedliśmy kolację później niż zwykle, ponieważ Fia potrzebowała sporo czasu, by upiec ciastka. Na przeciwległych ścianach chaty paliły się dwie pochodnie z sitowia. W ich słabym świetle przedmioty rzucały niesamowite cienie, Tom wydawał się jeszcze większy niż zwykle, a Fia bardziej pociągająca. Siedziała ze spuszczonej oczyma, trzymając w ręce ciasteczko. Jej rzęsy rzucały na blade policzki cienkie jak pajęczyna cienie. Tom pożarł ciastko w dwóch kęsach i spojrzał na moje. Zjadłem je pośpiesznie, pozwalając, by słodycz rozpuszczała się powoli na moim języku.

— A niech to, kochanie, jest z ciebie prawdziwy skarb! To cud, że żadna pszczoła nigdy cię nie użądliła. We mnie robią tuzin dziur, gdy tylko wejdem na pole, na którym jest ul. Zjesz to ciasteczko, czy nie, Fio? A niech to, zjadłaś tylko okruszek!

Roześmiała się i podała mu ciasteczko.

— Nie jestem głodna. Proszę, zjedz je.

Zrobił to. Śmialiśmy się i rozmawialiśmy we troje, a Tom cały czas robił się coraz większy i większy. Nie rozumiałem, jak to możliwe. Nagle wypełnił całą chatę, a potem skurczył się do normalnych rozmiarów. Płomienie pochodni sięgnęły ku sufitowi, a następnie zmieniły się w maleńkie światełka. Ich blask zatańczył na klepisku i padł na białe

ramiona Fii, barwiąc je na różowo, pomarańczowo i złoto. Kiedy to podziwiałem, Tom odezwał się nagle.

— Jestem taki zmęczony... — rzekł. — Muszę chwilkę odpocząć... zmęczony...

Powlókł się chwiejnie do łóżka i zwałił się na nie. Sosnowe gałęzie objęły go czule i zaczęły nucić. Znałem ich pieśń; już ją kiedyś słyszałem; niemalże mogłem ją sobie przypomnieć. Ale potem Fia wyprowadziła mnie z chaty i znaleźliśmy się w sosnowym gaju.

Czy nie byłem w nim już kiedyś? Tak jest, byłem tu z... z...

— Roger — wydyszała dziewczyna. Zdjęła już w połowie suknię. Jej białe piersi lśniły w blasku księżyca przesączającym się między ciemnymi sosnowymi gałęziami.

Wtedy ją wziąłem. Nie wiedziałem, że jestem zdolny do takiej gwałtowności, i nigdy też nie zaznałem podobnej radości. Kochaliśmy się ze sobą raz i drugi. Potem położyłem się zmęczony na wonnych sosnowych igłach, trzymając Fię w ramionach.

— Roger, kochanie, obiecasz mi coś? — wyszeptała mi do ucha.

— Co tylko zechcesz — zapewniłem szczerze, mimo że miałem trudności z sosnowymi gałęziami wiszącymi nad naszymi głowami. Kurczyły się, rosły, a potem znowu kurczyły. W jednej chwili były potężnymi, wyciągniętymi ramionami nucącymi swą pieśń, w następnej zaś zmieniały się w milczące gałązki. Jakie to dziwne! Nie, to wcale nie było dziwne. Tak właśnie powinny wyglądać. Wszystko było takie, jak powinno. Mój członek pobudził się lekko po raz trzeci, czując bliskość ciała Fii. Między nas dostały się sosnowe igły, wilgotne od rosy. Kłuły mnie delikatnie, zwiększając jeszcze moją miłość do niej.

— Nigdy już nie przechodź do krainy Umarłych.

— Zgoda — odparłem, nie przestając obserwować gałęzi, które kurczyły się i rosły, kurczyły się i rosły. Jej słowa wnikające w mój mózg. Nie wydawały mi się dziwniejsze niż wszystko, co wydarzyło się owej niezwyklej nocy.

— Obiecujesz?

— Co mam obiecać?

Kurczyły się i rosły, kurczyły się i rosły.

— Czy obiecujesz, że już nigdy nie przejdziesz do krainy Umarłych?

— Tak.

— Na grób matki?

— Tak. Ale czy moja matka ma grób? — zapytałem po chwili zastanowienia.

— Nie ma — przyznała Fia z głębokim smutkiem. Nie rozumiałem jego przyczyn. Mój umysł unosił się gdzieś wysoko pośród gałęzi, które wciąż kurczyły się i rosły, kurczyły się i rosły. — W takim razie na jej duszę?

— Tak — odparłem.

— Pamiętaj, co mi obiecałeś.

— Będę pamiętał — zapewniłem.

— Są już prawie gotowi! — zawołała, ściskając mnie mocno.

— Aha — odparłem bez większego zainteresowania. Jej uściski na nowo obudziły moje podniecenie. Wyciągnąłem ku niej rękę, ale nim zdążyliśmy coś zrobić, nagle zasnąłem.

Obudziłem się wcześniej rano. Fii nie było. Natychmiast sobie uświadomiłem, co się wydarzyło i co mi uczyniła. Ruszyłem w pościg za nią pełen gniewu znacznie potężniejszego niż wściekłość, jaką budzili we mnie żołnierze dzikusów. Oni tylko próbowali mnie zabić.

20

Tom ciągle spał. Podany mu narkotyk okazał się równie skuteczny jak ten przeznaczony dla mnie. Te małe ciasteczka o słodkim zapachu, każde w inny sposób oznaczone jagodami... Ale teraz odzyskałem jasność myślenia. Wpadłem do chaty tylko na chwilę, by się upewnić, że Fii tam nie ma. Złapałem bukłak i nóż Toma, a potem ruszyłem w pościg.

Nie byłem takim tropicielem jak Tom, ale nie mogła uciec zbyt daleko. Kiedy ostatnio ją obejmowałem pod sosnami...

Gałęzie kurczyły się i rosły.

...niebo na wschodzie zaczynało już jaśnieć. A w tej chwili słońce...

— *Na grób matki?*

...dopiero co wynurzyło się z za drzew. Nocą musiało trochę padać, bo ubranie miałem mokre, a więc...

— *Ale czy moja matka ma grób?*

— *Nie.*

...z pewnością zostawiła ślady na błotnistej ścieżce prowadzącej od chaty. Znajdę ją. Znajdę. A wtedy...

Nie trzymała się ścieżki, ale nie oddaliła się też zbyt daleko. Okrążyłem chatę w coraz większych kręgach, jak nauczył mnie Tom. To nie było takie łatwe, jak na to liczyłem, ale byłem w stanie podążać jej śladem. Odcisk stopy, rozmazany po bokach, gdy potknęła się lekko. Mały strzępek tkaniny,

kiedy zaczepiła się o jeżyny. Spłaszczone zielsko w miejscu, gdzie usiadła, by odpocząć. Na pewno była zmęczona. Nie spaliśmy nocą prawie w ogóle. Ja nie czułem zmęczenia. Gniew bardzo skutecznie dodaje sił.

Wreszcie wypatrzyłem ją zza drzew. Siedziała w dolince porośniętej leśnymi kwiatami. Z pewnością w tej samej chwili ona również mnie zobaczyła albo usłyszała, ponieważ poderwała się nagle i rzuciła do ucieczki. Złapałem ją bez trudu, obaliłem na ziemię i ukląknęłem nad nią okrakiem. Tylko wielkim wysiłkiem woli powstrzymałem się przed uderzeniem dziewczyny.

— Podałaś mi narkotyk — oskarżyłem ją, z trudem wyciskając z siebie słowa przez zaciśnięte zęby. — I spowodowałaś chorobę Toma, żeby móc to zrobić.

— Tak — przyznała ze smutkiem, ale bez zaskoczenia. — Byłam uzdrowicielką.

— Myślałem, że byłaś pasterką! Albo służącą damy! Albo pomocą kuchenną!

— Nie. Wiesz, kim jestem, Roger — dodała po chwili z rozpaczą.

— Pszczoły cię nie żądłły. Albo może żądłły, ale to nie robi ci krzywdy. Pojawiasz się nagle w odludnej puszczy na Ziemi Niczyjej, czysta i świeża, jakbyś przybyła prosto z dworu królowej. Powiedziałaś mi... Powiedziałaś mi, że moja matka nie ma grobu.

Nie mogłem mówić dalej. Nagle przekonałem się też, że nie jestem w stanie znieść jej dotyku. Wstałem. Fia również podniosła się niepewnie. Gapiliśmy się na siebie w małej dolince pełnej leśnych kwiatów, słońce świeciło, a w rześkim po deszczu powietrzu niósł się śpiew ptaków.

— Przybyłaś z krainy Umarłych — stwierdziłem.

— Tak — potwierdziła Fia z nagłą gwałtownością w głosie. — A ty dałeś mi słowo. Pamiętaj o tym. Przysiągłeś na duszę matki! Nie

przejdiesz na drugą stronę.

— Wyciągnęłaś ode mnie tę obietnicę nieuczciwymi metodami. Użyłaś narkotyków i seksu!

— Niemniej złożyłaś ją. — Nagle wykrzywiła twarz w rozpaczliwym grymasie. — Obiecałaś mi.

— Jak...? Kto...?

— Wiesz jak. Jest tylko jeden sposób. Hisaf mnie przeprowadził.

— Ale dlaczego? — zawołałem. — Straciłaś szansę na wieczność. Teraz...

— Tak — przyznała. — Wiem. Straciłam szansę na wieczność. Tak samo jak Cecilia i wszyscy Niebiescy żołnierze, których przeprowadziłaś na drugą stronę. Dlatego pamiętaj o obietnicy!

Złapałem ją za ramię i zacząłem nią potrząsać.

— Dlaczego? Dlaczego?

— Są już prawie gotowi!

— Na Wrzosowisku Duszorośli? Gotowi na co?

Ale ona tylko obrzuciła mnie spojrzeniem pełnym rozpacz tak dogłębnej, że objąłem ją mocno. To wydarzyło się w moich ramionach. Minęły dwa tygodnie, te same dwa tygodnie, które dostali Gacek, Cecilia i Niebiescy. Fia rozpuściła się. Jej twarz i ciało odkształciły się raptownie i padły ofiarą rozkładu, przybierając groteskowe formy. Otworzyła usta w bezgłośnym krzyku, a po paru chwilach zniknęła. Jej suknia, fartuch i buty leżały na stercie pośród kwiatów.

Siedziałem obok nich przez cały ranek. Nie byłem w stanie się ruszyć. Fii nie było w krainie żywych ani w krainie Umarłych. Nigdzie jej nie było. Jej dusza przestała istnieć. Wyrzekła się szansy na wieczność po to, by wyciągnąć ode mnie obietnicę, że już nigdy nie przejdę na drugą stronę. Że

wyrzeknę się poszukiwań matki. Po to właśnie zniszczyła samą siebie. Dla tej obietnicy.

Nie. To nie brzmiało prawdziwie. Fia nalegała, byśmy poszli na północ, w stronę Reginokracji, bo chciała się znaleźć jak najdalej od Wrzosowiska Duszorośli. W to potrafiłem uwierzyć. Nie wierzyłem jednak, by wyrzekła się wszelkiego bytu zarówno tu, jak i w krainie Umarłych tylko po to, by powstrzymać mnie przed przechodzeniem na drugą stronę. Kryło się za tym coś więcej, czego jeszcze nie rozumiałem, znacznie więcej, podobnie jak za mgłą na Wrzosowisku Duszorośli i za postaciami, które w niej dostrzegłem. „Są już prawie gotowi!”.

Na co?

Zawładnęło mną potężne znużenie. Nocą nie spałem prawie w ogóle. Fia zniknęła. Moje ciało musiało znieść narkotyki, uprawianie miłości i tropienie. Zniknęła. Nigdy już nie porozmawiam ze zmarłą matką, chyba że złamię przysięgę złożoną na jej grób. Fia zniknęła. Położyłem się na ziemi i skryłem twarz w sukni. Nadal nią pachniała. Rozpłakałem się.

A potem zasnąłem.

Obudził mnie huk strzelb.

Zwinąłem starannie ubranie Fii w ciasną kulę i dzięki temu znalazłem miniaturę. Zaszyto ją w ukrytej kieszeni sukni. Maleńki obrazek leżał na mojej otwartej dłoni. Uniosłem go ku promieniom słońca, by lepiej mu się przyjrzeć. Fale błyszczących kruczonych włosów, zielone oczy, smutny uśmiezek. Miniatura z pewnością przedstawiała Fię, ale bardzo przypominała mi Cecilie, mimo że, pomijając zielone oczy, obie dziewczyny nie były do siebie zbytnio podobne. Więc między nimi była bardziej ulotna, niemożliwa do zdefiniowania, niemniej jednak realna.

Gapiałem się na miniaturę tak długo, że omal nie oślepiłem. Podejrzywałem, że i Fię, i Cecilie coś łączyło z tajemniczą siecią kobiet,

które praktykowały sztuki duszy, a przynajmniej wiedziały o ich istnieniu. Prostuduszną Cecilia ich nie praktykowała, lecz mimo to Matka Chilton zadała sobie wiele trudu, by przemycić ją z pałacu na Ziemię Niczyją. Fia była uzdrowicielką, a być może również kimś więcej. Matka Chilton wiedziała, że przebywam w Applebridge. Zapewne podała ptakowi eliksir wzmacniający — podobnie jak dwa lata temu zrobiła to ze mną — by mógł wrzucić kamień do mojego komina.

Schowałem miniaturę do kieszeni, zaniósłem ubranie Fii pół mili w głąb lasu i pochowałem je w gaju pełnym zeschniętych liści. Nie wątpiłem, że Tom, który był znacznie lepszym tropicielem ode mnie, dotrze jej śladem do dolinki. Nie będzie jednak zainteresowany tropieniem mnie. Zakryłem dół liśćmi.

Potem wróciłem do chaty, by się przekonać, czy Tom obudził się już z narkotycznego snu, który Fia dała mu zamiast swego ciała.

Nie spał. W pełni już wrócił do zdrowia. Stał przed chatą, wspierając ręce na biodrach, i lypał na mnie spode łba.

— Gdzie byłeś?

— Sprawdzić sidła, oczywiście — odparłem, udając zaskoczenie. — Jak co rano. Ale dzisiaj nic się nie złapało.

— A gdzie jest Fia?

— Fia? Nie ma jej tutaj?

Skrzywił się niepewnie.

— Nie ma. Myślałem... Nie poszła z tobą?

— Nie. Na pewno zbiera zioła.

— Aha! Myślałem...

— Co myślałeś?

Fałszywa niewinność na mojej twarzy dławiła mnie niczym maska.

— Nic — odrzekł Tom zbyt serdecznym tonem. Nigdy nie potrafił zbyt dobrze ukrywać swych myśli. — A niech to, myślałem, że jest z tobą! — wygarnął. — Szczerze mówiąc, w ostatnim tygodniu czułem się bardzo dziwnie, Peter. Poprzedniej nocy myślałem, że wreszcie będę miał Fię, ale potem nagle zasnąłem, jakbym całą noc pił ale z chłopakami „Pod Baranem i Koroną”! Teraz już czuję się dobrze. Fia na pewno poszła poszukać żywności. Chodź, coś ci pokażę. Za chatą!

Podążyłem za nim z niechęcią. Cieszyłem się, że uwierzył w moją opowieść, ale pragnąłem tylko zostać sam, by móc opłakiwać Fię. Dlaczego to zrobiła? Dlaczego wyrzekła się wieczności — choćby nawet spędzonej na siedzeniu w spokojnym transie w krainie Umarłych — w zamian za dwa tygodnie nędznego bytowania na Ziemi Niczyjej? Czego jeszcze nie wiedziałem?

Najwyraźniej niczego. Byłem równie nieświadomy jak Tom, ale miałem na głowie znacznie więcej problemów. Mój towarzysz rozpromienił się, pokazując mi leżącego za chatą dorosłego jelenia. Zabite zwierzę spoczywało na boku. Głowę zdobiło mu letnie poroże. Nie widziałem jednak sterczącej z ciała strzały. Zresztą Tom nie miał łuku. Musiałem przykucnąć i przyjrzeć się uważnie, by zobaczyć maleńką dziurę w czaszce, między oczyma martwego zwierzęcia.

— Zabiłeś go ze strzelby! — zawołałem.

— I to już za drugim razem! Chrzanić mój tyłek, ależ jestem dobry!

— Ty głupi kretynie!

Nagle przejście jego nastroju od dumy poprzez zdziwienie do gniewu mogłoby niemal być zabawne, gdybym był w nastroju do śmiechu. Ale nie byłem.

— Nie przezywaj mnie! — zawołał ze złością. — Upolowałem jelenia. Fia będzie miała mięso na gulasz.

— Ten wygłup ze strzelbą ściągnie tu dzikich żołnierzy!

— Och, nie chrzań. Od dwóch tygodni nie widzieliśmy żadnego. Nie zapuszczają się tak daleko na Ziemię Niczyją. Przecież o tym wiesz.

O niczym takim nie wiedziałem. Tom jednak potrafił uwierzyć, w co tylko zapragnął. Natychmiast dostrzegłem szansę zapewnienia mu bezpieczeństwa i jednocześnie uwolnienia się od niego.

— Myślę, że tu przyjdą. Przyciągnie ich huk twojej strzelby.

— A niech przychodzą! Potrafię się obronić!

— Ale ja nie.

Jego gniew zniknął równie szybko, jak się pojawił.

— Obronię cię, Peter. Wiesz, że to zrobię.

Uśmiechnął się do mnie. Wielki, pewny siebie idiota.

— Nie mogę ryzykować. Odchodzę.

— Odchodzisz? A dokąd?

— W jakieś inne miejsce. Tu nie jest bezpiecznie.

— Ale... ale... dokąd pójdziesz?

— Nie wiem. Odchodzę i tyle. — Wszedłem do chaty po bukłak oraz odrobinę żywności. — Czy mogę zabrać twój nóż?

— Oczywiście. Mam strzelby i... Zaczekaj. Jak to odchodzisz? Czy nie pójdziemy wszyscy?

— Fia może wrócić dopiero za wiele godzin. Wiesz, jaka jest z tym swoim zbieraniem. Zresztą ona będzie chciała tu zostać. Zrobiliśmy dla niej basen.

— Mogę ją wytropić! Wiesz, że potrafię wytropić wszystko. Znajdę ją i będziemy mogli wszyscy... — Nagle przerwał. Jego twarz zmieniła wyraz. — Chcesz odejść bez niej — stwierdził po chwili.

— Ty się nią zaopiekujesz.

To było dla niego jak cios. Widziałem, jak myśli o tym, że się ode mnie uwolni, walczy w nim z pragnieniem, byśmy wszyscy byli razem.

— Jesteś tchórzem, Roger — oznajmił w końcu Tom Jenkins, który nie bał się niczego poza samotnością. — Chcesz ją zostawić, by uratować się przed żołnierzami.

Wzruszyłem ramionami. Niech sobie tak myśli. Będzie dla niego bezpieczniej, jeśli się rozstaniemy. Będzie tu czekał nadaremnie na powrót Fii, a gdy dziewczyna się nie zjawi, pójdzie jej poszukać. Zanim uwierzy, że jej nie znajdzie, mój trop zdąży wystygnąć i nawet on go nie odszuka. Żołnierze Młodego Wodza nie mieli nic przeciwko Tomowi Jenkinsowi. Ocalę jego życie, tak samo jak on ocalił kiedyś moje, i w ten sposób uwolnimy się od długu.

Jego szeroka twarz wykrzywiła się w grymasie pogardy.

— Tchórz — powtórzył, a ja znowu wzruszyłem ramionami. Odwrócił się do mnie plecami. Zebrałem kilka użytecznych rzeczy zrobionych przez Fię, a potem podniosłem nóż Toma leżący na klepisku obok jego posłania, i położyłem na jego miejscu miniaturę, częściowo zasłaniając ją sosnowymi gałęziami.

Nie chciałem jej. Sprawiała mi zbyt wielki ból. Niech myśli, że Fia zostawiła ją dla niego. To może go trochę pocieszyć, kiedy dziewczyna nie wróci. Mimo wszystko będzie mi brakowało Toma Jenkinsa.

Nie odwrócił się ani nie wypowiedział słów pożegnania. Wyszedłem z chaty, którą Fia na krótko uczyniła domem, i ruszyłem na Wrzosowisko Duszorośli.

21

Nie miałem zamiaru przekraczać granicy. Chciałem pokonać tylko pół dnia drogi na południe, by oddalić się od dzikusów i ich strzelb. Przebywając na dworze królowej, dowiedziałem się, że dzikusy są tak samo przesądne jak ludzie z Reginokracji. Kiedy dzicy żołnierze okupowali pałac, z pewnością usłyszeli od służby, że Duszoroślanie „kradną dusze”. To nie było prawdą, ale prawda była równie przerażająca. A ponieważ nikt nigdy nie wrócił z Duszorośli, by ją opowiedzieć, ludowe bajania stawały się coraz bardziej nieprawdopodobne. Powiadano, że na Wrzosowisku Duszorośli żyją nieludzkie stworzenia. To również nie było prawdą, ale ludzkie stworzenia były wystarczająco straszliwe. Byłem przekonany, że dzikusy nie zechcą przekroczyć granicy.

Wiedziałem też z całą pewnością, że Duszoroślanie nie wejdą na Ziemię Niczyją. Każdego, kto opuścił Wrzosowisko, a potem próbował wrócić, czekał taki sam los jak obcych przybyszów. Ten sam los spotkał Cecilie, która...

Nie myśl o tym.

Szedłem przez całe popołudnie. Chwilami myślałem, że nie dam rady iść dalej, a mimo to jakoś mi się udawało. Na długo przed zachodem słońca zjadłem cały zapas żywności, ukryłem się pod leżącymi na ziemi gałęziami i zapadłem w sen głęboki jak studnia. Gdy obudziłem się rano, padał

deszcz. Przemoczony, zmarznięty i głodny, zamyśliłem się nad swą przyszłością.

Dokąd miałem pójść?

Jak miałem żyć?

Najwyraźniej armia dzikusów zdecydowała się na trudny marsz przez góry do Reginokracji głównie po to, by oblec stolicę, porwać sześćioletnią księżniczkę Stephanie i zabrać ją do swego kraju, by poślubiła Młodego Wodza. Być może odejdą, jeśli uda im się ją pojmać. Wtedy mógłbym wrócić do Maggie i Jee. Chyba że uprowadzą księżniczkę, ale zostawią tu część żołnierzy, by okupowali Reginokrację. Czy ich armia była wystarczająco liczna? Nie miałem pojęcia.

Mogłem zostać tutaj, na południowej granicy Ziemi Niczyjej, zbudować schronienie i jakoś przeżyć, polując i zbierając rośliny. W ciągu dwóch ostatnich lat nauczyłem się wiele o życiu w głuszy — od Jee, od Maggie, od Toma, a nawet od Fii. Latem może mi to wystarczyć, ale w końcu nadejdzie zima. Nie poradzę sobie zimą na pustkowiach.

Muszę znaleźć ludzi, którzy przyjmą mnie do pracy jako najędzniejszego parobka. To będą musieli być mieszkańcy Ziemi Niczyjej, górale, którzy unikali kontaktu z obcymi i w związku z tym raczej nie wydadzą mnie dzikim żołnierzom. Tutejsze gospodarstwa były jednak bardzo ubogie i z reguły nie potrzebowano na nich dodatkowych rąk do pracy. W dodatku miałem tylko jedną rękę.

Leżałem pod gałęziami i czułem, że z oczu płyną mi łzy, mieszające się z deszczem. Miałem zaledwie jeden talent i jego również się bałem. W dzieciństwie zarabiałem na życie pod brutalnym przewodnictwem Hartaha, przechodząc na drugą stronę i sprzedając pogrążonym w żałobie kobietom informacje zdobyte od staruszek w krainie Umarłych. Myśl, że miałbym to zrobić znowu, przepełniała mnie grozą. W dodatku bałem się

teraz przejścia, bałem się ukrytej we mgle ukoronowanej postaci, która szeptała moje imię. I obiecałem Fii...

„Są już prawie gotowi” — powiedziała mi. Gotowi na co?

Nie znałem odpowiedzi ani na to pytanie, ani na żadne inne. Musiałem zjeść chociaż śniadanie. Brzuch bolał mnie z głodu.

Znalazłem strumień i za pomocą wystruganego przez Fię haczyka oraz kawałka mocnego pnącza złowiłem dwie ryby. Kiedy oczyszczę je nożem Toma i upiekę nad ogniskiem, przynajmniej będę miał siłę dalej dumać nad swym nędznym życiem, pomyślałem.

Kiedy szukałem suchych drzew, usłyszałem głosy.

Gardłowe. Głośnie. Nawołujące się nieznanymi dla mnie słowami. Dzicy żołnierze.

Rozejrzałem się szaleńczo. Płytki strumień przecinał wielką polanę. Nie miałem gdzie się schować. Żołnierze w każdej chwili mogli wynurzyć się spomiędzy drzew i unieść śmiertelne strzelby. Rzuciłem się do ucieczki.

Wpadłem między drzewa. Po przebiegnięciu kilku jardów usłyszałem ich krzyki. Znaleźli moje ryby na brzegu strumienia. Nie wiedzieli jednak, w którą stronę uciekłem. Zamarłem, bojąc się, że nawet najdrobniejsze poruszenie przyciągnie ich uwagę, i wyteżyłem słuch, starając się odróżnić głosy od siebie i w ten sposób określić, ilu jest dzikusów.

Co najmniej trzech. Młody Wódz naprawdę bardzo chciał mnie złapać.

Ruszyłem w głąb lasu, powoli i ostrożnie, unosząc, a potem opuszczając jedną stopę po drugiej. Szukałem kolejnego stosu gałęzi, jaskini czy jakiegokolwiek schronienia, które zapewniłoby mi bezpieczeństwo. Nic takiego nie znalazłem.

Oni również mnie nie znaleźli. Szukali mnie jednak. Rozproszyli się szeroko, a potem zwierali szyki, zaganiając mnie, jak stado wilków zagania ofiarę. Gdyby któryś z nich był Tomem Jenkinsem, mogliby mnie wytropić,

ale oni nie mieli takich talentów. Polegali na liczebności i na swoich strzelbach. Przez cały dzień gnali mnie na południe bez chwili wytchnienia. Poprzedniej nocy spałem, ale nic nie jadłem. Czułem, że słabnę. Ukrywałem się, gdy tylko mogłem, ale żadna kryjówka nie wydawała mi się wystarczająco bezpieczna.

Z każdą godziną wilki były coraz bliżej.

Wreszcie, o zmierzchu tego straszliwego dnia, zdesperowany, głodny i wycieńczony, dotarłem do granicy Wrzosowiska Duszorośli.

To nie było to samo miejsce, w którym wszedłem na nie przed dwoma laty, ale bezkresne pustkowie pod ogromną kopułą nieba wyglądało prawie identycznie. Grunt torfowiska sprężynujący pod moimi stopami. Skaliste wyniosłości od małych jak moja głowa aż po potężne nagie wzgórza piętrzące się ku niebu. Pola fioletowego wrzosu, połacie wilgotnych, zdradzieckich mokradeł, obszary kwaśnej gleby albo zupełnie nagie, albo ledwie mogące wykarmić rzadką trawę. Zatrzymałem się w ostatnim skupisku drzew przed granicą. Słyszałem za sobą krzyki żołnierzy. Wiedziałem, że nie mam wyboru. Za kilka minut mnie dościgną. Wybiegłem na otwartą przestrzeń, pomknąłem ku najbliższemu głazowi, odległemu o ćwierć mili, i schowałem się za nim.

Kolejne krzyki, ale coraz odleglejsze. Czy wiedzieli, gdzie jestem? Nie miałem pojęcia. Niemniej nie przekroczyli granicy Wrzosowiska Duszorośli — ze strachu, bo tak im rozkazano, któż wiedział dlaczego? Siedziałem, wsparty plecami o granitowy głaz, niecierpliwie czekając na zapadnięcie ciemności. Noc pozwoli mi znaleźć schronienie, pomyślałem.

Na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Po nich druga grupa, mniej jasna. Kamień za moimi plecami utracił niewielką ilość ciepła, jaką zgromadził w słabym świetle słońca. Wyjrzałem ostrożnie zza głazu

i zobaczyłem palące się na skraju lasu ognisko. Dzikusy nie zamierzały nigdzie odejść.

Ja jednak nie paliłem ognia, więc przynajmniej Duszoroślanie mnie nie znajdą. W brzuchu burczało mi z głodu. Ubranie nadal miałem wilgotne od porannego deszczu. Letnia noc była ciepła, ale niewystarczająco ciepła. Musiałem pozostawać w ruchu. Gdy zrobi się zupełnie ciemno, odejdę stąd — będę się czołgał, jeśli okaże się to konieczne — i wrócę na Ziemię Niczyją w jakimś punkcie położonym na wschód od obozu dzikusów. Być może w ten sposób uda mi się uciec.

Tak się jednak nie stało. Ujrzałem kołyszące się światła, zbliżające się do mnie z głębi Wrzosowiska. W pierwszej chwili myślałem, że to tylko bagienny gaz. Potem zrozumiałem, że byłem w błędzie. Zmierzały prosto w stronę mojego głazu.

Niemożliwe. Mieszkańcy Duszorośli nie mogli wiedzieć, że tu jestem. To był zbieg okoliczności. Wyprawa łowiecka albo jakiś osobliwy rytuał niemający nic wspólnego ze mną...

Światła zmierzały prosto w stronę mojego głazu.

Rzuciłem się do ucieczki. Pędziłem prosto na wschód, starając się omijać grzędzawiska, w które zapadłbym się po pas. Jednakże przede mną również majaczyły jakieś sylwetki. Zmieniłem kierunek. Kolejne sylwetki, a potem z obozu dzikusów dobiegły krzyki. Nagle zderzyłem się z kimś w ciemności. Padliśmy na ziemię. Wrywałem się, ale nie mogłem się mierzyć z napastnikiem. To był silny młody mężczyzna i miał dwie zdrowe ręce. Uderzyłem na oślep, on mi oddał i zapadła ciemność. W tej samej chwili pierwsze kule ze strzelb przeleciały nad naszymi głowami i ktoś krzyknął.

Ocknąłem się w miejscu, które dobrze znałem. Niska okrągła sala bez okien, o murach z kamienia. Pośrodku tlił się ogień, dym wydostawał się na

zewnątrz przez dziurę w dachu. W uchwytach na ścianach płonęły pochodnie. Wolną przestrzeń pośrodku pomieszczenia otaczały kamienne ławy nakryte futrami. Pod każdą z nich znajdował się kosz. Poza nimi stał tu tylko wielki bęben. Byłem tu dwa lata temu, w tej sali o kamiennych ścianach, wśród ludzi, którzy...

Nie myśl o tym.

...wypełniali całą komnatę. Wówczas siedziałem z nimi na futrach, teraz zaś leżałem związany na kamiennym podłożu. Był ze mną tylko jeden mężczyzna. Siedział na ławie, spoglądając na mnie z góry. Siwowłosego staruszek miał zielone oczy, takie same jak Cecilia i Fia.

— A więc wróciłeś, hisafie — stwierdził.

Szarpnąłem krępujące mnie sznury, ale wytrzymały.

— Nikt nie wraca na Wrzosowisko Duszorośli — oznajmił.

Przecież byłem hisafem! Zabijali cudzoziemców, ale przed dwoma laty oszczędzili mnie z tego powodu. To znaczyło, że w przypadku hisafów przynajmniej jedna zasada wyglądała inaczej. Może z innymi również tak było, może staruszek nie chciał powiedzieć...

— Jestem hisafem! — zawołałem.

— Tak — przyznał. — I z tego powodu twoje mięso da nam wielką moc.

Nie mogłem już powtarzać w myślach „nie myśl o tym”; nie mogłem dłużej powstrzymać wspomnień. Pieczone mięso, soczyste i tłuste. Jadłem je, podczas gdy ogień rozgorzał jaśniej od proszku o słodkim zapachu, który do niego wrzucono.

Cecilia... Cecilia...

— Nie płacz tak — odezwał się starzec. Jego twarz zmarszczyła się jeszcze bardziej z niesmaku. — Jesteś hisafem i powinieneś zdobyć się na to, by umrzeć jak hisaf.

22

Mój sen sprawdzał się w monstualny sposób. Znajdowałem się na płaskim wyżynnym wrzosowisku nieopodal okrągłego kamiennego budynku. Pochodnia wetknięta w ziemię obok mnie paliła się jasno, a poza kręgiem jej światła poruszały się nieludzkie stworzenia — ludzie, którzy wyrzekli się człowieczeństwa.

Leżałem związany na płaskim, szerokim kamieniu, zwrócony twarzą ku rozgwieżdżonemu niebu. Krępujące mnie sznury otaczały głaz. Ktoś wyniósł bęben na dwór i bębniarz zaczął wybijać powolny miarowy rytm: bum bum-bum-bum buuuuum. Starsi mężczyźni i kobiety — co najmniej w średnim wieku — podchodzili do mnie kolejno i spoglądali mi głęboko w oczy. W blasku pochodni na ich twarze padały dziwaczne cienie. Wszyscy mieli zielone oczy.

— Dziękuję ci za twoje mięso, które da mi moc twojej duszy — mówili z powagą.

— Nic wam nie da! — wrzeszczałem. — I wiecie o tym! Byliście w krainie Umarłych, ukryci w mrocznej mgle. Wiecie, że nie możecie zdobyć mojej duszy!

Bum bum-bum-bum buuuuum...

— Dziękuję ci za twoje mięso, które da mi moc twojej duszy — oznajmiła kolejna z nich, zgarbiona i pomarszczona staruszka.

— To nie działa w ten sposób! Wiesz o tym!

Bum bum-bum-bum buuuuum...

Zacisnąłem powieki, żeby nie mogli patrzeć mi w oczy. Następny z nich otworzył je siłą.

— Dziękuję ci za twoje mięso, które da mi moc twojej duszy.

— Przecież jestem hisafem!

— Dziękuję ci za twoje mięso, które da mi moc twojej duszy.

Bum bum-bum-bum buuuuum...

Szarpałem więzy. Poruszając gwałtownie głową z boku na bok, ujrzałem ognisko płonące obok kamiennego domu, a nad nim wielki żelazny gar.

Przeznaczony dla mnie.

— Dziękuję ci za twoje mięso, które da mi moc twojej duszy.

Duszoroślanie oddalali się ode mnie kolejno, wchodząc do okrągłego domu. Z jego wnętrza dobiegał zapach, słodki i gryzący. Czułem już kiedyś woń rzucanego do ognia proszku, przed dwoma laty, gdy siedziałem we wnętrzu, racząc się mięsem. Tłustym i soczystym.

W jednej chwili zawładnął mną spokój. W ten oto sposób skończy się mój pobyt w krainie żywych. Nie różniłem się pod tym względem od innych ludzi. Śmierć przychodziła po nas wszystkich. A jeśli w krainie Umarłych zapadnę w bezmyślny trans, przynajmniej uwolnię się od dręczących mnie wspomnień i snów. Może i nie ucieknę przed śmiercią, ale mogę umknąć przed towarzyszącym jej bólem.

Na końcu przyszedł do mnie starzec o białej brodzie i zielonych oczach Cecylii. Trzymał w ręce długi zakrzywiony nóż z rzeźbioną drewnianą rękojeścią. Popatrzyliśmy na siebie i w migotliwym blasku pochodni dostrzegłem w głębi jego oczu jakieś dziwne kształty. Ugryzłem się mocno w język, słysząc rytm niewidocznego bębna, i przeszedłem na drugą stronę, nawet nie myśląc o złożonej Fii obietnicy.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Znalazłem się w krainie Umarłych i bęben ucichł. Byłem na wyżynnym wrzosowisku, spowitym we mgle jeszcze gęstszej i bardziej nieprzeniknionej niż przedtem. Wlokłem się na oślep przed siebie, bez sensu uciekając od okrągłego kamiennego domu. Tu rzecz jasna go nie było. Nie widziałem nic oprócz mgły i kręgów Umarłych.

Na pierwszy natknąłem się niemal natychmiast. Był ogromny, składał się z może trzydziestu Umarłych. Wkrótce mogę się stać jednym z nich, pomyślałem. Trzymali się za ręce. Ich głowy spowijały obłoki ciemniejszej, bardziej nieprzejrzystej mgły.

— Jesteście potworami! — zawołałem. Nie zwracałem się jednak do Umarłych. Do kogóż więc?

Pognałem ku środkowi gigantycznego kręgu. Znajdę tam brzęczącą mgłę, zespół obserwatorów z Duszorośli, tych samych, którzy siedzieli teraz wokół okrągłego kamiennego domu. Wdychali wrzucony do ognia narkotyk. Przygotowywali się do spożycia mojego mięsa. Nie mogłem ich dosięgnąć w krainie żywych, ale tutaj zrobię... właściwie co? Nie miałem pojęcia. Wiedziałem tylko, że wypełnia mnie szalony gniew. Pragnąłem zniszczyć ową mgłę, zaszkodzić jej w jakiś sposób...

Pośrodku kręgu nie było mgły. Siedziała tam samotna kobieta. Mgła wokół niej się rozproszyła, pozostawiając obszar przejrzystego, niemal świetlistego powietrza. To była jedna z Umarłych. Złożyła ręce na kolanach, podciągnęła nogi pod siebie, a głowę lekko pochylała.

To była moja matka.

Dopadły mnie zawroty głowy. Przez chwilę nic nie widziałem ani nie słyszałem. Potem przejaśniło mi się w głowie. Skoczyłem naprzód i padłem na kolana przed nieruchomą postacią.

— Mamo!

Miała lawendową suknię, a we włosach wstążki tego samego koloru. Jej blade usta rozciągały się w lekkim uśmiechu. Była tak samo spokojna i bezmyślna jak reszta Umarłych. Przytuliłem ją do siebie, ale mój uścisk jej nie obudził. Potem złapałem ją za ramiona i potrząsałem.

— Mamo! Mamo! — wołałem. To również nie poskutkowało. Podniosłem ją na nogi. Złożone ręce w długich obszytych koronką rękawach opadły z jej kolan. Z przodu sukni miała krew.

Położyłem ją z powrotem na ziemi, wytrzeszczając oczy z przerażenia. To nie była stara krew, zeschnęła i brązowawa. Była świeża, jaskrawoczerwona. Czułem jej metaliczną woń. Dotknąłem jej sukni i na palcach zostały mi czerwone plamy.

— Roger — odezwał się kobiecy głos. — Jesteś tutaj.

Zmierzała ku mnie przez mroczną mgłę. Towarzyszyły jej inne sylwetki. Żadnej z nich nie dostrzegałem wyraźnie, widziałem jednak blask korony.

— Kim jesteś? — zawołałem.

— Nie żyję od jedenastu lat.

— Kim?

Przytuliłem mocniej matkę, jakbym mógł ją obronić, choć przecież była już Umarła!

Ukoronowana postać odpowiedziała śmiechem, od którego dreszcz wniknął mi aż do kości.

— Nie powinieneś tu być, nie w taki sposób. Ale wkrótce to się zmieni.

I nagle opuściłem owo miejsce. Wróciłem na Wrzosowisko Duszorośli i leżałem pod gwiazdami, przywiązany do płaskiego kamienia.

Ale nie przeszedłem z własnej woli. To nie zdarzało się w ten sposób. Zawsze sam decydowałem, że wróć z krainy Umarłych, musiałem zadać sobie lekki ból, wyteńczyć wolę, a potem przejść przez grób, mając kości odarte z ciała. Zawsze miałem wybór.

— W ten sposób nie uciekniesz — oznajmił zielonooki starzec. W jego oczach znowu poruszyły się jakieś kształty. Uniósł nóż i ostrożnie przeciął moją bluzę. Nagą pierś muskał mi chłodny nocny wietrzyk. Bęben ucichł.

— Co się stało z moją matką!? — zawołałem.

To było tak, jakbym w ogóle się nie odezwał, jakbym już nie żył. Stary mężczyzna wyszeptał jakieś rytualne słowa w nieznanym mi języku i uniósł nóż nad moim ciałem. Zamknąłem oczy.

I usłyszałem huk strzelby. Otworzyłem oczy akurat na czas, by ujrzeć wyraz zdumienia na twarzy starca. Potem jego ciało osunęło się na ziemię, poza moje pole widzenia.

— Peter! — zawołał ktoś. Tom Jenkins. Wypadł z ciemności, biegnąc ku mnie. Ale to samo robili mężczyźni i kobiety z Duszorośli — nie ludzie w średnim wieku i starcy, którzy siedzieli oszołomieni narkotykiem w okrągłym kamiennym budynku, lecz sprawni i młodzi mieszkańcy Hygryll. Wojownicy. Wyłaniali się z mroku, trzymając w rękach noże. Wrzeszczeli przeraźliwie, a ich twarze wykrzywiały się w grymasach szoku i gniewnej wściekłości. Jakaś młoda kobieta skoczyła na leżącego na ziemi starca. Reszta pędziła ku Tomowi, ledwie widocznemu na granicy kręgu światła pochodni.

Znieruchomiał. Na jego twarzy malowała się niepewność. Potem zaczął strzelać. Mówił mi jednak kiedyś, że ze strzelby można oddać tylko trzy strzały, nim trzeba będzie załadować nowe kule. Tom wystrzelił jeszcze dwa razy i sięgnął pod drugą strzelbę, którą miał na plecach. Widziałem, że

nie ma szans zdążyć. Jeden z wojowników skoczył już ku niemu. Tom Jenkins dołączy do mnie w krainie Umarłych.

Wtem wojownika zaatakowała jakaś szara sylwetka. Zderzyła się z nim w locie i obaj przeciwnicy zwalili się na ziemię.

Mrugając z niedowierzania, ujrzałem dwie kolejne sylwetki, potem trzy, a następnie sześć. Nie przybyły z wrzosowiska, po prostu tu były, jak powietrze.

Albo mgła.

— Peter! — zawołał gdzieś na dole Tom. Wojownicy wrzeszczeli. Byłem przywiązany do skały i widziałem niewiele, ale za to słyszałem wszystko: ludzkie krzyki bólu, kłapanie nieludzkich szczęk zaciskających się na ciałach, nagłe wycie zwierzęcia, ostre i przenikliwe. A przez to wszystko przebijało się bulgotanie, którego nie jestem w stanie zapomnieć. To krew zmieszana z powietrzem wydostawała się z rozdartych gardeł. Nie widziałem, co się dzieje, ale potrafiłem to dostrzec oczyma wyobraźni, co było jeszcze straszliwsze. Wydawało się, że rzeź ciągnie się bez końca, ale oczywiście tak nie było. Trwała zaledwie kilka minut. Bliskość grozy, podobnie jak kraina Umarłych, zniekształca upływ czasu.

Potem zapadła cisza.

— Peter. — Tom pojawił się nagle obok mnie. Po ubraniu spływała mu krew. Twarz miał popielatą. — Nic ci się nie stało?

Nie byłem w stanie mówić. Moja bezradność wyraźnie pobudziła Toma. Jego twarz odzyskała kolor. Gdy przecinał mi więzy, ręka mu nie drżała.

Usiadłem na kamieniu. Na ziemi walali się młodzi mężczyźni i kobiety, martwi albo konający. Kilkoro z nich jęczało. Pośród tej jatkki siedział jeden olbrzymi pies.

Cień.

Owc.

— Było dużo psów... — odezwałem się drżącym głosem.

Tom miał zdziwioną minę, ale tylko przez chwilę.

— Na pewno uciekły. Chodź, Peter, musimy zwiewać z tego przekłętego miejsca!

Psy nie uciekły. Gdy leżałem bezradnie, mój nadnaturalnie ostry słuch skupił się na brutalnej rzezi szalejącej wokół. Słyszałem i widziałem wiele psów, ale moje zmysły nie zarejestrowały ich odejścia.

— Czy widziałeś... — wykrztusiłem.

— Chodź, Peter!

Tom złapał mnie za rękę i pociągnął naprzód. Obejrzałem się przez ramię na okrągły kamienny dom. Starsi wiekiem mieszkańcy Wrzosowiska Duszorośli pograżyli się w narkotycznym transie, obserwując jakieś miejsce w krainie Umarłych.

Biegłem z Tomem tak długo, aż wreszcie zabrakło mi sił. Gdy w końcu się potknąłem, podtrzymał mnie. Odpoczywaliśmy przez chwilę w ciemności, a potem kazał mi znowu ruszyć naprzód. Straciłem rachubę czasu i poczucie miejsca. Głowę wypełniały mi straszliwe obrazy.

Moja matka w lawendowej sukni zbryzganej krwią. Ukoronowana postać we mgle...

— Chodź, Peter! — popędzał mnie Tom.

— *Nie powinieneś tu być, nie w taki sposób. Ale wkrótce to się zmieni.*

Bum bum-bum-bum buuuuum...

Kłapanie szczęk zaciskających się na ciałach...

Moja matka, świeża krew na jej lawendowej sukni...

— Chodź. Jeszcze troszkę.

Przeszliśmy jeszcze kawałek. A potem następny. Wreszcie się zatrzymaliśmy i zwałem się na ziemię, bardziej zmęczony niż

kiedykolwiek w życiu. Natychmiast zasnąłem i na szczęście nic mi się nie śniło.

23

Obudziłem się w lesie, pod potężnym dębem. Obok spał wielki szary pies. Tom przykucnął nad stosem szczap, dmuchając delikatnie na skry uzyskane za pomocą stali i krzemienia. Nie mógł przerwać tej czynności, by coś powiedzieć, skinął więc na mnie ręką. Pies poruszył się, wstał i otrząsnął. Jakiś ptak zaśpiewał, umilkł i znowu się odezwał.

Ta scena była tak spokojna i zwyczajna, że ogarnęło mnie poczucie nierealności. Czy rzeczywiście widziałem okropności, jakie wydarzyły się wczoraj wieczorem w Hygryll? Czy rzeczywiście leżałem związany, czekając na śmierć, by starszyzna z Wrzosowiska Duszorośli mogła się pożywić moim mięsem? Czy rzeczywiście znikąd pojawiła się sfora psów, która...

Nic nie zjawiało się znikąd. Znałem tylko jedno miejsce, z którego mogło pochodzić ciało materializujące się nagle tam, gdzie przedtem go nie było. Musiałby jednak przyprowadzić je hisaf, a zresztą w krainie Umarłych nie ma zwierząt.

Pies pomachał ogonem i przyniósł mi patyk do rzucenia.

Tom wreszcie zdołał rozpalić ognisko.

— Długo spałeś — odezwał się. — Owc zdążył już przynieść tłustego królika. Prawda, piesku? Dobry pies! No cóż, pewnie potrzebowałeś snu, po tym, co omal... Peter, jestem ci winien przeprosiny.

To było ostatnie, czego bym się spodziewał. Zamrugalem. Twarz mojego towarzysza miała poważny wyraz.

— Rozumiesz, myślałem, że mnie oszukałeś. Kiedy odszedłeś, pozwalając mi myśleć, że boisz się żołnierzy dzikusów, uznałem, że powiedziałaś mi kupę kłamstw i uciekłeś z Fią. Dlatego cię śledziłem. Ale ty z nią nie uciekłeś, prawda?

— Prawda.

— W takim razie gdzie ona jest?

Jego twarz wykrzywiła się w grymasie bólu. Po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że Fia mogła być dla niego tym, czym Cecilia była dla mnie. Nie tylko kandydatką na kochankę, lecz również utraconą miłością.

— Nie wiem, dokąd odeszła Fia — odparłem i to były jedne z najprawdziwszych słów, jakie w życiu wypowiedziałem.

Tom spuścił wzrok. Wiedziałem, że nie widzi ogniska i obdartego ze skóry królika leżącego obok, a jedynie swój żal. Mimo woli poczułem się wzruszony.

— Chciała iść do Reginokracji — stwierdził. — Pewnie to właśnie zrobiła. Ale zaprowadziłbym ją tam i wszędzie, dokąd by zechciała!

— Wiem o tym — zapewniłem ze współczuciem w głosie.

— Najgorsze jest to, że nie mogłem jej wytropić. Z łatwością dotarłem jej śladem do małej dolinki pełnej leśnych kwiatów, ale potem trop po prostu zniknął. Za to znalazłem mnóstwo innych. Zostawili je żołnierze dzikusów.

A więc zapuścili się aż do dolinki, w której zakończył się czas Fii. Rozmawiałem się z nimi o kilka godzin. A ich stopy zatarły mój ślad.

— Tom...

— Zostawiła mi to. — Pokazał mi miniaturkę. W jego wielkiej łapie wydawała się jeszcze mniejsza niż w mojej ręce. Spojrzały na mnie oczy

Fii, wiedziałem jednak, że jeśli przyjrzę się uważniej, zobaczę również Cecilie. — Gdybym nie wiedział lepiej, mógłbym niemal pomyśleć, że celowo spotkała się tam z tymi dzikusami. Że chciała z nimi odejść.

— Nie sądzę, by tak było, Tom.

Wzruszył ramionami. Jego oczy przybrały twarde wyraz. Zniknął z nich ból.

— Mogło tak być. W końcu kobietom nie można ufać. Nieźle jest z nimi spać, ale to nie mężczyźni.

Ponownie wzruszył ramionami, schował miniaturkę do kieszeni i zajął się pieczeniem królika.

Czy mówił poważnie? Czy kobiety rzeczywiście były dla niego jedynie miłą rozrywką i zapominał o nich, gdy tylko stracił je z oczu? A może po prostu powtarzał to sobie, żeby złagodzić ból po utracie Fii? Obserwowałem go, gdy piekł królika, pogwizdując niemelodyjnie, ale nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie. Tom Jenkins różnił się ode mnie tak bardzo, że równie dobrze mógłby być stworzeniem zupełnie innego rodzaju. Nie miałem pojęcia, kim jest.

Pies przyglądał się nam z powagą. A czym on był? Tego również nie wiedziałem. Nie sądziłem jednak, by mógł być Owcem, choć przypominał go bardzo, tak samo, jak Owca przypominał Cienia.

Szare psy materializujące się we mgle.

— Tom, dlaczego nie bałeś się wejść na Wrzosowisko Duszorośli? — zapytałem ostrożnie.

Uniósł wzrok i uśmiechnął się do mnie.

— Peter, chyba nie wierzysz w te bajdy, którymi straszy się dzieci? Wszystko to tylko bajania starych bab. — Uśmiech zniknął z jego twarzy. — Chociaż to, co tam widziałem, rzeczywiście było straszliwe. Dlaczego chcieli cię zabić? Czy są w zмовie z armią dzikusów?

— Nie... nie sędzę.

Całkowicie zbił mnie z tropu. Nawet słudzy pałacowi bali się wypowiedzieć słowa „Wrzosowisko Duszorośli”. Ale oni zapewne więcej wiedzieli o tym miejscu. Czy wiedza mogła nasilać przesady, zamiast je zmniejszać? Nie, wieśniacy, których spotykałem na niezliczonych letnich jarmarkach, podzielali wszystkie stare wierzenia. To po prostu był Tom: nieustraszony, lekkomyślny, wierzący w to, co w danej chwili odpowiadało jego kaprysowi, ale nigdy w to, w co wierzyły stare kobiety.

— Pewnie w czarownice też wierzysz — dodał ze wzgardą.

Czy rzeczywiście? A jak inaczej nazwać Matkę Chilton? Ale Tomowi nie o to chodziło.

— Nie wierzę — zaprzeczyłem.

— No dobra. Ale zawahałeś się, nim to powiedziałaś, Peter. Następnym razem powiesz mi, że wierzysz, iż ludzie mogą przechodzić do krainy Umarłych!

Roześmiał się serdecznie i obrócił królika nad ogniskiem.

Jadłem łąpczywie, potem znowu zasnąłem, a po przebudzeniu najadłem się raz jeszcze. Tym razem była to ryba, złowiona w jakimś górskim potoku. Tom rozpałił tylko małe ognisko. Płonęło w nim jakieś twarde drewno, dające niewiele dymu. W pewnej chwili wydało mi się, że słyszę w oddali strzelby, ale nie mogłem być tego pewien. Późnym popołudniem, gdy na porośniętą jaskrami i stokrotkami polanę padał już długi cień dębu, poczułem się gotowy znowu ruszyć w drogę.

Tom popatrzył na mnie wyczekująco.

— Peter, co teraz zrobimy? — zapytał.

— Wyruszymy w podróż — odparłem.

— Dlaczego?

— Jest pewne miejsce, które muszę odwiedzić, i ktoś, z kim muszę porozmawiać. Nie mogę powiedzieć ci więcej. Jeśli mimo to chcesz ze mną podróżować, ucieszę się z twojego towarzystwa. Jeśli nie chcesz, zrozumieć to.

Jego twarz się zachmurzyła.

— Nie ufasz mi.

— Ufam — zapewniłem i obaj wiedzieliśmy, że to nie jest kłamstwo. Nikt nie mógłby być bardziej lojalny, użyteczny i nieustrudzony niż Tom. Ale z drugiej strony nikt nie mógłby być bardziej skłonny do popełnienia jakiegoś impulsywnego czynu, który zgubiłby nas obu. — Ale i tak nie mogę odpowiedzieć na twoje pytania. Czy pójdziesz ze mną?

Ogryzał paznokiec kciuka, przesywając mnie pełnym pretensji spojrzeniem.

— Nie powiesz mi?

— Nie mogę.

— Czy to kolejne kłamstwa?

— Nie. Nie powiem ci nic, żeby nie musieć cię okłamywać.

Zastanowił się nad tą odpowiedzią, starając się ją zrozumieć. Czy chciałem mu powiedzieć komplement, czy raczej wprowadzić go w błąd? Łatwo mi było śledzić powolną pracę jego mózgu. Szczerze mówiąc, łatwiej niż własnego.

Moja matka, świeża krew na jej lawendowej sukni...

Ukoronowana postać we mgle...

Fia...

Odesłano mnie z krainy Umarłych. Nie wróciłem z własnej woli. Wyrwano mnie stamtąd. Nigdy dotąd nic takiego się nie zdarzyło. Nie wiedziałem, kto mógłby dysponować taką mocą, i nie miałem pojęcia, co naprawdę dzieje się w krainie Umarłych. Znałem tylko jedną osobę, która

mogłaby mi udzielić pewnych informacji, ale nie wiedziałem, gdzie obecnie przebywa Matka Chilton. Był też jednak ktoś inny, kto mógł wiedzieć coś użytecznego. Mój plan — jeśli zasługiwał na taką nazwę — był naprawdę desperacki. Nie przychodziło mi jednak do głowy nic innego.

— Pójdę z tobą — oznajmił Tom i zasypał ognisko nogami. Potem zwinął płaszcz, w którym spałem, i sprawnie spakował nóż, garnek, kufel oraz strzelby. Uporawszy się z tym zadaniem, spojrzał na mnie wyczekująco.

— Dokąd pójdziemy?

— Na wschód — odparłem.

Trwało to ponad dwa tygodnie. Trzymaliśmy się północnej granicy Wrzosowiska Duszorośli, czasami nawet widzieliśmy samo wrzosowisko u podstawy długiego, lesistego stoku jakiegoś wzgórza. Dostrzegałem wówczas pustkowia, mokradła porośnięte zielonym mchem, wyniosłe skaliste wzgórza, ale nigdzie nie było żadnych osad. Wędrówka była tu łatwiejsza niż dalej na północ, w sercu Ziemi Niczyjej. Pewnego wieczoru narysowałem na ziemi prostą mapę na użytek Toma, podobnie jak kiedyś Kit Beale zrobił to dla mnie.

— Popatrz, tu jest Ziemia Niczyja, a na północ od niej Reginokracja. To jest morze, tutaj, na wschodzie. Idziemy w jego stronę.

— Aha — odparł Tom. Wiedział już, że nie ma sensu pytać mnie po co. Nie okazał też większego zainteresowania mapą. Nie umiał czytać i nie miał ochoty się tego nauczyć. Dla Toma Jenkinsa nie istniały symbole, przesady ani wspomnienia, a jedynie to, co widział przed sobą i czego mógł dotknąć. Nigdy już nie wspomniał o Fii i nigdy nie zauważyłem, by patrzył na przedstawiającą ją miniaturę.

Czasami mu zazdrościłem.

— Gdy już dojdziemy do morza — ciągnąłem, wskazując patykiem na mapę — ruszymy na północ wzdłuż wybrzeża.

— Aha. Zostało jeszcze trochę królika? Hej, Owc, ty leniwy psie, złowiłeś za małego! Jutro musisz się spisać lepiej, Owc. Dobry piesek!

Owc, który nie był Owcem, pomerdał ogonem.

Gdy już dotarliśmy do brzegu, wędrówka stała się trudniejsza. Wybrzeże było tu zupełnie dzikie, pełne głębokich ukrytych zatoczek i wysokich klifów. Nie natknęliśmy się na żadne osady. Ale kiedy zeszliśmy nieco niżej, pojawiły się ścieżki, a gdzieś tam również samotne chaty. Pogoda była dobra i Owc bez trudu zaopatrywał nas w żywność. Gdy Tom rozmawiał z mieszkańcami chat, byli podejrzliwi i nieprzyjaźni. Dowiedzieliśmy się jednak, że żołnierze dzikusów nie dotarli tak daleko. W jakimś nieoznaczonym punkcie przeszliśmy z Ziemi Niczyjej do Reginokracji.

Potem, po długich dniach forsownej wędrówki, gdy nad ziemią unosiła się letnia mgiełka, dotarliśmy do miejsca, które świetnie znałem. Porzucona chata na polanie, szlak schodzący po stromym urwisku na kamienistą plażę. Ogromne, na wpół zanurzone w wodzie głazy wybiegające na otwartą wodę. Stałem na szczycie urwiska, patrząc na spokojne błękitne morze, ale w moim umyśle malowała się zupełnie inna scena.

— Peter — odezwał się Tom w jednym ze swych rzadkich, niespodziewanych ataków przenikliwości. — Co się stało? Wyglądasz tak... tak...

— To nic.

— Kiedyś już tu byłeś — stwierdził cicho. — A na tej polanie z chatą z gałęzi dębu zwisa zbutwiała pętla.

Ciało jasnowłosego młodzieńca — miał taki sam kolor włosów jak Tom — dawno już zniknęło. Minęły trzy lata, odkąd Hartah i jego banda

morderców zwabili „Frances Ormund” na przybrzeżne skały, doprowadzając do jej rozbicia, a potem złapali ich żołnierze królowej. Na pogodnym horyzoncie nie widziałem teraz żadnego statku, a plażę rozświetlały promienie słońca, nie zdradzieckie ognisko, mające przekonać żeglarzy, że zmierzają do bezpiecznej przystani. Gdzieś na plaży siedzieli niewidoczni z tej strony Umarli. Ofiary katastrofy, zabici przez ludzi Hartaha albo przez żołnierzy. A także jedna osoba zamordowana przez Hartaha i jedna przeze mnie.

— Tak — potwierdziłem. — Kiedyś już tu byłem.

24

Tej nocy, gdy Tom zasnął przy rozpalonym na polanie ognisku, po raz kolejny złamałem złożoną Fii obietnicę i przeszedłem na drugą stronę.

Najpierw musiałem zejść na plażę. Przed trzema laty, gdy byłem tu poprzednio, dowiedziałem się, że w krainie Umarłych, której krajobraz przypomina krainę żywych, lecz nie jest jej dokładnym odbiciem, nie ma ścieżki prowadzącej na plażę. Tu właśnie po raz pierwszy zobaczyłem, jak marynarz zwany Gackiem wzbił się w powietrze i uświadomiłem sobie, że Umarli — jeśli nie zapadną w swój spokojny trans — dysponują nieznanymi mi mocami. Ja jednak nie umarłem i nie potrafiłem latać ani tu, ani tam. Dlatego przed przejściem do krainy Umarłych zszedłem ostrożnie na plażę po ścieżce — stromej i porośniętej zielskiem, lecz na szczęście dobrze widocznej w blasku księżyca.

Pies poszedł za mną. Obwąchiwał z zainteresowaniem krzaki, dziury w ziemi oraz tropy zwierząt. Gdy w końcu dotarłem na plażę, utracił zainteresowanie, położył się na kamykach i zasnął.

O zachodzie słońca pojawiła się lekka bryza, tworząca na wodzie maleńkie fale. Stałem tam przez długi czas, obserwując pluskającą łagodnie o kamienie wodę. Próbowałem zebrać odwagę. Potem położyłem się blisko urwiska, uderzyłem kamieniem w udo i przeszedłem na drugą stronę.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Noc ustąpiła miejsca słabemu, niezmiennemu światłu krainy Umarłych. Mgła tworzyła tu kosmyki, rzadkie, jasne plamy, które z łatwością przenikałem wzrokiem. Przez pewien czas stałem bez ruchu, chcąc się przekonać, czy ktoś odeśle mnie z powrotem, jak stało się to na Wrzosowisku Duszorośli. Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Ruszyłem przez mgłę ku Umarłym.

Siedzieli na plaży albo na głazach, niekiedy dość daleko od brzegu. Nie było tu mogących im zagrozić fal. Zobaczyłem jeden krąg, ale złożony tylko z czterech marynarzy. Nie trzymali się za ręce, a ich głów nie otaczała gęsta mgła. Cokolwiek Duszoroślanie robili w krainie Umarłych, wpływ ich poczynań nie zaznaczył się jeszcze na wschodnim wybrzeżu.

Nie wszyscy siedzący na plaży Umarli byli marynarzami albo rozbójnikami. W swoim czasie zakończyli tu życie również inni ludzie. Zauważyłem dwoje dzieci ubranych w staromodne fartuszki, rybaka oraz bosego mężczyznę w prosto uszytym futrze. Na plaży była tylko jedna kobieta. Podszedłem bliżej i ukucnąłem obok niej.

— Ciociu Jo?

Rzecz jasna, nie odpowiedziała mi. Dziwnie się czułem, widząc na jej twarzy tak spokojny wyraz. Za życia nigdy nie zniknął z niej grymas niepokoju i strachu. Nieopodal siedział Hartah, powód tych jej wieloletnich cierpień. Nie patrzyłem wprost na brutalnego męża ciotki, za życia terroryzującego i ją, i mnie. Nie było już nic, czego bym od niego chciał. Wszystkie długi między nami spłaciłem w noc katastrofy, wbijając mu jego własny nóż między zębra.

— Ciociu Jo, to ja, Roger. Roger Kilbourne.

Jej jasnobrązowe oczy — takie same jak moje — gapiły się spokojnie w pustkę. Matka miała ciemniejsze, koloru żyznej ziemi na wiosnę. Ciotka Jo była jej starszą siostrą, ale nie wiedziałem, ile lat różnicy było między nimi. Nie miałem też pojęcia, ile lat miała matka, kiedy umarła, a mnie odesłano do ciotki Jo. Ja miałem teraz siedemnaście. Jeśli liczyła sobie, powiedzmy, dwadzieścia, kiedy się urodziłem, a jej siostra była dziesięć lat starsza, to by znaczyło, że ciotka miała w chwili śmierci czterdzieści cztery lata. Nie była jeszcze starą kobietą, a to stare kobiety najchętniej ze mną rozmawiały.

— Obudź się, ciociu Jo!

Potrząsnąłem ją za ramię. Nie poruszyła się.

— Musisz się obudzić! Nie wiem, gdzie jest Matka Chilton, a poza nią tylko ty możesz mi opowiedzieć o... Muszę... Obudź się!

Nie reagowała. Mocno potrząsnąłem jej chudym, wątłym ciałem.

— Ciociu Jo! — zawołałem głosem przechodzącym w krzyk.

Nie chciała się obudzić.

Czy rzeczywiście była za młoda, czy też jej pogrążony w marzeniach umysł wolał spokój transu śmierci od grozy, jaką było jej życie? Szrama, która pojawiła się na jej głowie, gdy Hartah uderzył ją drewnianą skrzynką z mosiężnymi okuciami, zniknęła. Umarli nie zabierają ze sobą poza grób śmiertelnych obrażeń. Dostrzegałem jednak ślady straszliwego życia, jakie wiodła z Hartahem, w chudości jej wygłodzonego ciała oraz w zapadniętych policzkach. Wyglądała na więcej niż czterdzieści cztery lata, na tyle, że powinienem być w stanie ją obudzić, jak budziłem inne staruszki w krainie Umarłych. A może rzeczywiście była starsza, ale po prostu nie chciała wyjść z transu?

Ta myśl mnie rozwścieczyła. Znowu potrząsnąłem ciotką.

— Budź się! Budź się! Muszę się dowiedzieć paru rzeczy, a nikt oprócz ciebie mi ich nie powie. Kto woła mnie po imieniu w krainie Umarłych? Dlaczego na sukni mojej matki jest świeża krew? Kim był mój ojciec? Do licha, ciociu Jo, obudź się albo... albo...

Nie zdołałem wypowiedzieć tego na głos. Byłem jednak gotowy to uczynić: Obudź się albo zabiorę cię do krainy żywych i zmuszę do mówienia.

Mogłem to zrobić. Robiłem to już kiedyś. A gdybym tak postąpił, ciotka Jo miałaby dwa tygodnie nowego życia, a potem zniknęłaby na zawsze, zgniła w ciągu niespełna minuty i przestała istnieć w obu królestwach. Na cokolwiek czekali Umarli — jeśli to rzeczywiście było oczekiwanie — ona by tego nie otrzymała. Śmierci nie można było oszukać na długo. Poznałbym odpowiedzi, ale odebrałbym ciotce wieczność.

— Niech cię lichy! Odpowiedz mi albo to zrobię! Obudź się! Obudź! Kto woła mnie po imieniu w krainie Umarłych? Kim był mój ojciec. Kim? Kim?

Zwisała bezwładnie jak lalka w mojej zdrowej ręce. Na jej twarzy nie było uczuć, rozpoznania ani życia. Przyciągnąłem ją do siebie, przygotowując się do przejścia na drugą stronę.

Ale w ostatniej chwili przekonałem się, że nie jestem w stanie tego zrobić.

Ta kobieta nie broniła mnie przed Hartahem, ale przyjęła mnie, kiedy moja matka umarła, a ojciec się nie zjawił. Dzieliła się ze mną garstką jedzenia, jaką dawał nam jej mąż, a gdy nadszedł straszliwy dzień rozbicia statku, namawiała mnie, bym zwiął, dopóki było to możliwe. (Uciekaj, Roger! Uciekaj!) Przez całe osiem lat zaznałem dobroci jedynie od niej. Choć nie było tego wiele, starała się mi to dać. Nie mogłem odpłacić ciotce, okradając ją z tej formy bytowania, której natury nawet nie rozumiałem.

O ile wiedziałem, Umarli mogli być ekstatycznie szczęśliwi wewnątrz swych nieruchomych ciał. O ile wiedziałem.

Położyłem ciotkę Jo na małej kamienistej plaży, Hartahowi zaś wymierzyłem okrutnego, zupełnie niepotrzebnego kopniaka. Zwalił się na spokojną twarz. Potem ugryzłem się w język i wróciłem do krainy żywych.

I całe szczęście. Choć spędziłem w krainie Umarłych zaledwie kilka chwil, tutaj minęły długie godziny. Nadciągał przypływ i woda pokryła już w połowie moje nieczułe ciało. Jeszcze kilka minut i utonąłbym. Nadszedł świt i nad plażą kłębiła się mgła.

Stałem tam, mokry i przemarznięty. Pośród mgły zbliżała się do mnie jakaś postać.

Przez krótką, pełną oszołomienia chwilę myślałem, że znowu znalazłem się w krainie Umarłych, a postać ma na głowie koronę. Czekałem na straszliwy śmiech, od którego dreszcz wnikał mi aż do kości. Byłem jednak w krainie żywych i to była zwykła poranna mgła, która szybko się rozpraszała. Kobieta nie nosiła korony, a szarą suknię oraz czepek tego samego koloru. Nie była ani młoda, ani stara, ani gruba, ani chuda, ani ładna, ani brzydka. Sprawiała wrażenie rozgniewanej.

To była Matka Chilton.

25

— Widzę, że nadal potrafisz myśleć o innych, Rogerze Kilbourne — oznajmiła Matka Chilton. — To może być jedyna dobra rzecz, jaką uczyniłeś tego lata. Czy raczej nie uczyniłeś.

Mogłem jedynie gapić się na nią ze zdumieniem i wyjąkać:

— Skąd... skąd...

— Skąd wiem, że miałeś zamiar sprowadzić swą biedną ciotkę do krainy żywych, ale nie zrobiłeś tego? Nie bądź aż taki głupi, Roger. Stąd, że twojej ciotki tu nie ma, tak? A to, że miałeś zamiar to zrobić, wiem, bo w przeciwnym razie po co miałbyś tu przychodzić? Raczej nie wspominasz miło tej plaży ani położonej powyżej polany.

— Ale skąd wiedziałaś, że tu jestem?

Wpatrywała się we mnie i pod jej spokojnym, pełnym dezaprobaty spojrzeniem poczułem się, jakbym znowu miał piętnaście lat i był ogłupiałym z miłości młokosem, który przyszedł do jej namiotu po posset szlachcianki, nie wiedząc, czym on jest i do czego służy. Znowu leżałem w pustej piwnicy na jabłka po tym, jak Matka Chilton uratowała mnie przed czarną ropą, ucinając mi rękę. Odurzony jej eliksirami, oglądałem z tajnej komnaty w pałacu, jak królową Caroline pałą na stosie. Wróciły do mnie wszystkie straszliwe błędy, które popełniłem od chwili, gdy poprzednim

razem byłem na tej plaży. Wróciliśmy do punktu wyjścia. Błazen Roger i jego wybawicielka, Matka Chilton. Nic się nie zmieniło.

— Wszystko się zmieniło — oznajmiła z powagą, nie odpowiadając na moje pytanie. — Rogerze Kilbourne, musisz przestać przechodzić na drugą stronę. Ale najpierw musisz stąd uciec, nim nadejdzie przypływ.

Woda zaczynała się już przelewać mi przez buty, choć nasza rozmowa trwała zaledwie parę chwil. Mała plaża funkcjonowała jak lej wciągający fale. Wdrapaliśmy się wąską ścieżką na górę. Matka Chilton szła pierwsza. Za naszymi plecami wschodziło słońce, które rozpraszało mgłę na dole, odsłaniając gładką jak szkło tafłę błękitnego morza.

Na szczycie urwiska, w cieniu sosen wykoślawionych od słonego wiatru, kobieta zwróciła się ku mnie. Jej dezaprobata przerodziła się w niecierpliwość.

— Roger, musisz mi obiecać, że już nigdy, przenigdy nie przejdziesz na drugą stronę. To ważniejsze niż potrafisz pojąć. Obiecuj!

Po raz pierwszy poczułem, że równowaga sił między nami się zmieniła. Miałem coś, czego ona chciała.

— Obiecuję tylko pod warunkiem, że najpierw odpowiesz na moje pytania — odparłem, wiedząc, że postępuję małostkowo. W końcu zawdzięczałem jej życie.

Jej twarz nie zmieniła wyrazu, ale w staro-młodych oczach rozbłysnął gniew. Nie odpowiedziała mi, a ja uznałem ten fakt za wystarczający powód, by naciskać dalej.

— Kim była Fia?

— Myślę, że już to wiesz.

Matka Chilton skrzyżowała ramiona na piersiach. Nie da mi nic za darmo.

— Fia była... była... — Trudno było wypowiedzieć te słowa, a nawet je pomyśleć. Postanowiłem odwlec tę chwilę. — Jest was wiele... Kobiet, które znają sztuki duszy. Prawda?

— Tak.

— Czy ta zdolność przechodzi z matki na córkę?

— Czasami. Nie zawsze. Ani Caroline, ani jej matka nie miały talentu, lecz jej babka tak.

Czekała na moje pytanie, nie prostując rąk.

— I Fia była jedną z was?

— Nie.

— W takim razie kim była?

Matka Chilton milczała.

— Ale sprowadzono ją z powrotem z krainy Umarłych, zgadza się?

— Tak.

— A teraz Fia nie istnieje w żadnym z tych miejsc i już nigdy nie będzie istniała?

— To prawda.

Przez twarz Matki Chilton przemknął grymas bólu. Zrozumiałem, że ona również opłakuje Fię.

— Ale dlaczego? — zawołałem. — Dlaczego jej to zrobiono? Dlaczego?

— Nie zrobiono jej tego, Roger. To była jej decyzja.

— Umarli nie podejmują decyzji! Są spokojni i apatyczni! Nie wmówisz mi...

— Mogłabym ci powiedzieć prawdę — przerwała mi, odzyskując panowanie nad sobą — ale nie zechciałbyś mnie wysłuchać. Fia podjęła tę decyzję, gdy jeszcze mieszkała w krainie żywych. Postanowiła, że pragnie, by po śmierci sprowadzono ją tu z powrotem. Chciała umrzeć po raz drugi

w walce przeciwko siłom, których nie jesteś w stanie pojąć. Miała do wykonania zadanie i wykonała je.

Kolana ugięły się pode mną. Musiałem się złapać pnia sosny.

— Fia... Fia postanowiła to zrobić, by powstrzymać mnie przed przechodzeniem na drugą stronę?

— Nie. Nie bądź arogancki. Przed śmiercią nawet nie wiedziała o twoim istnieniu.

— W takim razie co... Pochodziła z Wrzosowiska Duszorośli?

Te zielone oczy, tak bardzo podobne do oczu Cecilii.

— Tak.

Twarz Matki Chilton zmieniła wyraz. Kobieta opuściła ręce, jakby wreszcie podjęła jakąś decyzję. Oddech zatrzymał się w mojej piersi. Postanowiła powiedzieć mi prawdę.

— Fia była Duszoroślanką, pochodzącą z Galtryf, które jest sercem krainy nieprzyjaciela. Świadomie używam tego słowa, Rogerze Kilbourne. Wrzosowisko Duszorośli jest nieprzyjacielem wszystkiego, co żyje. Fia zrozumiała, co się tam dzieje, i nie była w stanie tego przełknąć. Uciekła. Chciała odnaleźć kobiety praktykujące sztuki duszy i opowiedzieć im o planach Duszorośli. Zdołała dotrzeć aż do granicy Ziemi Niczyjej, mimo że była umierająca...

— Umierająca?

— Otruto ją w Galtryf. Wszystkim młodym podaje się tam niewielkie dawki trucizny, aż do chwili, gdy zawładnie ona ich umysłami. Fii podawano odtrutkę w spożywanych codziennie posiłkach. Gdy jej zabrakło, zachorowała. Ale wlokła się naprzód, aż wreszcie przekroczyła granicę, której żaden Duszoroślanin nie śmie przekraczać. Wiesz dlaczego.

Wiedziałem. Każdego, kto opuścił Wrzosowisko Duszorośli, a potem próbował wrócić, czekała śmierć taka sama jak ta, przed którą ledwie

zdołałem uciec.

— Na Ziemi Niczyjej znalazł ją pewien chłopak. Był ciemny i niezbyt inteligentny, ale przed śmiercią Fia wydobyla z niego obietnicę, że znajdzie hisafa, który sprowadzi ją z powrotem. Chłopak dotrzymał słowa. Mieszkańcy Ziemi Niczyjej nadal szanują stare prawdy. A przynajmniej większość mieszkańców.

Jak Jee. Potrafiłem sobie wyobrazić, jak Fia, konająca i cierpiąca, ostatkiem sił przekazuje swe ostatnie życzenie młodemu prostakowi, a ten je spełnia. Również jak Jee.

— Reszty możesz się domyślić — ciągnęła Matka Chilton. — Hisaf sprowadził Fię do krainy żywych, a ona odnalazła kobiety władające sztukami duszy i przekazała im wszystko, czego się dowiedziała. Potem, chcąc wykorzystać resztę dwóch tygodni, jaka jej pozostała, zgodziła się, by przeniesiono ją do ciebie. Miała uzyskać od ciebie obietnicę, że już nigdy nie przejdziesz na drugą stronę. Obietnicę, którą złamałeś już następnego dnia.

— Oszukała mnie! Podstępem...

— Wiem, co zrobiła — przerwała mi Matka Chilton z powagą w głosie. — Nadal nic nie rozumiesz, Roger? To jest wojna. Coś znacznie ważniejszego niż twoje nieistotne problemy. A ty nie możesz się do niej mieszać.

— Dlaczego? — Mój głos zabrzmiał jak wycie. Dwa ptaki siedzące na pobliskiej gałęzi spłoszyły się i zerwały do lotu. — Wojna przeciwko czemu? Co próbują zrobić Duszoroślanie?

— Oni już to robią — oznajmiła złowrogim tonem Matka Chilton. — Wysłuchaj mnie. Z upływem lat i stuleci Umarli zdobywają coraz większą moc. Jak mogłoby być inaczej? Nawet głupi młodzieńcy, tacy jak ty, wiedzą, jak bardzo potężna jest śmierć. Miałeś okazję się tego dowiedzieć.

Wszyscy myślący ludzie przechodzą przez życie, wiedząc, że pewnego dnia umrą i nic — ani bogactwo, ani uroda, ani miłość — nie powstrzyma przemożnej mocy śmierci. A gdy ona w końcu nadchodzi, razem z nią wnika w nich część jej mocy. Moc Umarłych należy wyłącznie do nich, nawet wtedy, gdzie dzielą się nią w swych kręgach. Ona narasta powoli, jak ogromny dąb zrodzony z maleńkiego żołądka, aż wreszcie Umarły jest gotowy pozwolić, by zabrała go do wieczności. Gdyby było inaczej, w krainie Umarłych przebywałoby znacznie więcej ludzi. Czy nie zauważyłeś, że nikt tam nie ma na sobie ubrań starszych niż kilkaset lat? Pewnie, że nie zauważyłeś. Zresztą w swej ignorancji i tak nie potrafiłbyś określić daty powstania stroju.

Nie zamierzałem pozwolić, by pogarda Matki Chilton odwróciła moją uwagę od pytań, które jej zadawałem.

— Ale Wrzosowisko Duszorośli...

— Duszoroślanie znaleźli sposób pozwalający im odwiedzać krainę Umarłych. Widziałeś tam ludzi z Wrzosowiska, prawda?

— Jako ciemną, brzęczącą mgłę. Myślałem, że tylko hisafowie potrafią przechodzić na drugą stronę.

— Pierwotnie tak było. Ale istnieją niewierni hisafowie, zepsuci i samolubni. Niektórzy z nich... Dość już ci powiedziałam!

Nigdy dotąd nie widziałem, by Matkę Chilton coś zaniepokoiło. Nie wiedziałem, że to w ogóle możliwe. Zakryła twarz dłońmi. Całe jej ciało zaczęło drżeć. Przeraził mnie ten widok. To było tak, jakbym zobaczył dygoczącą górę albo łkający dąb. Nie mogłem jednak dać za wygraną. To była moja jedyna szansa poznania prawdy.

— To nie wystarczy, Matko Chilton. Co chcą zrobić Duszoroślanie i ci „niewierni hisafowie”? Powiedz mi to albo nic ci nie obiecuję.

Dreńczęcą ją spazmy skończyły się równie nagle, jak się zaczęły. Opuściła dłonie. W półmroku panującym pod sosnami nie widziałem, czy ma na twarzy łzy. Czyżby to była tylko gra, mająca mnie wzruszyć, bym zapomniał o pytaniach?

— Próbują przyciągnąć do siebie moc Umarłych po to, by żyć wiecznie — odparła po prostu.

Gapiałem się na nią. Z przerażenia zabrakło mi słów.

— Pragną ukraść Umarłym wieczność i zagarnąć ją dla siebie. Unicestwić ich po tamtej stronie, jak ty zrobiłeś to po tej z Gackiem, Cecilią i armią Niebieskich. Teraz rozumiesz, jak wysoka jest stawka?

Ukraść Umarłym wieczność.

Pomyślałem o tych wielkich kręgach, o złączonych dłoniach i głowach otoczonych ciemną mgłą pobudzającą wszystkich umarłych. Pośrodku kręgów znajdowały się brzęczące opary, obserwatorzy z Duszorośli. Ale ukraść Umarłym wieczność...

— Czy są w stanie to zrobić? — wyszeptałem.

— Tak. Nie. Nie mamy pewności, ale jesteśmy przekonani, że są. W końcu ty ukradłeś niektórym Umarłym wieczność w tym królestwie, czemu więc nie miałyby to być możliwe w tamtym?

Nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie.

— Roger — podjęła ciszej, ale dzięki temu chyba bardziej stanowczo — nie możesz już więcej przechodzić do krainy Umarłych. Mówiłam ci już, żebyś nie próbował szukać matki, ale teraz naprawdę nie możesz tego robić.

— Znalazłem ją — odparłem. Matka Chilton otworzyła szeroko oczy. A więc nie wiedziała wszystkiego o tym, co robiłem i co się działo w krainie Umarłych. Ta świadomość dodała mi odwagi, pozwoliła zadać kolejne pytania. — Dlaczego na sukni mojej matki jest świeża krew, choć

w krainie Umarłych żadna krew nie jest świeża? I kim jest kobieta we mgle, która zna moje imię? Ta, która powtarza: „Nie żyję od jedenastu lat”?

Matka Chilton jęknęła.

— A więc widziała cię.

— Tak.

— I mówiła do ciebie?

— Tak.

— To bardzo niedobrze.

— Kim ona jest? Powiedz mi albo nic ci nie obiecuję!

— Grozisz mi, ty ignorancki chłopcze wścibiający nos w nie swoje sprawy?

— Nie jestem już chłopcem — odparłem z pasją — a jeśli nawet jestem ignorantem, to tylko dlatego, że nikt nie chciał podzielić się ze mną wiedzą, która pozwoliłaby działać mądrze. Powiedz mi, Matko Chilton, kim jest ta kobieta? Inaczej nic ci nie obiecuję.

— To nie jest kobieta, tylko dziewczynka. Urodziła się przed jedenastu laty. To twoja siostra.

Te słowa nie miały dla mnie sensu, nijak nie odnosiły się do rzeczywistości.

— Moja...

— Twoja matka wyszła za hisafa. Oni nie żenią się z dziewczynami z Reginokracji, ale również mogą się zakochać. Ona była piękna, a on uparty. Nikt z nas nie aprobował tego małżeństwa, ale...

— Kto to są ci „my”?

— Pobrali się i przyszedłeś na świat — ciągnęła, jakbym w ogóle się nie odezwał. — Sześć lat później twoja matka urodziła drugie dziecko i to ją zabiło. No wiesz, wiele kobiet umiera przy porodzie.

Przypomniałem sobie gości, którzy odwiedzili gospodę w Applebridge przed kilkoma miesiącami. W innym życiu. Synowa lorda Carusha Spenlowa, świeżo po łożu, blada i dręczona gorączką. Słowa położnej: „Ta dziewczyna, lady Joanna, umrze. Nie mogłam nic dla niej zrobić”. Dziecko płaczące w wozie. „Wielka szkoda”.

— Ale twoja matka była inna, Roger — ciągnęła Matka Chilton. — Urodziła dziecko hisafa, a potem umarła w samej chwili porodu. Coś takiego nigdy dotąd się nie wydarzyło. Twoja siostra przyszła na świat pod drugiej stronie, w tej krótkiej chwili, zanim Umarli zapadają w spokojny trans. Rozumiesz? Noworodek nie miał ciała w krainie żywych. Dziewczynka nigdy tu nie istniała. Dorastała za grobem.

— Nie rozumiem.

— Ale tak było — zapewniła Matka Chilton.

— Jak noworodek w ogóle mógł przeżyć? Jeżeli moja matka zapadła w spokojny trans Umarłych, jak mogła się opiekować dzieckiem?

— Nie mogła tego robić i nie robiła. Twoją siostrą we wczesnych latach opiekował się szereg Umarłych, starych kobiet obudzonych przez zepsutych hisafów, którzy dostrzegli w tych dziwacznych narodzinach swą szansę. Gdy dziewczynka już nieco podrosła, sami przynosili jej jedzenie. Ale większość czasu spędzała samotnie wśród Umarłych. Jest źródłem potężnej mocy dla wyjętych spod prawa hisafów, tych, którzy współpracują z Duszoroślą. Nawet hisafowie muszą umrzeć, lecz ci z nich, którzy są niewierni, pragną, by tak nie było. Ale twoja siostra nie jest hisafem. Nie może przejść do krainy żywych, a gdyby ktoś ją tu przeniósł, zniknęłaby jak zgaszona świeca. Wie o tym. Roger, twoja siostra jest ogniwem łączącym żywych z Umarłymi. Żyje, choć nigdy nie była żywa. I...

Przerwała, lecz wiedziałem, co chciała mi rzec. Powiedziałem to za nią. Ten śmiech, od którego dreszcz wnikał mi aż do kości, a krew zmieniała się

w lód.

— Moja siostra jest obłąkana.

— A czy ty byś nie oszalał po tak długim okresie podobnej egzystencji?

— Z pewnością.

Nie żyję od jedenastu lat... A mimo to nie była martwa.

— Wracaj do Maggie, Rogerze Kilbourne — dodała Matka Chilton ze znużeniem w głosie. — Obiecuj mi, że już nigdy nie przejdziesz na drugą stronę, a potem wracaj do tej biednej dziewczyny, która z jakichś niewytłumaczalnych powodów cię kocha. Powiedziałam ci już wystarczająco wiele.

— Nieprawda! Dlaczego nie mogę przechodzić na drugą stronę? Co może mi zrobić siostra?

— Nie wiemy na pewno. Wiemy jednak, że jest we władzy wyjętych spod prawa hisafów, którzy pragną ją wykorzystać do własnych celów. Jest jedyna w swoim rodzaju, ani żywa, ani martwa, któż więc może wiedzieć, jakimi mocami włada? Podejrzewamy też, że chcą wykorzystać ciebie za jej pośrednictwem, choć jeszcze nie wiemy, w jaki sposób. Staraj się pamiętać, że nie jesteś sam na świecie, Rogerze Kilbourne. Ani na jednym, ani na drugim. Nie jesteś drobiną pyłu unoszącą się samotnie w powietrzu. Wszystko, co robisz, ma konsekwencje dla całej sieci życia.

— Przecież jestem hisafem! — zawołałem głosem brzmiącym jak zawodzenie małego dziecka.

— Jest wielu hisafów. Ale ty różnisz się od nich wszystkich.

Wypełniła mnie furia. Ta kobieta stojąca w cieniu zdeformowanej przez wiatr sosny była tak bardzo nieuchwytna, jej oczy odbijały wszelkie padające na nie światło. Nie odpowiedziała bezpośrednio na żadne moje pytanie. Miałem ochotę przywalić jej zdrową ręką — ja, który nigdy

w życiu nie uderzyłem kobiety — wiedziałem jednak, że jeśli to zrobię, Matka Chilton pokona mnie po raz kolejny.

— Czym się od nich różnię? Dlaczego tak uważasz?

— Dlatego, że z szaloną siostrą łączy cię więź krwi — odpowiedziała.
— I dlatego, że twój ojciec różni się od innych hisafów.

Wlepiłem w nią spojrzenie. Wypowiedziała to zdanie od niechcienia, jakby nie miało mocy zwalenia mnie z nóg.

— Straszliwie się myli, jeśli chodzi o naturę tej wojny — kontynuowała takim samym tonem. — Ale mimo to stara się jak może.

— Mój ojciec żyje? I nigdy nie zechciał mnie zobaczyć ani nawet...

— Cicho! Słuchaj!

Ja również to usłyszałem. Krzyki dobiegające zza drzew. Dobiegały od strony chaty na polanie.

Matka Chilton złapała mnie za rękę.

— Daj słowo! Że nigdy już nie przejdiesz na drugą stronę!

— Żołnierze...

— Powiedz to! Ja wykonałam swą część tej diabolicznej umowy!

— Obiecuję, że nigdy już nie przejdę na drugą stronę — zacząłem. —
Mój ojciec...

Spomiędzy drzew wypadli czterej żołnierze. Ja i Matka Chilton staliśmy zwrócenii plecami do urwiska. Nie było szans ucieczki. To jednak nie byli dzicy żołnierze z armii Młodego Wodza. Mieli fioletowe bluzy, a na ramionach godła księżniczki Stephanie. Miałem ochotę rozplakać się z ulgi, ale trwało to tylko chwilę.

— To on! — zawołał jeden z nich w chwili, gdy pojмали nas oboje. Zaciągnęli nas ścieżką na polanę. Tom Jenkins leżał obok chaty, przy naszym ognisku. Jego blond włosy splamiła krew. Nie ruszał się.

Wysoki mężczyzna z emblematem kapitana na bluzie przyjrzał się mojej twarzy. Skinął głową i wykonał gest dłonią. Jeden z jego ludzi wpadł do środka.

— Jesteś Roger Kilbourne — oznajmił kapitan, mężczyzna o chudej twarzy i ostrym podbródku łasicy.

Milczałem.

— Panie... — zabrzmiał starczy, drżący głos.

— Wypuście tę staruchę — rozkazał kapitan niecierpliwym głosem. — Nie rozkazano nam zatrzymywać zgrzybiałych, słabowitych sług.

Odwróciłem się i spojrzałem na Matkę Chilton. Jej twarz pokryły nieprawdopodobne zmarszczki, a oczy spływały starczą ropą.

— Panie... — zawołała znowu do mnie starczym głosem, pełnym desperacji i unizenia. Żołnierz ją popchnął i omal nie padła na ziemię. Wyprostowała się i czmychnęła, nie spoglądając już na mnie.

— Roger Kilbourne — odezwał się inny głos za moimi plecami. Odwróciłem się. Mężczyzna mówił z silnym akcentem, a jego głos był niewyraźny. Chyba wiedziałem, kim jest, nim jeszcze go zobaczyłem.

Dziki wojownik, były śpiewak, nie zginął jednak w chacie w Almsbury. W przeciwieństwie do trzech swych żołnierzy zdołał jakoś przeżyć straszliwe rany zadane przez Cienia. Jego młoda, przystojna twarz była straszliwie okaleczona. Jedno oko zakrywała opaska, usta wykrzywiały się groteskowo, a połowa wargi była oderwana i nadal się nie zagoiła. Z owiniętego bandażami gardła dobywał się niewyraźny głos. W jedynym oku gorzała nienawiść.

Wiedziałem, że tym razem żaden pies mnie nie uratuje. Owc, który nie był Owcem, nie wszedł ze mną na górę. Jego czas w krainie żywych dobiegł końca. To samo stanie się wkrótce z moim czasem.

W chwilach rozpaczki umysł nieraz czepia się dziwnych spraw. Choć wiedziałem, że niedługo umrę po torturach, żalem przesywała mnie tylko jedna, nieistotna myśl.

Nie zapytałem, jak miała na imię moja matka.

26

Nie torturowano mnie. Tom nie zginął. Po raz kolejny nic nie wyglądało tak, jak mi się zdawało.

— *Tel mit* — warknął były śpiewak do żołnierzy Reginokracji. Wyraz niepewności na ich twarzach świadczył, że trudno im zrozumieć słowa płynące z obandażowanego gardła dzikusa. Najwyraźniej to on dowodził tym pododdziałem żołnierzy księżniczki Stephanie i przemawiał do nich we własnym języku, nie w naszym. Ja zrozumiałem „Zabierzcie go”, ale nie strumień bełkotliwych sylab, które zabrzmiały potem. Nie sądziłem też, by kapitan je pojmował, ale z pewnością znał już rozkazy, które mu wydano.

Jego ludzie złapali mnie brutalnie, ale nie starali się zadawać mi bólu. Związali mi ręce za plecami i popchnęli mnie na wóz z zapasami, stojący na skraju polany. Rzucili na niego również Toma. Mój towarzysz jęknął cicho, a potem znowu stracił przytomność. Dziki śpiewak podszedł do wozu.

— *Ka! Ka mit!* — rozkazał ostrym tonem.

Żołnierz złapał Toma i rzucił go na ziemię. Woźnica smagnął batem osła i ruszyliśmy w drogę. Cokolwiek mnie czeka, nie wydarzy się tutaj, pomyślałem.

Jechaliśmy przez cały ranek. Leżałem związany na wozie razem z workami mąki i suszonego mięsa oraz opróżnioną do połowy beczką ale,

pluskającego przy każdym wstrząsie. Woźnica siedział na wozie, a trzej pozostali żołnierze szli z tyłu. Okaleczony dzikus maszerował przodem. W cieniu pod drzewami było chłodno, ale gdy tylko wyjechaliśmy na otwartą przestrzeń, słońce bezlitośnie prażyło moją nieosłoniętą głowę. Nie miałem nic do roboty poza myśleniem.

Kiedy zaczną się tortury?

Czy Tom umierał teraz na polanie, czy też Matka Chilton wróciła do niego?

Zmieniła się w bezradną, powłóczącą nogami staruchę — w jaki sposób? Czy to przejściowa zmiana, czy też już taka zostanie?

Moja matka, świeża krew na jej lawendowej sukni...

Moja siostra, żyjąca w krainie Umarłych i obłąkana. *Nie powinieneś tu być, nie w taki sposób. Ale to wkrótce się zmieni.*

Mój ojciec, sukinsyn, który porzucił oboje swych dzieci... Nie. Stój. Nie. Zastanów się.

Miałem siedemnaście lat. Ojciec porzucił matkę i mnie tak wcześnie, że w ogóle go nie pamiętałem. Moja siostra urodziła się jedenaście lat temu. To znaczy, że nie mieliśmy tego samego ojca. Byliśmy przyrodnim rodzeństwem i z pewnością spłodzili nas inni hisafowie. Przerzucałem swe wspomnienia, szukając... czego? Jakiegoś mężczyzny u boku mojej matki, zauważonego i zapamiętanego przeze mnie, gdy miałem sześć lat. Nie znalazłem nic. Nie było takich wspomnień.

Kim był ten człowiek?

Czy Tom umarł?

Jak „wyjęci spod prawa hisafowie” mogli zawładnąć mocą śmierci? Czy rzeczywiście byli w stanie wykorzystać moją siostrę do tego diabolicznego celu?

Kiedy zaczną się tortury?

Moje myśli ciągle krążyły wkoło. Słońce prażyło, ale pluskało w beczce, a pył unoszący się nad ścieżką otaczał mnie suchą, dławiącą mgłą.

Zatrzymaliśmy się, gdy słońce stało wysoko na niebie. Dali mi chleb z mięsem i pozwolili wypić długi łyk wody — najśłodszy napój, jakiego w życiu kosztowałem. Potem wszyscy mnie ignorowali. Dzikus usiadł na uboczu i woźnica podał mu posiłek. Każdy ruch woźnicy świadczył o tym, jak bardzo nie lubi tego zajęcia, nie ulegało jednak wątpliwości, kto tu dowodzi. Po posiłku znowu ruszyliśmy w drogę. Jeden z Fioletowych usiadł na wozie obok woźnicy. Udawałem, że śpię, słuchając ich cichej rozmowy.

— Uważa się za pieprzonego księcia.

— Zamknij się. Usłyszysz cię.

— Tu nas nie usłyszysz, ty idioto.

— Oni słyszą wszystko. Co więcej, ten tutaj usłyszysz.

— Śpi.

Zachrapałem głośno.

— Co on właściwie zrobił?

— Nie mam pojęcia. Młody Wódz chce go dorwać. Nic więcej mnie nie obchodzi.

— Obchodzi cię tylko potrójny żołd.

— Jasne, niech to szlag. I ciebie też. Samuelu, co zrobisz, gdy już dotrzemy do Tidewell? Czy zostaniesz w armii?

Nastała długa przerwa.

— A ty?

Kolejna przerwa, jeszcze dłuższa.

— Jeśli ty zdezerterujesz, to ja też — odpowiedział wreszcie Samuel. — Po tym, jak odbierzemy żołd.

— Umowa stoi? Przybij piątkę.

Usłyszałem splunięcie i klaśnięcie dłoni. Czy ci żołnierze byli typowi? Czy większa część wojsk Reginokracji wykonywała rozkazy dzikusów wyłącznie dla potrójnego żołdu? Z łatwością mogłem w to uwierzyć. To znaczyło, że Młody Wódz nie będzie mógł zbyt długo siłą utrzymać panowania nad Reginokracją. Po cóż więc...

Znałem odpowiedź. Przybył tu po swą sześćioletnią narzeczoną, która stanie się jego tytułem do władzy nad Reginokracją. Pragnął też zemścić się na mnie za śmierć ojca.

O zmierzchu dotarliśmy do Tidewell, biednej wioski rybackiej leżącej gdzieś na wybrzeżu. Spałem na podłodze chaty, z której brutalnie wypędzono przerażonego właściciela. Nogę w kostce połączono mi łańcuchem z łóżkiem, które zajął żołnierz dzikusów. Było ich tu więcej, kilka oddziałów. Fioletowym wypłacono żołd i następnego ranka wszyscy zniknęli.

Były śpiewak nie zbliżał się do mnie. Być może nie ufał samemu sobie.

Przez kilka tygodni podróżowaliśmy na południowy zachód, spowalniani przez wlokące się ciężko wozy i częste postoje. Już trzeciego dnia odgadłem, dokąd zmierzamy, obserwując łuk zataczany na niebie przez późnoletnie słońce. Co noc zatrzymywaliśmy się w wiosce albo w gospodzie. Mieszkańców Reginokracji wyganiano z ich łóżek i z kuchni, nie zauważyłem jednak, by kogokolwiek pobito lub ograbiono. Żołnierze dzikusów nie niepokoili też kobiet. Nawet pod swą nieobecność Młody Wódz potrafił utrzymać w swych wojskach dyscyplinę równie surową jak jego ojciec. Jeśli w wioskach byli żołnierze, następnego dnia wyjeżdżali z nami. Dlatego liczba towarzyszących nam dzikusów ciągle rosła, aż wreszcie mój wóz otaczała mała armia.

Na wozie jechał teraz chłopak, młody śpiewak z twarzą pomalowaną na czerwono i gałązkami wplecionymi we włosy. Żołnierze maszerowali przez

cały dzień, a chłopak śpiewał równie nieustrudzenie. To była ta sama pieśń, którą słyszałem przed trzema laty, gdy do Reginokracji po raz pierwszy przybyła armia dzikusów pod dowództwem lorda Soleka.

Ay-la ay-la mechel ah!

Ay-la ay-la mechel ah!

Bee-la kor-so tareh ah!

Ay-la ay-la mechel ah!

Dzicy żołnierze śpiewali i maszerowali, ja zaś leżałem związany na ciągniętym przez osła wozie, palony promieniami słońca. Wreszcie dostrzegłem fioletową chorągiew powiewającą na szczycie wysmukłej kamiennej wieży. Zapadała pogodna jesienna noc, gdy wróciłem do Glorii, stolicy, której miałem nadzieję nigdy już nie zobaczyć. Stolicy, w której uważano mnie za zdrajcę, mordercę i czarownika.

Teraz dwie grupy ludzi miały powód, by chcieć mnie zabić.

Miasto nie zmieniło się przez ostatnie trzy lata. Nie zmieniło się zbyt od dwóch stuleci. Wypełniało całą wyspę na spokojnym Thymarze, otaczał je wysoki kamienny mur zbudowany nad samą wodą. Brzegi rzeki łączyły z wyspą kamienne mosty, tak wysokie, że mogły pod nimi przepływać barki. W mury przy każdym moście wbudowano masywne bramy. Wszystkie żelazne kraty były teraz uniesione. Przy innych bramach nie było mostów, lecz nabrzeża. Wysmukła, jedyna w mieście, wieża wyrastała wysoko ponad mury.

Żołnierze chodzący po ich szczytach nosili fioletowe stroje, ale mostów strzegły wyłącznie dzikusy, odziane w swe futra i pióra. Na plecach miały strzelby, a za pasami krzywe noże. Minęliśmy most, tłoczną kakofonię miasta i wreszcie wysokie drewniane drzwi, za którymi zaczynał się cichy pałac.

Spróbowałem usiąść na wozie, ale dzikus brutalnie mnie obalił. Dlatego podczas przejazdu przez pałac widziałem tylko niebo oraz wyższe piętra budynków. Niektóre z płaskich dachów zdobiły ogrody, lecz nie dostrzegłem w nich żadnych ludzi. Nie miałem pojęcia, w którym punkcie rozległego labiryntu pięknych dziedzińców, który zapisał się w mojej pamięci, się znajduję. Jako błazen królowej Caroline poznałem cały pałac — poza lochami. Dopadł mnie strach. Czy tam właśnie teraz zmierzałem?

Nie. Wóz zatrzymał się i dzikus zawlókł mnie do środka jak worek zboża. Potem cisnął mnie na posadzkę. Uderzyłem o nią głową i przez chwilę nie widziałem nic poza tańczącymi kolorowymi plamami.

— Roger? — zawołała jakaś kobieta.

Przejaśniło mi się przed oczyma. Ujrzałem nad sobą szeroką, rumianą, pełną niedowierzania twarz głównej praczki, Joan Campford. Poznała mnie, mimo że byłem brudny, nieogolony i ogorzały od słońca.

— Wymyj go — zażądał dzikus, mówiąc z ledwie zrozumiałym akcentem. Błysnął nóż, przecinając mi więzy. Żołnierz kopnął mnie obutą nogą i potoczyłem się, nadal zeszywniały po tak długim skrępowaniu, do basenu w pralni, gdzie kiedyś pracowałem. Miotalem się przez chwilę szaleńczo, aż wreszcie udało mi się stanąć. Pełna mydlin woda sięgała mi do pasa, wokół moczyły się prześcieradła.

Bez chwili wahania krzepka Joan weszła do wody i wręczyła mi kawałek żółtego gryzącego mydła, które tak dobrze znałem.

— Roger, dobrze się czujesz, chłopcze? Wszyscy myśleliśmy, że nie żyjesz!

— Myj! Myj! — wołał dziki żołnierz.

— Zamknij tę pochrzanioną gębę — odparła Joan, była jednak odwrócona plecami do żołnierza i wymamrotała te słowa bardzo cicho. Potem zwróciła się do mnie: — Mówili, że nie żyjesz, chłopcze, i opowiadali o tobie okropne rzeczy, że jesteś czarownikiem, że jesteś zdrajcą, że jesteś... a fe! To tylko Roger, błazen królowej, mówiłam im, a przedtem był Rogerem praczką, najlepszym pracownikiem, jakiego miałam w życiu!

— Myj! Myj! — wołał dzikus, wymachując nożem.

Ściągnąłem brudną bluzę, a potem, pod mydlącą się wodą, buty, spodnie i bieliznę. Żółte mydło szczypało tak, jak pamiętałem.

— Dziękuję — powiedziałem do Joan.

— Mówiłam im, mówiłam. Mówiłam, że widziałam, jak zabiłeś lorda Soleka! Widziałam na własne oczy! To ty przyprowadziłeś... magiczne iluzje, które dokonały tego czynu! A więc jesteś teraz jeńcem? Pałacem włada Młody Wódz.

— Wiem — odpowiedziałem i zanurzyłem się pod wodę, by wyszorować włosy. A także po to, by nie musieć już jej słuchać. Joan zawsze była dla mnie dobra, na swój prosty sposób. Wiedziała równie dobrze jak ja, co z pewnością mnie teraz czeka. Gdyby to był jeden z basenów ulokowanych nad rzeką, mógłbym przepłynąć pod pałacowymi murami, jak już to kiedyś zrobiłem. Był to jednak zamknięty basen, pełen moczającej się pościeli. Nie było drogi ucieczki. Kiedy się wynurzyłem, Joan klęczała na brzegu basenu, szorując moje ubranie. Spoglądała na mnie ze smutkiem.

Niemniej nadzieja może przetrwać nawet w chwilach najgłębszej rozpacz. Jeśli dzikusy chciały mnie zabić, dlaczego kazały mnie wykąpać? Czyżby ich oprawcy mieli tak delikatne powonienie, że mój smród urażałby ich w trakcie łamania moich kości i rozszarpywania żył oraz nerwów?

W końcu strażnik doszedł do wniosku, że jestem już wystarczająco czysty.

— Wyłaź! Wyłaź! — zawołał.

Wyszedłem. Joan podała mi ręcznik. Ubrałem się w mokre łachy. Nożyk do golenia nadal miałem w cholewie pełnego wody buta, ale nie mogłem mi się na nic przydać, bo dzikus znowu związał mi ręce z tyłu.

— Żegnaj — wyszeptałem do Joan, ponieważ nie mogłem jej powiedzieć nic więcej.

Gdy dzikus mnie odprowadzał, oczy kobiety wypełniły łzy.

Przeszliśmy przez dziedziniec pralni. Potem przez kąpielowy. Dziedziniec po dziedzińcu. Wiedziałem dokładnie, gdzie w danej chwili się znajdujemy. Gdzie jednak podzieli się ludzie? Od chwili, gdy opuściliśmy część pałacu przeznaczoną dla służby, przechodząc do zamieszkiwanej przez dworzan, każdy podwórzec wyglądał wspanialej od poprzedniego. Wszystkie jednak były puste. Nigdzie nie widziałem ani jednego ogrodnika, pazia czy cieśli. Zauważyłem tylko kilku żołnierzy dzikusów, pełniących straż na dachach. Pałac był odwrotnością krainy Umarłych — same budowle, żadnych mieszkańców — ale panowała w nim równie głęboka cisza. Słyszałem tylko stukot butów strażnika — najpierw o bruk, potem o malowane płytki — oraz mlaskanie moich mokrych stóp w wypełnionych wodą buciorach. Gdy jednak dotarliśmy do królewskich apartamentów, zrozumiałem w czym rzecz.

Masywne, rzeźbione drzwi sali tronowej — wysokie na trzy piętra — były szeroko otwarte. Wewnątrz olbrzymiej sali oświetlonej ulokowanymi wzdłuż ścian pochodniami i świecami było jasno prawie jak w dzień. Po obu stronach podwyższenia, na którym stał tron, tłoczyła się szlachta, tak jak za czasów panowania królowej Caroline. Teraz jednak wszyscy nosili fioletowe stroje zamiast zielonych. Aksamity, atłasy, brokaty, jedwabie, wszystkie fioletowej barwy. Suknie dam miały niskie dekolty, odsłaniające część piersi, głębokie rozcięcia bluz dworzan pozwalały ujrzeć kryjący się pod spodem złotogłów, a długie szaty starych doradców bogato wyhaftowano na obrąbkach i na rękawach pełnej długości. Wszyscy milczeli.

Pod lewą ścianą stali słudzy pałacowi, starannie wymyści i odziani w to, co mieli najlepszego. Kucharze, ogrodnicy, pomoce kuchenne, cieśle, posługacze, kurierzy, stajenni, sprzątaczkę, służki dam. Poznawałem

niektórych z nich. Twarze nielicznych, którzy poznali mnie, traciły wszelki wyraz pod wpływem szoku.

Pośród milczącego tłumu stali żołnierze. Byli ubrani w fioletowe szaty, ale mieli strzelby. Co sądzili ludzie o tych, którzy zwrócili się przeciwko swym rodakom?

Znałem już odpowiedź na to pytanie.

Pod drzwiami ogromnej sali dzikus przekazał mnie drugiemu — oficerowi noszącemu hełm i metalowe obręcze na ramionach. Na pozbawioną rękawów futrzaną bluzę mężczyzna narzucił krótką pelerynę z piór. Złapał mnie za ramię i pociągnął do przodu. Gdy szliśmy przez długą salę, wszystkie spojrzenia kierowały się na nas — na oficera spośród zwycięzców i zdrajcę spośród pokonanych. Nikt się nie odzywał.

Wpatrywałem się przed siebie. Na podwyższeniu ujrzałem świętokradztwo: nie jeden, ale dwa trony.

Gdy dotarliśmy do podium, oficer odciągnął mnie na bok. Za moimi plecami rozległ się szept, tak słaby, że mógłby być szumem wietrzyku muskającego arras, a nie mamrotaniem ludzi. Dzikus trzymał mnie mocno za ramię. Czekaliśmy.

Wszyscy poza mną najwyraźniej wiedzieli, na co czekają. Poczułem nagły ucisk w żołądku. Ja również to sobie uświadomiłem.

28

Minęło dziesięć minut. Piętnaście. Dwadzieścia. Choć trwało to długo, nikt się nie poruszał ani nie odzywał.

Słudzy stojący najbliżej drzwi z pewnością pierwsi usłyszeli dźwięk. Skierowali spojrzenia ku położonemu za drzwiami dziedzińcowi. Ci, którzy znajdowali się najdalej, odwrócili głowy. Ich miny świadczyły, że nasłuchują uważnie. Potem wszyscy już to usłyszeliśmy. Sala tronowa stała się dla mnie czymś przypominającym sen, zawieszonym między wspomnieniem a bieżącymi wydarzeniami. Widziałem to wszystko już przedtem, trzy lata temu, a ujrzeć to po raz drugi znaczyło dla mnie znowu uwierzyć na chwilę, że jestem błaznem Rogerem, chłopcem, który nic nie pojmował, a nie mężczyzną rozumiejącym aż za wiele.

Pierwszy do komnaty wszedł młody śpiewak. Miał czerwoną farbę na twarzy i gałązki we włosach. Mógłby być tym samym śpiewakiem sprzed trzech lat — tyle że tamten stał się tymczasem mężczyzną i żołnierzem, a pies z krainy Umarłych rozszarpał mu gardło i wyrwał oko. Niemniej nawet głos — tak potężny, że docierał aż pod wysoki kopulasty sufit i odbijał się echem od kamiennych ścian — brzmiał tak samo.

Ay-la ay-la mechel ah!

Ay-la ay-la mechel ah!

Bee-la kor-so tarel ah!

Ay-la ay-la mechel ah!

Chłopak śpiewał przez całą długość komnaty. Dotarłszy do pustego podwyższenia, przesunął się w bok i stanął tak blisko mnie, że gdyby nie związane mi rąk, mógłbym go dotknąć. Jego śpiew towarzyszył armii dzikusów wkraczającej do komnaty. Żołnierze maszerowali w dwóch szeregach, uderzając pałkami w podłogę i śpiewając razem z chłopakiem.

Ay-la ay-la mechel ah!

Ay-la ay-la mechel ah!

Bee-la kor-so tarel ah!

Ay-la ay-la mechel ah!

Tym razem nie było ich aż tylu jak wtedy, gdy na tronie czekała na nich królowa Caroline. Część ich armii strzegła pałacu, inna część okupowała Reginokrację, a jeszcze inna mogła nadal mnie szukać na Ziemi Niczyjej. Niemniej żołnierzy — za którymi szli ich oficerowie — było wystarczająco wielu, by wypełnić prawą stronę komnaty. Między nimi a sługami pałacowymi zostało szerokie przejście. Postawa obu grup emanowała niemal namacalnym napięciem.

Dzikusy umilkły. Chłopak również. Potem znowu zaczął śpiewać. Tej pieśni nigdy dotąd nie słyszałem. Przedtem jego głos rósł razem z pieśnią, teraz zaś unosił się ekstatyczną radością. Ta pieśń nie miała słów. Była czystym dźwiękiem, lecz mimo to zdawała się zawierać w sobie zarówno ptasie trele, jak i werbel zwycięstwa.

W drzwiach pojawiła się samotna sylwetka. Szybko, jakby niosła go muzyka, Młody Wódz zmierzał przez salę ku tronowi. Miał na sobie taki

sam strój jak jego oficerowie — hełm, futrzaną bluzę bez rękawów oraz buty z cholewami — ale pióra jego krótkiej peleryny lśniły kolorami wszystkich ptaków, jakie kiedykolwiek żyły na świecie, a w złotych obręczach na ramionach błyszcząły czerwone klejnoty. Ujrzałem odbicie rysów lorda Soleka na młodszej twarzy, a także jego oczy, błękitne jak odpryski nieba. Młody Wódz ustępował ojcu wzrostem i nie był tak potężnie zbudowany, ale dysponował pełną siłą i zdrowiem dwudziestoletniego mężczyzny.

Bez chwili wahania wszedł po schodach i zasiadł na jednym z tronów.

Za moimi plecami rozległ się jęk, pochodzący od wszystkich i od nikogo. Żołnierze dzikusów silniej zacisnęli dłonie na rękojeściach noży. Żaden dworzanin, doradca czy sługa nie wydali już z siebie żadnego dźwięku. Mogę jedynie sobie wyobrazić, ile bólu kosztowała ich ta powściągliwość.

Potem w wejściu pojawiły się trzy młode dziewczyny. Pierwszy raz w życiu ujrzałem kobiety dzikusów i na krótką chwilę zdumienie przeważało we mnie nad strachem. Wszyscy w tłumie wciągnęli głośno powietrze.

Były bardzo młode, trzynaście, może czternaście lat, i w pierwszej chwili wydawały się zupełnie nagie. Tak nie było, ale tkanina spowijająca ich świeżo rozkwitłe ciała była tak cienka i delikatna, że wyglądała jak mgiełka. Przez cienką zasłonę można było dojrzeć małe różowe sutki, a także jasne włosy łonowe. Wszystkie trzy były blondynkami tak jasnymi, że ich włosy wyglądały na białe. Długie, rozpuszczone loki powiewały lekko wokół nich niby przezroczyste zasłony. Nie okazywały ani śladu lęku.

Ruszyły naprzód, śpiewając tę samą pieśń bez słów, którą wykonywał chłopak. Mogło się zdawać, że unoszą się nad podłogą. Gdy pokonały jedną

czwartą drogi do podwyższenia, w drzwiach pojawiła się mała postać podążająca za nimi. To była księżniczka Stephanie.

Gdy ją ostatnio widziałem, miała trzy lata. Teraz liczyła sobie sześć, ale urosła bardzo niewiele. Zawsze była chorowita i odnosiłem wrażenie, że jej drżące ciało ledwie może udźwignąć wszystkie klejnoty przyszyte do fioletowej aksamitnej sukienki. Zwisające w strąkach ciemne włosy opadały jej na plecy. Jak wiele rozumiała z tego, co się działo?

Księżniczka szła za śpiewającymi, prawie nagimi dziewczętami, które w porównaniu z nią nagle upodobniły się do dojrzałych kobiet. Stephanie nie miała nawet śladu śmiałości matki ani godności babki. Była małą, drżącą dziewczynką. Gdy podeszła bliżej i ujrzałem strach w jej wielkich szarych oczach, załapała mnie fala litości.

Przy podwyższeniu dziewczęta przestały śpiewać i usiadły wdzięcznie na schodach. Księżniczka przeszła między nimi, by zasiąść na drugim tronie. Jej stopy w ozdobionych klejnotami pantofelkach nie sięgały podłogi.

Z grupy doradców wyłonili się dwaj starsi mężczyźni, lord Rathbone i lord Carstill. Znałem obu z czasów panowania królowej Caroline, gdy nie byli doradcami władczyni, a jedynie przysparzali jej kłopotów. Błazen królowej widzi wiele. Obaj byli wielkimi właścicielami ziemskimi z północnej części Reginokracji i bezskutecznie próbowali skłonić owdowiałą królową do poślubienia swych synów — równie głupich i niegodnych zaufania jak ich ojcowie. Z biegiem pokoleń ich krew się rozrzedziła. Ludzie pozbawieni inteligencji mogą jednak niekiedy cechować się przyziemną przebiegłością i nie ulegało wątpliwości, że lordowie Rathbone i Carstill sprzedali swą wierność Młodemu Wodzowi w zamian za pozycję i władzę. Weszli na podwyższenie, uśmiechnięci i pewni siebie. W tłumie dworzan za moimi plecami rozległ się cichy syk.

Młody Wódz to zignorował. Wstał i ujął rękę księżniczki Stephanie. Przypomniałem sobie, że lord Carstill jest kapłanem.

Ceremonia małżeńska trwała krótko. Ograniczono ją do podstawowych słów, wyprano z wszelkiej poezji i radości.

— Wasza Miłość — odezwał się lord Carstill z głupawym uśmiechem — czy przyjmiesz wielkiego lorda Tareka, syna Soleka, syna Taryna, za męża?

Stephanie skinęła głową. Młody Wódz pociągnął ją za dłoń.

— T... tak — wyszeptała ledwie słyszalnym głosem.

— Wielki lordzie Tareku, synu Soleka, syna Taryna, czy przyjmiesz księżniczkę Reginokracji Stephanie za żonę?

— Tak.

Jego głos brzmiał gardłowo, ale pojedyncze słowo w obcym języku, które wypowiedział, łatwo było zrozumieć. W jego oczach — jak oczy mogły być takie niebieskie? — lśniła determinacja. Nie patrzył na drżącą pannę młodą, ale na mieszkańców Reginokracji — szlachtę, doradców i nisko urodzonych, a przekaz widoczny w jego niebieskich oczach łatwo było odczytać: „Nie wściecie się rzucać mi wyzwania”.

Nikt tego nie zrobił. Gdzie się podział lord Robert Hopewell, który był lordem protektorem królestwa do chwili, gdy Stephanie osiągnie pełnoletność? Lord Robert zwołał kiedyś armię, próbując uratować królową Caroline. Czy nie zrobiłby tego samego dla jej córki? Z pewnością już nie żył, podobnie jak wszyscy, którzy dochowali wierności, nie ulegli strachowi, przemocy ani przekupstwu i nie zaakceptowali małżeństwa będącego pogwałceniem nie tylko przyzwoitości, lecz również zasad obowiązujących w Reginokracji od zarania dziejów. Dziedziczka tronu zawsze wychodziła za mąż w wieku siedemnastu lat. Kiedy kończyła trzydzieści pięć, jej matka abdykowała, oddając koronę córce, chyba że

umarła wcześniej. Żadna kobieta nie powinna rządzić zbyt długo, bo to mogło prowadzić do tyranii. Kobiety, które dawały życie, sprawowały władzę, a mężczyźni jej bronili. To było prawo Reginokracji i prawo samego życia. Lord Robert z pewnością wypełniłby to prawo, chyba żeby Młody Wódz go zabił.

Tarek, syn Soleka, syna Taryna, a teraz również małżonek księżniczki Stephanie, wstał ze złowrogą miną. Nigdy nie było bardziej niedobrej pary nowożeńców. Mała wystraszona dziewczynka i dziki wojownik odziany w futra oraz pióra, biorący sobie to, co obiecano jego ojcu.

W tłumie rozległ się krzyk. Tym razem nikt — ani szlachta, ani nisko urodzeni — nie próbował go stłumić. Do sali tronowej wszedł kolejny młody śpiewak. Na wielkiej poduszce niósł dwie korony. Jedna była prostym srebrnym diademem, druga zaś Koroną Glorii.

W masywną, wykonaną z kutego złota Koronę Glorii wprawiono klejnoty wszystkich kolorów tęczy, reprezentujące każdą z królowych, które władały Reginokracją w jej dziejach. Szmaragdy, szafiry, rubiny, ametysty i diamenty. Onyksy, beryle, opale i topazy. Klejnoty, których nie potrafiłem nazwać. Ani samych kamieni, ani ich kolorów. Koronę Glorii wkładano na głowę każdej nowej królowej w dzień jej trzydziestych piątych urodzin. Od tej pory nosiła ją tylko przy uroczystych okazjach. Widziałem tę koronę na pięknych, ciemnych włosach królowej Caroline.

Stojąca obok pana młodego księżniczka Stephanie rozpląkała się. Młody Wódz powiedział coś ostrym tonem i dziewczynka umilkła, ale po jej chudych policzkach nadal spływały łzy.

Jakaś kobieta wyrwała się z tłumu i podbiegła ku podwyższeniu. To nie była dama dworu ani dwórka. Nie była też doradczynią ani szlachcianką, nikim z tych, którzy powinni na pierwszym miejscu stawiać dobro swej księżniczki. To była tęga kobieta w średnim wieku, odziana w biały fartuch.

Na głowie miała sztywny czepek z białymi wyłogami. Opiekunka. Nim zdołała dobiec do schodów, dwaj żołnierze dzikusów złapali ją i zawlekli za podwyższenie.

— Nianiu! — zawołała księżniczka.

— Wszystko w porządku, Wasza Miłość — odezwała się na głos jedna z dam dworu, ignorując groźby, jakie z pewnością przedtem usłyszała. — Nie skrzywdzą twojej niani. Zajmę się nią teraz. Zaczekaj tu jeszcze chwilę, moja droga.

Dama z wyzywającą godnością podążyła za dwoma dzikusami, szeleszcząc fioletowymi atłasowymi spódnicami. Nie biegła. Nie spoglądała na Młodego Wodza. Głowę trzymała wysoko, nie obawiając się kary, jaka mogła jej grozić.

Brawo, lady Margaret.

Żadnej kary nie było. Młody Wódz skinął lekko dłonią i żołnierze nie zatrzymali lady Margaret. Chłopak z dwiema koronami cały czas zbliżał się do tronu. Wreszcie dotarł do schodów prowadzących na podwyższenie i klęknął. Kiedy wstał, dostrzegłem pod warstwą czerwonej farby silne podobieństwo do Młodego Wodza. To był jego brat albo kuzyn, książę. Wybrano go, by ukoronował Stephanie zamiast lordów Reginokracji, którzy powinni to zrobić. Tłum zebrany w sali tronowej nadal nie protestował. Jaką karą im zagrożono, jeśli przedwczesna koronacja małej księżniczki nie przebiegnie zgodnie z planem? Wyłącznie lady Margaret potrafiła pokonać strach, a i ona tylko na małą skalę.

Po twarzy Stephanie nadal spływały łzy. Jej chuda szyja nie wyglądała na wystarczająco silną, by utrzymać Koronę Glorii. Książę o pomalowanej na czerwono twarzy wniósł koronę na podwyższenie. Pierwszy śpiewak znowu podjął bezsłowną, dziwnie piękną pieśń zwycięstwa. Księżniczka Stephanie pochyliła głowę.

Książę dzikusów włożył Koronę Glorii na głowę Młodego Wodza.

Nastała długa chwila straszliwej ciszy. Ludzie próbowali uwierzyć w to, co przed chwilą ujrzeli na własne oczy. Potem tłum wpadł w szal.

Dworzanie sięgali po miecze, których nie mieli u pasów. Damy wyrzaskiwały obelgi. Nisko urodzeni pognali ku podwyższeniu z żądzą mordy w oczach. Dzikusy były przygotowane, a stojący pod lewą ścianą żołnierze mieli broń. Rzucili się na atakujących. Młody Wódz sięgnął po nóż, który miał u pasa.

Widziałem, jak wbił go w serce ogrodnika, który pierwszy wdarł się na podium. Widziałem, jak pałka dzikusa roztrzaskała głowę dworzanina próbującego się przedrzeć do księżniczki. Widziałem krew spływającą po posadzce sali tronowej. Nie zobaczyłem już nic więcej, bo żołnierz dzikusów zawlókł mnie za podwyższenie i wyprowadził przez te same drzwi, przez które przedtem zabrano opiekunkę Stephanie. Wrzeszczałem i próbowałem się wyrwać, ale byłem związany i miałem tylko jedną rękę, więc poradził sobie ze mną tak łatwo, jakbym to ja miał sześć lat. Zamknął za nami drzwi i nie słyszałem już więcej odgłosów rewolty w sali tronowej. Podobnie jak wszyscy wiedziałem, że okaże się ona daremna.

Żołnierz otworzył następne drzwi, wepchnął mnie do środka i zatrzasnął je za mną. Znajdowałem się w małej wartowni, z której zabrano całą broń. Wysoko na ścianie ulokowano zakratowane okienko. Były tu ze mną niańka i lady Margaret.

29

Choć w wartowni panował półmrok, a od naszego ostatniego spotkania minęły dwa lata, lady Margaret mnie poznała.

— Roger, błazen królowej.

— Nie. Już nie.

Jakby to miało teraz znaczenie!

— A więc Roger mściciel.

Uśmiechnęła się półgębkiem, jakby wiedziała, że jej słowa można zrozumieć na dwa sposoby. Sprowadzając armię Niebieskich z krainy Umarłych, zламаłem władzę Soleka nad pałacem i pomściłem Reginokrację. Ale ta armia zabiła również sprzymierzonych z Solekiem Zielonych, a potem Niebiescy zniknęli, dowodząc, że byli jedynie „magicznymi iluzjami”. Każdy w pałacu miał krewnych w jednej albo w drugiej armii, a ja zabiłem ich wszystkich, mszcząc się na królowej Caroline, a jednocześnie ratując Maggie. Można to było widzieć na dwa różne sposoby, ale większość ludzi nie potrafił pomieścić w swych umysłach dwóch sprzecznych opinii jednocześnie. Lady Margaret była jedną z nielicznych osób, które posiadały tę umiejętność. Wyczytałem z jej oczu, że jestem dla niej jednocześnie zbawcą, mordercą, oszustem, czarownikiem, a przede wszystkim, teraz i na wieki, błaznem królowej. Opiekunki nie znałem i ona również mnie nie znała.

— Co z księżniczką? — zawołała teraz. — Co się dzieje? Czy ośmielili się ją ukoronować?

— Nie. Ukoronowali Młodego Wodza.

Obie kobiety spojrzały na mnie ze zdumieniem.

— Koroną Glorii? — wydyszała opiekunka.

— Tak.

Kobieta zaczęła przeklinać. Z jej ust popłynął strumień plugawych słów, jakich spodziewałbym się raczej od flisaka niż od osoby opiekującej się dziećmi. Lady Margaret przez dłuższą chwilę stała nieruchomo. Wreszcie — jak zawsze praktyczna — wyjęła z kieszeni sukni maleńkie nożyczki do haftowania i zaczęła miarowo piłować moje więzy. Przerwała tylko na chwilę, zobaczywszy kikut mojej prawej ręki.

— Roger, co jeszcze możesz nam powiedzieć?

— Kiedy dzikusy ukoronowały Młodego Wodza, zaczęły się zamieszki. Doszło do rozlewu krwi. Nie wiem, jak dużego, ale to nie mogło trwać długo. Nikt z naszych ludzi nie miał broni.

— To nie są twoi ludzie — zauważyła cierpkim tonem lady Margaret. — Sądzę, że nie masz już prawa tak ich zwać.

— Nieprawda — zaprzeczyłem. — Nie zapominaj też, że pomogłaś mi w tym, co uczyniłem.

— Nie wiedziałam, co planujesz. I nie chcę się teraz z tobą spierać, jako że oboje zapewne wkrótce umrzemy. Ale, nianiu — ciągnęła, zwracając się do drugiej kobiety — myślę, że tobie nic nie grozi. Młody Wódz nie ma ze sobą żadnych kobiet poza tymi nagimi dziwkami, a nie będzie chciał zawracać sobie głowy opieką nad dzieckiem podczas długiej podróży powrotnej przez góry. Będiesz mu potrzebna.

To były informacje, których do tej pory nie znałem. Dzikusy zamierzały zabrać księżniczkę z Reginokracji? Żadna księżniczka ani królowa nigdy

nie opuszczała swego państwa, pomijając tylko podróż zaręczynową, gdy poddawała inspekcji ziemie wniesione w posagu przez małżonka. Nikt jednak nie mógł oczekiwać racjonalnej inspekcji od sześciolatniej dziewczynki. Nie liczyłem też na to, że Młody Wódz pozwoli księżniczce Stephanie — teraz królowej, jeśli zamieszki w sali tronowej udało się powstrzymać na chwilę wystarczająco długą, by ją ukoronować — wrócić do Reginokracji. Będzie więźniem w dalekiej zachodniej krainie, której nikt z nas nigdy nie widział.

— Jeśli ośmieli się ją skrzywdzić... — zaczęła z pasją opiekunka.

— Z pewnością się nie ośmieli — zapewniła lady Margaret.

— Nie możesz tego wiedzieć! — zawołała do damy dworu przerażona kobieta.

— Wiem, że zadał sobie mnóstwo trudu, by ją poślubić, i musi dbać o jej zdrowie, jeśli pragnie zachować prawa do Reginokracji.

— To prawda, to prawda — zgodziła się opiekunka z roztargnieniem w głosie. — Moja biedna mała sierotka! Tak często choruje i dręczą ją koszmary!

Zaczęła walić pięściami w drzwi.

— Przestań! — zażądała lady Margaret tonem, który świetnie pamiętałem. Opiekunka jej posłuchała. Lady Margaret, starsza niż pozostałe damy dworu królowej Caroline i z pewnością nie tak głupia jak one, potrafiła skłaniać ludzi do posłuchu. Nie była zbyt ładna i wyglądała poważnie. Żaden dworzanin nie chciał jej za żonę. Któryś z nich powinien ją poślubić, albowiem miała w sobie godność i siłę. Usiadła na stołku o trzech nogach, poprawiła spódnice i złożyła ręce na podołku, jednocześnie rozglądając się czujnie wokół, na wypadek gdyby mogła zrobić coś użytecznego. Ten widok natychmiast przypomniał mi Maggie. Co się z nią teraz działo? Jak się dowie o mojej śmierci?

Strach o własne życie, rzeka, której bieg odwróciła na chwilę troska o małą księżniczkę, powrócił, zalewając mnie potężnym strumieniem. Poczulem ucisk w brzuchu i w gardle. Każdy oddech był dla mnie męczarnią.

Nikt już się nie odzywał, choć opiekunka mamrotała coś do siebie. Nie zostawiono nas samym sobie na długo. Drzwi otworzyły się nagle i do środka weszło dwóch dzikusów. Pierwszy złapał kobiety, po jednej każdą ręką, i wywłókł je na zewnątrz.

Lady Margaret obejrzała się na mnie.

— Żegnaj, Roger — rzekła. Oboje wiedzieliśmy, że zegnamy się na zawsze.

— Żegnaj, pani.

— Cokolwiek powiesz pod wpływem bólu, nie ma znaczenia. To nie może cię umniejszyć.

Nie miałem czasu jej odpowiedzieć. Żołnierz popędził ją wzdłuż korytarza. Lady Margaret zrobiła to, do czego próbowała mnie skłonić Matka Chilton: pomyślała o kimś innym. Mnie strażnik powłókł do innego korytarza, nie zwracając sobie głowy ponownym wiązaniem moich rąk. Staralem się myśleć o innych, by zapomnieć o tym, co czekało mnie.

Maggie mieszająca gulasz nad paleniskiem w Applebridge, jasne loki opadające na jej czoło...

Jee dmuchający w gwizdek z wierzbowego drewna...

Tom triumfalnie przynoszący królika na kolację...

Nic z tego mi nie pomagało. Strach oblaźł mnie na podobieństwo wszy. Całe ciało i cały umysł swędziały mnie od niego.

Dzikus zaprowadził mnie na dziedziniec stajenny. Choć było ciemno, trwała tu gorączkowa aktywność. Wojskowe stajnie znajdowały się poza miastem, ale konie królewskich myśliwych i kurierów, a także te, które

zaprzęgano do karet, przetrzymywano tutaj, razem z wozami i karetami. W uchwytach na ścianach stajni paliły się pochodnie. Stajenni zerwali się szybko na nogi, gotowi wykonać rozkazy. Konie, wyczuwające panujące napięcie, rżały, uderzając o bruk kopytami. Trzej mężczyźni wyciągnęli wóz na dziedziniec.

Bunt, który wybuchł w sali tronowej, z pewnością szybko stłumiono. Ilu ludzi zginęło bądź zostało rannych? Nigdy się tego nie dowiem.

Dzikus zaciągnął mnie do wozowni. Z jej tyłu znajdowały się małe drewniane drzwi, niższe niż wzrost mężczyzny. Zdjął pochodnię ze ściany, otworzył drzwi, przepchnął mnie przez nie i zamknął je za nami. Znaleźliśmy się na wąskim drewnianym pomoście na szczycie kamiennych schodów. Przez wiele miesięcy pobytu w pałacu nie zdołałem się dowiedzieć, gdzie są lochy. Teraz już to wiedziałem.

„Lochy” to bardzo szumna nazwa jak na tak nędzne miejsce. U podstawy schodów znajdował się krótki korytarz wykopany w ziemi. Jego nierówne ściany, wzmocnione drewnianymi belkami, miały nie więcej niż dwadzieścia stóp długości. Twardo ubite klepisko wydawało się nierówne pod moimi nadal mokrymi butami. Po obu stronach korytarza widniały drewniane drzwi z zakratowanymi okienkami. U jego końca umieszczono trzecie. Między nimi do ścian przytwierdzono uchwyty na pochodnie, obecnie puste. Nikt się nie odezwał na widok światła naszej pochodni, nikt nie krzyknął z bólu. To miejsce najbardziej przypominało pusty grób.

Nie było jednak puste. Dzikus otworzył jedno z drewnianych drzwi. Uderzył mnie smród niemytych ciał i wiader z nieczystościami. Żołnierz wepchnął mnie do ciemnego wnętrza. Potem się zawahał. Zamknął drzwi, ale światło nie zniknęło. Zostawił pochodnię w uchwycie przy drzwiach.

— Kim jesteś, że zasługujesz na taką łaskę dzikusa? — zapytał ktoś ze złością.

Minęła chwila, nim moje oczy przywykły do światła tak słabego, że poza jego kręgiem widziałem jedynie niewyraźne sylwetki. Gdy ujrzałem je wyraźniej, okazało się, że to czterech mężczyzn. Trzej siedzieli wsparci plecami o przeciwległą ścianę, czwarty zaś leżał na ziemi.

— Kim jesteś? Gadaj! — zażądał zupełnie inny głos. Zaniemówiłem. Poznawałem go.

— Podejź do światła — warknął pierwszy mężczyzna. — Dlaczego nie nosisz łańcuchów?

Zwracałem się plecami do drzwi, osłaniając twarz przed małym drżącym kręgiem światła rzucanego przez zatkniętą za drzwiami pochodnię.

— Jestem... jestem Peter Forest.

— Nie znam żadnego Petera Foresta.

Drugi mężczyzna, ten mówiący ze szlacheckim akcentem, poderwał się nagle z wyraźnym zaskoczeniem.

— Roger? Błazen Roger?

Moje oczy przywykły już do ciemności. Widziałem, że wszyscy więźniowie są przykuci łańcuchami do ściany. To dało mi odwagę potrzebną, by mu odpowiedzieć.

— Tak, lordzie Robercie. Błazen Roger.

Pierwszy mężczyzna szarpnął się w łańcuchach.

— To ty poprowadziłeś przeciwko nam armię Niebieskich! Magiczne iluzje, które zabiły wszystkich Zielonych! Jesteś zdrajcą, mordercą i czarownikiem!

Gdyby mógł mnie dosięgnąć, rozszarpałby mnie na strzępy. Moja śmierć będzie jednak musiała zaczekać na dzikusów. Łańcuchy dawały więźniom jedynie ograniczony zakres ruchów.

Lord Robert Hopewell, kochanek królowej, którą spalili moi Niebiescy, nie powiedział nic, dostrzegałem jednak gorejącą w nim nienawiść, dotykającą jak płonąca za zamkniętymi drzwiami pochodnia. Ostrożnie odsunąłem się do kąta położonego najdalej od trzech więźniów. Leżał tam czwarty mężczyzna, zwrócony twarzą ku ziemi. Jego również zakuto w łańcuchy. Nie ruszał się.

Pierwszy więzień nie przestawał mnie przeklinać. Nic nie mówiłem. Moje oczy coraz lepiej przyzwyczajały się do półmroku. Mężczyzna siedzący obok lorda Roberta, najbliższej mnie, wyglądał na młodego. Był drobnej budowy i miał na sobie strój do konnej jazdy noszony przez kurierów, ale jego barwa nie była fioletowa. W ciemności nie sposób jednak było określić ukrytego pod warstwą brudu koloru. W jego oczach nie widziałem gniewu takiego jak u dwóch pozostałych.

W końcu przekleństwa pierwszego z więźniów umilkły. Wkrótce po tym, ku mojemu zdziwieniu, i on, i lord Robert zaczęli chrapać.

— Często śpią. Siedzą tu już od dawna i są osłabieni — wyjaśnił ochrypłym szeptem kurier. Mówił z lekkim akcentem, ale nie południowym. — Naprawdę jesteś Roger Kilbourne?

— A kim ty jesteś? — zapytałem.

— David Arlen, kurier Jej Wysokości królowej Isabelle.

Isabelle, władczyni reginokracji leżącej na północy, małżonka brata królowej Caroline, księcia Ruperta. Isabelle, która nie udzieliła szwagierce pomocy w walce z armią dzikusów. Nagle znowu znalazłem się na dachu w towarzystwie królowej Caroline, dzień za dniem wypatrującej na horyzoncie pomocy, która nie nadeszła.

Kurier ponownie się odezwał i teraz rozpoznałem ton jego głosu. Panika. Był jednym z tych, którzy gadają bez końca, by powstrzymać histerię. Cecilia była taka sama.

— Pojmali mnie, gdy jechałem tu z wiadomością od Jej Miłości, obietnicą dla księżniczki Stephanie, to znaczy dla lorda Roberta oczywiście, obietnicą pomocy przeciwko dzikusom, pojmali mnie dwa dni temu, stajenny lorda Roberta mówi, że tutaj używa się tortur, to znaczy dzikusy ich używają. Chociaż nie, oczywiście te instrumenty należały do królowej Caroline....

Te instrumenty.

— Widziałeś je? — zapytałem.

— Tak. Zaprowadzili mnie na chwilę do celi po drugiej stronie, zanim trafiłem tutaj, i zobaczyłem...

— Nie mów mi!

— Cicho! Nie krzycz za głośno, bo obudzisz lorda Roberta!

Miał rację. Nie chciałem obudzić lorda Hopewella. Roztrzęsiony chłopak, z pewnością wybrany na kuriera dlatego, że drobna budowa pozwalała mu jeździć długo i szybko, był dla mnie jedynym źródłem informacji. Musiałem go skłonić do mówienia.

— Długo już tu siedzisz?

— Nie jestem pewien. Po ciemku trudno to ocenić.

— Ale lord Robert trafił tu przed tobą?

— Och, tak, gdy tylko dzikusy zawładnęły pałacem.

Moje pytania wyraźnie go uspokajały. Pochodnia paliła się coraz słabiej.

— Dają wam jeść?

— Tak. I dwa razy dziennie opróżniają wiadro z nieczystościami oraz przynoszą świeżą wodę. Nie traktują nas aż tak źle. Ale w tej drugiej celi...

— Nie myśl o tym. Kim jest człowiek towarzyszący lordowi Robertowi?

— To stajenny. Uderzył żołnierza dzikusów.

— A ten, który tam leży? Czy potrafi spać w każdej sytuacji?

— On nie śpi — wyjaśnił David Arlen. — Jest nieprzytomny już cały dzień. Kiedy go tu przyprowadzili, czuł się dobrze, a potem nagle stało się z nim coś takiego. Stajenny to ciemny wieśniak. Nazwał go jakoś, ale nie pamiętam tego słowa. Instrumenty w tej drugiej celi...

— Jak go nazwał? — Nie obchodziło mnie, jak się nazywa nieprzytomny mężczyzna, ale młody kurier znowu zaczął się trząść. Jego ciałem targały długie, gwałtowne spazmy. Musiałem go skłonić do mówienia, choćby tylko po to, by odwrócić jego uwagę. — Jak on się nazywa?

— Nie pamiętam!

— Spróbuj sobie przypomnieć — zachęcałem go delikatnym tonem. Myśl o innych.

— To nie było imię, tylko jakieś słowo. Nic właściwie nie znaczyło.

— Jak brzmiało?

— Hisaf — odpowiedział wreszcie.

30

W pierwszej chwili pomyślałem, że słuch mnie myli, że musiał mnie zmylić.

— Hmm... że jak? — zapytałem głupio.

— Hisaf — powtórzył David Arlen. — Och, co to ma za znaczenie? Wszyscy umrzemy w straszliwych męczarniach! Słyszałem, że dzikusy...

Ja jednak nie słuchałem już słów kuriera. Jego strach przestał mnie obchodzić. Położyłem dłoń na barku leżącego na ziemi mężczyzny i potrząsałem nim mocno. Nie ocknął się. Potrząsałem jeszcze mocniej. Nic.

Przetoczyłem go na plecy. Wszystkie mięśnie miał luźne, a oczy zamknięte. Jego ciało było bezwładnym ciężarem. Być może zapadł w trans hisafów, lecz równie dobrze mógł być nieprzytomny albo martwy. W słabym świetle palącej się na korytarzu pochodni trudno mi było dostrzec rysy jego twarzy. Złapałem go jedyną dłonią za lewą nogę i z wysiłkiem podciągnąłem tak blisko światła, jak tylko pozwoliły jego łańcuchy i moje siły.

— Hej! — odezwał się kurier. — Co ty wyprawiasz?

Światło nadal było słabe, ale wystarczyło mi. Uniosłem powieki nieznajomego. Jego wpatrzone w pustkę oczy były zielone, a twarz była moją twarzą.

Nie. To było niemożliwe.

Miał tylko lekki, jednodniowy zarost, podczas gdy ja w trakcie spędzonych w głuszy tygodni dorobiłem się bujnej brody. Miałem też szczuplejsze policzki oraz brązowe oczy i włosy po matce. Mimo to twarz mężczyzny była starszą wersją tej, którą widziałem w lustrze, kiedy miałem lustro, a nagły stan głębokiej nieprzytomności z pewnością mógł być transem hisafów. Czyżbym widział swego ojca?

Nie. To niemożliwe.

Wydarzyło się już jednak wiele rzeczy, które uznałbym za niemożliwe, i żadna z nich nie była przypadkiem. Jeśli to rzeczywiście był mój ojciec, przybył tu — czy może przyniesiono go tu — w jakimś celu. W jakim?

— Znasz go? — zapytał kurier.

Gapilem się na twarz nieprzytomnego. To był człowiek, który porzucił matkę i mnie. Zostawił ją na pastwę nieznanego mężczyzny, który spłodził z nią moją siostrę. Znaczyło to, że jest pośrednio odpowiedzialny za śmierć mojej matki, a bezpośrednio za nieszczęśliwe dzieciństwo, które spędziłem z Hartahem i ciotką Jo. A teraz zapewne przeszedł na drugą stronę, by dokonywać jakichś straszliwych czynów w krainie Umarłych.

— Znasz go? — powtórzył kurier.

W korytarzu pochodnia zamigotała po raz ostatni i zgasła, pochłonawszy cały zapas sosnowej smoły.

— Nie — odpowiedziałem w całkowitej ciemności, nawet nie próbując ukrywać przesycającej mi głos gorzkości. — To ktoś zupełnie dla mnie obcy.

Gdy przyprowadzono mnie do lochu, był wieczór. Przez całą noc nic się nie wydarzyło. W ciemności moje ubranie nie mogło porządnie wyschnąć, ale zrobiło się trochę mniej mokre. Pachniało teraz wełną i potem. Nie mogłem zasnąć, ale pozostali więźniowie chrapali miarowo. W końcu dołączył do nich nawet młody, przerażony kurier. Co jakiś czas macałem

wokół siebie w ciemności, by wyczuć bark nieprzytomnego i potrząsnąć nim mocno. Raz go spoliczkowałem. Nawet nie drgnął.

Rankiem czekała mnie śmierć. Młody Wódz pomści zabójstwo lorda Soleka. Kiedy oprawcy ze mną skończą, przejdę na drugą stronę po raz ostatni i usiądę w kręgu gdzieś w krainie Umarłych, by Duszoroślanie mogli mnie wykorzystać jako kolejne źródło mocy w swych wysiłkach osiągnięcia życia wiecznego. Moją głowę otoczy mroczna mgła. Będę wibrował jak ul pełen pszczół, a potem ukradną mi wieczność. Gdybym zaś przeszedł na drugą stronę w tej chwili...

Przysiągłem Matce Chilton, że już nigdy tego nie zrobię. „To ważniejsze, niż potrafisz pojąć. Obiecuj!”.

Nie miałem pojęcia, co się wydarzy, jeśli moje ciało umrze w krainie żywych, podczas gdy będę przebywał w krainie Umarłych. Czy śmierć i tak mnie zabierze i po prostu usiądę w gęstniejącej mgle, pogrążając się w bezmyślnym spokoju, jak wszyscy mieszkańcy owej krainy? A może jako hisaf na całą wieczność zachowam świadomość w tym królestwie cienia, podobnie jak moja siostra? Ona była obłąkana.

Obiecałem Matce Chilton.

Nie wierzyłem, bym potrafił znieść tortury.

Gdy Matka Chilton wyciągnęła ode mnie obietnicę, nie wiedziała, że dzikusy wezmą mnie do niewoli i będą mi groziły męczarnie. Zapewne sądziła, że zrobię to, co mi kazała — wrócę do Maggie i Jee. Nie umknęło też mojej uwagi, że sama bardzo zręcznie uniknęła groźby tortur, zmieniając się w wątłą, zgrzybiałą staruchę, którą nie warto zawracać sobie głowy. Dlaczego miałbym znosić to, czego ona uniknęła?

Ale jej obiecałem.

Gdzieś, irytująco blisko stąd, mój ojciec wędrował po krainie Umarłych. Mógłbym wreszcie otrzymać odpowiedzi, których nie dała mi nawet Matka

Chilton. Jak śmiała mi ich odmówić? Powiedziała mi dużo, ale nie wszystko. Nie dowiedziałem się nic o ojcu ani o tym, czym „różnił się” od innych hisafów.

Moje myśli krążyły wciąż wkoło, jak osioł przywiązany do kieratu, i podobnie jak on nie mogły się wyrwać na wolność. Przez cały ten czas narastał we mnie gniew. Na Matkę Chilton, na ojca, na dzikusów i na cały świat. Na oba światy. Gdy byłem w tym stanie, gdy dławilem się zarówno od gniewu, jak i od ohydneho smrodu wypełniającego celę, z ciemności przemówił do mnie lord Robert Hopewell.

— Błźnie Rogerze.

— Nie nazywaj mnie tak!

— Będę cię nazywał, jak zechcę. Mam ci coś do powiedzenia.

Od jego zimnego głosu Thymar mógłby zamarznąć pośrodku lata.

— Nie interesuje mnie nic, co możesz mi powiedzieć.

— Ale i tak mnie wysłuchasz — oznajmił i usłyszałem w jego głosie gniew równie potężny jak mój, ale znacznie lepiej kontrolowany. — To ty jesteś przyczyną tego wszystkiego.

— Nieprawda — zaprzeczyłem głośno, nie dbając o to, czy obudzę pozostałych albo nawet cały ten zdradziecki, śmierdzący pałac. — Twoja kochanka była przyczyną wszystkiego. To królowa Caroline próbowała wykorzystać armię dzikusów przeciwko Niebieskim swej matki, jakby ludzie byli kośćmi do gry. Wykorzystała dzikusów, wykorzystała mnie, a także ciebie, mój lordzie. Złóż winę na jej grobie, gdzie jest jej miejsce!

— Zamknij tę kłamliwą gębę albo cię zabiję.

Wypowiedział te słowa bardzo spokojnie, ale wiedziałem, że mówi poważnie. Mimo woli odsunąłem się od niego ku drzwiom celi.

— Nie wymieniaj już nigdy jej imienia — ciągnął lord Robert takim samym tonem. — Nic nie rozumiesz. Ale to nie o niej chciałem mówić,

lecz o księżniczce Stephanie.

— Jest teraz królową Stephanie — poinformowałem go złośliwie, pragnąc mu sprawić ból. — Ukoronowano ją na tej samej uroczystości, na której Młody Wódz otrzymał Koronę Glorii, a jednocześnie wydano ją za niego.

— Tak jak się spodziewałem. A teraz trzeba ją uratować. Ty to zrobisz, bo ty do tego doprowadziłeś.

Uratować? Ja miałbym to zrobić? Z pewnością był tak samo szalony jak moja siostra. Wciągnąłem gwałtownie powietrze.

— Jak?

— W jedyny sposób, jaki znasz. Masz do dyspozycji swój obmierzły talent. Królowa wielokrotnie robiła z niego użytek. Widziałem to. Przyprowadziłeś też armię Niebieskich z... z tamtego miejsca. Możesz zrobić to znowu. Sprowadź nowe oddziały, a ja powiodę je do boju.

— Nie mogę tego zrobić znowu — zaprzeczyłem z pasją w głosie. — Tym razem w krainie Umarłych nie ma przytomnych żołnierzy.

— Nie rozumiem.

— Nic nie rozumiesz — odparłem, oddając mu jego własne słowa. — Nie mogę przyprowadzić stamtąd nikogo.

— Ale możesz przynajmniej przynieść broń, która pozwoli nam uwolnić się z tego lochu.

O tym nie pomyślałem. Moją uwagę zaprzątnął gniew na ojca oraz niemożność podjęcia decyzji w sprawie obietnicy złożonej Matce Chilton i nie wpadłem na prosty pomysł kradzieży broni należącej do Umarłych. Mój umysł zaczął pracować gorączkowo. W ciągu wieków na wyspie z pewnością stoczono wiele bitew. Pałac stał tu od bardzo dawna. Umarli będą mieli noże, miecze, a nawet strzelby. Być może znajdę nawet coś, czym będę mógł przeciąć łańcuchy.

— Nie mogę przejść na drugą stronę — rzekłem.

— Możesz. Jesteś to winien księżniczce.

Nie byłem jej nic winien, ale jego pewność stała się ostatnią uncją na moich niewidocznych szalkach. Na jednej leżały mój gniew i strach oraz fakt, że pragnąłem porozmawiać z ojcem. Miałem do tego prawo! Na drugiej obietnica, jaką złożyłem Matce Chilton. Pewność lorda Roberta zwiększyła ciężar leżący na pierwszej szalce — nie dlatego, że był taki przekonujący, lecz dlatego, że szukałem tej dodatkowej uncji. Zawsze potrafimy znaleźć preteksty, by zrobić to, co i tak pragniemy uczynić.

— Tak — zgodziłem się. Potem ugryzłem się w język i przeszedłem na drugą stronę.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Mgła, gęstsza i czarniejsza niż kiedykolwiek dotąd, nie zasłaniała sylwetki czekającego na mnie mężczyzny. Siedział na głazie tuż obok miejsca, w którym przeszedłem, a jego zielone oczy wpatrywały się we mnie spokojnie.

— Co cię tak długo zatrzymywało? — zapytał mój ojciec.

31

Gapilem się na niego przez kilka dobrych chwil. Nie mogłem wydobyć z siebie ani słowa. Gardło ścisnęły mi gniew i zaskoczenie. One zawsze mieszają człowiekowi w głowie i dlatego pierwsze słowa, które wyrwały mi się z ust — ze wszystkich, które mogłem rzec temu mężczyźnie — brzmiały:

— Czy to była psia obroza, którą miałem w kieszeni?

— Jak się domyśliłeś? — zapytał z bladym uśmiechem.

— Matka Chilton powiedziała mi, dawno temu... — Nie mogłem mówić dalej. Dwa i pół roku temu zupełnie inny Roger Kilbourne wyruszył na poszukiwania Cecylii i Matka Chilton powiedziała mu, łypiąc nań ze złością: „Daj mi tę złotą monetę, którą masz w kieszeni. I pierścień Caroline też. Musisz być naprawdę głupi, jeśli nosisz ze sobą takie znaczki”. Obroza również była znaczkiem. To dzięki niej Matka Chilton znalazła mnie na wąskiej, kamienistej plaży. Wszystko to uświadomiłem sobie podczas długiej podróży wozem do pałacu. Nawet w trakcie pośpiesznego prania mojego ubrania przez Joan Campford obroza nie wypadła mi z kieszeni. To dzięki niej ojciec wiedział, gdzie jestem, a potem domyślił się, że zabiorą mnie do pałacowych lochów.

— Jesteś bystry, Roger — stwierdził. — To ci się przyda tam, dokąd powędrujesz.

— Przywędruję tu, gdzie właśnie jestem! Na zawsze! Po torturach i...

— Nie. Dzikusy nie torturują jeńców. Uważają, że to poniżej ich godności.

— Wiem, że to nieprawda!

Jego twarz zmieniła wyraz. Nagle wydał się starszy i bardziej smutny. Wyczuwałem w nim też jednak niecierpliwość.

— Mówisz o zawężlonym sznurze w chacie w Almsbury. Nie mogliśmy wysłać do ciebie psów wystarczająco szybko. Wierzyliśmy też, że śpiewak-wojownik wykona rozkazy, zamiast uczynić to, co postanowił uczynić. Rozkazano mu przyprowadzić cię do Młodego Wodza, nic więcej. Ale Solek był jego wojennym ojcem, a on jest młody i ma gorącą krew. Teraz już zapanował nad sobą i obawia się gniewu Młodego Wodza, na jaki naraził się swym uczynkiem.

— Bardzo dużo wiesz o armii dzikusów — zauważyłem z goryczą. — Czy pracujesz dla nich? Czy zdradziłeś Reginokrację, tak samo jak zdradziłeś moją matkę?

Zacisnął usta.

— Nie jestem poddanym Reginokracji, a o twojej matce nie będziemy rozmawiać.

— Będziemy, do cholery! — krzyknąłem. — Porzuciłeś ją i mnie, a potem zjawiał się jakiś inny mężczyzna. Czy oddałeś ją mu? Czy to kolejny plugawy zwyczaj, jaki macie w Duszorośli...

Rzucił się na mnie tak szybko, że nie zauważyłem jego pięści, dopóki nie trafiła mnie w szczękę. Zwaliłem się na ziemię, potykając się o jednego z Umarłych. Poruszałem bezsilnie jedną ręką, odpychając się od spokojnego Umarłego żołnierza, aż wreszcie zdołałem się odwrócić na plecy. Ojciec majaczył nade mną we mgle. Wyciągnąłem rękę ku Umarłemu w poszukiwaniu broni.

— Nic nie wiesz — rzekł mój ojciec. Znieruchomiałem, ujrawszy, że panuje nad sobą ostatnim wysiłkiem woli. — Jesteś ignoranckim chłopcem. Wstawaj.

Zrobiłem to, ale tylko dlatego, że leżenie u jego stóp było gorsze. W zielonych oczach mojego ojca pojawił się błysk. Całe jego ciało napinało się, jakby zaraz miało się złamać. Pochylał się lekko do przodu, stojąc na palcach.

— Wysłuchaj mnie, Roger. Nie mamy wiele czasu, powiem ci więc to tylko raz, zanim uczynię to, po co tu przybyłem. Kochałem twoją matkę, a ona kochała mnie. Nie „zdradziłem” jej. Zostawiłem was oboje, ponieważ moja obecność zagrażała waszemu życiu. Duszoroślanie zaczęli już wówczas prace nad swym monstrualnym celem. Pragną ukraść wieczność Umarłym, by oddać ją żywym. Rozumiesz? Ta wojna zaczęła się, gdy byłeś niemowlęciem w ramionach Katharine, a jej stawka jest większa, niż potrafisz to sobie wyobrazić. Porzuciłem Katharine dla jej bezpieczeństwa, a także twojego. To, co się wydarzyło cztery lata później...

Odwrócił się ode mnie. Po chwili zapanował nad sobą i mógł mówić dalej. Jego głos stał się teraz suchy i twardy, jak głos żołnierza.

— Przybyłeś tu po to, by zabrać broń Umarłym. Nie rób tego. Jeśli zaatakujesz dzikusów, mogą być zmuszeni cię zabić. A jeśli tego nie zrobisz, nie skrzywdzą cię. Przynajmniej na razie. Młody Wódz ma inne plany i możemy je wykorzystać. Stoi przed tobą zadanie. To właśnie pragnę ci powiedzieć. Po to przybyłem tu z narażeniem życia. Musisz...

— Nie mów mi, co muszę, a czego nie muszę! — zawołałem. — Czemu miałbym ci wierzyć? — dodałem, nie chcąc wyjść na naburmuszone dziecko. — Matka Chilton kazała mi wracać do domu. Gdybym miał wykonać jakieś wielkie „zadanie”, powiedziałyby mi o tym.

— Kobiety parające się sztukami duszy nie są żołnierzami. Nie rozumieją sytuacji.

— Ja też nie! — Rozdarty między łzami a furią skrzyżowałem ręce na piersi w żalostnej próbie przybrania stanowczej pozy. — Wyjaśnij mi ją.

Rozejrzał się z uwagą wokół. Nigdzie nie było widać nic oprócz Umarłych.

— Zatem słuchaj uważnie. Życie i śmierć dzieli od siebie naturalna ściana, którą jest grób. Hisafowie potrafią przechodzić przez tę ścianę. Wiesz o tym.

Ziemia wypełniająca mi usta... Robaki w moich oczach... Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

— Tak — potwierdziłem. — Wiem.

— Wrzosowisko Duszorośli próbuje skruszyć tę ścianę. Pierwsza szczelina powstała, gdy twoją siostrę przeniesiono cieleśnie do krainy Umarłych. Coś takiego nigdy się dotąd nie wydarzyło. A potem ty przeniosłeś z powrotem do krainy żywych tego marynarza, kobietę, a wreszcie całą armię...

Skrzywiłem się, ale on nieubłaganie mówił dalej.

— Poszerzyłeś tę szczelinę bardziej, niż ci się zdaje. To jak fortyfikacje otaczające zamek. Gdy w murach powstanie wyłom, każda osoba albo przedmiot, który przechodzi przez szczelinę, poszerza ją coraz bardziej. Kobiety parające się sztukami duszy nie potrafią zrozumieć, czy może nie chcą przyjąć do wiadomości, że to, co robią hisafowie, jest czymś innym, dlatego że różnimy się od pozostałych ludzi.

„Różnisz się od nich wszystkich dlatego, że twój ojciec różni się od innych hisafów”. Tak powiedziała mi Matka Chilton, ale nie miała na myśli tego, o czym mówił mi teraz ojciec.

— Ale mimo to zabroniono mi... — zacząłem.

— Zapomnij, co ci powiedziano! Kobiety parające się sztukami duszy walczą z Wrzosowiskiem Duszorośli tak samo jak moi hisafowie, ale nie toczymy tej wojny wspólnie. Kobiety to nie żołnierze. Czasami się przydają, ale są źle zorganizowane i nieefektywne.

Matka Chilton nigdy nie sprawiała na mnie wrażenia nieefektywnej.

— Ale...

Złapał mnie za barki.

— Roger, nie mam czasu się z tobą spierać! Czy nie słyszysz hałasu?

Gdy już o nim wspomniał, ja również go usłyszałem: odległe ujadanie, jakby królewskich ogarów podczas łowów na jelenia. Ale w krainie Umarłych nie urządzano królewskich polowań. Nie było tu jeleni ani hałasów. Nie wiedziałem, co słyszę.

Ojciec przysunął usta do mojego ucha.

— Zabiorą cię razem z księżniczką Stephanie za Góry Zachodnie, do królestwa Młodego Wodza. On pragnie dla siebie „magicznych iluzji”, które, jak sądzi, stworzyłeś, by pokonać jego ojca. Nie tylko wierzy, że jesteś czarownikiem, lecz również sądzi, że możesz nauczyć czarów i jego. Utwierdzaj go w tym przekonaniu. Rób, co tylko możliwe, poza przenoszeniem ludzi albo przedmiotów z krainy Umarłych do krainy żywych. Udawaj, że uczysz Młodego Wodza, bo tylko w ten sposób zdołasz zachować życie do czasu, gdy będziemy mogli cię uratować. Uratuję cię, obiecuję solennie. Nie...

— Uratuj mnie teraz! — zawołałem nagle jak dziecko wzywające ojca. Natychmiast tego pożałowałem. Moja twarz zrobiła się gorąca ze wstydu.

— Myślisz, że nie zrobiłbym tego, gdybym tylko mógł? Przez wszystkie te lata myślałem, że umarłeś razem z Katharine, przez wszystkie te lata szukałem cię po tej stronie grobu... — Ujadanie stawało się coraz

głośniejsze. — Nie możemy już tu zostać dłużej — zawołał mój ojciec. — Wracaj na drugą stronę, Roger. Natychmiast.

Rozległ się hałas brzmiący jak skalna lawina, tu, gdzie nie było żadnych skał. Ugryzłem się mocno w język. Krew wypełniła mi usta i wróciłem do krainy żywych.

Więźniowie poruszyli się wewnątrz ciemnego lochu. Usłyszałem ciche przekleństwo lorda Roberta. Wsiowy stajenny jęknął z bólu, którego powodu nie widziałem. Ktoś odlewał się do blaszanego wiadra. Mój ojciec pozostał jednak nieruchomy, nawet gdy szturchnąłem go mocno. Nie wrócił z krainy Umarłych razem ze mną.

Mój ojciec.

Nadal nie potrafiłem w to uwierzyć. Głowa bolała mnie od wszystkiego, co mi powiedział, jakby owa wiedza była drzazgami wbitymi w mój mózg. Matka i „wojna” z Wrzosowiskiem Duszorośli. Spory między hisafami a kobietami „parającymi się sztukami duszy”, mimo że obie strony zapewniały, że walczą po tej samej stronie. Ojciec mówił mi o wyłomie w fortyfikacjach dzielących świat żywych od krainy Umarłych, ale Matka Chilton wspominała o „sieci bytu”. Wyobraziłem sobie ogromną pajęczynę spowijającą grób. Utkaną zarówno z żywych, jak i z Umarłych. W jej środku siedziała pajęczycza. Gdy poruszyła jedwabną nicią, cała sieć drżała. *Nie powinieneś tu być, nie w taki sposób. Ale wkrótce to się zmieni. Nie żyję od jedenastu lat.*

— Światło — odezwał się stajenny lorda Roberta. Zza krat padał słaby blask. Z każdą chwilą stawał się coraz jaśniejszy. W zamku zgrzytnął klucz. Zrobiło się jaśniej. Fioletowy żołnierz trzymał w ręku pochodnię. Do celi weszło dwóch dzikusów. Przyjrzeni się wszystkim więźniom i podnieśli mnie na nogi.

Ale najpierw, gdy zrobiło się już na tyle jasno, że coś widziałem, zdążyłem rzucić lordowi Robertowi nóż, który zabrałem Umarłemu żołnierzowi po drugiej stronie. Ojciec nie zauważył, jak to zrobiłem, i teraz również nie widział, komu go dałem. To był tylko mały, głupi akt sprzeciwu wobec człowieka, który mnie porzucił, a potem wrócił, by obiecać mi ratunek, w który rozpaczliwie pragnąłem uwierzyć. Dlaczego jednak miałbym ufać jemu i jego radom, zwłaszcza że kłóciły się ze słowami Matki Chilton?

„Nie możesz już więcej przechodzić do krainy Umarłych. Musisz wrócić do domu”.

„Możesz przechodzić, kiedy zechcesz. Musisz wyruszyć z Młodym Wodzem, żeby go uczyć”.

Kto miał rację?

Nie wiedziałem tego. Ale przynajmniej lord Robert będzie mógł zrobić użytek ze skradzionego noża, żeby się bronić, a być może nawet uciec.

Poprowadzono mnie wilgotnym korytarzem z ziemi i kamienia, a potem po schodach. Minęliśmy masywne drzwi i weszliśmy do wozowni. Chciwie wciągałem w płuca potężne hausty świeżego powietrza. Woń koni i oleju do smarowania kół wydawała mi się najśłodszą, jaką w życiu czułem. Nadal żyłem.

I wiedziałem już, jak miała na imię moja matka.

Katharine.

Dziedziniec stajenny bardzo szybko oczyszczono ze wszystkich koni, karet i powozów, poza jednym. To był masywny wóz o wysokich bokach, załadowany skrzyniami o żelaznych okuciach. Na małą wolną przestrzeń ktoś rzucił stos słomy oraz kilka koców. Nawet ja dostrzegalem, że żaden koń ze stajni nie jest wystarczająco silny, by pociągnąć ten wóz. Będzie potrzebna para koni pociągowych. Ostatni stajenni, pokrzykując do siebie nawzajem, poszli zarekwirować takie zwierzęta. Zostałem sam z tylko jednym żołnierzem dzikusów, który skinął na mnie, każąc mi wleźć na wóz, a następnie przykuł mnie łańcuchem do żelaznej śruby wkręconej w ścianę pojazdu i zamknął tylną klapę. Gdy się oddalał, słyszałem stukot jego butów uderzających o bruk.

Co się działo z moim ojcem w krainie Umarłych? Czym było owo zbliżające się z każdą chwilą ujadanie i czy udało mu się przed nim uciec? A może przyłączył się do niego?

Uwierzyłem, że porzucił matkę i mnie dla naszego bezpieczeństwa... ale to nie była cała prawda. Zauważyłem, że jego twarz ożywiła się nagle, gdy zwrócił się ku temu, co zmierzało w jego stronę w tym drugim królestwie. Pomimo realnego niebezpieczeństwa, prawdziwego bólu oraz rozłąki z najbliższymi. Zostawił nas z niechęcią, lecz również z ożywieniem zmysłów, przypominającym niemal pożądanie.

Poznawałem to wszystko, ponieważ sam czułem to samo, opuszczając Maggie i Jee.

Leżąc na słomie na skrzyni wozu, myślałem o Maggie. Pamiętałem tak wiele drobiazgów: jej jasne loki opadające na czoło, gdy mieszała smakowity gulasz w wielkim garze stojącym na palenisku. Jej silne ramiona ugniatające chleb. Jej śmiech, gdy pod koniec dnia siedzieliśmy przy kuflach ale za ustawionym na kozłach stołem w gospodzie. I wreszcie jej ciało poruszające się pod moim na skąpanym w blasku słońca stoku, ostatniego dnia, gdy ją widziałem. Z jakiegoś powodu opowieść ojca przywołała w moim umyśle wyraziste wspomnienie Maggie. To nie miało sensu, ale tak właśnie było.

— *Ven tek fraghir! Klen!*

Koń zarżał. Wóz szarpnął się do przodu, gdy zakładano lejce. Usłyszałem kolejne krzyki w języku dzikusów. Potem ruszyliśmy naprzód. Żelazne koła toczyły się z hałasem po bruku dziedzińca stajennego. Nie zatrzymaliśmy się. Boki skrzyni wozu były tak wysokie, że musiałbym wstać, by coś zobaczyć. Długość łańcucha na to pozwalała, ale nie miałem zamiaru tego robić. Rozpoznało mnie już więcej ludzi, niż się tego spodziewałem, a wielu mieszkańców miasta miało powody, by mnie nienawidzić. Dlatego leżałem na deskach i po raz kolejny wszystkim, co widziałem z pałacu, gdy przejeżdżaliśmy, było niebo oraz samotna szara kolumna kamiennej wieży, na której powiewała pozbawiona znaczenia fioletowa chorągiew. Stephanie ukoronowano, ale to nie ona tu władała.

Zatrzymaliśmy się, czekając na otworenie pałacowych bram, a potem pojechaliśmy przez Glorię, miasto, w którym zapadła osobliwa cisza. Z czasem nawet stukot końskich kopyt zmienił się w miarowy, jednostajny brzęk. Przejeżdżaliśmy przez jeden z wielkich kamiennych mostów nad

Thymarem. Na drugim brzegu rzeki nie było już ciszy. Wstałem, zaciekawiony, i wyjrzałem na zewnątrz.

Na nadrzecznej równinie czekały trzy wielkie grupy. Najdalej ode mnie znajdowała się główna część armii dzikusów, ustawiona w idealnych szykach liczących po dwunastu żołnierzy. Wszyscy mieli na sobie zbroje i byli gotowi do wymarszu. Pokrywali gęsto ziemię niczym pokryta szarańcza futro. Za nimi stała karawana, jakiej nigdy w Reginokracji nie widziano. Sześć jaskrawo pomalowanych wehikułów zaprzężono w konie pociągowe. Każdy z pojazdów zbudowano na podstawie długiego wozu, wszystkie miały ściany, dachy i okna z zasłonami. Pomalowano je na krzykliwe kolory — jaskrawą czerwień, zgryźliwą żółć i jadowitą zieleń węża trzonkowego. Robotnicy z pałacu, którzy pokrywali jego piękne dziedzińce płytkami malowanymi na odcienie subtelnego błękitu i delikatnego fioletu, z pewnością byli bardzo niezadowoleni, że kazano im używać tak agresywnych, pozbawionych głębi kolorów. Zasłony w każdym z wozów harmonizowały kolorem z farbą. Żelazne koła lśniły jaskrawym blaskiem, a konie tupały niecierpliwie w swych uprzężach ze skóry i drewna.

Dzikusy nie jeździły konno. Nigdy nie widziałem, by któryś z nich dosiadał wierzchowca. Przed karawaną i za nią podążali jednak Fioletowi jeźdźcy. Niektórzy byli tak młodzi i drobni, że z pewnością byli kurierami albo zwiadowcami. Byli tam też inni mieszkańcy pałacu, krążący pośród krzykliwego chaosu — owiec, których mięso wyżywi armię podczas drogi do domu; wozów z prowiantem transportujących klatki pełne rozgdakanych kur, beczułki ale, worki mąki oraz mnie. Równina rozbrzmiewała gdakaniem, beczeniem oraz gardłowymi okrzykami w języku dzikusów. Uderzono w bęben i z trzeciej grupy, żołnierzy z tylnej straży, dobiegł głos barbarzyńskiego śpiewaka, potężny i dźwięczny.

Wszystko ruszyło w drogę. Armia Młodego Wodza opuszczała Reginokrację.

Dlaczego odchodził po tym, jak najechał na nas i podbił nasz kraj? Chwila zastanowienia przyniosła mi odpowiedź. Dzikusy miały za małą armię, by bez końca okupować Reginokrację. To była raczej wyjątkowo liczna banda łupieżców, mająca za zadanie pojmać księżniczkę i mnie. Ale gdy już nauczę Młodego Wodza „czarów”, co zgodnie ze słowami mojego ojca było jego planem, sytuacja się zmieni. Młody Wódz powróci z gór na czele armii Umarłych, niezwycięzonej i bez końca odnawialnej. Umarłych z pewnością nie zabraknie. Tarek zdobędzie Reginokrację, nie tracąc ani jednego ze swych ludzi, i będzie nią rządził za pośrednictwem młodocianej żony. Tak przynajmniej sądził.

Cały ten szalony plan opierał się na mnie.

Wozy, żołnierze i owce, wszystko to na moment połączyło się w moim umyśle w jedną plamę. Dopadły mnie zawroty głowy. Gdy przejaśniło mi się przed oczami, zobaczyłem, że na miejskich murach zaczęli się pojawiać ludzie. Byli zbyt daleko, bym mógł dostrzec ich twarze, ale wiedziałem, że płaczą. Nad bliskimi zabitymi przez dzikusów, nad sześćioletnią księżniczką wywożoną z ojczyzny i nad zdrajcami z własnych szeregów, którzy postanowili związać swój los ze zwycięzcami, umożliwiając im podbój. Potem oczy omal nie wyskoczyły mi z czaszki. Zobaczyłem kogoś, kogo już nigdy nie spodziewałem się ujrzeć.

Toma Jenkinsa.

To było niewiarygodne. Omijał ociążałe wozy, maszerujących kucharzy oraz odłączone od stada owce, omal nie przewracając się o jedną z nich. Fioletowy żołnierz spróbował go złapać, ale Tom obalił go na ziemię. Zmieniał co chwila kierunek, nie przestając krzyczeć. Szukał czegoś gorączkowo. Mnie?

— Tom! — zawołałem, ale nie było szans, bym przekrzyczał straszliwy harmider. Nagle otwarto tylną klapę wozu i na skrzynię wskoczył żołnierz dzikusów. Przygotowałem się na cios, który jednak nie nastąpił. Dzikus wymamrotał coś, czego nie zrozumiałem, a potem rozpiął łańcuch, którym mnie skuto, i zeskoczył na ziemię, nakazując mi niecierpliwym gestem, bym podążył za nim. Żaden dzikus nigdy tego nie robił. Tylko ciągnęli mnie albo popychali.

Popatrzyłem na niego niepewnie. Gdy wóz oddalił się już na pewną odległość, mężczyzna pochylił głowę i uklęknął.

Rozejrzałem się wkoło, wypatrując Młodego Wodza. Nie było go tu. Żołnierz klęknął przede mną.

Gapilem się na niego ze zdumieniem, a wóz cały czas się oddalał. Wreszcie zerwał się, dogonił mnie i ponownie wskazał gestem, że mam wysiąść. Nie dotykał mnie. Jego twarz marszczyła się z niepokoju. Był młody i niebieskooki, jak wszyscy jego rodacy, uzbrojony po zęby i przysięgłbym, że również zażenowany. Nic z tego nie miało dla mnie sensu.

Tom zobaczył mnie, gdy stanąłem na otwartym wozie, i pobiegł w moją stronę. Krzyczał coś, ale nie rozumiałem jego zagłuszanych przez hałas słów.

Zlazłem z wozu, który cały czas toczył się naprzód. Twarz młodego dzikusy rozpromieniła ulga. Wskazał, w którym kierunku mam się udać. Toma złapał inny żołnierz i mój przyjaciel natychmiast zaczął się z nim bić.

— Tom! Nie!

Pobiegłem ku walczącym, spodziewając się, że mój strażnik — opiekun, przewodnik, czy kim tam właściwie był — zaraz mnie powstrzyma. On jednak nawet mnie nie dotknął. Tom był większy od dzikusy, ale ten drugi

nie tylko był świetnie wyszkolony, lecz również miał broń. Jeśli mój przyjaciel wyciągnie nóż...

Zrobił to. Dzikus odskoczył do tyłu, wdzięcznie jak dworski tancerz, i wyciągnął własny, groźnie zakrzywiony nóż.

— *Ka!* — wrzasnąłem. — *Ka! Aleyk ka flul! Ka!*

Nikt nie zwracał na mnie nawet najmniejszej uwagi. Tom i dzikus krążyli wokół siebie. Żołnierz uśmiechał się. Potem przez hałas przebił się inny głos, powtarzający moje słowa. Jego rozkazującego tonu posłuchałyby nawet dzikie świnie.

— *Ka. Aleyk ka flul.*

Nie. Nie atakuj.

Żołnierz krążący wokół Toma nie uniósł wzroku, ale natychmiast zmienił postawę na taką, którą nawet ja rozpoznałem jako czysto obronną. Tom zakrzyknął radośnie i skoczył do ataku. Przeciwnik wprawnie odbił jego nóż, a potem pozbawił go broni i obalił na plecy. Młodzieniec mógł jedynie wpatrywać się w niebo.

— Proszę, nie rób mu krzywdy — spróbowałem powiedzieć oficerowi w jego ojczystym języku. Miałem nadzieję, że nie wyszło mi coś zupełnie innego.

— Jest twój, *antek*?

Nie wiedziałem, co to znaczy „antek”, a Tom z całą pewnością nie był mój. Mój przyjaciel spróbował wstać, ale żołnierz postawił mu nogę na piersi i wymierzył weń strzelbę.

Oficer skrzywił się z niezadowoleniem i szybko wymienił z żołnierzem kilka zdań. Nie zrozumiałem nic poza tylko słowem *nel*. Tom znowu spróbował wstać.

— Nie ruszaj się — powiedziałem mu. — Zabiją cię, ty głąbie! Myślą, że jesteś moim sługą. Leż spokojnie!

O dziwo, naprawdę mnie posłuchał.

Oficer spojrział na mnie z nienawiścią w niebieskich oczach. Rzecz jasna, wszyscy oni mnie nienawidzili, ci żołnierze, których wielkiego lorda pokonałem dwa i pół roku temu. Podobnie jak inni, oficer był jednak zbyt zdyscyplinowany, by złamać rozkazy Tareka. Rzekł coś krótko swym ludziom. Obaj żołnierze, ten, który uwolnił mnie z wozu, i ten, który postawił obutą stopę na piersi Toma, zacisnęli pięści i wykonali swój salut. Oficer oddalił się. Dzikus zdjął nogę z piersi Toma i mój przyjaciel wstał.

— Nie wykonuj nagłych ruchów, nie rób nic głupiego, nie odzywaj się, po prostu idź za mną! — ostrzegłem go.

Skinął głową. Mój przewodnik ponownie wskazał mi gestem drogę. Ruszyliśmy z Tomem we wskazanym kierunku, choć nie miałem pojęcia, co nas tam czeka.

Poprowadzono nas do żółtego wozu. Jeden z dzikusów otworzył drzwi z tyłu pojazdu i wskazał palcem na jego wnętrze. Zajrzałem do środka, rozpaczliwie próbując dostrzec, co tam się może znajdować. O ile dobrze widziałem, w wozie nie było ludzi. W ogóle było tam bardzo niewiele. Wiedząc, że nie mam właściwie wyboru, postawiłem nogę na jedynym stopniu i wszedłem do środka.

— Zaczekaj! — zawołał Tom. — Nie możemy tam wchodzić!

— Tom...

— Zaczekaj! Nie możemy! Nie uda się jej nas znaleźć!

— Komu?

Obaj żołnierze dzikusów zmarszczyli brwi. Mój przewodnik gestykulował coraz silniej. Wsiadaj, wsiadaj. Pięć pozostałych wozów ruszyło naprzód.

— Tom, jeśli natychmiast tam nie wejdiesz...

— Nie mogę! Ty też nie możesz! Nie będzie mogła nas znaleźć!

— Kto?

Tom łypnął na mnie spode łba.

— Maggie. Ona tu jest.

Stałem na stopniu. Wóz ruszył powoli naprzód. Wszystko poza nim się zatrzymało. Czas, myśl, znaczenie — wszystko. Maggie. Była tu.

Tom i mój przewodnik zbliżali się kłusem. Dzikus chciał wepchnąć mnie do wozu, żeby móc zamknąć drzwi, Tom zaś pragnął... właściwie czego? Wytłumaczyć mi wszystko. Ja jednak nic nie rozumiałem.

— Maggie? Tutaj? Skąd...

— Mówiłem jej, żeby tu nie przychodziła! — odparł z pasją Tom. — Ale czy próbowałaś się kiedyś spierać z tą kobietą? Cholera, zatrzymaj ten głupi wóz!

Wóz jednak się nie zatrzymał. Zwiększył jeszcze prędkość. Konie kłusowały po równinie, podążając za maszerującą armią. Dzikus nie ośmielił się mnie tknąć; kolejny fakt, którego nie pojmowałem. Tom jednak nie miał podobnych skrupułów. Złapał mnie za lewe ramię i ściągnął ze stopnia. Obaj zwaliliśmy się na ziemię. Dzikus zawył, wyciągając nóż.

— *Nel!* — krzyknąłem. — *Nel, nel!* To mój chrzaniony *nel!* *Ka!*

Żołnierz, któremu najwyraźniej zabrakło już cierpliwości, podniósł mnie, dogonił truchtem wóz i wepchnął mnie do środka. Potem rozejrzał się wokół z obawą i upewnił, że nikt tego nie widział. Tom popędził za nami i wskoczył do wozu. Drzwi zamknęły się za nami. Usłyszałem szcęk klucza obracającego się w zamku. Tom natychmiast rzucił się na nie.

— Wypuście nas, do cholery! — ryczał.

— Przestań — zażądałem i złapałem go. — O co chodzi z Maggie? Po co tu przybyła? A ty? Jak...

— Puść mnie, Peter, bo pożałujesz!

Tom łypnął na mnie groźnie z pełnej wysokości swego wzrostu. Zacisnął pięści, a jego twarz zrobiła się prawie purpurowa z gniewu. Puściłem go.

Stał tak jeszcze przez kilka chwil, dysząc, zaciskając pięści i spoglądając na mnie złowrogo.

— To cienkie drewno — oznajmił wreszcie. — Mógłbym rozerwać ten wóz na strzępy! Cztery do jednego!

— Tak, ale na razie się powstrzymaj. Jeśli potrafisz to zrobić teraz, będziesz też mógł to zrobić później. Najpierw chcę usłyszeć kilka odpowiedzi. Proszę, Tom. Potrzebuję twojej pomocy!

To jak zwykle go uspokoiło. Tom urodził się po to, by pomagać innym, choćby nawet nieudolnie. Gniew odpłynął z jego twarzy.

— Dobra, mnie też przydałyby się odpowiedzi, ale tymczasem wciąż się oddalamy od Maggie!

— Gdzie ona jest?

— Nie obawiaj się, ukryłem ją. Poprosiłem jednego wieśniaka, żeby ją przechował przez noc. Powiedziałem mu, że to moja owdowiała siostra. Dzikusy nie niepokoją wieśniaków, chcą tylko opuścić Reginokrację. Masz rację, Peter, mógłbym w pół godziny rozwalić ten wóz i pójść po Maggie. Masz coś do jedzenia? Dlaczego nie wsadzili cię do lochu? Albo nie zabili?

Nie siedziałem w lochu, nie zabili mnie i — co równie zaskakujące — miałem coś do jedzenia. Wóz był znacznie mniejszy od pięciu pozostałych, wyposażono go jedynie w niski stół oraz kilka leżących pod przednią ścianą dywanów — z pewnością ukradzionych z pałacu i nadal zwiniętych w rulony. Na stole zostawiono kosz z owocami, dwa bochny chleba, krąg

żółtego sera oraz kilka butelek wina. Tom usiadł na podłodze, złapał jabłko i zaczął je pochłaniać, spoglądając na wino.

— Tom — zacząłem, słysząc desperację we własnym głosie — powiedz mi, proszę, co się wydarzyło. Zacznij od początku i niczego nie omijaj.

— Tak będzie znacznie lepiej — zgodził się. Załatwił się z jabłkiem w trzech kęsach. — No cóż, kiedy dzikusy zostawiły mnie nieprzytomnego i zabrały ciebie, twoja babcia zaopiekowała się mną.

— Kto?

— Twoja babcia — wyjaśnił Tom z cierpliwością w głosie. — Dobrze się czujesz, Peter? Dopiero co znalazła cię na szczycie urwiska i rozmawialiście ze sobą, gdy zjawili się żołnierze dzikusów. Pamiętasz?

Matka Chilton. Jakimś cudem zdołała się zmienić w zgrzybiałą, bezradną staruszkę i żołnierze dzikusów doszli do wniosku, że nie warto zawracać sobie nią głowy. Potem wróciła po Toma i powiedziała mu, że jest moją babcią.

— Tak, teraz pamiętam — zdołałem wykrztusić.

— To dobrze. Przez chwilę bałem się, że masz uszkodzony mózg, bo te skurczybyki cię torturowały albo coś w tym rodzaju. Nie torturowali cię, prawda? A dlaczego? Myślałem, że ten dzikus, któremu Cień rozszarpał twarz, chciał...

— Tom — przerwałem mu z desperacją w głosie. — Po prostu opowiedz mi swoją historię. Ja opowiem ci swoją później.

— Ale ty nie opowiesz mi wszystkiego, prawda? — zapytał w jednym ze swych nagłych, niepokojących ataków bystrości. — Nigdy tego nie robisz. No dobra. Twoja babcia zabandażowała mi głowę i podała jakieś zioła do żucia. Bardzo mi pomogły. To niesłychanie przydatna babcia, Peter. Dziwię się, że nigdy o niej nie wspominałeś. Twój kuzyn George powiedział mi...

— Mój... mój...

— Czy nie chciałeś, żebym po prostu opowiedział ci swoją historię? — zapytał nie bez racji Tom. — W takim razie nie przerywaj mi tak często. Zatrzymaliśmy się w tej chacie nad klifami, czekając, aż wrócę do zdrowia. Nigdy w życiu nie spałem tak dobrze ani tak długo. Nawet kiedy Fia... no cóż. Kiedy się obudziłem, George już tam był i oboje mi wyjaśnili...

— A jak wyglądał George?

Tom popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

— Nie wiesz, jak wygląda twój własny kuzyn?

— Nie... nie widziałem go od dość dawna.

— Aha. Dobra, w takim razie muszę ci powiedzieć, że bardzo się zestarzał. Wygląda tak staro, że mógłby być twoim ojcem. Posiwałe włosy, zielone oczy. Ale nadal jest silny jak góra. Szczerze mówiąc, zastanawiałem się, czy potrafiłby mnie pokonać w uczciwej walce. Miałem ochotę to sprawdzić, ale nie jest dobrze bić się z ludźmi, którzy ci pomagają. Tak czy inaczej, George i twoja babcia wytłumaczyli mi, że dzikusy zabrały cię, bo wierzą, że potrafisz przechodzić do krainy Umarłych. No cóż, to są dzikusy, mogą uwierzyć we wszystko. Zresztą mnóstwo kobiet w Almsbury też wierzy w takie brednie! George wyjaśnił mi też, że bunt przeciwko dzikusom naprawdę istnieje, a ty powiedziałeś mi, że tak nie jest, bo chciałeś mnie chronić. Nie powinieneś tego robić, Peter. Potrafię sam o siebie zadbać.

Łypnął na mnie spode łba, a potem pożarł cały bochen chleba. Zaniemówiłem z wrażenia.

— George powiedział mi, że najlepsze, co mógłbym w tej chwili zrobić, to odnaleźć twoją żonę i... Dlaczego nigdy mi nie powiedziałeś, że jesteś żonaty? Wtedy nie dręczyłbym cię z powodu Fii... Ta kłamliwa suka nie

była tego warta i kiedy pomyślę, jak bardzo byłem w niej zadurzony przez pewien czas... To cholernie dobry chleb. Chcesz kawałek drugiego bochna?

— Nie.

— W porządku. George chciał, żebym dotarł do Haryllbury, gdzie zostawiłeś żonę, i zaopiekował się nią, ale co to za zadanie dla mężczyzny, kiedy trwa bunt? Pomyślałem sobie, że i tak się tam najpierw wybiorę, żeby zanieść ci potem wieści od niej. Ale gdy tylko wspomniałem o tobie, rzuciła mi garnkiem w głowę, potem się rozplakała, a na koniec przysięgła, że ze mną pójdzie. Choć próbowałem wymknąć się niepostrzeżenie pośrodku nocy, usłyszała mnie i poszła ze mną. Ona i twój mały braciszek. Kobiety!

Mój „mały braciszek”. Jee. Potrafiłem sobie to wszystko wyobrazić: wściekłość Maggie, wspaniałomyślna konsternacja Toma, nieustępliwość Jee, zdeterminowanego pójść tam, gdzie Maggie. Zakręciło mi się w głowie.

— Muszę jednak przyznać, że chłopiec się przydał. Zastawiał sidła i upolował prawie tyle zwierzyny, co Owc... A co się stało z Owcem?

— Uciekł.

— Och. Szkoda. Stary, dobry Owc! Myślisz, że powinniśmy teraz stąd zwać?

Przywołałem na pomoc swój rozum. Zadanie nie było łatwe. Tom zostawił go w strzępach.

— Nie — odpowiedziałem. — Nie, Tom. Wysłuchaj mnie. George nie powiedział ci wszystkiego, bo są rzeczy, o których nie wiedział. Nie ucieknę stąd. George miał rację. Młody Wódz pragnie mnie zabrać ze sobą, bo wierzy, że potrafię przechodzić do krainy Umarłych. Chce, żebym go tego nauczył. W końcu wyśle po mnie. Myślę, że tylko ja mogę się do niego zbliżyć tak bardzo, rozumiesz?

— Tak! — Tom rozejrzał się po wnętrzu wozu, a potem podbiegł do mnie. — Zbliżysz się do niego, a potem będziesz mógł go zabić! — wyszeptał mi do ucha. — Świetny plan! Ale oni zabiorą ci broń, prawda? I...

Ucichł, odsunął się i spojrzał znacząco na kikut mojej ręki.

— Ziola mojej babci — wyszeptałem, pochylając się nad jego uchem.

— Aha.

Skinął z uśmiechem głową.

Trucizna była dla niego czymś zrozumiałym, zwłaszcza jeśli pochodziła od kobiety. Kobiety używały ziół i wierzyły w przesady. Służyły do tego, by z nimi spać, a nie żenić się z nimi. Mężczyźni używali noży, przyłączali się do buntów, a to była wielka przygoda, ważna i ekscytująca. We dwóch zabijemy Młodego Wodza. Jego impulsywny mózg nie zastanawiał się nad tym, co się stanie, jeśli naprawdę uda się nam zrealizować ten nierealny plan. Nie sięgał wzrokiem tak daleko, by wziąć pod uwagę takie sprawy jak kara, konsekwencje dla Reginokracji czy przyszły los małej księżniczki Stephanie. Żył chwilą bieżącą, wymyślając rzeczywistość na jej potrzeby.

Czy jednak aż tak bardzo się od niego różniłem? Nie wiedziałem, co się wydarzy podczas podróży do ojczyzny Młodego Wodza. Rozkazano mi...

— Jest jeden problem — zauważył Tom. Twarz mu się zachmurzyła. — Co z Maggie?

...pozostać przy życiu do chwili, gdy będzie można mnie uratować, a także...

— Ale jeśli się nad tym zastanowić, ona rzeczywiście nie może pojechać z nami — przyznał mój towarzysz.

...robić, co tylko możliwe, poza przenoszeniem ludzi albo przedmiotów z krainy Umarłych do krainy żywych.

— To byłoby zbyt niebezpieczne dla kobiety — ciągnął Tom. — Nie sądzisz?

Jak miałem umożliwić Młodemu Wodzowi opanowanie sztuki, której nikt nie mógł się nauczyć?

— Stanowczo zbyt niebezpieczne — powtórzył mój towarzysz. — Maggie będzie musiała tu zostać. Nie chciałem, by szła ze mną nawet tutaj. W końcu kobiety w ciąży naprawdę powinny na siebie uważać.

34

— Peter? Peter!

Niewyraźnie widziałem sylwetkę pochylającego się nade mną Toma.

— Peter, do licha, kiedy te chrzanione skurczybyki ostatnio cię karmiły? Zemdlałeś!

Wcale nie zemdlałem. Zachowałem przytomność przez cały czas, gdy nogi uginały się pode mną, a ściany wozu zawirowały wokół mnie po tym, co przed chwilą powiedział Tom. Owo popołudnie na skąpanym w blasku słońca stoku, gdy Jee i Cień poszli do wsi na dole po chleb i ser. Donośne buczenie pszczół i wonne trawy szeleszczące na słodkim wietrzyku. Płacz Maggie.

— Jeśli naprawdę chcesz odejść, nie możesz mi tego odmówić. Nie możesz, och nie możesz...

Jej ciało przytulone do mojego, tak ciepłe i miękkie. W ciąży.

— Masz, zjedz to! — Tom rzucił mi jabłko. — Kupa jedzenia na stole, a ty mdlejesz z głodu. Peter, czasami mam wrażenie, że nie masz więcej rozumu niż królik.

— To prawda — zgodziłem się. — Nie mam.

W ciąży. Nie przyszło mi to do głowy. Ale być może Matce Chilton przyszło: „Wracaj do tej biednej dziewczyny, która z jakichś

niewytłumaczalnych powodów cię kocha”. Czy wiedziała wtedy, że Maggie nosi moje dziecko?

Zalała mnie nowa fala poczucia winy. Nie tylko zostawiłem Maggie w Haryllbury, lecz również porzuciłem ją w ciąży. Najwyraźniej sobie poradziła — Maggie umiała sobie radzić w każdej sytuacji — ale to mnie nie usprawiedliwiało. Co powiedziała mi Matka Chilton?

„Nie jesteś drobiną pyłu unoszącą się samotnie w powietrzu. Wszystko, co robisz, ma konsekwencje...”.

— Nie trzymaj tak tego jabłka, Peter — mówił Tom. — Zjedz je! Otworzę jeszcze jedną butelkę wina.

Moje dziecko. Dziecko hisała i kobiety z Reginokracji. Tak samo jak ja przed siedemnastu laty. I jak moja siostra. Ten drugi poród zabił moją matkę.

— Tom — odezwałem się pośpiesznie. — Nie możesz pojechać ze mną. Musisz wrócić i zaopiekować się Maggie.

— Ja?

— Tak. Nie ma nikogo innego, nie rozumiesz? Ja jestem tu więźniem. I...

— Nie mogę wrócić do Maggie. Za kogo mnie masz, Peter, za położną? Powiedziałeś, że to... — Znowu pochylił się nad moim uchem. — Że to bunt, że mamy otruć, wiesz kogo, a teraz chcesz, żebym zdezerterował, by się zająć kobietą? — odsunął się ode mnie ze wściekłą miną. — Nie.

— Ale ona nie ma nikogo...

— Ma wieśniaków, z którymi ją zostawiłem. Może pracować u nich, w pałacu albo gdzieś... To pracowita kobieta! Dwa do jednego, że znajdzie sobie jakieś dobre miejsce. Poza tym, gdybym z nią został, na pewno znowu rzucałyby garnkami w moją głowę. Ożeniłeś się z wściekłą dziewczyną, Peter. Coś ci powiem. Nie zazdrozczę ci.

Maggie miała powody, by się wściekać. Było jednak jasne, że Tom nie ustąpi. Przeciągnął się, ziewnął szeroko, a potem rozejrzał się po wozie.

— Wygodny, co? Nie spałem chyba od dwóch dni. No, może z godzinkę. Rozwinę jeden z tych dywanów i... Ty też powinienes się przespać, Peter. Będziesz potrzebował siły. — Popatrzył niepewnie na moje chude ciało. — No, może nie siły, ale sprytu, żeby... no wiesz.

— Tom...

On jednak już zasnął, w jednej chwili, jak wszyscy, którzy nie znają winy. Jego cielsko zajmowało połowę podłogi małego wozu.

Przeszedłem nad nim i odsunąłem żółtą zasłonę. Okno było zakratowane. Zwracało się ku miastu, ale kamienne mury otaczające wyspę niemal całkowicie niknęły za potężnymi tumanami kurzu wzbijanymi w górę przez wozy, zwierzęta i żołnierzy. Wszyscy ruszyli już w drogę.

W tym również Maggie? Czy była gdzieś za armią, podążając za nią na piechotę? Była do tego zdolna. Znałem ją dwa i pół roku i w tym czasie poszła za mną z pałacu na Ziemię Niczyją, z Wrzosowiska Duszorośli do Applebridge, z Applebridge na wzgórze obok Haryllbury, a z Haryllbury do tej karawany. Z drugiej strony musiała teraz myśleć o dziecku. O moim dziecku.

Jeśli to chłopiec, on również może zostać hisafem.

Wypełniła mnie gwałtowna nadzieja, że Maggie jednak za mną nie pójdzie. Gdy ojcu uda się mnie uratować... Ale jak będzie mógł to zrobić, jeśli siedzi w pałacowym lochu? W gruncie rzeczy mogli już go stracić, razem z lordem Robertem Hopewellem i ich dwoma pechowymi współwięźniami. Niewykluczone, że przeniósł się już na stałe do krainy Umarłych, nie wierzyłem w to jednak. Dał się zamknąć w lochu wyłącznie po to, by spotkać się ze mną, i z pewnością miał plan, który pozwoli mu się stamtąd wydostać. Musi mnie uratować, nim Młody Wódz zrozumie, że nie

mogę nauczyć go czarów. W przeciwnym razie mnie również wyślą do krainy Umarłych i mój syn będzie się wychowywał bez ojca, tak samo jak ja. Ale moje dziecko przynajmniej będzie miało Maggie, która zaopiekuje się nim lepiej niż biedna ciotka Jo mną.

Maggie, nie chodź już za mną więcej. Nie zasługuję na to.

Tom chrapał na dywaniku u moich stóp. Rozwinąłem drugi, z grubej miękkiej wełny, wyszywany w stylizowane kwiaty, i położyłem się obok towarzysza. Czułem zmęczenie we wszystkich mięśniach i nie spodziewałem się, że zasnę. Myliłem się. Stało się to już po dwóch minutach. Po trzech nadszedł sen. Tym razem jednak wyglądał inaczej.

Nie z początku. Zaczął się tak samo jak zawsze:

Płaskie wyżynne wrzosowisko i okrągły kamienny budynek. Czuję w ustach smak pieczonego mięsa, soczystego i tłustego. Duszorośl. W cieniach poza kręgiem światła mojej pochodni wyczuwam jakieś niewidoczne stworzenia. Nieludzkie stworzenia, jakich nigdy nie spotkałem w tej krainie, ani nawet w tej drugiej, która leży za grobem. Wędruje wśród nich jakaś kobieta, i to kobiecy głos dobiega mnie z mroku. Dostrzegam błysk ozdobionej klejnotami korony. Kobieta woła mnie po imieniu.

— Przecież... nie żyjesz — mówię.

— Od jedenastu lat— odpowiada ze śmiechem, od którego dreszcz wnika mi aż do kości.

Do tej pory sen zawsze kończył się w tym punkcie. Ale teraz moja siostra wychodzi z mgły i widzę ją po raz pierwszy. Nie jest kobietą, ale dziewczynką, choć wysoką i prawie już dorosłą. Ma na sobie prostą lawendową suknię, taką samą jak matka, lecz jej przodu nie splamiła krew. Oczy również ma po matce, ciemnobrązowe, ale otwarte, podczas gdy oczy mojej matki już nigdy się nie otworzą. Są dzikie. Szalone. Przemawia bezpośrednio do mnie, jakbym był w tym śnie razem z nią.

— *Nie uda ci się, Roger. Im również nie. Jestem królową tej krainy, a która królowa dobrowolnie wyrzeka się tronu? Eleanor tego nie zrobiła. Caroline tego nie zrobiła. I Stephanie też tego nie robi. Ale teraz wszystkie trzy należą do mnie. Ty również będziesz mój.*

Znowu usłyszałem jej wnikający do kości śmiech.

Obudziłem się z krzykiem. O dziwo, Tom nadal chrapał spokojnie. Gdyby przed trzema laty wszyscy w pałacu spali tak mocno i nie słyszeli, jak mówię przez sen, nie byłbym tu teraz, nie jechałbym w karawanie do nieznanego państwa, nie czekałbym na ratunek, w który nie wierzyłem, i nie groziłoby mi widmo mieszkające w krainie, do której ojciec pozwalał mi przechodzić, ale Matka Chilton stanowczo mi tego zabraniała.

Nie przeszedłem do krainy Umarłych. Siostra przysłała do mnie. Wykorzystała sen, tę małą śmierć, by dostać się do mojego umysłu, mimo że nie mogła przejść na naszą stronę cielesnie. Przemówiła do mnie bezpośrednio.

Wszystkie trzy należą do mnie.

Królowa Eleanor i królowa Caroline — obie nie żyły. Widziałem je w krainie Umarłych, spokojne i nieświadome. Ale młoda księżniczka żyła. Nowy mąż zabrał ją ze sobą w jednym z wozów towarzyszących mojemu. Stephanie nie umarła. W jakim więc sensie należała do mojej szalonej przyrodniej siostry?

Ty również będziesz mój.

Minęło wiele czasu, nim znowu zasnąłem. Gdy wreszcie mi się to udało, przespałem całą noc.

Przez szparę między żółtymi zasłonami do środka sączyło się blade światło. Rozsunąłem materiał na boki i zobaczyłem wschodzące słońce. Staliśmy. Przy wozach palono ogniska. Krzatali się przy nich ludzie

z Reginokracji. Czy to byli jeńcy, niewolnicy, dezercerzy, czy może zdrajcy, którzy przeszli na stronę dzikusów? Nie miałem pojęcia.

Tom poruszył się i obudził.

— A niech to, ależ jestem głodny! Ale na początek, gdzie jest nocnik?

Znalazłem go nocą, za jednym ze zwiniętych dywanów. Nim jednak zdążyliśmy z niego skorzystać, drzwi się otworzyły i stanął w nich młody dzikus. Powiedział coś niezrozumiałego i skinął na mnie dłonią, kazając mi wyjść na zewnątrz.

— Ja pójdę pierwszy — zaoferował się Tom. — Na wypadek, gdybyś potrzebował obrońcy.

Zignorowałem go i zszedłem po stopniu na ziemię. Podążył za mną, z przekleństwem na ustach. Zaprowadzono nas do wprawnie wykopanych latryn, a następnie do jednego z ognisk, przy którym nieodzywający się ani słowem chłopak nałożył nam chochlą kaszy do misek i napełnił kufle ale z wielkiej beczki stojącej na wozie. Strażnik obserwował wszystkie nasze ruchy, trzymając w rękach strzelbę. Szczególnie uważnie przyglądał się Tomowi, którego jednak bardziej interesował młody kucharz.

— Ukradli cię z pałacu, chłopcze?

Kucharz popatrzył na niego. Miał może ze czternaście lat, był w tym samym wieku co ja, kiedy zabiłem Hartaha. Wyglądał na zdolnego do morderstwa. Jego małe, wąskie oczka lśniły pogardą, a szerokie usta rozciągał w szyderyczym uśmiechu. Z pewnością uważał pytanie Toma za głupie. Ten chłopak zawsze stanie po stronie zwycięzców, kimkolwiek mogliby się okazać. Będą tu też inni, podobni do niego. Odwrócił się od Toma, nie odpowiadając mu, i zaczął szorować garnek piaskiem.

Zjedliśmy posiłek ostatni. Karawana zwijała już obóz przed dniem podróży. Daleko przed nami unosiły się tumany pyłu, świadczące, że

główna część armii ruszyła już w drogę. Za tylną strażą weszło słońce, czerwone i złote. Strażnik skinął na mnie, kaząc mi wracać do wozu.

— Hej, ty — powiedział do niego Tom. — Nie możemy tam siedzieć przez cały dzień. Mój... mój pan musi się trochę rozruszać. No wiesz, poćwiczyć mięśnie. Popatrz!

Zaczął biegać w miejscu, podskakiwać i wymachiwać rękami. Zaniepokojony dzikus skierował na niego strzelbę.

Złapałem Toma za ramię.

— Przestań. On myśli, że chcesz go zaatakować.

— W takim razie jest kretynem — odparł z pasją mój przyjaciel. — Gdybym chciał go zaatakować, zrobiłbym to. Posłuchaj, Peter. Naprawdę nie mogę cały dzień siedzieć w tym pudle. Człowiek potrzebuje ruchu.

Ja go nie potrzebowałem. Miałem wrażenie, że od wielu miesięcy nieustannie się przemieszczam albo ktoś mnie przemieszcza. Wszystko we mnie było zmęczone. Mięśnie, umysł, serce. Gdzie była Maggie? Czy nic jej nie groziło?

— Zapytam o to później — zapewniłem. — Na razie rób, co ci każą, Tom. No wiesz, tak właśnie radziłyby postąpić George. Słuchaj nieprzyjaciela, dopóki nie nadejdzie odpowiednia chwila.

Pokiwał z powagą głową.

— Najpewniej masz rację. Przynajmniej dają nam tu jeść.

Poszedł z rezygnacją do wozu, zapominając o tym, że jako mój sługa powinien chodzić za mną. Dzikus miał zdziwioną minę, ale zaprowadził nas do środka.

Ktoś zrobił tam porządki. Puste butelki i skórka od sera zniknęły zastąpione świeżym jedzeniem. Nocnik splukano. Jeden z dywanów ponownie zwinięto i umieszczono pod ścianą wozu.

Żołnierz nas zamknął i po paru chwilach wóz ruszył naprzód. Tom odsunął zasłonę i wyjrzał przez zakratowane okno.

— Ciekawe, w którym wozie jedzie księżniczka. A niech to, tylko pomyśleć, że Tom Jenkins mógłby zobaczyć księżniczkę! George najpewniej widział dziesiątki księżniczek! Och, to na pewno jej wóz, ten fioletowy. „Fiolet to kolor księżniczki”, jak mawiał mój ojciec, niech lichy porwie jego czarną duszę. Czy babcia ci mówiła, że wódz dzikusów naprawdę się ożenił z tą małą dziewczynką? To barbarzyńcy jak nic. Myślisz, że w taborach są jakieś dziewczęta? Nie chodzi o to, że chcę zdradzić Reginokrację, jak ten plugawy kucharz, ale jeśli wzięli jakąś dziewczynę do niewoli... oczywiście, są małe szanse, że... Co to?

Tom skoczył ku tyłowi wozu ze srogą miną. Jedną wielką łapę zacisnął w pięść, a drugą złapał za zwinięty dywan. Rozwinął go, odsłaniając małego chłopca, miotającego się i wierzgającego nogami.

To był Jee.

35

— Czy Maggie jest z tobą? — zapytałem natychmiast.

— Nie — odpowiedział Jee ze wzgardą, na jaką w jego opinii zasługiwało to pytanie. — Maggie musiała zostać.

Dalsze pytania pozwoliły nam ustalić, że wśliznął się do obozu pod osłoną nocy. Jee potrafił się poruszać cicho i niepostrzeżenie jak małe zwierzątko. Spał pod wozem, zakradł się do środka, gdy poszedłem z Tomem na krótkie śniadanie, i schował się w dywanie. Teraz spoglądał ze smakiem na stojące na niskim stole wiktuały.

— Najedz się — zaproponowałem. Chłopiec rzucił się na chleb i ser.

— Zabierzemy go ze sobą? — zapytał Tom. — Może powinien wrócić, kiedy znowu otworzą drzwi?

— Nie — sprzeciwił się Jee z ustami pełnymi chleba. — Maggie powiedziała, że mam zostać.

— Ta kobieta wszystkim rozkazuje — poskarżył się Tom. Zerknął na mnie. — Przepraszam, Peter. Jestem pewien, że twoja żona to... Że to naprawdę cudowna kobieta.

Wcale nie był tego pewien. Maggie nie była moją żoną, a ja nie miałem pojęcia, co zrobić z brudnym chłopcem pochłaniającym tyle jedzenia, że wystarczyłoby go dla trojga dzieci. Jak miałem wytłumaczyć dzikusom jego obecność? Kolejny „sługa”? Niemniej jedno było oczywiste.

— Tom, nie możesz nikomu mówić, że Jee to mój brat. To by go naraziło na wielkie niebezpieczeństwo. Obiecuj!

— W porządku — zgodził się Tom. Nagle twarz mu się rozpromieniła.

— Już wiem. Powiem, że jest moim sługą! Tak samo, jak ja jestem twoim!

— Nie jestem twoim sługą — sprzeciwił się Jee, krzywiąc się wściekle.

— Jesteś nim, Jee — odpowiedziałem. — To dla twojego bezpieczeństwa. Co strzeliło Maggie do głowy, że wysłała cię w tak niebezpieczne miejsce?

— Mam dać ci to.

Chłopiec rozwiązał sznurek podtrzymujący mu spodnie w pasie. Pod materiałem kryły się dwa proste skórzane pakunki, przywiązane do jego chudych nóg. Kiedy je odwiązał, twarz Toma zalśniła radością.

— Noże! W porządku, cofam swoje słowa, Peter. Twoja żona to skarb. Daj mi je, chłopcze. Radzę sobie z nimi znacznie lepiej niż twój starszy brat.

— Dziękuję, Jee — rzekłem. — Ale skoro już oddałeś nam noże, myślę, że powinieneś nas opuścić, gdy tylko będziesz mógł, i wrócić do Maggie.

— Powiedziała, że mam zostać.

— Słuchaj brata! — obruszył się Tom.

Ale oczywiście Jee mnie nie słuchał, podobnie jak Tom. Jee był posłuszny Maggie, Tom mojemu nieistniejącemu kuzynowi George'owi, ja zaś byłem słomą niesioną przez wiatry, którymi były armia dzikusów, mój ojciec hisaf oraz Matka Chilton.

Poranek spędziliśmy zamknięci w toczącym się wozie, coraz silniej działając sobie na nerwy. Jee grał płaczliwe melodie na gwizdku z wierzbiny: pip pip pipi-pip. Tom spacerował po małym wnętrzu, niespokojny jak lis w klatce, albo wyglądał przez zakratowane okno, nieustannie wszystko komentując.

— To naprawdę musi być wóz księżniczki. Nikt inny nie używałby fioletowego koloru. Oho, wychodzi z niego jakaś kobieta. Ale jest stara i brzydka. To na pewno służąca. Chociaż zeskoczyła ze stopnia całkiem zwawo... Myślisz, że są tu jakieś młode kobiety z Reginokracji, towarzyszące księżniczce Stephanie? Na pewno są, tak? Myślisz, że Młody Wódz jedzie w którymś z pozostałych wozów? Chyba nie. To żołnierz, niech licho porwie jego cholerne kości... Z jednego z wozów z zapasami wyskoczył jakiś człowiek. Szkoda, że nie dali nam więcej wina albo, jeszcze lepiej, trochę ale. Chrzanić moją dupę! Tam jest dzika dziewczyna! A przynajmniej tak mi się zdawało. Szła bardzo szybko i miała na sobie futro, jak... Nie, to tylko jeden z tych ich śpiewaków. Czerwona farba na twarzy i po co wplatają sobie we włosy te głupie gałązki? To nie wygląda... Zielony wóz wyprzedza czerwony... nie, teraz czerwony jest o jedną długość z przodu...

Pip pip pipi-pip.

Trwało to długie godziny. A potem kolejne godziny, aż wreszcie słońce znalazło się pionowo nad nami i drzwi się otworzyły.

Stał w nich nasz dziki strażnik, trzymający w ręce nóż. Gdy oczy przywykły mu do półmroku, jego spojrzenie padło na Jee, który nie zdążył zawiązać się z powrotem w dywan. Żołnierz otworzył szeroko oczy. Na jego twarzy pojawiło się coś, czego nigdy dotąd nie widziałem u żadnego z dzikusów: strach.

Bał się małego chudego chłopca?

Twarz mężczyzny zrobiła się biała jak łabędzi puch. Wrzucił pośpiesznie do wozu kosz z prowiantem. Nim zdążył zamknąć drzwi, zablokowałem je koszem.

— Zaczekaj! Proszę!

Nie patrzył na mnie. Cały czas gapił się na Jee.

Gorączkowo usiłowałem przypomnieć sobie potrzebne słowa w gardłowym języku dzikusów. Nie wiedziałem, jak będzie „pospacerować”.

— Wyjść... Chcemy wyjść. Tak, chcemy pochodzić! Musimy trochę pochodzić!

Dzikus obrócił powoli głowę i spojrzał na mnie. Na jego twarz wróciły kolory i groźna mina. Wskazał na mnie.

— *Ven*. — Potem na Toma. — *Nel, ven*.

Jee zignorował. Zeskoczył z wozu i skinął na nas dwóch, każąc nam iść za sobą.

Najwyraźniej wystarczyło, żebym poprosił.

Podążyłem za dzikusiem, zdziwiony jeszcze bardziej niż dotąd. Towarzyszył mi uradowany Tom. Poszliśmy za wóz, zostawiając jego drzwi szeroko otwarte. Strażnik szedł za nami. Pozostawiony wewnątrz Jee sprawdzał zawartość kosza.

— Tak jest znacznie lepiej — ucieszył się Tom. — W środku robiło się duszno. Zresztą Jee musi się wyspać. Malec na pewno nie spał przez całą noc. Gdzie się nauczyłeś ich mowy, Peter?

Na dworze królowej Caroline, jako jej błazen. Tom jednak nic nie wiedział o tej części mojego życia, nie odpowiedziałem mu więc, udając, że krztuszę się wzbijanym przez karawanę pyłem.

— Przyniosę ci trochę ale! — zawołał Tom i pobiegł do wozu. Po chwili wrócił z dwiema otworzonymi butelkami wina. — A to pech. Nie ma ale. Mamy jednak to. Bierz.

Popijaliśmy wino, truchtając za wozem. Po chwili miałem już dość ruchu i wróciłem do środka. Jee spał w kącie. Tom i strażnik, równie niestrudzeni, nie zatrzymywali się przez wiele godzin. Zostałem sam na sam ze swymi myślami, składającymi się wyłącznie z pytań, pytań i pytań.

Następne trzy dni upływały nam dokładnie tak samo jak pierwszy. Ja i Tom spaliśmy; szliśmy za wozem, pilnie strzeżeni; dawano nam jeść. Nieustannie czułem narastającą wokół nas nienawiść armii dzikusów, dotykającą jak migoczące w promieniach słońca tumany pyłu. Jee z początku siedział w wozie, ale potem przekonał się, że nikt mu nie zabrania go opuszczać ani potem do niego wracać. Żaden z żołnierzy nie chciał patrzeć prosto na niego. Udawali, że chłopiec nie istnieje. Ani Tom, ani ja tego nie rozumieliśmy.

— Mały, brudny skurczybyk może chodzić wszędzie — poskarżył się Tom. — Jakby był myszką. Albo lizką. Albo modliszką.

Zaśmiał się, zachwycony własnym dowcipem.

Czwartego dnia karawanę zaatakowali wieśniacy.

Poprzedniej nocy urządziliśmy postój na północnym brzegu rzeki, z pewnością będącej dopływem Thymaru. Przez cały dzień jechaliśmy w górę. Rozległa centralna równina Reginokracji przechodziła we wzgórza, które z czasem ustąpią miejsca wyniosłym Góróm Zachodnim. Szeroki trakt stał się węższy, mniej uczęszczany i bardziej skalisty. Noce były teraz znacznie zimniejsze. Nadszedł już miesiąc stylń. Nocami Tom, zawsze niespokojny, gdy przebywał w zamknięciu, odsuwał zasłonę i przez zakratowane okno do środka wpadał żółty blask ogromnego jesiennego księżyca. Nasz strażnik, odwracając wzrok od Jee, przyniósł nam dwa grube futra, cieplejsze niż wszystko, co mieliśmy przedtem.

Ale popołudnia nadal były ciepłe. Szliśmy z Tomem za wozem, który zwolnił, gdyż konie musiały pokonać stromy odcinek traktu. Jee spał w środku. Pośród złotych od słomy pól leżała wioska. Z kominów chat unosił się dym. Gęste gaje dębów, brzoź i wawrzynów rzucały długie cienie na drogę. Tom zaczął zataczać w biegu małe kręgi. Strażnik zmarszczył brwi i uniósł strzelbę.

— Nigdzie nie ucieknę, ty opatulony w futro skurczybyku — tłumaczył mu Tom. — A niech to, ten śmierdziel jest dziś cholernie nerwowy, Peter. Gdybym tylko mógł biec przed siebie bez końca, ale wtedy on... Co to było?

Ktoś krzyknął. Z lasu wypadli ludzie.

— To bunt! — zawołał radośnie Tom.

To ratunek — pomyślałem. Ojciec...

Ale nie była to żadna z tych rzeczy. Ludzie biegli naprzód, wieśniacy uzbrojeni w widły, pałki i stare miecze przechowywane z ojca na syna.

— Księżniczka! — zawołał jakiś staruszek. — Oddajcie nam księżniczkę!

— Nie! — krzyknąłem do nich. — Nie róbcie tego! Zastrzelą was!

— *Halflug! Halflug!* — warknął strażnik, popychając mnie w stronę wozu. — Wsiadaj!

— Nie zbliżajcie się! — krzychałem do wieśniaków. Starzec zwrócił się w moją stronę i spojrzałem w jego gorejące gniewem oczy. Potem żołnierz dzikusów wystrzelił i kula trafiła wieśniaka w pierś.

Strażnik podniósł mnie i rzucił do wozu. Tom zamachnął się na niego pięścią, ale chybił.

— Tom! — zawołałem, nim zdążył wyciągnąć któryś ze swych dwóch noży. — Jeśli pozwolisz, żeby cię zabił, nigdy ci nie wybaczę i George też nie!

Najwyraźniej ludzie w panice wygadują nawet największe głupoty.

A także ich słuchają. Mój towarzysz zatrzymał się, spojrzał na strzelbę dzikusów, a potem na mnie, i wskoczył do wozu. Strażnik zamknął i zaryglował drzwi. Tom podbiegł do okna. Najlepszym świadectwem tego, co zobaczył, był fakt, że nie odezwał się ani słowem, a tylko patrzył, z twarzą wykrzywioną z nienawiści i żalu.

Po niespełna pięciu minutach było po wszystkim.

— Ilu zginęło? — zapytałem cicho, mącąc ciszę.

— Trudno wyczuć.

Znałem jednak odpowiedź. Nie przeżył nikt. Zabito wszystkich odważnych, głupich, wiernych ludzi, którzy podjęli tę żalostną próbę uratowania swej sześćioletniej władczyni.

— Dlaczego oni? — wybuchnął Tom. — Czemu nie prawdziwy atak? Gdzie jest lord Jak Go Tam Zwał, który powinien sprawować rządy, dopóki księżniczka nie dorośnie? Gdzie jest armia, którą kiedyś miała Reginokracja?

Lord Robert Hopewell mógł nadal siedzieć w lochu. A może już nie żył. Armia również zginęła, i to ja do tego doprowadziłem. Pogłoski o tym, co się wydarzyło dwa i pół roku temu, z pewnością dotarły nawet do odległego Almsbury. Czy Tom w nie nie uwierzył, czy też po prostu je zignorował, zaabsorbowany dziewczętami, ale oraz kłótniami ze skąpym ojcem? Nie mogłem go o to zapytać. Nie wiedział, kim jestem.

Jee, który to wiedział, gapił się na mnie ze swego kąta.

To był dla nas koniec chodzenia za wozem. Wypuszczali nas teraz tylko na śniadanie i na kolację. Tom mruczał coś pod nosem, spacerował po wozie i przeklinał, wypełniając małe wnętrze swym wielkim niezadowoleniem. Ledwie mogłem na niego patrzeć. Jee spał czternaście godzin na dobę, jak małe zwierzątko przygotowujące się do snu zimowego. Trwało to dwa tygodnie. Z każdym dniem konie miały coraz ciężej. Zapuszczaliśmy się wyżej w góry, aż wreszcie droga przerodziła się w wąski szlak i wozy nie mogły już jechać dalej.

— Chyba opuściliśmy Reginokrację — oznajmiłem Tomowi.

— I co się teraz stanie?

— Nie mam pojęcia. Pewnie będziemy musieli przejść góry na piechotę.

— Na piechotę!

W oczach Toma pojawił się błysk, jakbym obiecał mu skrzynię ze skarbami. Zaczął walić pięściami w drzwi. Natychmiast je otworzono, ale nie dla niego.

— *Klef, antek* — rzekł strażnik, który prawie nigdy się do mnie nie odzywał, nawet po to, by zwrócić się do mnie tajemniczym tytułem *antek*. Do tej chwili. — *Ka mit. Bay Tarek*.

— Chce, żebym z nim poszedł — przetłumaczyłem Tomowi. — Ale ty masz zostać.

— Ja też pójdę. Jestem twoim, jak go tam zwał, twoim *nelem*. Twoim sługą.

— *Ka mit! Ka mit!* — zawołał dzikus, unosząc strzelbę.

— Nie denerwuj go — warknąłem na Toma. — Bo cię zastrzeli.

— Nie odchodź, Peter — odezwał się Jee.

— Słuchaj chłopca — poparł go Tom.

— Obaj bądźcie cicho i siedźcie spokojnie — rozkazałem i wysiadłem z wozu.

— Dokąd cię zabierają? — zawołał jeszcze mój przyjaciel.

— Nie wiem.

Skłamałem. Strażnik powiedział *bay Tarek*. Do Tareka. Do Młodego Wodza.

36

Wozy zatrzymały się na rozległej wyżynnej łące, porośniętej górkami kwiatami o twardych łodygach. Od północy i od południa piętrzyły się skalne turnie o szczytach pokrytych śniegiem, na wprost przed nami, na zachodzie, widziałem jednak lukę — biegnący przez góry wąwóz. Zachodzące za nim słońce lśniło czerwonym blaskiem niczym krwawy drogowskaz. Było zimno i rześko.

Na całej łące zapalono ogniska i pochodnie. Sześć wozów skupiło się na samym jej końcu, podobnie jak wyczerpane konie. Ciągnęły je pod górę już od kilku tygodni. Między malowanymi wozami biegali słudzy. Resztę łąki wypełniała armia dzikusów. Złożone z dwunastu żołnierzy oddziały siedziały przy ogniskach wokół swych dowódców. Jedli, śpiewali i rozmawiali. Nawet cudzoziemiec słyszał triumf brzącający w ich głosach. Żołnierze wracali do domu. Kluczyliśmy ze strażnikiem między ogniskami. Choć raz nikt nie zwracał na nas nawet najmniejszej uwagi.

Na końcu łąki, tuż przed stromym stokiem opadającym do małej dolinki, rozbito cztery albo pięć namiotów z niewyprawionych skór. Przy zasuniętych połach największego z nich stało na baczność dwóch wartowników. W przeciwieństwie do zwykłych żołnierzy, których przed chwilą mijaliśmy, ci ludzie spoglądali na mnie z wrogością, strachem oraz

bojaźnią. Co im o mnie powiedziano? Jakie wyobrażenia na mój temat żywił Młody Wódz?

Poczułem ucisk w piersi, zgniatający mi płuca. Miałem trudności z oddychaniem.

Jeden z żołnierzy poruszył się, podszedł bliżej i przeszukał mnie. Nie wykazywał nawet śladu niechęci do dotykania mnie, jaką cechował się mój strażnik. Cieszyłem się, że nie zabrałem żadnego ze skradzionych przez Jee noży. Dzikus znalazł mój mały nożyk do golenia, wzruszył ramionami i pozwolił mi go zatrzymać. Warknął coś, czego nie zrozumiałem.

— *Klef klen* — powiedział do mnie strażnik. Język dzikusów miał tylko jedno słowo znaczące „idź” oraz „wejdz”. „Idź teraz”. Podszedłem niepewnie do namiotu. Gdy nikt nie spróbował mnie powstrzymać, uchyliłem połę i wszedłem do środka.

W małym dole na ogień, wykopanym pośrodku namiotu, żarzyły się węgielki. Tylną połę odsunięto, odsłaniając wspaniały widok na zachód słońca nad ciągnącą się dalej doliną. W jednym kącie leżały grube futra tworzące posłanie. Przy ogniu stali dwaj mężczyźni. Jednym z nich był Młody Wódz. Ciemne włosy opadały mu luźno na ramiona, a od potężnego ciała okrytego futrzaną bluzą bez rękawów bił silny odór potu oraz podróży. Na ślubną uroczystość w pałacu włożył futrzaną pelerynę z wielobarwnych piór i złote obręcze na ramiona, ozdobione klejnotami, ale teraz tych ozdób nie było. Starszy mężczyzna miał na sobie ubranie podobne do noszonych w Reginokracji — solidną bluzę z tkaniny oraz spodnie — ale jego buty miały metalowe noski, jak obuwie dzikusów. W półmroku nie dostrzegalem twarzy żadnego z mężczyzn.

Czy powinienem uklęknąć? Nie zrobię tego. Nie mógłbym. Nie przed tym człowiekiem, który zagarnął moją reginokrację oraz córkę królowej Caroline. Synem tego, którego śmierć spowodowałem.

Tarek, syn Soleka, syna Taryna, najwyraźniej nie oczekiwał ode mnie takich hołdów. Odwrócił lekko głowę, by mi się przyjrzeć, i jego niebieskie oczy zaśniły w blasku ognia. Tylko u dzikusów widywało się podobny błękit, barwę morza w jasnych promieniach słońca. W jego oczach nie dostrzegłem jednak dzikości. Nie było w nich gniewu czy żądy zemsty, ani nawet zimnej brutalności Duszoroślan. Tarek przyglądał mi się z chłodnym, inteligentnym zaciekawieniem. Patrzył na mnie tak, jak kiedyś królowa Caroline — jak można by patrzeć na młotek, szydło albo krzesiwo: użyteczne narzędzie mogące pomóc w osiągnięciu postawionych celów.

— Jestem Perb — odezwał się drugi mężczyzna z silnym, dziwnym akcentem. — Tłumacz. Młody Wódz wita cię, *antek*.

Milczałem, bojąc się, że wszystko, co powiem, może się okazać błędem. W ciszy rozległ się trzask pękającej w ogniu szczapy. Podskoczyłem, przestraszony nagłym dźwiękiem. Młody Wódz uśmiechnął się zimno, ani na moment nie odrywając ode mnie spojrzenia, a potem coś powiedział, za szybko, bym zdołał zrozumieć więcej niż kilka słów.

— Mówi, żebyś się nie bał, *antek* — przetłumaczył Perb. — Tarek nie pragnie cię skrzywdzić.

Czemu by nie? Zabiłem jego ojca, sprowadziłem z krainy Umarłych żołnierzy, którzy pokonali pierwszą armię dzikusów, okaleczyłem jednego z jego żołnierzy-śpiewaków i — jak zapewne sądził — rozkazałem psom rozszarpać gardła trzem innym jego ludziom. Czemu nie miałyby mnie skrzywdzić? Uświadomiłem sobie, że do tej chwili nie wierzyłem w pełni w zapewnienia ojca. „Dzikusy nie torturują jeńców. Uważają, że to poniżej ich godności”. Potem padły inne, bardziej przerażające słowa: „On pragnie dla siebie «magicznych iluzji», które, jak sądzi, stworzyłeś, by pokonać jego ojca. Nie tylko wierzy, że jesteś czarownikiem, lecz również sądzi, że możesz nauczyć czarów i jego”.

Choć Tarek panował nad sobą, pod spodem z pewnością skrywały się pretensje do mnie, a nawet gniew. Muszę uważać, by nie przebudzić tych uczuć, pomyślałem.

— Powinieneś teraz zadawać pytania, *antek*.

Ja powinienem zadawać pytania?

— Co to jest *antek*? — zapytałem.

— Termin wyrażający szacunek dla przedstawiciela trzeciego z trzech stanów człowieczeństwa.

— A co to są za stany?

Tarek powiedział coś ostrym tonem. Tym razem zrozumiałem jego słowa: „Co mówi *antek*?”.

Perb przetłumaczył. Jego akcent był dla mnie trudniejszy do zrozumienia niż akcent Tareka, pod warunkiem, że Młody Wódz nie mówił za szybko. Akcent Tareka słyszałem już z ust jego ojca, kiedy byłem Rogerem, błaznem królowej. Perb nie był dzikusiem, ale nie był też człowiekiem z Reginokracji. Dlatego nasza trójstronna rozmowa ciągnęła się powoli. Co więcej, żaden z nich nie wiedział, że rozumiem część słów Młodego Wodza, nim jeszcze Perb je przetłumaczył. Jednakże im więcej słyszałem, tym silniejsza stawała się moja dezorientacja.

— Trzy stany człowieczeństwa to: pierwszy, żołnierz; drugi, matka; trzeci, *antek*. A wszystkie one są jednym stanem.

To niczego nie tłumaczyło, w tym również tego, co czyniło człowieka *antekiem* i dlaczego ja nim byłem. A także tego, czemu to ja zadawałem tutaj pytania.

— A co z całą resztą? — zapytałem. — Z tymi, którzy nie są żołnierzami, matkami ani *antekami*?

— Są niewolnikami — oznajmił Perb. Tarek coś powiedział i tłumacz przełożył jego słowa: — I zasługują na to, żeby nimi być.

— Dlaczego?

— Dlatego, że nie osiągnęli żadnego z trzech stanów człowieczeństwa. To w niczym mi nie pomogło. Spróbowałem innego podejścia.

— Kto w Reginokracji jest *antekiem*?

— Tylko ty. W przeciwnym razie Reginokracja miałaby strzelby. Nie widziałem w tym sensu. Ja nie miałem żadnych strzelb.

— To znaczy, że... wszyscy w Reginokracji są niewolnikami?

— Oczywiście. I zasługujecie na to, by nimi być, bo do tego dopuściliście.

— Ale mamy żołnierzy. I mamy matki...

— Nie macie matek żołnierzy dzikusów. Pokonani żołnierze są niewolnikami.

Wezbrał we mnie gniew.

— Przed dwoma laty armia Niebieskich pokonała waszą. Czy to znaczy, że lord Solek był niewolnikiem?

Po raz pierwszy Perb okazał jakiegokolwiek uczucia. Był przerażony.

— Nie mogę tego przetłumaczyć!

Tarek zapytał o coś i Perb mu odpowiedział. Ale nie powtórzył tego, co mu powiedziałem. Wyjaśnił Młodemu Wodzowi, że nie chcę, by moją matkę uważano za niewolnicę.

Moją matkę. Nagle ujrzałem ją wyraźnie przed oczyma duszy. Widziałem teraz dwie matki: kobietę w lawendowej sukni oraz pogrążone w spokojnym transie ciało w krainie Umarłych i jego splamiony krwią strój. Oba obrazy były tak ostre, że można by nimi ciąć szkło, oba wniknęły w mój mózg z nienaturalną wyrazistością.

— Jesteś chory, *antek*? — zapytał Perb.

— N... nie.

— Tarek zgadza się, że twoja matka nie jest niewolnicą. Zadałeś już swoje sześć pytań. Teraz ty będziesz odpowiadał.

Sześć pytań. Sześć wozów towarzyszących armii. Oddziały złożone z dwunastu żołnierzy. Najwyraźniej sześć było dla dzikusów ważną liczbą. Nadal też nie wiedziałem, co znaczy słowo *antek*.

— Zapytaj go, gdzie leży Kraj Czarowników — polecił Tarek. Perb przetłumaczył jego słowa.

W co mogli uwierzyć? Ojciec powiedział, żebym wykorzystywał wiarę Młodego Wodza w to, że mogę nauczyć go czarów, aż do chwili, gdy hisafowie będą mogli mnie uratować. Jak dotąd ratunek nie nadszedł. Moje życie, a także życie Toma i Jee, zależało od tego, czy przekonam Tareka, że potrafię dokonać tego, co było niemożliwe.

— Kraj Czarowników leży za księżycem, ale poniżej słońca — odparłem i wstrzymałem oddech.

Tarek skinął głową, jakby to naprawdę miało sens, ale jego niebieskie oczy przybrały zamyślony wyraz. Nie będzie tolerował zbyt wielu takich wymyślnych odpowiedzi.

— Pyta cię, jak długo uczyłeś się swojej sztuki?

— Od wczesnego dzieciństwa.

— A jak długo musiałeś się uczyć, żeby sprowadzić żołnierzy z Kraju Czarowników?

Zatem mój ojciec miał rację. Tego właśnie chciał Tarek. Lord Robert Hopewell zażądał ode mnie tego samego. Młody Wódz był praktyczny i bezpośredni jak jego ojciec. Przyjmie na służbę nawet mordercę Soleka, jeśli ten da mu drugą armię, z którą podbije świat. Z pewnością był też przekonany, że jego ojciec by to pochwalił.

— *Antek*, zapytałem cię, ile czasu...

— Wiele czasu. Całe lata.

Perb przetłumaczył moje słowa. Na twarzy Młodego Wodza pojawił się wyraz rozczarowania, który jednak natychmiast zniknął.

— Ile czasu potrzeba, by jego nauczyć tej sztuki? — powtórzył następne pytanie Perb. — Nie jest już małym dzieckiem.

Nie mogłem mu powiedzieć, że wiele lat. Takiej odpowiedzi by nie zaakceptował. Jaka odpowiedź najlepiej posłuży moim celom? Postanowiłem grać na zwłokę.

— To zależy.

— Od czego?

— Od tego, jak wiele ukrytego wrodzonego talentu posiada jego lordowska mość.

Na pograniczu mojego umysłu zabrzmiał głos Matki Chilton: „Caroline studiowała sztuki duszy, ale brak jej talentu”.

Perb przetłumaczył moje słowa. Odpowiedzi Tareka nie zrozumiałem.

— Teraz moja kolej — odezwałem się, nim Perb zdążył ją przełożyć. — Odpowiedziałem na sześć pytań.

— Nie — odparł tłumacz ze zdziwioną miną. — Było ich tylko pięć.

— Chciałeś się dowiedzieć, czy jestem chory. To było pytanie.

Perb skrzywił się wściekle. Tarek zapytał go, co powiedziałem. Perb przetłumaczył moje słowa i Młody Wódz ryknął ochrypłym śmiechem. W jego oczach zalśniło uznanie. W moich ulga, ale zmieszana ze złością.

Kolejny władca, który cenił mój dowcip, ale był gotowy mnie zabić, jeśli nie dam mu czegoś więcej. Jak królowa Caroline. Czy ci, którzy sprawowali władzę, zawsze tacy byli?

— Zadaj swoje sześć pytań — mruknął kwaśnym tonem Perb.

Jakie odpowiedzi przydadzą mi się najbardziej? Jeśli chciałem przeżyć, musiałem zrozumieć, jak myśli Tarek.

— Jeśli Młody Wódz pragnie, żebym go uczył — zacząłem — dlaczego kazał swojemu żołnierzowi, który kiedyś był jednym z jego śpiewaków, torturować mnie w wiosce Almsbury?

Gdy Perb tłumaczył te słowa, wydało mi się, że znowu czuję zawężlony sznur owiązany wokół skroni, który zaciskał się, aż zacząłem krzyczeć...

— Z nim już się policzono — odparł Perb.

— Jak...

— Przekroczył swe uprawnienia. Już go więcej nie zobaczysz.

Skinąłem głową. Mina Perba mówiła znacznie więcej niż te osiem słów. To było ostrzeżenie przed losem, który czekał również mnie, jeśli nie będę wykonywał rozkazów.

— Czy będę mógł zatrzymać swoich dwóch służących, gdy już dotrzemy do reginokracji Tareka?

Perb skrzywił się z niezadowoleniem.

— To jest królestwo, nie reginokracja. Żeniąc się z księżniczką, Tarek uratował wasz kraj przed nienaturalnym barbarzyństwem.

— Nienaturalnym? Czy to naturalne poślubić sześćioletnią dziewczynkę?

— Księżniczce nie stanie się nic złego — odparł Perb, nie tłumacząc moich słów na użytek Tareka. — Nie jesteśmy barbarzyńcami, *antek*.

— Ty nie jesteś ani człowiekiem z Reginokracji, ani jednym z dzikusów. Jesteś jak muł. Ani koń, ani osioł.

— Płacą mi dobrze — odparł chłodno Perb. — Ty nie możesz na to liczyć. Już pozwoliłeś sobie na zbyt wiele, sprowadzając tego chłopca z Kraju Czarowników. Radzę, byś już więcej czegoś takiego nie robił.

Jee. Dzikusy myślały, że chłopiec, który prześliznął się przez ich strażę i zakradł do mojego wozu, jest produktem moich czarów. Nic dziwnego, że strażnik tak bardzo się bał Jee, a inni żołnierze usilnie starali się go nie

zauważać. Zachowałem sobie w pamięci tę mieszaninę strachu (mały czarownik!) i arogancji (dziecko nie mogłoby prześliznąć się przez nasze straże w żaden inny sposób). Może jeszcze okazać się użyteczna.

Niebieskie oczy Tareka pociemniały. Młody Wódz zażądał, by przetłumaczono mu, co mówiliśmy. Perb odparł, że pytałem o los nowej królowej — co nie było ani prawdą, ani kłamstwem — a także o los swych sług.

— Los jego sług zależy od tego, czego mnie nauczy — oznajmił Tarek.

Życie Toma i Jee zależało od tego, czy wykonam niewykonalne zadanie. Obaj byli zakładnikami w mojej pozbawionej szans maskaradzie.

— Zadaj ostatnie trzy pytania — rzekł Perb.

Nagle poczułem się zmęczony tym bezsensownym rytuałem. Nie wykonam tego zadania. Ojciec nie uratuje mnie na czas. Zginę razem z Tomem i Jee. Najlepsze, na co mogłem liczyć, to że ojciec miał jednak rację, i dzikusy uważają, że tortury są sprzeczne z ich dziwnym kodeksem honorowym. Tarek i Perb patrzyli jednak na mnie, musiałem więc coś powiedzieć.

— Kiedy zaczną się nauki?

— Jutro.

— A kiedy dotrzemy do... do królestwa?

— Jeszcze dwa razy po dwanaście dni podróży.

— Co jego lordowska mość ceni najwyżej?

— My nie używamy takich tytułów. Masz go nazywać Tarekiem, synem Soleka, syna Taryna, jeśli już musisz się do niego zwracać. A najważniejsza jest dyscyplina.

Perb przetłumaczył to wszystko. Tarek wysłuchał jego słów, a potem spojrzał prosto na mnie.

— Możesz już odejść — rzekł w moim języku.

A więc rozumiał niektóre moje słowa, tak samo, jak ja rozumiałem część tego, co on mówił. Czy pojął moje obelgi pod adresem jego ludu? Jeśli tak, jego twarz niczego nie okazała.

Dyscyplina.

Perb odprowadził mnie do wyjścia. Czekał tam już strażnik, gotowy eskortować mnie do jaskrawożółtego wozu. To będzie ostatnia noc, którą tam spędzę, pomyślałem.

W czasie mojej rozmowy z Młodym Wodzem zapadł zmierzch. Żołnierze dzikusów zjedli już kolację. Niektórzy owinęli się w płaszcze i zasnęli, inni nadal siedzieli wokół ognisk swoich oddziałów, pogrążeni w rozmowach. Gdzieś w ogniu trzasnęła sucha szczapa i dzikusy nagle wydały mi się straszliwe podobne do Umarłych siedzących w kręgach wokół brzęczącej mgły obserwatorów z Wrzosowiska Duszorośli.

Omijaliśmy liczne oddziały — tak wielu żołnierzy! — aż wreszcie dotarliśmy do wozów. Tam panował jeszcze większy ruch. Mężczyźni — zarówno dzikusy, jak i ludzie z Reginokracji — wyładowywali z wozów na wpół opróżnione skrzynie i sortowali ich zawartość na zawiniątka, które zapewne mieli dalej nieść na piechotę. Zastanawiałem się, jak daleko zawędruje mała księżniczka w tak trudnym terenie, aż do chwili, gdy zobaczyłem dwa wyładowane z wozu obiekty. Każdy z nich składał się z dwóch długich tyczek, między którymi zamontowano małe platformy. Umieszczono na nich wielkie krzesła otoczone wyposażonymi w zasłony ramami. Zasłony były obecnie rozsunięte. Czterej potężnie zbudowani mężczyźni — byli dzikusami, ale nie ubierali się jak żołnierze — złapali za końce tyczek, podnieśli je na próbę na ramiona i skinęli głowami. Nigdy przedtem nie widziałem podobnego ustrojstwa, ale uspokoiła mnie myśl, że dzikusy przeniosą księżniczkę przez góry.

A potem ją zobaczyłem.

Księżniczka Stephanie — nie, teraz już królowa Stephanie, choć nie potrafiłem wyobrazić sobie kogoś tak małego jako królowej — siedziała zgarbiona na niskim stołku nieopodal palącego się jasno ogniska. Płakała. Przykucnęły przy niej dwie kobiety. Widziałem w blasku ogniska twarz niańki, tej samej, która próbowała wtargnąć na podwyższenie podczas ceremonii małżeńskiej. Opiekunka pogłaskała uspokajająco Stephanie, a potem uniosła ją w ramionach. Druga kobieta, zwrócona do mnie plecami, potrząsnęła głową. Wyglądało na to, że o coś się spierają. Ta druga najwyraźniej wygrała, ponieważ niańka zmarszczyła brwi i posadziła księżniczkę z powrotem na stołku. Dziewczynka wyprostowała się i uniosła twarz ku drugiej kobiecie, która odwróciła się na tyle, że mogłem ją poznać.

Nie zważając na strażnika, pogałem ku niej na łeb na szyję i wpadłem w krąg światła. Sześciu dzikusów wyciągnęło noże. Mój strażnik coś krzyknął i wszyscy się cofnęli, ale niezbyt daleko.

— Lady Margaret! — zawołałem.

Zamrugła, a potem się uśmiechnęła.

— Roger. Myślałam, że nie żyjesz.

— Ja też.

Absurdalnie się ucieszyłem na widok tej niemłodej już kobiety, która uważała mnie jednocześnie za zbawcę, mordercę, oszusta, czarownika oraz — zawsze i przede wszystkim — błazna królowej Caroline. Radowała mnie myśl, że małą księżniczką opiekuje się ta praktyczna, zasadnicza kobieta.

Dziewczynka popatrzyła na mnie z zaciekawieniem. Jej niańka zmarszczyła brwi.

— Kim jesteś? — zapytała Stephanie słabym, wysokim, pełnym strachu głosem. Nie była odziana w fiolet, do którego miała prawo, lecz w szarą

suknię z mocnej tkaniny, dobrze uszytą, ale pozbawioną ozdób. Lady Margaret i niańka miały na sobie takie same stroje.

Klęknąłem.

— Jestem Roger Kilbourne, Wasza Miłość. Służyłem twojej matce.

— Aha.

Odwróciła wzrok z twarzą pozbawioną wyrazu. Nie wiedziałem, czy w ogóle pamięta matkę, która nie żyła już od dwóch i pół roku. Z pewnością nie przypominała wybuchowej i zmysłowej królowej Caroline ani temperamentem, ani urodą.

— Wasza Miłość, pora już się kłaść — odezwała się niańka.

— To moja ostatnia noc w wozie — poinformowała mnie Stephanie. — Od jutra będę musiała iść na piechotę, a to będzie bardzo męczące.

— Nie, Wasza Miłość — uspokoilem ją. — Nie będziesz musiała iść. Widziałem twój... twój wehikuł. To krzesło otoczone małymi zasłonkami. Poniosą cię na nim, wysoko i w ukryciu. Będziesz mogła sobie wyobrazić, że jesteś niewidzialnym ptaszkiem.

— Naprawdę? — Uśmiechnęła się po raz pierwszy. W jej oczach, zaczerwienionych od łez, pojawił się błysk. Zauważyłem, że mała księżniczka również ma swój urok. To nie była pasja jej matki ani dostojność babki, lecz delikatna, dziecinna słodycz.

— Nianiu, lady Margaret, słyszałyście! Roger mówi, że nie będę musiała iść na piechotę! Że mogę zostać niewidzialnym ptaszkiem!

— Świetny pomysł — stwierdziła lady Margaret. — Ale pora już spać, Wasza Miłość.

Stephanie posłusznie wstała ze stołka, a potem z wdziękiem wskazała na mnie rączką.

— Możesz wstać, Roger. Lubię cię.

— Jestem sługą Waszej Miłości.

— Ale ich nie lubię — dodała dziewczynka, wskazując na jadownice zielony wóz. — Są niedobre.

Ze wskazanego wozu wysiadły trzy dziewczyny. Choć obecnie miały na sobie więcej ubrania, poznałem w nich półnagie dzikuski, które były „druhnami” księżniczki podczas jej ślubu. Rozmawiały teraz, wyraźnie czymś rozbawione, ale byłem za daleko, by zrozumieć słowa. Dzikusy miały dziwne obyczaje i nie miałem pojęcia, kim są te dziewczyny, wiedziałem jednak, za kogo uznałyby je Tom. Ale chyba nawet dzikusy nie wyznaczyłyby dziwek na drużny na ślubie królewskim. Dziewczyny z pewnością były kimś innym, choć nie miałem pojęcia kim.

— Chodź już, skarbie — odezwała się niańka.

— Dobranoc, lady Margaret. Dobranoc, Roger — rzekła dziewczynka i opiekunka ją odprowadziła. Strażnik, który ani razu mnie nie dotknął, skinął po raz szósty czy siódmy, nakazując mi iść za nim. Zignorowałem ten gest.

— Księżniczka dobrze się czuje? — zapytałem lady Margaret.

— Dręczą ją koszmary. Czasami wydaje mi się, że to coś więcej niż tylko sny.

Krew zamarła mi w żyłach.

— Co się stało, Roger? Wiesz coś o tych koszmarach? A może to ty je powodujesz?

— Nie.

Domyślałem się jednak, kto to robił. Czy to było możliwe? „Caroline studiowała sztuki duszy, ale nie miała talentu. Lecz jej babka tak”. Czy to znaczyło, że Stephanie mogła odziedziczyć...

Nie. To były tylko czcze domysły. Ktoś z tego drugiego królestwa nie mógłby wtargnąć w niczyje sny poza moimi. Snami hisafa. *Nie żyję od jedenastu lat...*

Obserwowałem, jak Stephanie wsiada do wozu. Opiekunka podążała za nią. Dziewczynka zatrzymała się w drzwiach i pomachała do mnie oraz do lady Margaret, być może po raz ostatni próbując odwlec chwilę położenia się spać. Dzieci wykorzystywane na wojnie jako broń: księżniczka, moja szalona siostra, rozchichotane dojrzewające dziewczęta z drugiego wozu. Przynajmniej mojego nienarodzonego dziecka, o którym nie zapomniałem ani przez chwilę, nikt nie używał w ten sposób. Było bezpieczne w Reginokracji, podobnie jak Maggie.

— *Klef! Klef!* — nalegał strażnik. W końcu zdobył się na odwagę, złapał mnie i pociągnął naprzód. Jego dłoń była jak żelazo zaciskające się na mojej duszy. Odprowadził mnie.

— Roger, pomóż Jej Miłości — zażądała z pasją lady Margaret. Nie wiedziała, że nie potrafię pomóc nawet samemu sobie.

Gdy strażnik zamknął za mną drzwi wozu, Tom zakrzyknął radośnie:

— A więc wróciłeś! Nie zrobili ci krzywdy?

— Nie, nie. Czuję się dobrze.

To ostatnie nie było prawdą.

— Dokąd cię zabrali? Popatrz, mamy ale, nie tylko to zaszczane wino. Rzeczywiście od jutra będziemy iść na piechotę, tak jak mówiłeś? Do licha, chciałbym, żeby George był z nami, żeby nam pomóc zrobić sam wiesz co. To jego potrzebujemy. Dokąd cię zabrali, Peter?

— Do Młodego Wodza.

Zapadła cisza. Tom znieruchomiał z kuflem ale w połowie drogi do ust. Jee, zawsze cicho, w jakiś sposób zrobił się jeszcze cichszy, jak myszka w zasięgu węchu kota.

— Czy... — wyszeptał wreszcie Tom.

— Nic ze sobą nie miałem.

Mój towarzysz nigdy się nie nauczy dyskrecji. Skąd mogliśmy wiedzieć, czy ktoś nas nie podsłucha, jeśli wspomni o mitycznej truciźnie?

— Tak jest, pewnie, że nie miałeś. Ale czy... Czy masz do niego wrócić?

— Tak. Posłuchajcie mnie obaj. Mam codziennie uczyć Młodego Wodza, jak sprowadzić żołnierzy z krainy Umarłych, czego...

Tom prychnął pogardliwie.

— Znowu te bzdury!

Jee gapił się na mnie, nawet nie mrugając.

— ...czego oczywiście nie mogę zrobić. — Dla Toma będzie to znaczyło jedno, dla Jee zaś coś zupełnie innego. — Ale jeśli będę udawał, że to robię...

— Nie mów nic więcej! — zawołał Tom. Mrugnął znacząco, a potem oczywiście musiał powiedzieć więcej. — To da ci szansę... nie mów nic więcej.

— To ty nie mów nic więcej. Poważnie, Tom.

— Tak jest. — Uśmiechnął się do mnie, uszczęśliwiony myślą o naszym domniemanym planie otrucia Tareka. — Czego ode mnie chcesz?

— Nie rób nic, Tom — odparłem, ścisząc głos do szeptu. — Nie wyciągaj tych swoich noży, nie wdawaj się w bójki z dzikusami ani ze zdrajcami Reginokracji i nic nikomu nie mów. Absolutnie nic. Dasz radę to zrobić?

— Nic? — powtórzył ze zrozpaczoną miną.

— Nic. Po prostu idź.

Od razu poweselał.

— No cóż, przynajmniej znowu będziemy na nogach, a nie zamknięci jak kury w kurniku na kołach. I kto wie, George i jego buntownicy mogą...

— Tom!

Skinął głową, uśmiechnął się i udał, że zamyka usta na klucz.

— Widziałeś księżniczkę? — zapytał Jee.

Rzadko się zdarzało, by o cokolwiek pytał, a jeszcze rzadziej robił to tak tęsknym tonem. Był jednak tylko kilka lat starszy od Stephanie. Jakie wyobrażenia o ludziach królewskiej krwi — możliwie najbardziej odległe od życia, jakie wiódł na Ziemi Niczyjej i w Applebridge — wypełniały jego chłopięcy umysł? Księżniczka, porwana i uwięziona, odległa zaledwie o pięćdziesiąt stóp. Tam, gdzie ja widziałem żalosne dziecko, Jee mógł dostrzec niewyobrażalny splendor.

Myśl o innych. Tak mi powiedział ojciec oraz Matka Chilton.

— Widziałem ją, Jee. Siedziała przy wozie ze swoimi kobietami. Może jutro ty też ją zobaczysz, kiedy wyruszymy w drogę przez góry. Czterech silnych mężczyzn będzie ją niosło na pięknym tronie, a jeśli rozsunie zasłony, by wyjrzeć na zewnątrz, może uśmiechnąć się do ciebie.

W wozie było już zupełnie ciemno i nie widziałem twarzy chłopca, usłyszałem jednak, jak wciągnął cicho powietrze w płuca, wyobrażając sobie tę scenę.

— Mam nadzieję, że dobrze ją karmią, dali jej ciepły płaszcz i może się wykąpać — odezwał się Tom, który niczego nie zauważył. — Nie, chwileczkę. Lepiej niech się nie kąpie, jeśli będzie śmierdziała, może ten sukinsyn Tarek nie zechce się do niej zbliżyć. Ale ja bym się chętnie wykąpał, wierz, jeśli chcesz. Ty też jesteś paskudnie brudny, Jee, i śmierdzisz jak końskie łajno. Lepiej, żeby żadna księżniczka cię nie spotkała, bo zaraz będzie musiała opróżnić żołądek.

— Tom, kładź się spać — warknąłem.

— Czemu tak się złościysz? Powiedziałem tylko...

— Kładź się spać!

Dalej szliśmy na piechotę. Konie zniknęły. Nie wiedziałem, czy odprowadzono je z powrotem do Reginokracji, sprzedano jakimś bytującym w okolicy tubylcom, czy też po prostu porzucono w górach. Część zapasów załadowano na grzbiety kilku pozostałych osiołków. Resztę dźwigali służący. Wozy zostawiono na górskiej łące. Z przodu i z tyłu kolumny maszerowali żołnierze, w jej środku niesiono zaś dwa krzesła na tyczkach: jedno dla lady Margaret, a drugie dla księżniczki Stephanie i jej niańki. Razem z tragarzami szli jeńcy z Reginokracji, w tym również Tom, Jee i ja. Tomowi związano nogi w kostkach kawałkiem sznura długim na stopę, tak że mógł iść, ale nie biec. Cierpiał z tego powodu. Ja szedłem swobodnie, ale cały czas towarzyszył mi strażnik. Jee nadal ignorowano. Być może dzikusy miały nadzieję, że chłopiec po prostu zniknie, jako magiczna iluzja wróci do Kraju Czarowników. Nie rozmawiałem z żadnymi ze zwykłych żołnierzy, tylko z Tarekiem, wieczorami w jego namiocie.

— Rozpocznij nauki — rozkazał mi Młody Wódz podczas pierwszego spotkania.

Nigdy nie widziano atmosfery mniej sprzyjającej nauce. W namiocie było pełno ludzi. Po obu stronach Tareka stało dwóch strażników w pełnych zbrojach bojowych. Młody Wódz siedział na stołku o trzech nogach, a ja stałem przed nim na nagiej ziemi. Żołnierze mierzyli do mnie ze strzelb.

Byłem czarownikiem władającym jakimiś straszliwymi mocami i kto wie, co mógłbym uczynić ich wodzowi? W dole na ogień płonęła pojedyncza kłoda. W jej blasku na złowrogie oblicza strażników oraz niespokojną twarz Perba padały dziwaczne cienie. Na dworze lało. Krople deszczu bębniły miarowo o dach z niewyprawionej skóry z dźwiękiem brzmiącym zupełnie jak tętent kopyt dobiegający z za naturalnego nieba. Nawet Tarek sprawiał wrażenie niespokojnego, jego z pozoru swobodna postawa maskowała nerwy napięte jak struny lutni.

Ja jednak byłem przygotowany.

— Tak jest, mój lordzie.

Skrzywił się i chciał coś powiedzieć, ale to również był element mojego planu. Ja będę miał kontrolę nad sytuacją, bez względu na to, co będę musiał w tym celu uczynić.

— Wiem, że wy nie używacie takich tytułów, mój lordzie, ale te nauki pochodzą z mojego kraju, nie z twojego. Musimy być posłuszni zasadom tej sztuki. Jej dyscyplinie.

Perb przetłumaczył to, co powiedziałem. Ostatnie słowo wybrałem bardzo starannie, zapamiętałem je z przemowy Tareka. Wczoraj Perb powiedział mi, że dla dzikusów najważniejszą wartością jest dyscyplina.

Tarek skinął głową. Nie sprawiał wrażenia agresywnego. Naciskałem dalej, tym razem mówiąc w jego języku.

— Mój lordzie, nikt poza tobą nie może usłyszeć mojej lekcji. Tylko ty i ja. Odeślij strażników i tłumacza. To moja dyscyplina. Jestem *antekiem*.

Jeśli zaskoczyło go, że znam jego język, dobrze to ukrył. Przyglądał mi się przez długą chwilę. Wreszcie skinął na trzech swoich ludzi.

— *Klef*.

Strażnicy posłuchali go bezzwłocznie, choć spojrzenia, jakimi mnie obrzucili, mogłyby skruszyć góry. Perb rozpoczął namiętną przemowę,

której nie byłem w stanie zrozumieć.

— *Klef* — powtórzył spokojnie Tarek. Jego niebieskie oczy przybrały wyraz, w porównaniu z którym strażnicy upodobnili się do domowych kotków. Perb poklefował.

— *Jad* — rozkazał mi Tarek. Zaczynaj.

Wyjąłem z kieszeni kamyk, ściskając go mocno, by powstrzymać drżenie palców. Do tej pory wszystko mi się udawało. Nie zaszedłem bardzo daleko, ale Tarek mnie słuchał. Dzikus dowodzący wielką armią i władający nieznanym królestwem słuchał Rogera Kilbourne'a, błazna królowej. Usiadłem ze skrzyżowanymi nogami na ziemi i nakazałem gestem Tarekowi zrobić to samo. Posłuchał mnie bez wahania. Z pewnością częściowo był to efekt przyzwyczajenia do dyscypliny — to wspaniale wyćwiczone ciało nie wzięło się znikąd — ale częściowo płynęło też z jego natury. Był tak pewny siebie, że nie musiał się upierać przy zewnętrznych przejawach rangi ani starać się imponować innym. Przyszło mi na myśl, że w innym życiu mógłbym go polubić.

Tarek był niższy ode mnie, ale muskularna górna część jego ciała była dłuższa od mojej, nasze głowy znalazły się więc na tym samym poziomie. Położyłem kamyk na ziemi między nami. Przechodziliśmy dziś przez górski potok i nasz strażnik wskazał gestami, że ja i Tom powinniśmy się rozebrać, żeby wziąć kąpiel. Jee dołączył do nas. Zimna woda kłuła mnie jak igły. Minęła godzina, nim do moich przemarzniętych kończyn wróciło uczucie. Za to znalazłem na dnie kamień i schowałem go do kieszeni. Był wielkości połowy mojej pięści, biały i przeszyty żyłkami jakiegoś różowego minerału. Wygładziły go lata leżenia w wodzie.

Dukając z wysiłkiem po tarecku (musałem nadać temu językowi jakąś nazwę), wyjaśniłem, że kamyk stworzy więź między tym miejscem a Krajem Czarowników. Żeby zrobić z niego użytek, trzeba wytrenować

umysł: dyscyplina. Pierwszy krok to nauczyć się patrzeć na kamień i nie myśleć o niczym innym — absolutnie niczym, jednocześnie powtarzając w umyśle magiczne słowo.

— Co to za słowo? — zapytał Tarek. Jego głos nadal był chłodny, ale w oczach błyszczało zainteresowanie.

— To słowo brzmi „george”.

Minęło pięć minut, nim przyznałem, że wymawia je zadowalająco. Celowo wybrałem to słowo. Dzikusy miały trudności z wymową głoski „dź”. Dzięki temu udało mi się zużyć pięć minut nauki.

— Zaczynam — oznajmił Tarek. — George, george...

— Nie mówisz tego we właściwym rytmie — przerwałem mu, waląc pięścią w ziemię. — Magiczne słowa trzeba wypowiadać bezbłędnie.

— Zademonstruj to jeszcze raz.

Kolejne pięć minut. Tarek nie okazywał irytacji. Dyscyplina.

— Dobrze. A teraz patrz na kamyk. Myśl tylko o nim.

— George — szeptał Tarek. — George, geor...

— Myślisz o czymś jeszcze poza kamykiem.

Po raz pierwszy miał zdziwioną minę.

— Wiesz o tym?

— Tak.

Pewnie, że wiedziałem. Nikt nie potrafi myśleć tylko o jednej rzeczy przez całą minutę.

— Potrafisz czytać w moich myślach?

— Nie. Wiem tylko, że nie skupiłeś ich całkowicie na kamyku.

— A skąd?

— Jestem czarownikiem.

Skinął głową i wrócił do gapienia się na kamień oraz szeptania. Raz po raz przerywałem mu, mówiąc, że jego myśli znowu zboczyły na manowce.

Za każdym razem przyznawał, że mam rację, nie okazując gniewu. Podziwiałem go coraz bardziej.

— Starczy na dzisiaj — stwierdził wreszcie Tarek. — Zachowam ten kamyk.

— Nie. Musi zostać przy mnie.

Skinął głową, akceptując moją decyzję. W tej chwili zrozumiałem, co znaczy słowo *antek*: ktoś, kto robi coś cennego, a zarazem trudnego. Obrona i podboje od żołnierzy, dzieci od matek, wiedza od *anteków*. W swojej dziedzinie *antek* sprawował władzę.

Roger uczony.

— Dobranoc, mój lordzie.

Zaakceptował cudzoziemski tytuł.

— Dobranoc, *antek*.

Gdy siedzieliśmy przy ognisku, Tom przysunął się bliżej.

— Zrobiłeś to? — wyszeptał.

Miał na myśli otrucie Tareka.

— Nie — odpowiedziałem, również szeptem. — George chce, byśmy zaczekali na znak, że pomoc jest już blisko. No wiesz, chodzi o to, żebyśmy mogli uciec.

Skinął głową. Tutaj wszyscy zgadzali się z moimi opiniami — zupełnie inaczej niż w Reginokracji. Tylko ja sam w nie wątpiłem. Dzięki swym nonsensownym naukom zdołałem zrobić głupca z wodza wielkiej armii, który i tak już miał wystarczająco wiele powodów, by mnie zabić. Zastanawiałem się, jak długo zdołam ciągnąć tę farsę.

Odpowiedź brzmiała: dłużej niż śmiałybym na to liczyć. Perb powiedział mi, że dotrzemy do królestwa — to słowo nadal brzmiało nienaturalnie w moich ustach; królowe powinny władać, a mężczyźni bronić — którym władał Tarek za „dwa razy po dwanaście dni”. Przez sześć nocy kazałem

Tarekowi gapić się na kamień przeszyty różowymi żyłkami i szeptać „george”. Przerywałem mu co chwila, by mu oznajmić, że jego myśli zboczyły na manowce, co zapewniało, że tak właśnie się stało. Teren był coraz bardziej górzysty i każdego dnia pokonywaliśmy coraz krótsze odcinki. Zrobiło się jeszcze zimniej. Każdego ranka pojawiał się szron, pokrywający ziemię, namiot księżniczki i nas. Co noc śniła mi się Maggie, nosząca moje dziecko. Często budziłem się z zamrzniętymi łzami na twarzy. Ojciec nie przybył mi na ratunek.

— George’owi nie śpieszy się z odsieczą — utyskiwał Tom.

— George, george — szeptał Tarek, aż siódmej nocy oznajmił nagle: — Chyba mi się udało, *antek*. Przez całą minutę.

— Masz rację. — Błysk ostrzeżenia w jego niebieskich oczach mówił mi, że muszę przejść do dalszych nauk. Być może rzeczywiście udało mu się przez całą minutę myśleć jedynie o kamieniu. Dyscyplina. — Jesteś gotowy na następny krok, mój lordzie. Dziś w nocy ten kamyk musi ci się przyśnić.

Spokój zniknął w jednej chwili. Tarek zerwał się tak szybko, że opuszczony stolik na trzech nogach przewrócił się za jego plecami. Do namiotu natychmiast wszedł strażnik, trzymający w rękach wymierzoną w moją głowę strzelbę.

— Co wiesz o snach? — zapytał Tarek.

— Co... co?

— Czy one są przełączką prowadzącą do Krainy Czarowników?

Użył słowa oznaczającego wysoko położone przejście między górskimi szczytami, przez które wlekliśmy się dzisiaj.

— Czasami — odparłem.

Jaka odpowiedź mogłaby mnie uratować?

Wpatrywałem się rozpaczliwie w twarz Tareka, szukając jakiegoś znaku, który wyjaśniłby mi, co powiedzieć. W odpowiedzi jego niebieskie oczy wpatrywały się we mnie. Niemalże czułem ich dotyk, ostry jak noże.

Potem Młody Wódz się uspokoił.

— *Klef* — rzekł z irytacją do wartownika, który wyszedł. Tarek przespacerował się kawałek — to było w jego przypadku niezwykle — po czym wrócił nagle do mnie i usiadł na ziemi. — Powiedz mi, kiedy sny są przełączą do Kraju Czarowników.

— Tylko dla *anteków* — odpowiedziałem z umysłem wypełnionym wizjami mojej szalonej siostry, przemawiającej do mnie w straszliwym koszmarze, który na szczęście nie powtórzył się już od wielu nocy.

— Tylko dla *anteków* — powtórzył Tarek. — To dobrze.

— Mój lordzie — zacząłem, starając się odzyskać kontrolę nad sytuacją — czy kłopotzą cię sny?

Musiałem użyć słowa oznaczającego „atakują”. Tarecki najwyraźniej nie znał innego wyrazu na określenie „kłopotów”.

— Nie mnie — odparł. — Moją królową.

Stephanie. Atakowały ją sny. Lady Margaret również wspominała, że księżniczkę dręczą koszmary.

— Co to są za sny? — zapytałem. — Kto w nich przychodzi?

— Inna królowa. Jej niewolnica, Mar-gar-ejt — wyjąkał jej imię — mówiła, że ta druga królowa również jest jeszcze małą dziewczynką, noszącą koronę na sposób waszego ludu i powtarza mojej młodej żonie „umrzyj, umrzyj, umrzyj”. I wtedy Stejf-ajn-ii... budzi się z krzykiem. — Zmarszczył brwi. — Jest już za duża na takie lęki. Poza tym jest królową. Królowe nie krzyczą.

Ale ja już przestałem go słuchać.

Umrzyj, dziecko, umrzyj, umrzyj, moje maleństwo, umrzyj, umrzyj... Roger Dziecko słuchał monstrualnej piosenki, tuląc się do matki. Na jego małej buzi pojawił się uśmiech. Podobała mu się melodia. Umrzyj, dziecko, umrzyj, umrzyj, moje maleństwo, umrzyj, umrzyj...

— Czy ta czarownica atakuje Stejf-ajn-ii... w jej snach? — zapytał Tarek.

Tak.

— Nie.

— W takim razie dzieci waszego ludu nie są właściwie wyszkolone.

Nie odpowiedziałem mu. Niech sobie myśli, że mała księżniczka jest źle wychowana. Lepsze to, niż gdyby zaczął podejrzewać prawdę. Moja szalona siostra wtargnęła do myśli Stephanie. Najwyraźniej księżniczka odziedziczyła talent do sztuk duszy, którego brakowało jej matce i babce, ale posiadała go jej prababka. Tak przynajmniej twierdziła Matka Chilton. Dzika karta. Co więcej, jej talent musiał być silny, jeśli moja siostra zdołała go wyczuć w tym drugim królestwie.

Nagle zacząłem się bać się o tę dziewczynkę bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

Tarek wlepił spojrzenie w biały kamyk.

— Zatem musi mi się przyśnić ten kamień? — zapytał, nie odrywając od niego wzroku. Zapomniał o Stephanie. Księżniczka była tylko zepsutym, źle wychowanym dzieckiem, dręczonym obawami, które nie przystawały królowej.

— Tak, właśnie ten.

— Pokażesz mi, jak sprowadzić takie sny?

— Zademonstruję ci, czego musisz się nauczyć, by przywołać podobny sen.

Brnąłem dalej, tworząc od ręki zestaw instrukcji. Sam nie bardzo wiedziałem, co mu mówię. Tarek wysłuchał tych wszystkich bzdur, zorganizował je w swym praktycznym umyśle i oznajmił, że przećwicz to przed snem, żeby przyśnił mu się biały kamyk.

— *Klef* — rzekł na koniec i odprowadzono mnie do mojego ogniska.

— Peter — przywitał mnie straszliwie podekscytowany Tom. — Mam świetne wieści! Spotkałem dziewczynę!

Nie chciałem nic słyszeć o dziewczynie Toma, jakiejś biednej pomocy kuchennej albo młodej praczce, zawleczonej tu z Reginokracji, by służyła księżniczce, ale gdy mój towarzysz chciał mi o czymś opowiedzieć, nie było przed nim ucieczki. Jee, spowity futrem Toma dla ochrony przed zimnem, przyglądał się nam z drugiej strony ogniska.

— Ten dziki sukinsyn, strażnik, który pilnuje mnie, gdy ciebie nie ma, daje teraz więcej swobody — gadał Tom. — W końcu jestem związany, prawda? A on zapewne myśli, że do Reginokracji jest już zbyt daleko, bym mógł tam wrócić o własnych siłach. Całkiem możliwe, że ma rację, jeśli... Tak czy inaczej, grał w kości z dwoma innymi żołnierzami... gdyby tylko pozwolili mi ze sobą zagrać! Dziesięć do sześciu, że ograłbym wszystkich. Ale przyglądałem się im wczoraj przez godzinę i zasady...

— Tom, jestem bardzo zmęczony.

— Dobra, opowiem ci to krótko. Poszedłem na spacer przy strumieniu, spotkałem ją tam i posiadałem ją. Och, czuję się teraz znacznie lepiej. Mężczyzna potrzebuje kobiety.

Mrugnął znacząco.

— Świetnie — stwierdziłem. — No to dobranoc.

— Ma na imię Alysse.

— Bardzo ładnie.

— Jutro znowu się z nią spotkam.

— Znakomicie.

— Ma rudoblond włosy i piersi jak...

— Dobranoc, Tom.

— Musisz mieć kobietę, Peter. Naprawdę. Mówię ci to jako przyjaciel. Wiem, że jesteś żonaty, ale w końcu, chrzanić to. Maggie jest daleko. Jeśli będziesz z kobietą, to wyleczy cię z melancholii.

Z „melancholii”. Wielki władca żądał, bym nauczył go sztuki, której nie znałem. Moją szaloną siostrę wykorzystywano w celu zawładnięcia mocą śmierci i stworzenia tych, którzy nigdy nie umrą. Moje dziecko dorastało w łonie kobiety, którą porzuciłem. Moją księżniczkę nawiedzały widma zza grobu. Obiecano mi ratunek, który nie nadchodził. Spanie z kobietą nie uleczy mnie z melancholii, która tej nocy przypominała raczej najczarniejszą rozpacz.

A potem jeszcze się pogłębiła.

Przyszła do mnie we śnie. Widziałem, jak wychodzi z mgły. Jej korona lśniła złotym blaskiem w świetle, którego nie widziałem, jasnym i straszliwym świetle dobiegającym z jakiegoś miejsca za horyzontem. Była odziana w lawendową suknię jak moja matka — nasza matka — a jej włosy miały intensywnie brązową barwę, tak samo jak włosy naszej matki. W jej oczach lśnił obłąd.

— Roger — odezwała się. — Bracie.

— Jak zdołałaś... — zacząłem, ale mi przerwała.

— Mamy twojego ojca, wiedziałeś o tym? W Galtryf. Jest naszym jeńcem. Ty również staniesz się nim pewnego dnia.

Jej śmiech wypełnił mgłę i nagle poczułem, że się rozpuszczam. Ciało odpadało groteskowo od moich kości, a same kości zmieniały się w proch, tak samo jak kości Cecylii i Fii...

— Peter!

Jee przykucnął koło mnie. Jego drobna brązowa sylwetka rysowała się w świetle brzasku. Obóz już się obudził do życia i dzikusy odwracały głowy, by spojrzeć na wrzeszczącego *anteka*. Mój strażnik stał przy ognisku, kierując strzelbę w pustkę. W jego niebieskich oczach błyszczał strach.

— Coś ci się śniło — oznajmił Jee. — Obudź się, Peter!

— Już się obudziłem.

Usiadłem. Miałem mętlik w głowie.

Strażnik opuścił broń. Przewrzenie zniknęło z jego oczu. Zwyczajny nieprzyjaciel z pewnością nie przywołałby strachu na oblicze żołnierza dzikusów, ale ja byłem czarownikiem. Choć nadal byłem zdezorientowany, zawieszony między snem a jawą i czułem ślady straszliwego snu, uświadomiłem sobie, że ta wiedza może być użyteczna. Mój strażnik bał się czarów.

Ale Jee się ich nie bał.

— Wstawaj, Peter — rzekł z niesmakiem. — Już późno.

— Obudź Toma.

Nasz towarzysz chrapał sobie w najlepsze, nie zważając na cały ten hałas. Jee potrząsnął nim.

— Och, chrzanić to — wymamrotał Tom. — Już jest rano? A niech to, cóż za krótka noc! Przyśnił mi się... ktoś. — Mrugnął do mnie znacząco i wyszeptał: — Alysse.

Jee prychnął pogardliwie.

Nadal towarzyszyła mi groza koszmaru. Moje ciało się rozpuściło. Utraciłem wieczność... Nie, to był tylko sen. Byłem tutaj, żywy i materialny. Ratunek jednak nie nadejdzie. Mojego ojca uwięziono w jakimś miejscu zwanym Galtryf. Nigdy nie słyszałem tej nazwy. Podczas

całodziennego marszu nie mogłem myśleć o niczym innym. Teren opadał teraz w dół. Zostawiliśmy już za sobą najwyższe góry.

Mój ojciec był jeńcem w Galtryf. Zaczęły się pojawiać niezwykle rośliny, wielkie czerwone krzewy o liściach ostrych jak miecze. Zrobiło się jeszcze zimniej.

Gdzie leżało Galtryf? Ratunek nie nadejdzie...

Jednakże moja siostra mogła kłamać. I była obłąkana.

Minęły jeszcze dwa dni. W miarę zbliżania się do domu dzikusy zachowywały się coraz głośniej i weselej. Młody Wódz starał się, żeby przyśnił mu się biały kamyk. Spoglądał teraz na mnie z... podejrzliwością? Do mojego pierwszego strażnika dodano drugiego i obaj nie oddalali się ode mnie ani o krok. Tom, którego pilnowano coraz słabiej, ponieważ uwaga strażników skupiała się na mnie, co popołudnie spotykał się gdzieś w lesie z Alysse. Zimno najwyraźniej nie przeszkadzało im w miłosnych harcach. Sznur, którym spętano kostki Toma, również nie. Jee wyczuwał moją rozpacz i chodził wszędzie za mną jak cień.

— Popatrz! — odezwał się pewnego ranka Tom. — To ona! Alysse!

Szliśmy już od kilku godzin, rozgrzani wysiłkiem i słońcem świecącym na szczęśliwie bezchmurnym dziś niebie. Zbliżał się już czas postoju na południowy posiłek. Bolały mnie nogi. Nie miałem ochoty znowu rozmawiać o Alysse, ale zerknąłem na nią z poczucia obowiązku.

I stanąłem jak wryty, tak nagle, że Jee wpadł mi na nogi.

To nie była rozwiązła pomoc kuchenna. Stała dwadzieścia stóp ode mnie, trzymając w ręce wiadro wody, i patrzyła mi prosto w oczy. W jej wzroku wyczuwało się całkowite skupienie, jakby wiedziała, kim jestem. Hisafem. Rzeczywiście to wiedziała. Byłem tego pewien, choć nie potrafiłbym powiedzieć dlaczego. Nagle jej twarz się zmieniła. Tylko na krótką chwilę. Pulchne dziewczęce policzki i różane usteczka ustąpiły

miejsca szczuplejszym, bardziej napiętym rysom twarzy dojrzałej kobiety — ani młodej, ani starej, takiej, jaką była Matka Chilton, nim zmieniła się w staruchę, z którą Tom rozmawiał na szczycie nadmorskiego urwiska. W następnej chwili dojrzałość zniknęła. Tom nic nie zauważył. Przeobrażenie Alysse było przeznaczone wyłącznie dla mnie.

Była jedną z widmowej siatki kobiet praktykujących sztuki duszy. Dlaczego nam towarzyszyła i zabawiała się z Tomem Jenkinsem?

— *Klef! Klef!* — warknął strażnik, nie dotykając mnie. Jego towarzysz, który szybciej zauważył, na co się gapię, krzyknął na Alysse, każąc jej się ruszać. Posłuchała go, spoglądając jeszcze przez ramię na Toma, który uśmiechnął się z zachwytem.

— Znowu mnie pragnie, Peter — pochwalił się.

— Jest... jest bardzo ładna.

— Szkoda, że jesteś żonaty, co? Oczywiście, Maggie też jest naprawdę świetna — dodał z nagle poważniejszą miną.

Musiałem porozmawiać z kobietą z sieci, ale nie widziałem żadnego sposobu, by się z nią spotkać. Obserwowano mnie nieustannie, a Tom nie bardzo mógł mi się przydać.

Za to Jee owszem.

— Ale Maggie jest daleko stąd — zauważył Tom. — Do licha, nikt nie może od ciebie wymagać, byś nie miał normalnych potrzeb. Do tego nic nie podnosi mężczyzny na duchu lepiej niż kobieta.

— Tak — zgodziłem się. — Wiem o tym.

— Jee — odezwałem się, gdy rozbiliśmy obóz na noc. — Mam dla ciebie zadanie.

— Jakie? — zapytał bez wyrazu.

— To nie jest niebezpieczne.

Głupie słowa. Tutaj wszystko było niebezpieczne.

— Nie boję się niebezpieczeństwa — odparł dzielnie. Omal mi serce nie pękło. Miał dopiero dziesięć lat, a już był zmuszony zachowywać się jak mężczyzna i udawać odważnego.

— Każdy czasem się boi, Jee. Moi strażnicy boją się ciebie. Wiesz o tym, prawda?

Skinął głową. Wszędzie wokół ludzie pokrzykiwali, zapalali ogniska, rozbijali namioty, gotowali, karmili osły, nosili wodę i ze śpiewem na ustach zbierali się w niepełniące służby grupy. Jeśli Jee miał się wykraść do obozu, to była najlepsza chwila. Stał się śmielszy, odkąd się zorientował, że dzikusy boją się go tknąć. Nie chcieli dotknąć nawet mnie, *anteka*, a Jee, magicznej iluzji, wręcz się bali. Obserwowali wszystkie jego poczynania, ale nigdy mu nie przeszkadzali. Podejrzywałem, że mógłby nawet przejść przez pierścień strażników i czmychnąć z obozu. Nie miał jednak dokąd uciekać.

— Boję się tej dziewczyny — wyznał Jee.

— Alysse?

— Ona nie jest sobą.

Jego buzia wykrzywiła się z irytacji wywołanej niezdolnością wyrażenia tego, co chciał mi powiedzieć. Słowa go zawiodły, ale wrażliwość nie. Wyczuł w Alysse coś, co całkowicie umknęło uwadze Toma. To jednak nie było zaskakujące. Mojego towarzysza oślepiło pożądanie. Znałem to wrażenie.

— Boję się tej dziewczyny — powtórzył Jee.

— Wiem. Ale... ale, Jee, nie mam nikogo innego, kto mógłby mi pomóc.

— Masz Umarłych — zauważył, obrzucając mnie przenikliwym spojrzeniem.

— Nie. Nie mogę przechodzić na drugą stronę. Już nie.

— Dlaczego?

Nie mogłem się zdobyć na to, by mu to wyjaśnić. Matka Chilton wymusiła na mnie obietnicę, że już nigdy nie przejdę na drugą stronę, ojciec powiedział mi jednak, że to nie wyrządzi żadnej szkody. Prawda jednak wyglądała tak, że powstrzymywał mnie przed tym strach. Przerażliwie bałem się siostry i służących jej hisafów — czy może panujących nad nią, jakkolwiek mogła wyglądać prawda. W ostatnim śnie przemówiła do mnie bezpośrednio i przekazała mi ów straszliwy obraz, w którym niszczyłem sam siebie, tracąc nawet wieczność.

— Nieważne dlaczego — odwarknąłem. — Pomożesz mi czy nie?

— Maggie mówiła, że mam to zrobić — odparł z ciężkim westchnieniem. Znienawidziłem sam siebie na myśl, że terroryzuję małego chłopca. Nagle nasunął mi się pewien pomysł.

— Nie chodzi tylko o mnie, Jee. Pomożesz też księżniczce Stephanie.

— Księżniczce? — wydyszał. Jego twarz zmieniła wyraz. Widział ją tylko raz, gdy wyglądała ze swego krzesła na tyczkach. O ile wiedziałem. Poruszał się swobodnie po obozie i mógł wielokrotnie zobaczyć Stephanie. Otworzył szeroko oczy. — Co mam zrobić?

— Po prostu znajdź Alysse. Z pewnością wie, kim jesteś. Przekonaj się, co powie albo zrobi. Może wyśle mi wiadomość. Znajdź ją tak, żeby nikt tego nie zauważył. Potrafisz to zrobić?

— Potrafię.

— Dziękuję, Jee.

— Chcę do domu. Do Maggie.

— Wrócimy tam — zapewniłem. Miałem nadzieję, że to prawda. Pragnąłem ujrzeć Maggie, porozmawiać z nią, pograżyć się w jej kompetentnej i zgryźliwej opiece. Położyć dłoń na jej brzuchu, gdzie rosło

moje dziecko. Nie miałem prawa do tego wszystkiego, ale tego właśnie pragnąłem.

Strażnicy przyglądali się, jak szepczemy do siebie z Jee, ale nie wtrącali się. Nadal starannie udawali, że chłopiec nie istnieje. Wstałem, przeciągnąłem się ostentacyjnie i poprosiłem, żeby odprowadzili mnie do lasku, bo chcę się odlać. Kiedy wróciłem, Jee już nie było.

Zjedliśmy z Tomem to, co nam podano, zostawiając część dla chłopca. Potem jeden ze strażników odprowadził mnie do namiotu Młodego Wodza na wieczorne nauki.

I wtedy wszystko się zmieniło.

40

— Przyśnił mi się biały kamyk — oznajmił Tarek. Jego twarz była spokojna jak zawsze, ale w oczach lśnił triumf. — Zrobiłem wszystko, co mi kazałeś, i ostatniej nocy w moim śnie pojawił się obraz kamyka otoczonego pierścieniem noży.

— Tak — odpowiedziałem i spróbowałem się uśmiechnąć. Pewnie, że się pojawił. Jeśli myśli się o czymś wystarczająco długo i intensywnie, w końcu może się to przyśnić: czerwone dziki, tańczące chaty, obłąkane siostry, białe kamyki z różowymi żyłkami. — Robisz postępy, mój lordzie.

— Ale bardzo powolne, *antek*. Twoim zadaniem jest nauczyć mnie, jak sprowadzić armię z Kraju Czarowników do mojego królestwa. To bardzo daleka droga od śnienia o białym kamyku.

— Zaiste. Ale jak długo się uczyłeś, by zostać wielkim wojownikiem?

Dyscyplina.

— Wojna to nie czary. Jak długo musiałeś się uczyć, by sprowadzić armię, która zabiła mojego ojca?

Zignorowałem błysk w jego niebieskich oczach, ale serce załomotało mi mocno i powoli.

— Całe lata, mój lordzie. Już ci mówiłem.

— Nie wyglądasz na starego.

— Zacząłem w bardzo młodym wieku.

— Kiedy byłeś błaznem królowej?

Dowiadwał się o mnie coraz więcej. Od kogo?

— Wydaje mi się, że *antek*, który włada tak potężnymi mocami, nie pozwoliłby, by kobieta uczyniła go swą zabawką ani nie spałby w popiołach kominka.

— Nie spałem w popiołach kominka.

— Widziano cię tam przynajmniej jeden raz. Nie chcę krzyżować z tobą noży, Rogerze Kilbourne. Ucz mnie szybciej.

To z całą pewnością był rozkaz.

— A przynajmniej udowodnij mi, że potrafisz dokonać tego, co o tobie mówią.

— Mój lordzie? Nie mogę...

— Myślę, że możesz. Dość już białych kamyków i powtarzania „george”. Udowodnij mi, tu i teraz, że rzeczywiście jesteś *antekiem*. Udaj się do Kraju Czarowników i przynieś coś stamtąd.

— Już to zrobiłem.

— Mówisz o młodocianym czarowniku, słudze twojego sługi. Sprowadziłeś to dziecko z Kraju Czarowników.

— Tak.

Niech tak sobie myśli, jeśli dzięki temu będzie mnie cenił wyżej.

— Ale nie widziałem, jak to zrobiłeś. Pójdź do Kraju Czarowników teraz, kiedy mogę cię obserwować, i przynieś mi coś stamtąd.

Gapiliśmy się na siebie. Mój umysł pracował gorączkowo. Znajdowałem się bardzo daleko od Wrzosowiska Duszorośli i z pewnością siostra się nie pojawi, jeśli przejdę na drugą stronę. A gdybym napotkał coś niebezpiecznego, będę mógł natychmiast wrócić. Ojciec jednak ostrzegał mnie bardzo stanowczo, żebym nic ze sobą nie przynosił. A Matka Chilton...

Nagle zalał mnie gniew. Zrób to, zrób tamto. Ciągłe kazano mi coś robić, ale jak mogłem wykonywać sprzeczne polecenia? Byłem hisafem. Sam będę za siebie decydował. W końcu ojcu jego decyzje przyniosły jedynie śmierć żony oraz uwięzienie w tajemniczym Galtryf. Cokolwiek wybiorę, z pewnością nie będzie to gorsze.

Pozostawał jednak strach. Bałem się znowu przejść do krainy Umarłych.

— Mój lordzie — zacząłem z pewnością, która nawet dla moich uszu brzmiała słabo i wątko — sztuk duszy nie wolno poganiać. W swoim czasie...

— Zrobisz to teraz. Albo uznam, że tego nie potrafisz.

— Mój lordzie...

— Tarek, chciałbym ci przerwać.

To był jeden z oficerów Młodego Wodza, starszy wiekiem wojownik odziany w krótką pelerynę z piór narzuconą na futrzaną bluzę. Na jego twarzy malował się niepokój. Naszych lekcji nigdy nie przerywano. W gruncie rzeczy po tarecku słowo „przerwać” znaczyło to samo, co „zaatakować”.

— *Klef* — zgodził się Tarek.

— Mar-gar-ejt nie żyje.

Lady Margaret. Nie żyła.

— Zamordowano ją? — zapytał Tarek.

— Nie potrafię tego określić.

— A moja królowa?

— Nic jej się nie stało.

Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie. Ich twarze były pozbawione wyrazu, lecz mimo to przekazywały wiele. Wiedziałem jednak, że nie zdołam nic z nich wyczytać. Nie byłem jednym z dzikusów. Niemniej

uświadomiłem sobie, że Tarekowi nie przerwano by z powodu śmierci „niewolnicy”, gdyby nie wydarzyło się coś więcej.

— Pójdę tam — oznajmił Młody Wódz. Spojrzał na mnie. — A ty pójdziesz ze mną, *antek*.

Tarek i jego oficer wyszli z namiotu. Straż Młodego Wodza otoczyła go pierścieniem, maszerując w tym samym tempie co on. Poszedłem za nimi. Towarzyszyli mi moi zaskoczeni strażnicy. Gdy Tarek szedł przez obóz, żołnierze milkli i stawali na baczność, unosząc nad głowy zaciśnięte lewe pięści. Wydawało się, że nawet drwa w ogniskach przestają potrzaskiwać. Dlatego wysokie, histeryczne krzyki Stephanie rozbrzmiewały wyraźnie w nocnym powietrzu.

Pod jej namiotem Tarek wydał rozkaz i jego strażnicy zostali na zewnątrz. Moi również. Oficer został w wejściu, trzymając w ręce wyciągnięty nóż. Tylko Tarek i ja mogliśmy wejść do namiotu nieletniej żony Młodego Wodza.

Stephanie siedziała na położonym na ziemi dywanie i wrzeszczała, próbując objąć chudymi ramionami zwłoki lady Margaret. Opiekunka przykucnęła obok.

— Wasza Miłość — powtarzała bezradnie — proszę, przestań. Wasza Miłość... kotku...

Na sukni lady Margaret nie było krwi, na jej głowie i kończynach nie widziałem żadnych ran. Jej twarz zamarła jednak w grymasie grozy.

Od jak dawna nie żyła? Gdybym przeszedł teraz na drugą stronę, nim zapadnie w bezmyślny spokój Umarłych...

Nie zrobiłem tego.

— Stejf-aj-n-ii! — przemówił ostrym tonem Tarek. — *Ka!*

Dziewczynka spojrzała na niego, po czym wrzasnęła jeszcze głośniejsze i wtuliła głowę w ramię opiekunki. Jej ciało drżało niepowstrzymanie. Nie

przestawała krzyczeć.

— Tłumacz — rozkazał mi Tarek, przekrzykując hałas. — Zapytaj, co się tu stało.

Podszedłem bliżej i położyłem dłoń na ramieniu opiekunki. Uniosła gniewnie wzrok i zobaczyła, że to ja.

— Błaznie-czarowniku... — wydyszała, wyraźnie zmieszana.

Nie miałem czasu, by kłócić się z jej obelgami.

— Jego lordowska mość chce się dowiedzieć, co... — zacząłem, podnosząc głos, by mnie usłyszała. — Wasza Miłość, proszę, przestań krzyczeć!

Moje słowa okazały się równie mało skuteczne jak słowa Tareka. Pod wpływem impulsu uklęknałem na ziemi, wyciągnąłem księżniczkę z objęć opiekunki — jak śmiałem uczynić coś takiego! — i wyszeptalem jej do ucha:

— Wiem, co widziałaś. Słyszysz mnie, Stephanie? Wiem, co widziałaś. Nie jesteś sam na sam z potworem.

Nie wiedziałem, co widziała, ale moje słowa poskutkowały. Dziewczynka nadal drżała i płakała, ale przestała wrzeszczeć. Samotność często jest najgorszym elementem cierpienia. Stephanie przytuliła się do mnie. Jej łzy wsiąkały w moją bluzę. W ustach miałem jej włosy.

— Dobrze, *antek* — odezwał się Tarek, tonem pośrednim między ulgą a niesmakiem. — A teraz dowiedz się, co tu się wydarzyło.

Spoglądając nad drżącym ramieniem księżniczki, zapytałem o to opiekunkę, która opowiedziała mi wszystko, spoglądając na mnie z zazdrością.

— Położyłyśmy z lady Margaret Jej Miłość spać, a potem lady Margaret usiadła na swoim posłaniu, bo czuła się bardzo zmęczona, a ja prałam rzeczy Jej Miłości...

W kącie stała wypełniona wodą miska. Obok niej leżała mała sterta płóciennej bielizny, otoczona rosnącą kałużą.

— Nagle lady Margaret siada wyprostowana na posłaniu i krzyczy — ona, która nigdy się nie uskarża ani nie narzeka na warunki, jakie musimy znosić podczas tej przekłętej podróży — i krzyczy: „Nie. Nie”. A mój koteczek budzi się w tej samej chwili i krzyczy: „Nie!”. W tej samej chwili! A potem lady Margaret osuwa się na posłanie, martwa jak worek kamieni. A Jej Miłość nie przestaje krzyczeć.

Przetłumaczyłem to wszystko. Tarek zwrócił się ku swemu oficerowi, nadal stojącemu tuż za wejściem.

— I dlatego mnie tu przyprowadziłeś, Sufgeku? Bo śmierć niewolnicy przestraszyła dziecko?

— Co on powiedział? — zapytała opiekunka. Zignorowałem ją.

— Obie obudziły się jednocześnie i czuły strach — odparł Sufgek, nie okazując żadnych emocji. — To mogły być czary.

Przeniósł wzrok na mnie.

Tarek również na mnie spojrział, gdy siedziałem na podłodze, tuląc w ramionach drżące, przerażone dziecko. W jaskrawoniebieskich oczach Młodego Wodza pojawił się wyraz namysłu.

— Nie — skwitował wreszcie. — To tylko babski *blimct*. Sufgeku, nie powinienesz być atakować moich nauk. *Klef!* — Wyszedł z namiotu. Oficer pośpiesznie usunął mu się z drogi. — *Antek*, wracaj do swego ogniska — rozkazał jeszcze Tarek, oglądając się przez ramię. Poła namiotu opadła.

Miałem tylko parę chwil.

— Kogo widziałaś we śnie? — zapytałem szeptem Stephanie.

— Nie! Nie odchodź!

Była gotowa znowu się rozwrzeszczeć.

— Jeśli narobisz hałasu, Tarek wróci — odezwałem się pośpiesznie, czując wstręt do samego siebie. — A tego byś nie chciała, prawda?

— Nie chciałabym — potwierdziła. — Mówiłeś, że wiesz, co widziałam — dodała, tłumiąc płacz.

Zagroziłem jej utratą pocieszenia płynącego ze świadomości, że nie jest sama.

— Widziałaś dziewczynkę w koronie, prawda? — zapytałem pośpiesznie. — I powiedziała ci coś niedobrego?

Zacisnęła konwulsyjnie ramiona wokół mnie. Poła namiotu się uniosła.

— *Antek. Klef. Klef* — rzekł głośno mój strażnik, odwracając wzrok od siedzących w środku kobiet.

— Nie odchódź! — zawyła Stephanie.

— Muszę. — Gdyby wywleczono mnie z namiotu, krzyczałyby jeszcze bardziej. — Ale jutro wrócę. Pamiętaj, nie jesteś sama. Możesz walczyć ze złą dziewczynką w koronie.

Wstałem, a Stephanie przejęła ode mnie opiekunka. Mój strażnik naprawdę wszedł do namiotu, w którym mieszkały kobiety. To świadczyło, jak daleko był skłonny się posunąć, by wykonać rozkazy. Mnie jednak nie dotknął. Młody Wódz zapewne dawał swemu oficerowi lekcję dyscypliny, na czymkolwiek mogła ona polegać, i do jutrzejszego wieczoru nie musiałem mu niczego demonstrować.

Tarek był inteligentniejszy od swego strachliwego podkomendnego i zaczął już powątpiewać w moje domniemane moce. Najwyraźniej nie wierzył, bym spowodował czarami śmierć lady Margaret. Pod tym względem miał rację, a zarazem się mylił. Do śmierci kobiety mogły faktycznie przyczynić się sztuki duszy, ale nie ja ich użyłem.

Tom i Jee czekali na mnie przy ognisku.

— Księżniczka... — jęknął Tom, otwierając szeroko oczy. — Jej Miłość...

— Czy coś jej się stało? — dodał Jee z pasją w głosie, pochylając ku mnie swe chude ciało.

— Nie, Jee, nic. Ale lady Margaret nie żyje. Umarła we śnie. Księżniczka się przestraszyła, to wszystko.

Uspokoił się. Lady Margaret nic dla niego nie znaczyła, podobnie jak dla Toma, który natychmiast rozpoczął długą opowieść o tym, jak stara ciotka jakiejś dziewczyny z Almsbury umarła podczas snu. Dla mnie jednak lady Margaret coś znaczyła. Oczyma duszy ujrzałem ją na dworze, gdy uczyła porządku damy królowej Caroline. Zimową nocą grała na lutni przy kominku. Gdy znalazła mnie nieprzytomnego w pałacowych korytarzach i kazała zanieść do swych bezpiecznych komnat. Widziałem ją podczas monstrualnego małżeństwa Stephanie, gdy sprzeciwiła się panu młodemu, odchodząc z godnością od tronu w ślad za opiekunką. Z małą księżniczką przy płonącym w górach ognisku, gdy prosiła mnie, bym „pomógł Jej Miłości”. A teraz, dzięki jakiejś straszliwej sztuce, której nie rozumiałem, zamordowano ją za pomocą snu.

Czekaj spokojnie w krainie Umarłych, dobra pani.

— Peter — odezwał się cicho Jee, korzystając z tego, że radosna gadanina Toma zagłuszała jego słowa. — Zrobiłem to. Spotkałem się z Alysse. Przesyła ci to.

Zacisnął na chwilę ciepłą rączkę na mojej dłoni. Poczułem, że trzymam w niej paczuszkę owiniętą w liście i przewiazaną pnączem.

41

Wkrótce potem w obozie zapadła cisza. Gdy żołnierze wstają przed świtem i przez cały dzień maszerują z ciężkimi bagażami na plecach, zasypiają szybko i śpią głęboko. Ale nie wartownicy. Wojownika, który zasnął na służbie, karano śmiercią. Teraz, gdy nie było wozu, w którym mogliby mnie zamknąć, strażnicy strzegli mnie na zmianę przez całą noc. O którejkolwiek godzinie bym się obudził, zawsze jeden z nich czuwał przy mnie albo dokładał drew do ognia, uważając na każdego, kto zbliżył się do naszego kręgu ognia. Ja jednak miałem paczuszkę od Alysse.

Gdy tylko odwinąłem liście, zapach powiedział mi, co się kryje w środku. Potem wyjąłem małe ciasteczko i udałem, że zjadłem kawałek, pozwalając, by okruchy wpadły mi za bluzę. Uważałem, by nie połknąć ani jednego, ale to nie było łatwe. Wystarczająco trudno było się oprzeć miodowi i orzechom — w armii dawno już zabrakło ukradzionego z pałacu cukru — ale to aromat ciastka sprawiał, że usta wypełniała mi słodka ślinka, a język poruszał się niecierpliwie. Narkotyk, którego używały Alysse i Fia, pachniał jak wszystkie sny o jedzeniu, jakie kiedykolwiek nawiedzały głodujących.

Tom pożarł pierniczek Fii i zasnął jak kamień. Ja zjadłem swój, doprawiony innym ziołem, i zapomniałem, jak mam na imię, jak wyglądają

gałęzie sosen i dlaczego nie powinienem kochać się z tą czarującą dziewczyną... Ale to nie tego drugiego narkotyku dodała do ciastka Alysse.

Zostawiłem resztę pierniczka na szerokim liściu i udałem, że zasnąłem.

Strażnik był młody, ale był również żołnierzem. Nie dotknął ciastka. Na wpół otwartym okiem widziałem, jak porusza nosem, a w pewnej chwili nawet wyciąga rękę w stronę liścia. Zaraz ją jednak cofnął. Jeśli postanowi zjeść ciastko pod koniec służby i zaśnie przy własnym ognisku...

Dlaczego Alysse przysłała tylko jeden pierniczek? Z pewnością mogła przewidzieć ten problem?

Dzikus nie zjadł ciastka. Nadal leżało na liściu, wypełniając powietrze słodkim, kuszącym zapachem, gdy drugi strażnik zmienił pierwszego. Dołożył drew do ogniska, usiadł przy nim i przyjrzał się trzem nieruchomym więźniom. Gwiazdy na niebie lśniły ostrym, zimnym blaskiem. Tom chrapał. Dzikus gwizdał pod nosem — nigdy dotąd nie słyszałem, by któryś z nich to robił — słodką, smętną melodyjkę. Czy wszyscy potrafili dobrze śpiewać, tak samo jak wszyscy mieli niebieskie oczy? Po chwili przestał gwizdać. Nastąpiła pełna napięcia chwila, po której zjadł pierniczek.

Wkrótce... wkrótce... teraz.

Chrapał jeszcze głośniejsze od Toma. Czy ktoś go usłyszy? Nikt nie usłyszał. Oprócz mnie wartownicy strzegli tylko namiotu księżniczki. Dzielilo nas od niego kilkaset stóp ciemności, a warty wystawione wokół obozu były jeszcze dalej. Służący — teraz niewolnicy — zabrani z pałacu byli za mało warci, by ich pilnować. Odsiecz z Reginokracji już nie przybędzie, a jeńcy nie mieli dokąd uciekać.

Usiadłem powoli, przyglądając się śpiącemu obok strzelby dzikusowi. W mroku wyglądał zupełnie jak porośnięty futrem głaz. Po kilku chwilach Alysse zakradła się w krąg światła i poprowadziła mnie bezgłośnie

w głęboki, cichy cień kępy krzaków między ogniskami. Jej palce były zimne.

— Kim jesteś? — wyszeptałem. — Kochałaś się z Tomem, żeby do mnie dotrzeć? Przychodzisz od Matki Chilton?

— Tak. Nie. To nie tak. — Jej głos brzmiał wrogo. W pierwszej chwili to mnie dziwiło, ale potem przestało. — Powiedziano ci, żebyś więcej nie przechodził na drugą stronę. Obiecałeś, że tego nie zrobisz, ale złamałeś tę obietnicę, tak samo jak złożoną Fii.

Czy było coś, czego kobiety z sieci nie wiedziały?

— Hisaf, mój ojciec... — zacząłem z pasją. Jak dziwnie zabrzmiały te słowa, gdy wypowiedziałem je na głos. — On powiedział mi, że przechodząc na drugą stronę, nikomu nie zagrozę, pod warunkiem że niczego stamtąd nie przyniosę!

— Hisafowie mają swoje przekonania dotyczące krainy Umarłych, a my mamy swoje. Oni się mylą.

— Ale hisafowie potrafią tam przechodzić, a wy nie! — Nagle wstrząsnęły mną wątpliwości. — A może potraficie?

— Nie. Nasza wiedza pochodzi z innych źródeł. My...

— Kto to są „my”? Kim jesteś ty i Matka Chilton? Kim była Fia?

— Tymi, które walczą w obronie życia.

— Ale czy wszystkie jesteście czarownicami, czy...

— Kim jesteśmy to nie twoja sprawa. Nie przybyłam tu po to, by spierać się z tobą o nazwy, Rogerze Kilbourne. Podjęłam poważne ryzyko, by z tobą porozmawiać, i owo ryzyko powinno cię przekonać, że to, co mam ci do powiedzenia, jest straszliwie ważne.

— A co masz do powiedzenia?

Jej zimna dłoń zacisnęła się na mojej tak mocno, że zabolalo. Była znacznie silniejsza, niżby się zdawało. Jej głos miał w sobie pasję,

wzmacnianą jeszcze przez ciemność.

— Przybyłam tu powiedzieć ci dwie rzeczy. Po pierwsze, bez względu na to, co mówią hisafowie, nie możesz już nigdy przechodzić na drugą stronę.

— A dlaczego?

— Czy uwierzysz mi w tej sprawie na słowo?

— Nie. Ojciec mi powiedział...

— Niech licho porwie twojego ojca! Jest teraz jeńcem w Galtryf, to wszystko, co udało się osiągnąć twoim hisafom!

— Skąd o tym wiesz? Skąd? Siostra mi powiedziała...

— To twoja siostra jest prawdziwym powodem, dla którego nie możesz przechodzić na drugą stronę. Połączyła was ze sobą więź krwi. Jest wielką groźbą dla ciebie, a jeszcze większą dla reszty żywych.

— Nie mówisz mi niczego, o czym bym już nie wiedział — odparłem jadowitym tonem. — Z pewnością nie przybyłaś tu po to, by przekazać mi tylko to. Powiedz mi dokładnie, co ona może i czego nie może zrobić!

Głos Alysse zmienił ton. Przestała mnie besztać i rozpaczliwie próbowała mnie teraz przekonać. W jej słowach płonął ogień desperacji. Mówiła powoli, a każde słowo niosło ze sobą straszliwy ciężar.

— Grób wcale nie jest murem dzielącym żywych od martwych, jak wyobrażają to sobie hisafowie. Na tym właśnie polega ich błąd. Nie ma muru, nie ma fosy, nie ma zamkowych umocnień. Musisz wytworzyć w swym umyśle zupełnie inny obraz. Ci, którzy żyją, i ci, którzy umarli, są połączeni w wielką sieć. Jak mogłoby być inaczej, jeśli Umarli byli niegdyś żywi, a żywi muszą pewnego dnia dołączyć do Umarłych?

— Matka Chilton mówiła o „sieci bytu”. Ale nie rozumiem, jak...

— Pewnie, że nie rozumiesz. Jesteś tylko hisafem, a do tego nieszczerze zdolnym. Wysłuchaj mnie, Rogerze Kilbourne. Samym

aktem przejścia na drugą stronę nie zakłócasz jeszcze sieci bytu, tak jest. W tym aspekcie twój ojciec miał rację. Ale przecież nie przechodzisz sam, prawda? Gdy przynosiłeś ze sobą innych i należące do nich przedmioty, za każdym razem zakłócałeś równowagę sieci. Szarpałeś jej delikatne nici i zrywałeś niektóre z nich. Nie mówię, że to ty wywołałeś tę wojnę. Ona zaczęła się jeszcze przed twoim urodzeniem. Ale pomogłeś nieprzyjacielowi, och, jak bardzo mu pomogłeś!

— Nie tylko ja zrywałem nitki. Kto przysłał z powrotem Fię, Cienia, Owca i inne psy?

— Ani Fia, ani psy nie były naszą robotą. Nie próbuj mnie oskarżać, Roger. Nie wiesz wszystkiego, a ja nie powiem ci nic więcej. Jesteś tylko ignoranckim chłopakiem, który już bardzo mocno pomógł nieprzyjacielowi. Czy nie rozumiesz? Wrzosowisko Duszorośli niszczy sieć łączącą ze sobą życie i śmierć. W obu kryje się ogromna moc, płynąca wzdłuż nitek sieci bytu, która utrzymuje je w równowadze. Nawet twoja zrodzona w straszliwych okolicznościach siostra jest częścią owej sieci. Wyjęci spod prawa hisafowie wykorzystują ją na spółkę z Wrzosowiskiem Duszorośli. Hisafowie twojego ojca mają nadzieję ją zabić. Żadnej z tych grup nie może się udać. Jeśli przepływ mocy sieci, najpotężniejszej mocy na świecie, zostanie tak nagle i straszliwie zakłócony, jak sądzisz, co się stanie z żywymi? Albo z Umarłymi, którzy z takim zaufaniem czekają na...

— Na co czekają? — przerwałem Alysse. Oszołomiły mnie jej słowa. Czy barierę między żywymi a martwymi rzeczywiście można było zniszczyć? — Na co czekają Umarli w swych kręgach? Powiedz mi!

— Na miecz — odparła prosto.

Potrząsnąłem głową w ciemności. I nagle sobie przypomniałem.

— Widziałem, jak coś jasnego i straszliwego wyłoniło się z nieba w krainie Umarłych...

Alysse wciągnęła nagle powietrze.

— Widziałeś miecz?

— Nie wiem. Tylko przez chwilę. Nie jestem pewien. To było w momencie, gdy sprowadziłem z powrotem armię Niebieskich. Coś rozdarło niebo, ale było zbyt jasne i nie mogłem na to patrzeć. Potem przeszedłem.

Jęknęła.

— W ogóle nie powinieneś go ujrzeć. Nie powinien go zobaczyć nikt poza... nie powiem ci nic więcej. Nie masz prawa tego wiedzieć. Roger, nie wolno ci już więcej przejść na drugą stronę z jakiegokolwiek powodu.

— Przecież przyznałaś, że samym przechodzeniem niczego nie zakłócę.

Dlaczego się o to spierałem? Bałem się przejść na drugą stronę.

— Nie chodzi tylko o to, co mogłoby się stać tobie, Roger. Chodzi również o twoją siostrę. Ona spoczywała... spoczywa... w samym środku sieci. Moc, którą Duszoroślanie pragną ukraść Umarłym i zagarnąć dla siebie, przepływa przez nią, przez nienaturalną, żywą obecność bytującą wśród Umarłych. Czy nie rozumiesz, dlaczego jest obłąkana? Coś takiego każde dziecko doprowadziłoby do szaleństwa. W przeciwieństwie do innych hisafów, wiernych i niewiernych, ciebie łączą z nią więzy krwi. Gdybyś usunął ten ośrodek mocy, przebywając w krainie Umarłych, na przykład dlatego, że sądzisz, że musisz ją zabić, by bronić siebie, to mogłoby spowodować straszliwe szkody. Nie wolno do tego dopuścić. Ona również nie może ciebie skrzywdzić.

— A dlaczego? — zapytałem z goryczą. — Jeśli spowodowałem już tak wiele szkód w krainie Umarłych, i tak bardzo pomogłem Wrzosowisku Duszorośli, jeśli jestem winien tak wielkiego zła, po co zadajecie sobie tyle

trudu, by mnie chronić? Dlaczego po prostu nie pozwolicie, żeby siostra mnie wykończyła?

— To nie ciebie staramy się chronić.

— Nie mnie? W takim razie kogo? Księżniczkę Stephanie? Moja siostra pojawia się w jej snach i...

— Stephanie również jest częścią sieci i byłoby znacznie lepiej, gdyby to biedne dziecko zastrzelili żołnierze Tareka. Wtedy dziewczynka odnalazłaby spokój w krainie Umarłych. Teraz zaś dręczy ją twoja siostra, a dzikusy strzegą jej tak pilnie, że kosztów jej uwolnienia nie mogłybyśmy zaakceptować. Ale księżniczka nie może spowodować żadnych zaburzeń w krainie Umarłych i nie z jej powodu tu przybyłam. Również nie z jej powodu zaryzykowałam tak wiele, by z tobą porozmawiać.

Jej głos pobrzmiwał lękiem tak silnym, że poczułem ucisk w piersiach. Trudno mi było oddychać. Z całą pewnością nie spodziewałem się jednak usłyszeć tego, co powiedziała mi teraz Alysse.

— Jeśli uda ci się jakoś stąd uciec, Rogerze Kilbourne, jeśli nie zginiesz z rąk Tareka, nie wolno ci wrócić do Maggie. Ona przebywa u swojej rodziny, w wiosce Tanwell, ale ty nie możesz tam pójść. Twoja siostra nie wie o Maggie, ale jeśli udasz się do Tanwell, może się dowiedzieć.

— Nie rozumiem. Nie mogę wrócić do domu? Matka Chilton chciała, żebym wrócił do Maggie. Tak mi powiedziała!

— Tak — przyznała Alysse. Jej głos stał się tak cichy, że musiałem się pochylić do ucha stojącej w krzakach kobiety, by cokolwiek usłyszeć. We włosy wplątały mi się gałązki. — Kiedy Matka Chilton mówiła ci, żebyś wrócił do Maggie, nie wiedziałyśmy tego, o czym wiemy teraz. Przybyłam tu, narażając się na niebezpieczeństwa, jakich nie jesteś w stanie zrozumieć, by ci powiedzieć, że nigdy, pod żadnym pozorem, nie wolno ci wrócić do Maggie.

— A więc to Maggie chcecie chronić? To dla niej podjęłaś to ryzyko?
Dla niej Fia...

— Nie. Nie Maggie.

— W takim razie kogo?

Minęła długa chwila, nim Alysse mi odpowiedziała. Odnosiłem niesamowite wrażenie, że kobieta nasłuchuje czegoś pośród gwiazdzistej nocy. Wreszcie z ciemności popłynął jej głos, powolny i niechętny.

— Twoje dziecko będzie synem.

Potem zniknęła. Z krzaków wyskoczył królik i przepadł w zimnej nocy.

Rankiem dzikusy pochowały lady Margaret. O świcie mnie i Toma obudził nasz pierwszy strażnik. Tego, którego uśpiłem za pomocą pierniczka Alysse, zawleczono gdzieś i zapewne rozstrzelano za spanie na służbie. Nic mnie to nie obchodziło. Dwaj żołnierze zaprowadzili nas do lasu, gdzie na położonej nieopodal polanie wykopano dół. Ciało lady Margaret leżało już na jego dnie, owinięte w tkaninę służącą dotąd jako zasłona jej krzesła na tyczkach.

Staliśmy z Tomem przy dole, nie wiedząc, co będzie dalej. Nagle pojawił się również Jee. Drżeliśmy na dokuczliwym chłdzie. Niebo przesłaniały ciemne, nisko wiszące chmury. Drzewa tłumiły odgłosy porannego ruchu panującego w obozie. Trudno mi było myśleć o lady Margaret czy o czymkolwiek innym poza tym, co powiedziała mi Alysse. O władzę nad siecią bytu walczyły dwie frakcje: Wrzosowisko Duszorośli wspierane przez niewiernych hisafów przeciwko hisafom mojego ojca oraz kobietom z sieci, a te dwie ostatnie grupy nie chciały ze sobą współpracować ani nawet dzielić się informacją. „Twoje dziecko będzie synem...”.

— Przynajmniej dzikusy ją pochowają — mruknął z niechęcią Tom. —
A mogłyby...

Machnął ręką na znak, że dzikusy są zdolne do wszystkiego.

Ja również czułem się zaskoczony. Bez względu na opinię Tareka nawet jego oficer wierzył, że śmierć lady Margaret miała coś wspólnego z czarami. Sądząc po tym, jak odnosili się do Jee, żołnierze nie lubili nawet dotykać trupów. Mimo to Tarek najwyraźniej rozkazał, by lady Margaret pochowano zgodnie ze zwyczajami jej ludu, a żołnierze go posłuchali. Dyscyplina.

Gdy tam staliśmy, niebo pociemniało jeszcze bardziej i spadło kilka kropli deszczu. Jeśli oziębi się jeszcze choć odrobinę, deszcz przerodzi się w śnieg.

— Na co czekają? — mruknął Tom.

— Na nią — odparł Jee.

— Na kogo?

— Na księżniczkę.

Oczywiście. Chłopiec zrozumiał to szybciej ode mnie. Lady Margaret była najważniejszą ze służki księżniczki Stephanie. Dla Tareka młody wiek ani histeria nie byłyby powodem do uchylenia się przed spełnieniem królewskiego obowiązku uczestnictwa w obrzędach pochówku. Na swój sposób zachowywał się przyzwoicie. Wściekało mnie to.

— Nie bądź głupi, Jee — odezwał się Tom. — Nikt nie przyprowadziłby małej dziewczynki...

Księżniczka wyszła spomiędzy drzew.

Ścisnęła dłoń opiekunki, a jej buzia była bezkrwista jak kamień, który dałem Tarekowi. Oczy dziewczynki wypełniała panika. Za nią szli strażnicy oraz sześciu czy ośmiu ludzi z pałacu. Tom wyciągał szyję, wypatrując Alysse. Nie było jej tam.

Gdy Stephanie podeszła do brzegu dołu i zajrzała do środka, na jej twarzy pojawiło się zdziwienie. Potem ustąpiło miejsca zrozumieniu i dziewczynka otworzyła usta do krzyku.

Jee natychmiast popędził w jej stronę.

— Nie! — zawołał. — Wszystko będzie dobrze!

Odwróciła się, by zobaczyć, kto krzyczy. Nim chłopiec zdążył do niej dobiec, strażnicy księżniczki złapali go i cisnęli pod drzewo. Natychmiast zerwał się na nogi, potrząsając głową, i ponownie ruszył w jej stronę.

— Nie, Jee! — zawołałem i pogałem ku niemu. A więc dzikusy były gotowe go dotknąć, jeśli zbliży się do księżniczki. Zabiją go. Ale nie mnie. Widzieli, jak Tarek pozwolił mi wczoraj wejść do namiotu Stephanie. Pozwolili mi podejść bliżej i uklęknąć przy niej. Dziewczynka objęła mnie drżącymi rękami.

— Wasza Miłość, nie krzycz. Nie krzycz. Jestem przy tobie.

Skinęła głową. Uniosłem ją w górę zdrową ręką i kikutem drugiej. Niańka łypnęła na mnie z zazdrością. Strażnicy wymienili spojrzenia. Ich miny świadczyły, że nasze obrządki, jakkolwiek by wyglądały, nic ich nie obchodzą. Niech niewolnicy z podbitego kraju ukończą je jak najszybciej, żeby można było wznowić marsz do domu.

Nikt jednak nic nie robił i uświadomiłem sobie, że wszystko spadnie na mnie jako *anteka*.

Podszedłem do skraju grobu, trzymając w objęciach wciskającą twarz w moje ramię księżniczkę.

— Oddajemy duszę lady Margaret niebu — zacząłem głośno. — A... hmm... ciało oddajemy ziemi. Była szlachetną damą i dobrą kobietą. Wielu pomogła, a wszyscy ją kochali. Żegnaj, lady Margaret. Opiekunko, zabierz stąd księżniczkę. Reszta również niech wraca. *Kevel bik ben tekir, semak*.

„Wy dwaj, pokryjcie ciało ziemią”.

Dwaj żołnierze, na których wskazałem kikutem, mieli zdziwione miny. Popatrzyli na siebie nawzajem, ale potem poszli po oparte o drzewo łopaty. Ludzie z pałacu, równie zaskoczeni faktem, że rozkazuje im ktoś, kto

kiedyś był błaznem królowej, także mnie posłuchali. Niańka wzięła od mnie dziewczynkę.

— Bądź odważna — wyszeptałem jeszcze. — Później do ciebie przyjdę.

Jee śledził ją spojrzeniem. Po kilku chwilach na polanie zostaliśmy tylko on, Tom i ja oraz dwaj strażnicy. Przyglądaliśmy się, jak dzikusy sypią ziemię na ciało lady Margaret.

Potem Jee podszedł do grobu. Żołnierze usunęli mu się z drogi. Chłopiec pochylił się i rzucił na świeżo usypaną ziemię gałązkę ostrokrzewu. O tak późnej porze roku nie było kwiatów, ale jaskrawoczerwone jagody i lśniące zielone liście wyraźnie rysowały się na kopcu.

Nastała chwila ciszy

— A niech to, szkoda, że o tym nie pomyślałem — odezwał się wreszcie Tom. — Dlaczego nie wygłosiłeś porządnej mowy pogrzebowej, Peter?

— Dlatego, że nigdy żadnej nie słyszałem.

Zaczął padać.

Przez cały ranek siąpił zimny szary deszczyk. Wędrówka była bardzo nieprzyjemna, zwłaszcza że wiatr wiał z zachodu, ciskając nam krople prosto w twarz. Dzikusom to najwyraźniej nie przeszkadzało. Żołnierze z każdym krokiem zbliżali się do domu. Maszerowali przez błoto ze śpiewem na ustach, nawet jeśli któryś z nich pośliznął się na schodzącym w dół szlaku i runął na tyłek. Koledzy śmiali się głośno i drwili w niego, przynajmniej wtedy, gdy oficer nie słyszał. Nauczyłem się kilku nowych wulgarnych słów po tarecku.

Ludzie z Reginokracji byli w zupełnie innym nastroju. Obrócenie w niewolników służący wlekli się przy jedynym pozostałym krześle na tyczkach, pochylając głowy pod padający deszcz. Rysy ich twarzy wyrażały napięcie. Jak wygląda to miejsce, do którego zmierzamy? Co nas tam czeka? Moje problemy miały pilniejszy charakter: Co się ze mną stanie dziś

wieczorem, gdy Tarek wysze po mnie, bym udzielał mu nauk, w które najwyraźniej już nie wierzył?

— Nic nie mówisz, Peter — poskarżył się Tom. Szedł obok mnie. Sznur, którym spętano mu nogi, skracał jego kroki. Najwyraźniej zapomniał już o lady Margaret. — Jee znika co dziesięć minut, Alysse nie ma wśród kobiet, a ty masz twarz jak rozdeptany ziemniak i... Peter! — Jego twarz, zlewana wodą spływającą z jasnych włosów, rozpromieniła się niespodziewanie. Pochylił się ku mnie. — Czy to już dzisiaj? — zapytał konspiracyjnym szeptem. — Czy... no wiesz?

Udał, że pije ale, a potem krztusi się i umiera, w sposób tak teatralny, że zapewniłoby by mu to miejsce wśród komediantów albo w więzieniu.

— Przestań, Tom!

— No dobra. Ale czy to zrobisz? Dziś wieczorem?

— Nie wiem.

To z pewnością było prawdą. Niczego nie wiedziałem na pewno. Podejrzywałem jednak, że to nie Tarek umrze pierwszy.

— Ale, czy myślisz, że...

— Och, przestań wreszcie gadać, Tom!

Skrzywił się.

— Jak sobie życzysz — odparł pełnym urazy tonem. — Jee wraca. Pewnie wolisz powiedzieć to jemu.

Tom odsunął się — żywy obraz zranionej godności z ociekającymi deszczówką włosami.

Jee wśliznął się do kolumny i zajął pozycję obok mnie. Krew na jego twarzy zakrzepła, tworząc świeży strup, jaskrawy i czysty od deszczu.

— Widziałem — oznajmił.

— Widziałeś książniczkę Stephanie?

— Tak. Odsunęła tkaninę i wyjrzała na zewnątrz. Ciągłe płacze. Teraz umrze jej niania, prawda? — dodał bardzo cicho.

— Nie wiem.

Ale przecież wiedziałem.

— A po niani ty umrzesz we śnie?

— Nie. — Zwyciężyła jednak szczerść. — Najprawdopodobniej wcześniej zginę z ręki Tareka. Wysłuchaj mnie uważnie, Jee. Jeśli do tego dojdzie, musisz opuścić obóz. Zabierz ze sobą Toma, jeśli zdołasz, ale jeśli nie, ucieknij sam. Wróć do domu przez góry. — Co ja gadałem? Kazałem dziesięciolatkowi przejść zimą Góry Zachodnie? Nie miałem mu jednak do zaoferowania nic lepszego. — Ucieknij. Wróć do Maggie.

— Nie mogę jej opuścić.

— Masz rację. Nie możesz opuścić Maggie. Musisz...

— Nie Maggie. Księżniczki. — Uniósł wzrok. Po twarzy spływał mu deszcz. — Nie mogę jej zostawić z tymi cholernymi dzikusami.

Miłość. Nawet u dziesięciolatków prowadziła do odwrócenia lojalności i pozbawiała rozsądku. Tak samo było, gdy ja zakochałem się w Cecylii albo Maggie we mnie. Wyczytałem w twarzy chłopca oznaki walki. Kochał Maggie. I kochał Stephanie.

— Jee...

Ale on już czmychnął jak mały cień przemykający przez deszcz.

Po kilku godzinach zatrzymaliśmy się na południowy posiłek, choć zza chmur nie było widać słońca i nie mogliśmy być pewni, czy rzeczywiście jest południe. Zjedliśmy mokrą kaszę i pleśniejący ser. Potem położyłem się, owinięty w płaszcz, i pomimo deszczu natychmiast zasnąłem.

— Czy sny są przełączką do Kraju Czarowników? — zapytał mnie jakiś czas temu Tarek.

— Tylko dla *anteków* — odpowiedziałem mu wtedy. Teraz próbowałem przywołać we śnie siostrę, podobnie jak kazałem Tarekowi przywołać biały kamyk. Jeśli zdołam ją przyciągnąć do swego snu, może dowiem się od niej czegoś bez konieczności przechodzenia do krainy Umarłych. Do tej pory zawsze się bałem snów o siostrze...

...zielone oczy lśniące szaleństwem, głos wołający mnie po imieniu we mgle...

...ale teraz pragnąłem, aby mi się przyśniła. Tarek potrafił przywoływać do swych snów, co tylko zechciał.

Ale ja nie potrafiłem. Podczas krótkiej drzemki nic mi się nie przyśniło. Potem ruszyliśmy w dalszą drogę i maszerowaliśmy aż do zmierzchu. Z chwilą jego nadejścia deszcz szczęśliwie przestał padać. Wysuszyliśmy wszystko przy ogniskach, ale tylko w niewielkim stopniu. Zbyt wcześnie nadeszła chwila, gdy strażnik skinął na mnie dłonią, każąc mi iść do namiotu Tareka na wieczorne nauki, jakby Młody Wódz nadal w nie wierzył. To mógł być mój ostatni dzień w krainie żywych.

Nic nie powiedziałem towarzyszom. Tom tylko by się wściekł, pogarszając znacznie sytuację, a Jee wyjaśniłem już wszystko, co było konieczne. Obiecałem księżniczce Stephanie, że przyjdę dziś do niej, ale wątpiłem, że dotrzymam obietnicy. Nie tylko w tym przypadku zresztą.

Miałem jednak plan. Desperacki i głupi, ale zawsze.

— Pomóż jej — poleciła mi lady Margaret, mając na myśli Stephanie, lord Robert Hopewell w pałacowym lochu powiedział mi zaś, że mam obowiązek uratować księżniczkę. Ani lady Margaret, ani lord Robert nie wpłynęli jednak na moją decyzję w takim stopniu jak inne dziecko: mój nienarodzony syn. Jemu nie mogłem pomóc, nie wolno mi było do niego pójść, nawet gdybym przeżył, bo w ten sposób moja szalona siostra dowiedziałaby się o jego istnieniu. Nie mogłem też zrobić wiele dla Jee.

Dlatego uczynię, co w mojej mocy, by pomóc Stephanie, trzeciemu dziecku zaplątanemu w tę śmiertcionośną wojnę, której żadne z nich nie rozumiało. Ja również.

Dotarliśmy do namiotu Tareka i wszedłem do środka.

43

Młody Wódz naradzał się z jednym ze swych oficerów. Na mój widok natychmiast przerwali rozmowę. Strażnik uniósł pięść w salucie i wyszedł. Nawet na mnie nie zerknął. Mogłem być dla niego niewidzialny jak Jee — ponieważ uważał mnie za czarownika — albo niewidzialny jak owad, gdyż sądził, że nie zasługuję na uwagę, a wkrótce i tak umrę.

— *Klef* — rzekł Tarek.

Nie nazwał mnie *antekiem*. Mogłem jedynie wyprzedzić jego atak, licząc na to, że go zaskoczę.

— Mój lordzie, zaczynasz uważać, że nie jestem *antekiem*.

Język tworzył między nami barierę. Nie wiedziałem, jak powiedzieć „tracić wiarę”, ale udało mi się przyciągnąć jego uwagę. Przyjrzał mi się, mrużąc powieki. Nic nie powiedział.

— Poprzednim razem kazałeś mi przynieść coś z krainy Umarłych, a ja ci powiedziałem, że sztuki *anteków* nie wolno poganiać.

— Tak.

Jego twarz nabrała ostrzejszych rysów. Tarek był żołnierzem i potrafił rozpoznać frontalny atak.

— Zrobię to, ale nie teraz. Nie dzisiejszej nocy.

— A dlaczego?

— Dlatego, że jestem *antekiem*, a *antek* nie łamie swej dyscypliny, nawet dla wodza.

Tarek nie odpowiedział. Przez długą chwilę sądziłem, że przegrałem. Postawiłem na to, że *antek* we własnej dziedzinie jest w pierwszej kolejności winien lojalność swej sztuce. Jeśli się myliłem, zginę, a Tom i Jee razem ze mną.

— To prawda — przyznał po chwili Tarek i znowu mogłem oddychać. — Kiedy twoja dyscyplina wyśle cię do Kraju Czarowników? Powiem ci jedno, *antek*. To musi się wydarzyć wkrótce.

— To będzie wkrótce.

— Kiedy?

— Gdy tylko odeślesz księżniczkę.

Zmarszczył czoło.

— Odeślę?

Użyłem jedyne go znanego mi tareckiego słowa, które mogło pasować — „wyrzucić”, jak nóż, który się złamał. Najwyraźniej nie było odpowiednie. Biały kamyk leżał na trójnożnym stołku Tareka. Czy miał zamiar mi go zwrócić, jako gest odrzucenia i pogardy? Uniosłem kamyk jedyną dłonią, ścisnąłem go mocno, by powstrzymać jej drzenie, i zdobyłem się na odwagę, by spróbować raz jeszcze.

— Pójdę do Kraju Czarowników, gdy powiesz, że księżniczka nie jest twoją żoną i musi wrócić do Reginokracji.

Tym razem zrozumiał. Gnałem dalej, jak człowiek, który wszedł w bystrza i nie może uciec z rzeki, dopóki się nie skończą.

— Królowa jest jeszcze dzieckiem i nie może być dla ciebie prawdziwą żoną. Poza tym nie zna dyscypliny. Widziałeś to ostatniej nocy. Twoi ludzie jej nie lubią. Możesz ją wyrzucić. Mówię ci to z bardzo ważnego powodu.

Poprzedniej nocy się myliłem. Popełniłem błąd. Sny księżniczki Stephanie mogą pochodzić od czarownicy.

Tarek jednym krokiem pokonał dzielącą nas odległość, złapał mnie za bluzę i prawie podniósł nad ziemię. Czułem jego siłę i gniew niczym błyskawice przepływające z jego ciała do mojego. Jego woń wypełniła mi nozdrza: męski pot, zwierzęce futro i wściekłość. Moja ręka, w której nadal ściskałem biały kamyczek, miotła się bezradnie, ale jakaś prymitywna część mózgu powstrzymała mnie przed próbą zadania ciosu.

— Kłamiesz, *antek*.

— Nie! — wydyszałem. — Mój lordzie...

Puścił mnie. Zachwiałem się, ledwie utrzymując się na nogach. Słowa wypływały ze mnie tak szybko, że prawie nie wiedziałem, co mówię:

— Czy popełniłeś kiedyś błąd w swojej sztuce? W wojnie? Wszyscy czasem się mylimy. Powiedziałem ci wczoraj, że księżniczka nie jest... — Jak jest po tarecku „ofiara”? Nie mogłem znaleźć potrzebnych słów. — Że lady Margaret nie zabiła czarownicy. To prawda. Ale dręczące królową koszmary... Powiedziałem ci, że tylko *antek* może użyć snów jako przełączny do Kraju Czarowników. Powiedziałem! Dziś w nocy miałem sen. Teraz wiem więcej niż wczoraj, ponieważ w tym śnie królową Stephanie zaatakowała czarownica. Ja tego nie zrobiłem! Ale królowa również jest bez winy, mój lordzie. Czarownica chce zaatakować ciebie przez nią, jak wojownik mógłby podbić słabsze państwo, by móc zaatakować silniejsze...

Popełniłem błąd. Wyczytałem to z jego twarzy. Tarek nie był żołnierzem, który wykorzystywał słabszych do ataku na silniejszych. To byłoby poniżej jego godności. Tak samo jak tortury. Miał swój cudzoziemski kodeks honorowy i wyczułem, jak pchnięcie nożem w brzuch, chwilę, gdy znieważylem jego honor w nieodwracalny sposób. Przegrałem.

Tarek wyciągnął nóż.

— Zaczekaj! — zawołałem. — Pójdę do Kraju Czarowników!

To sprawiło, że zawahał się na krótką chwilę. Ugryzłem się mocno w język i przeszedłem do krainy Umarłych, nim Tarek mógł mnie tam wysłać na stałe.

Ciemność...

Ojciec mi powiedział, że mogę przechodzić na drugą stronę pod warunkiem, że niczego stamtąd nie przyniosę.

Chłód...

Nawet Alysse przyznała, że hisaf nie poszerza wyłomu w murze podczas przejścia.

Ziemia wypełniająca mi usta...

Wyłom w murze, nadwerężone nici w sieci.

Robaki w moich oczach...

Byłem w krainie Umarłych i jakaś postać mknęła ku mnie przez mgłę. To nie była moja siostra ani hisaf, lecz krępa kobieta o twarzy wykrzywionej w grymasie strachu i oburzenia...

Opiekunka Stephanie.

Wpadła na mnie w pełnym pędzie. Omal nie upadłem na ziemię. Nadal starałem się zrozumieć, co się stało. Nie żyła, ale nie pogrążyła się jeszcze w spokojnym, bezmyślnym transie Umarłych. To znaczyło, że umarła dopiero przed paroma chwilami.

— Roger! Gdzie jestem?

Moje usta wypełniły słowa „W Kraju Czarowników”. Mógłbym jej to powiedzieć. Niewykluczone, że uwierzyłyby mi, jak kiedyś Niebiescy żołnierze. Wtedy zachowałyby tu przytomność i miałbym więcej czasu, nieskończenie wiele czasu, by ją o wszystko wypytać. Ale nie mogłem jej tego zrobić. Zostałaby sama, jedyna żywa osoba wśród spokojnych Umarłych. To był zbyt straszliwy los. Choć skazałem już na niego wielu

ludzi, nie wiedziałem wtedy, co się dzieje w krainie Umarłych. Dlatego zignorowałem to pytanie i zadałem jej własne, tonem ostrym i brutalnym jak miecz.

— Co ci się stało? Powiedz mi!

— Za... zasnęłam... a potem przysła dziewczynka. Nie widziałam jej wyraźnie, ale miała na głowie koronę, a jej oczy... były szalone. Naprawdę!

— I co ci powiedziała?

— Nie... nie...

— Co ci powiedziała?

— „Umrzyj, umrzyj, moje maleństwo”. To nie miało sensu. — Nagle zrozumiała. — Umarłam. Jak lady Margaret.

— Nianiu, nie. Nie...

Jej ciało osunęło się na mnie, a twarz utraciła wszelki wyraz.

Położyłem ją na trawie, a potem potrząsnąłem nią mocno. W końcu to stare kobiety najchętniej ze mną rozmawiają. Ona jednak była za młoda. Nie mogłem jej obudzić. Zresztą o co jeszcze mógłbym ją zapytać? Potwierdziła to, co podejrzewałem już przedtem.

Moja siostra zabijała w snach. Nie mogła za ich pośrednictwem dotrzeć do nikogo w krainie żywych poza tymi, którzy mieli talent do sztuk duszy, i znalazła taką osobę w księżniczce Stephanie. Jak jednak moja siostra zabiła lady Margaret i opiekunkę? Rozpaczliwie szukałem odpowiedzi na to pytanie. Matka Chilton i Alysse mówiły o sieci, sieci bytu łączącej ze sobą żywych i umarłych. Wzdłuż jej włókien płynęła moc, potężna moc śmierci, która prędzej czy później czeka nas wszystkich. Wyobraziłem sobie, jak ta moc płynie od mojej siostry do Stephanie, kiedy dziewczynka zasnęła. Sen to mała śmierć. Z pewnością to właśnie podczas snów moja obłąkana siostra docierała do mnie.

W jakiś sposób zdołała wysłać tę moc przez sen Stephanie do śpiącej lady Margaret. Zarówno ona, jak i opiekunka były ściśle związane z życiem księżniczki, jej myślami i uczuciami. Na ciele lady Margaret nie znaleziono żadnych śladów obrażeń ani choroby. Jej serce po prostu przestało bić.

Stephanie była środkiem, który umożliwił popełnienie tych morderstw, a zarazem ich powodem. Dopóki lady Margaret i ukochana niania księżniczki żyły, moja siostra nie mogła nad nią zapanować. Ale teraz obie umarły, a kobiety z sieci nie mogły dotrzeć do księżniczki, gdy strzeżono jej tak pilnie. Mojej siostry takie przeszkody nie mogły powstrzymać. Wykorzystała dziewczynkę w monstrualny sposób, a Stephanie nawet o tym nie wiedziała. Miałem nadzieję, że nigdy się nie dowie.

Ale czego właściwie chciała od niej moja siostra? Nie wiedziałem tego. Matka Chilton nie zdradziła mi żadnych informacji o księżniczce, a może po prostu ich nie posiadała. Alysse mówiła, że byłoby lepiej dla Stephanie, gdyby ją zastrzelono, ale stwierdziła też, że dziewczynka nie ma znaczenia. Mój ojciec nawet o niej nie wspomniał. To sugerowało, że żadne z nich nie miało pojęcia, że moja siostra może dotrzeć do innych za pośrednictwem księżniczki. Tylko ja o tym wiedziałem. Co jednak mogłem w tej sprawie zrobić?

„Pomóż Jej Miłości”. Tak mi powiedziała lady Margaret.

Kopnąłem głaz w głupiej demonstracji gniewu. Nie dało mi to nic poza siniakiem na stopie. Dlaczego wszyscy oczekiwali ode mnie czegoś, czego nie mogłem im dać? Lady Margaret, Tom, Jee, lord Robert. Wszystko to byli ludzie nieznający sztuk duszy. Natomiast ci, którzy nimi władali, żądali ode mnie, bym ich nie używał. Jak więc miałem uratować choćby własne życie? Miałem siedemnaście lat i byłem zdany na łaskę i niełaskę wydarzeń, nad którymi nie miałem żadnej kontroli.

Ale mogłem przynajmniej przynieść coś Tarekowi. Szczuć na burę, jaką dała mi Alysse, i na rady ojca. Jemu nie pomogły uniknąć pojmania! Zapuściłem się kawałek we mgłę. Najlepszy byłby jakiś żołnierz ze staromodnym orężem, który Tarek by poznał, a jednocześnie wiedziałby, że nie mógłbym ukryć czegoś takiego przy sobie. Wypatrywałem pogrążonego w transie wojownika.

Zamiast tego zobaczyłem, jak cały krąg Umarłych zniknął na moich oczach.

Mgła nieco się rozrzedziła. Za jej delikatnymi kosmykami dostrzegłem krąg złożony z dziesięciu trzymających się za ręce osób i ruszyłem w jego stronę. W jego centrum znajdował się gęsty obłok ciemnej mgły: obserwatorzy z Duszorośli. Odskokczyłem do tyłu, gotowy uciekać. W tej samej chwili obłok zaczął wirować. Jego ciche dotąd brzęczenie z każdą chwilą stawało się głośniejsze, a ruch wirowy przyśpieszał. W końcu krąg zmienił się w ryczące tornado. Potem rozległ się donośny huk, jakby w ziemię uderzył piorun, i dziesięciu Umarłych zniknęło razem z wirami.

Po prostu zniknęło.

Mimo woli ruszyłem chwiejnie naprzód. Wszechobecna mgła spowijająca okolicę również się ulotniła. Znowu sięgałem wzrokiem na wiele mil, widziałem góry i doliny tej krainy. Po dziesięciu czekających na wieczność Umarłych nie pozostał żaden ślad. Trawa nawet się nie przypaliła. Mogłoby się zdawać, że nigdy nic tu nie było. Nic ani nikogo.

Co się wydarzyło? Jak obserwatorzy z Duszorośli zdołali zabrać stąd materialne ciała Umarłych i dokąd je przenieśli? Czy mężczyźni i kobiety siedzący w kręgu w ogóle jeszcze istnieli? A może ich moc przekazano do Wrzosowiska Duszorośli, by pomogła Duszoroślanom osiągnąć wieczne życie?

Luka w murze. Moc wypływająca z rozdartej sieci.

Zamgliło mi się przed oczyma ze strachu.

To właśnie strach skłonił mnie w końcu do ruszenia się z miejsca. Podbiegłem do pierwszego z Umarłych, którzy jeszcze istnieli. To była staruszka trzymająca w rękach miech kominkowy. Nie zastanawiałem się nad tym, dlaczego ścisła taki przedmiot w chwili śmierci, a po prostu wyszarpnąłem go z jej uścisku. Jeśli popełniona przeze mnie kradzież wystarczyła, by ją obudzić, nie zwlekałem tam wystarczająco długo, by to zobaczyć. Miech miał zaostzony drewniany koniec. Wbiłem go sobie w udo i wróciłem do krainy żywych.

Tarek znowu rozmawiał z jednym ze swoich oficerów.

— ...nie żyje — mówił dzikus. Opiekunka. Był odwrócony do mnie plecami i nad jego lewym ramieniem widziałem twarz Tareka.

Oczy Młodego Wodza otworzyły się szeroko ze strachu. To wydarzyło się po raz pierwszy, odkąd go znałem. Usiadłem, czując ból przeszywający mi udo. Usta wypełniała mi krew płynąca z ugryzionego języka. Wszystko to przesłaniał jednak miech kominkowy. Tarek z pewnością widział, jak zmaterializował się w mojej dłoni. Gdy byłem pogrążony w transie, pojawił się znikąd, wyczarowany z powietrza.

A więc tak to wyglądało dla obserwatora.

— Tarek?

Oficer odwrócił się ze zdziwioną miną, chcąc zobaczyć, co tak zaskoczyło jego wodza. Ujrzał jedynie *anteka* z jakichś niewytłumaczalnych powodów trzymającego miech kominkowy, choć przecież nie było tu żadnego kominka. To dziwne, ale nie było powodu do strachu. Każdy mógłby ukraść coś takiego z pałacu w Reginokracji.

— *Klef* — zdołał wydobyć z siebie Tarek. Zdziwiony oficer zasalutował i wyszedł.

Młody Wódz i ja patrzyliśmy na siebie nawzajem.

— *Antek* — rzekł wreszcie Tarek — Co mam zrobić ze swoją królową?

— Odeślij ją — powtórzyłem.

— Nie.

— Mój lordzie...

— Jesteś *antekiem* — oznajmił. Strach zniknął. — Powstrzymasz jej sny.

Zrobisz to natychmiast. *Klef*.

Wezwał czekającego na zewnątrz strażnika, który zaprowadził mnie do namiotu dwukrotnie osieroczonej księżniczki.

Tym razem Stephanie nie krzyczała. Zostawiła to już za sobą. Odrętwiała z przerażenia przykucnęła przy ciele opiekunki jak jakieś małe zwierzątko schwyte w sidła. Dopiero gdy wziąłem ją na kolana, zaczęła drżeć, ale nadal nie wydawała z siebie żadnego głosu. Jej milczenie było bardziej przerażające niż jakiegokolwiek krzyki.

— Co się stało, Wasza Miłość? — zapytałem możliwie najdelikatniejszym tonem.

Nie odpowiedziała.

— Wasza Miłość, czy spałaś?

Nic.

— Stephanie, powiedz mi. Czy spałaś, kiedy twoja niania umarła?

Skinęła przytuloną do mojego ramienia głową. Tama pękła.

— Miałam sen. Przyszła zła dziewczynka... Śmiała się...

— Co powiedziała?

Tym razem Stephanie zadrżała tak mocno, że ledwie ją utrzymałem.

— Czy powiedziała: „Umrzyj, umrzyj, umrzyj”? Powiedziała to, Stephanie?

Znowu skinęła głową.

— Straż! Straż! — zawołałem po tarecku.

Mój strażnik wsadził głowę do namiotu, uważając, by nie patrzeć na nic poza ziemią.

— Znajdź dla królowej kobietę z jej ludu. Jakąś starszą niewolnicę... — Nie było innego słowa. — I przyślij ją tu. Znajdź też dwóch ludzi, którzy zabiorą stąd martwą kobietę.

Kolejny pogrzeb. Stephanie tego nie zniesie. Dopilnuję, żeby nie musiała w nim uczestniczyć. Tarek mnie posłucha, przynajmniej w tej chwili. Zawdzięczałem tę chwilę miechowi kominkowemu i musiałem ją wykorzystać.

Strażnik się oddalił. Szeptałem bez słów do Stephanie, starając się ją uspokoić. Bez powodzenia. Drżała coraz gwałtowniej. Moje kolana zwilżył ciepły, cuchnący płyn. Pod wpływem przerażenia utraciła kontrolę nad pęcherzem. W końcu była dzieckiem i wychowywała się w pałacu, gdzie ją rozpieszczano. Co mogłem wiedzieć o rozpieszczanych dzieciach? Nic.

Miałem wrażenie, że minęły całe godziny, nim żołnierz wreszcie wrócił, choć w rzeczywistości z pewnością trwało to tylko kilka minut. Przyprowadził kobietę w średnim wieku o czerwonych, stwardniałych dłoniach praczki. Nie wiem, czym się kierowałem, wybierając ją, ale miał rację. Natychmiast oceniła sytuację i zauważyłem, jak odpycha od siebie strach, by zabrać Stephanie z moich objęć, odwracając jednocześnie jej twarz od ciała opiekunki.

— Wszystko będzie dobrze, Wasza Miłość. Musimy tylko zdjąć ci tę mokrą sukienkę...

— Roger! — wrzasnęła Stephanie.

— Jestem tu, Wasza Miłość. Idź z...z nianią. Ja tu zostanę.

Z ulgą przekazałem księżniczkę nowej opiekunce.

— Nie ma mowy — sprzeciwiła się oburzona kobieta. — Nie, kiedy będę ją przebierała. Zaczekasz pod namiotem, dopóki cię nie zawołam.

Spokojnie, Wasza Miłość, wszystko będzie dobrze. Susannah jest teraz z tobą...

Susannah nie bała się mnie ani nawet wojowników, którzy przyszedli zabrać ciało. Stałem przy wejściu do namiotu obok mojego strażnika. Ubranie miałem mokre od moczu księżniczki.

— Możesz już wejść — zawołała wreszcie kategorycznym tonem Susannah. — Ojej, ale smród! Nie możesz jej przytulić taki mokry. Wasza Miłość, połóż się na posłaniu, a on usiądzie obok i będzie cię trzymał za rękę. Tak jest, grzeczna z ciebie dziewczynka.

Stanowcze polecenia Susannah uspokoiły księżniczkę, ale w jej oczach utrzymywało się przerażenie, które ścisnęło mi serce. Usiadłem obok niej, szepcząc bezsensowne wyrazy, ale panika nie zniknęła. Nikt się nie zjawił.

— Musi się przespać — stwierdziła wreszcie Susannah. — Moja przyjaciółka przyrządza napój...

— Nie! Nie może spać!

Te słowa wyrwały się niespodziewanie z moich ust. Nie rozważałem dotąd ich znaczenia. Jak dziecko mogło się obyć bez snu? Ale sny były kanałem, przez które docierała do niego moja siostra. Jeśli...

— Jak dziecko może żyć bez snu? — zapytała Susannah. — Jesteś durny i tyle, nawet jeśli potrafisz czarować. Dziecko musi spać.

— Nie — wyjęczała Stephanie. — Zła dziewczynka...

— Nie przyjdzie, dopóki tu jestem — zapewniłem i natychmiast zapragnąłem ugryźć się w język. Znowu. Nie byłem w stanie powstrzymać siostry przed wtargnięciem do snów księżniczki. Nie zdołałem nawet przyciągnąć jej do własnych.

Stephanie jednak mi uwierzyła. Po raz pierwszy strach w jej oczach osłabł. Nie do końca, ale trochę.

— Nie możesz tu zostać! — oburzyła się znowu Susannah. Najwyraźniej nie bała się czarów, ale skandalu i owszem. — Mężczyzna miałby spać w namiocie Jej Miłości!

— Byłabyś przyzwoitką — zauważyłem.

— To nie zrobi z sera ale — odparła. Od lat nie słyszałem tego ludowego porzekadła. — Musisz sobie pójść.

— Roger zostanie — oznajmiła Stephanie. Po raz pierwszy ujrzałem na buzi dziewczynki wyraz rozkazu przywodzący na myśl jej matkę. Choć w następnej chwili znowu stała się przerażonym dzieckiem, jej ton poskutkował. Susannah się zamknęła.

Kobieta cały czas krzątała się w tle. Prała zanieczyszczoną suknię księżniczki, wciągając się w nowe obowiązki, jakby urodziła się do ich wykonywania. Pomyślałem o Tomie, który potrafił się przystosować do każdego miejsca, w którym się znalazł, był niestrudzony i nieustraszony. Gdyby Susannah nie była tego typu osobą, zapewne nie opuściłaby Reginokracji. Chyba że zabrano ją stamtąd siłą, a to musiałyby być bitwa na prawdziwie epicką skalę.

Stephanie walczyła z sennością. Na w pół przymknęła oczy, a następnie znowu je otworzyła. Potem znowu i znowu. W końcu jednak zasnęła.

Mógłbym ją obudzić, ale co dalej? Prędzej czy później musiałyby zasnąć. Najlepsze, co mogłem zrobić, to czuwać obok, gotowy nią potrząsnąć, gdyby jej twarz albo ciało wykazywały oznaki niepokoju. Odebrano mi jednak nawet tę szansę i nie zrobiła tego mamrocząca coś pod nosem Susannah.

— *Klef* — odezwał się mój strażnik, stając w wejściu.

— Idź stąd, ty barbarzyńco! — warknęła Susannah.

Nie posłuchał jej. Kiedy nie poklefowałem, wtargnęli z drugim żołnierzem do namiotu i wywlekli mnie stamtąd.

— Nie pozwól jej śnić — ostrzegłem Susannah z desperacją w głosie. Popatrzyła na mnie, jakby stracił rozum. — To bardzo ważne. Jeśli nadejdą sny, obudź księżniczkę. Sama nie zasypiaj i...

— *Klef.*

Wyciągnięto mnie z namiotu.

Susannah nie potrafiła tego zrozumieć, podobnie jak Tom. Zaśnie i pozwoli, by Stephanie również zapadła w sen, a moja siostra wtargnie do snów dziewczynki, podobnie jak Duszoroślanie wtargnęli do krainy Umarłych. A co wydarzy się potem? Nie wiedziałem. Z pewnością nic dobrego. Ani dla Stephanie, ani dla nikogo z nas.

Dzikusy cisnęły mnie na ziemię przy naszym ognisku. Było już bardzo późno i pozostały z niego jedynie węgielki. Tom spał, ale Jee nie było. Strażnik przykucnął obok. W nocnej ciemności nie widziałem jego twarzy, ale urywane ruchy świadczyły, że jest bardzo zaniepokojony.

Nie bardziej ode mnie.

Gwiazdy świeciły zimnym blaskiem w przerwach między chmurami. Gapiłem się na znajome, kolejno pojawiające się gwiazdozbiory: Łuk, Wół, Płacząca Kobieta. Czekałem. Nie wiedziałem, na co czekam, ale to z pewnością się wydarzy. Cały krąg Umarłych zniknął na moich oczach. Dwie kobiety zabiła moc w obmierzły sposób przesyłana poprzez niewinne dziecko. W tym drugim królestwie krążyła moja siostra, szalona i żądna mordu. Hisafowie i kobiety z sieci dokonywali czynów, których nie rozumiałem, w miejscach, do których nie mogłem dotrzeć. Coś się wydarzy, ktoś z nich to spowoduje.

Okazało się jednak, że to Jee, brudny, zakochany dziesięcioletek, doprowadził sytuację do punktu, z którego nie było już powrotu.

45

— Peter — odezwał się Tom, potrząsając mną. — Obudź się!

Poderwałem się nagle, spodziewając się zobaczyć żołnierzy dzikusów, wymierzone we mnie strzelby, rzeź i zamieszanie. Ale to był tylko Tom. Jego sylwetka rysowała się na bladym tle porannego nieba. Armia jeszcze nie wstała przed dziennym marszem.

— Co się stało?

— Alysse nie ma w obozie.

— Obudziłeś mnie po to, żeby mi to powiedzieć? I co miałbym w tej sprawie zrobić?

Gdy wreszcie zasnąłem, spałem głębokim snem ludzi całkowicie wyczerpanych. Nic mi się nie śniło. Nie chciałem nowych problemów.

— Nie rozumiesz — poskarżył się Tom. — Alysse nigdzie nie ma. Kazałem Jee jej poszukać i zrobił to. Dzikusy na pewno ją skrzywdziły albo zabiły. Wiem, że to prawda! Nie opuściłaby obozu sama!

Tak jest, zrobiła to. Tego jednak nie mogłem powiedzieć Tomowi. Nie mogłem też wspomnieć o króliku, który uciekł w mrok nocy, ani o jastrzębiu, który wrzucił kamień do mojego komina w Applebridge.

— Jee sprawdzał wszędzie? — zapytałem tylko bezradnie.

— Tak! Tak mi powiedział.

— A gdzie jest teraz?

Tom rozejrzał się z roztargnioną miną, jakby dopiero teraz zauważył, że chłopiec znowu zniknął. Wiedziałem, że jego niepokój o Alysse jest szczerzy, ale wkrótce przeminie. Tak samo było z żalem po Fii. Trwał zaledwie tydzień. Potem Tom wypracował w swym niestałym umyśle wniosek, że nie warto było po niej płakać, ponieważ go opuściła. Później przyszła kolej na Alysse. Z nią będzie tak samo. Wkrótce znajdzie sobie jakąś Sarah, Maggie albo Jane i już nigdy nie wspomni o Alysse.

Tak przynajmniej się stanie, jeśli zdołam ocalić życie nam obu.

— Nie wiem, gdzie się podział — przyznał Tom. — Chłopiec ciągle pojawia się i znika, nigdy... Ale Alysse to bezbronna dziewczyna! Te chrzanione dzikusy...

Zacisnął potężne pięści, spoglądając na strażnika, który go ignorował.

— Gdyby nie była taka ładna... — ciągnął Tom. — Ale przecież jest! Peter, ty oczywiście tego nie widziałeś, ale ona ma naprawdę zdumiewające...

Spojrzałem w tym samym kierunku, co on. Strażnik stanął na baczność. Wzdłuż kręgosłupa przepłynął mi chłód.

Przez pogrążony we śnie obóz zmierzał ku nam orszak. W bladym świetle przedświtu dzikusy wyglądały jak duchy. Już z oddali poznałem Młodego Wodza po jego kroku, pełnym niezachwianej pewności siebie i determinacji. Jednakże Tarek nigdy nie odwiedzał tej części obozu, a rankiem miał poprowadzić swą zwyczajną armię w przeciwnym kierunku, ku domowi. Za nim szło dwóch oficerów, a za nimi trzech żołnierzy, wyposażonych w broń i tarcze. Sześciu mężczyzn minęło w milczeniu śpiących dzikusów, a potem mniej uporządkowany obóz ludzi z pałacu. Szli po mnie.

— Co to... A niech to...

— Bądź cicho, Tom. Mówię poważnie. Nic nie mów. Jesteś moim sługą.

Dzikusy dotarły do naszego ogniska. Tarek nie zwolnił kroku, szedł dalej przed siebie. Jeden z jego oficerów wydał krótki rozkaz mojemu strażnikowi. Ten podniósł mnie z ziemi i pociągnął za orszakiem, jak jastrząb łapiący w locie ofiarę. Tom, który zdążył już wstać, poszedł ze mną.

— Tom, nie.

— Jestem twoim *nelem*, tak? To wygląda poważnie.

Wygląda poważnie. Tom, na ogół niezbyt skłonny do niedopowiedzeń, stwierdził, że to wygląda poważnie. W moim gardle wezbrał śmiech, szalony i zrodzony z histerycznego strachu. Stłumiłem go. Cokolwiek przyniesie ten niesamowicie cichy świt, będę potrzebował sprytu, pomyślałem. Nawet gdybym miał umrzeć.

Szliśmy w dziewięciu do namiotu księżniczki. Oddaliwszy się od ogniska, poczułem przeszywający chłód. Nocą niekiedy nadchodziła już zima. Tom dotrzymywał mi kroku, mimo że miał nogi spętane w kostkach. Posuwał się naprzód osobliwą mieszanką kroków ze skokami. Dzikusy nie próbowały go zatrzymać. Na perłowym niebie na wschodzie nagle pojawiły się pierwsze różowe smugi. Gdzieś po lewej jeden ze śpiących żołnierzy poruszył się i wciągnął w płuca głęboki oddech, gdy przechodziliśmy obok. W lesie za naszymi plecami zahuczała sowa.

Trzej strażnicy leżeli spokojnie na ziemi przed namiotem Stephanie. Bardziej niż spokojnie — chrapali głośno, rozrzuciwszy luźno kończyny. Sześciu przytomnych żołnierzy otaczało wsparty na tyczkach namiot z niewyprawionych skór. Ich strzelby były gotowe do strzału. Potem ujrzałem Susannah, która przez niespełną dobę była opiekunką królowej. Związano ją, zakneblowano i przywiązano do drzewa dwadzieścia stóp za namiotem. Szarpała więzy i próbowała krzyczeć, ale z jej ust nie wydobywał się żaden dźwięk.

Tarek odsunął połę namiotu i, nie zwalniając kroku, wszedł do środka. Oficerowie podążyli za nim. Trzej żołnierze zostali na zewnątrz. Ja poszedłem za Młodym Wodzem. Tom pokuśtykał za mną i nikt nie próbował nas zatrzymać. A więc Tarek chciał, by Tom nam towarzyszył. Dlaczego? Co takiego znajdziemy w środku, że...

Znaleźliśmy tam Jee.

Chłopiec stał w wyzywającej pozie pośrodku namiotu, w jego części ogrzewanej przez ogień. Płaszcz cisnął w kąt. Jee trzymał za rękę księżniczkę Stephanie. Oczy miał wilgotne, ale na mój widok łzy zniknęły, ustępując miejsca gniewowi.

— Nie zrobiłeś nic, żeby jej pomóc! Nic! Dlatego musiałem... musiałem... Każ im nas wypuścić!

— Jee. — Myślałem, że poznałem już strach, nic jednak nie mogło się równać z tym, co czułem teraz. Chłopiec... co właściwie zrobił? Mój umysł starał się nadążyć za sytuacją. Podał strażnikom narkotyk, tak jest. To znaczy, że dostał od Alysse więcej niż jeden pierniczek i pozostałe zatrzymał dla siebie. Przez cały ten czas miał nadzieję...

— Uratowałeś Maggie, ale nie Jej Miłość! — oskarżył mnie chłopiec. Stephanie ruszyła ku mnie, ale Jee złapał ją i spróbował przyciągnąć do siebie. Zatrzymała się, jak na uwięzi, wyciągając ku mnie rękę. Patrzyła na Tareka ze straszliwym przerażeniem w oczach. Na Tareka, który był jej mężem.

— Czy chłopiec-czarownik ją splugawił? — zapytał Młody Wódz.

Odwrociłem się. Oczy Tareka wyglądały jak niebieski lód.

— Splugawił! Mój lordzie, on ma dziesięć lat!

— Pochodzi z Kraju Czarowników. Sam mi tak powiedziałeś.

Rzeczywiście to zrobiłem, próbując przekonać Tareka, że jestem *antekiem*.

— To tylko dziecko — wydyszałem.

Stephanie wyrwała się Jee i podbiegła do mnie.

— Stój — rozkazał jej Tarek w naszym języku.

Zatrzymała się, jak zastrzelona, w połowie drogi między Jee a mną. Chłopiec podszedł do niej i znowu ujął ją za rękę. Chyba nawet tego nie zauważyła. Strach całkowicie ją sparaliżował.

Potem Tom — nieustraszony, nieudolny, niczego nierozumiejący Tom — wydał z siebie straszliwy ryk, skoczył naprzód i wziął oboje dzieci w objęcia. Jee i Stephanie nie mieli szans wyrwać się z jego potężnych ramion. Równie dobrze mogliby próbować powstrzymać lawinę. Najbardziej jednak przstraszyło mnie to, że Tarek i jego oficerowie również nie próbowali zatrzymać mojego przyjaciela. Trzech dzikusów stało w wejściu, a ja razem z nimi.

— Chrzanione sukinsyny! — ryknął Tom. — Toczycie wojnę z dziećmi. Chciałbym...

— Cicho, Tom!

Spojrzałem na Tareka, odwracając się plecami do całej trójki.

Jaskrawoniebieskie oczy Młodego Wodza lśniły gniewem, ale nie wydał swym ludziom rozkazu. W zwlekaniu dostrzegłem naszą jedyną szansę. Zacząłem mówić, bardzo szybko i cicho, gorączkowo szukając słów w gardłowym języku tak bardzo nieprzystosowanym do wyrażania współczucia i wyrozumiałości.

— On... chłopiec... jest dzieckiem, nie tknął jej... mogę go odesłać... nie będzie ataków. — W tareckim nie było innego słowa na określenie kłopotów niż „atak”. — Skończyło się... odeślę chłopca... księżniczka... to znaczy królowa, jest twoją królową... nic nie robi i nie jest zdyscyplinowana... skończyło się.

— Skończyło się — powtórzył z namysłem Tarek, gapiąc się na mnie.

Jeden ze stojących za jego plecami oficerów coś powiedział. Nie zrozumiałem wszystkiego, ale dotarły do mnie słowa znaczące „dziecko-czarownik”, „niebezpieczeństwo” oraz „atak”. Co więcej, widziałem też minę mężczyzny, wykraczającą poza barierę języka. Była uniwersalna, we wszystkich krainach można ją było zobaczyć na twarzach pewnego rodzaju ludzi, którzy mieli władzę. Uwolnij się od kłopotów, pozbywając się tych, którzy je powodują.

Tarek jednak nie zaliczał się do takich ludzi. Słuchał mojej gadaniny, nie spuszczał wzroku z dzieci obejmowanych przez Toma. Nie wiedziałem, co dzieje się za mną, i wszyscy troje milczeli, potrafiłem jednak odgadnąć, co widzi Młody Wódz. Oburzony olbrzym o spętanych nogach, przerażona sześćioletnia dziewczynka i urwis z wyzywającą miną, który mógł być dzieckiem-czarownikiem, a w rzeczywistości był ogłupiałym chłopcem wyobrażającym sobie, że jest zakochany w królowej. Wielki wojownik okryłby się wstydem, gdyby uznał tych troje za godnych przeciwników. Nie przestawałem gadać, aż wreszcie wyczytałem z jego niebieskich oczu, że podjął decyzję. Oficer nie dodał już nic więcej, najwyraźniej uświadamiając sobie, że przegrał.

— Przyprawdźcie kobietę królowej — warknął Tarek i jeden z oficerów natychmiast opuścił namiot, idąc po Susannah. Młody Wódz spojrzał na mnie. — Powiedz swojemu *nelowi*, żeby odłożył... *Jai axteb!*

Nigdy przedtem nie słyszałem, by Tarek przeklinał. Stephanie krzyknęła. Za moimi plecami rozległo się warczenie. Coś szarego przemknęło obok i rzuciło się na Młodego Wodza, który padł na ziemię. Poranną ciszę zmącił huk wystrzału.

Wszystko to wydarzyło się tak szybko, że mogłem się jedynie gapić. Mój umysł próbował nadążyć za wydarzeniami. Połowa ciała Tareka wypadła z namiotu. Leżał na niej wielki szary pies. Szczęki zwierzęcia

nadał zaciskały się na ramieniu Młodego Wodza. Gdy tylko to zobaczyłem, czas zwolnił bieg. Każde wydarzenie i każda myśl stały się w moim umyśle czymś odrębnym, jak każdy krok jest odrębny, gdy ból spowalnia ruchy naszych nóg.

Do namiotu wpadli żołnierze.

Stephanie zaczęła krzyczeć.

Jeden z dzikusów ściągnął z Tareka zabitego psa, który pojawił się znikąd na ich oczach.

Ojciec powiedział mi, że przechodzenie na drugą stronę nie jest niebezpieczne pod warunkiem, że niczego się stamtąd nie przynosi.

Zęby zwierzęcia wyszarpały kawał ciała z ramienia Młodego Wodza. Z rany tryskała krew.

Alysse powiedziała mi: „Jesteśmy tymi, które walczą w obronie życia”.

Tarek spróbował wstać.

Miech kominkowy, który przyniosłem z krainy Umarłych, tak jest, ale także nożyk do golenia, ubranie, buty, a nawet krzesło — przedmioty, które raz po raz przechodziły razem ze mną.

Uniesiono strzelby i wycelowano je we mnie oraz w tych, którzy stali za mną. Niebieskie oczy trzymających je dzikusów wypełniały strach i nienawiść. Tłumiona żądza zemsty, którą pragnęli na mnie wyrzucić, uwolniła się nagle w chwili, gdy moje czary wyrządziły szkodę ich kolejnemu wodzowi.

Nożyk do golenia, buty, krzesło, miech...

Alysse: „Przynoszenie czegokolwiek z krainy Umarłych zakłóca naturalny porządek tego świętego miejsca”.

Mur dzielący żywych od martwych rozsypuje się... nitki sieci się rwą...

W obronie życia, w obronie życia...

— Ognia — wydyszał Młody Wódz.

Ale ja już się odwróciłem, objąłem Toma z jego brzemieniem, ugryzłem się mocno w język i zapragnąłem przejść.

Nikt mi nic nie mówił o przenoszeniu czegokolwiek do krainy Umarłych. Trzymając Toma, Jee i Stephanie, przeszedłem na drugą stronę.

46

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Ale nie tylko moje. To było tak, jak wtedy, gdy przyprowadziłem ze sobą Gacka, przyprowadziłem Cecilie, przyprowadziłem armię Niebieskich. Lekko mnie dziwiło, że przy przejściu na tamtą stronę wrażenie jest takie samo. Tom, Jee i księżniczka stali się więźniami gleby razem ze mną. Oblazły ich robaki, a choć ich odarte z ciała kości nie mogły się poruszać, tak samo jak moje, w jakiś sposób czułem ich i słyszałem krzyki wydobywające się z ich pozbawionych języków ust. Trwało to długo, a potem jeszcze dłużej. Wreszcie znaleźliśmy się po drugiej stronie i spadliśmy na ziemię w krainie Umarłych.

Tom wyrwał mi się z potężnym rykiem, wypuszczając Jee. Stephanie nadal się go trzymała, wtulając twarz w jego potężną szyję. Zatoczyłem się na gładkiej trawie, zdumiony tym, co uczyniłem. A potem zadałem sobie pytanie, co właściwie uczyniłem.

Moje ciało jak zwykle zostało w krainie żywych. Czy jednak naprawdę przeniosłem ciała moich trojga towarzyszy na drugą stronę grobu, czy też

leżeli teraz martwi w namiocie, a tutaj wkrótce zapadną w spokojny trans Umarłych?

— Gdzie się podzieli wszyscy? — ryczał Tom. — Co zrobili ci zaszczañcy? A niech to, tu jest góra w kształcie kowadła, zupełnie jakbyśmy byli w tym samym miejscu, ale gdzie, na dyndające łąjno, podział się namiot? Gdzie jest armia? Gdzie my jesteśmy?

Nigdy nie widziałem nikogo mniej spokojnego.

Od czasu, gdy zaczęły się tworzyć mgły, krajobraz nigdy nie przypominał naturalnego bardziej niż w owej chwili. Gdy poprzednio przeszedłem na drugą stronę, widziałem plamę gęstej, brzęczącej ciemności oraz krąg dziesięciu Umarłych, którzy wpadli w wielki wir i zamienili się w czystą moc wykorzystywaną przez Wrzosowisko Duszorośli. Potem do krainy Umarłych powrócił poprzedni spokój i wyglądała teraz jak zawsze. Staliśmy na tym samym zachodnim stoku góry co w krainie żywych, a na dole widzieliśmy tę samą łąkę, drzewa, skalne powierzchnie i dolinę rzeki, ale cała reszta zniknęła. Nie było namiotów. Nie było ognisk. Nie było Młodego Wodza, jego oficerów i dzikusów. Nie było wymierzonych w nas strzelb. Tylko garstka Umarłych, siedzących spokojnie tam, gdzie zakończyli życie.

Oraz troje towarzyszących mi ludzi, którzy nie zapadli w spokojny trans.

Uczepiona ramienia Toma Stephanie zauważyła swą niańkę. Zakrzyknęła i zaczęła się szarpać tak mocno, że w końcu zdołała się uwolnić. Potem pobiegła do niani, a Jee popędził za nią. Wiedział, kim jestem i gdzie się znajdujemy, w przeciwieństwie do dwojga pozostałych.

— Pani, pani — słyszałem jego głos, dalsze słowa zagłuszył jednak kolejny ryk Toma.

— Peter! Gdzie się podzieli wszyscy? A niech to, myślałem, że już po nas! Te strzelby...

Nagle dotarło do niego, że widzi zmarłą opiekunkę. Zatrzymał się, zmarszczył brwi i spojrzał na mnie bezradnie.

— Peter...

— Tom — odparłem. — Usiądź.

Zaczął dygotać. Nigdy dotąd nie widziałem, by ten nieustraszony olbrzym tak się zachowywał.

Nadal stał.

— Peter — powtórzył głosem przechodzącym w szept. — Opiekunka nie żyje. Czy... Czy my wszyscy też umarliśmy?

— Ona umarła, ale ty nie — odparłem. — Usiądź.

Posłuchał mnie i spoczął na trawie ze skrzyżowanymi nogami. Natychmiast przypomniałem sobie Młodego Wodza podczas naszych lekcji. Tarek usiadł w taki sam sposób, kiedy przyniosłem miech. Co teraz zrobi z moim ciałem w krainie żywych? Zabije je, oczywiście. Ognia! Ale jeśli już tam umarłem, dlaczego nie zapadłem w bezmyślny trans? Nic z tego nie miało sensu.

Tom rozumiał jeszcze mniej. Powtarzał bezradnie to, co mu powiedziałem.

— Opiekunka umarła, ale my nie?

Usiadłem obok niego.

— Zgadza się. Ale to jest kraina Umarłych. Sprowadziłem cię do niej.

— Ty mnie tu sprowadziłeś?

Twarz Toma pokryła siatka dolin i żlebów bardziej skomplikowana niż otaczający nas górski krajobraz. Jee nadal szeptał coś do Stephanie, która przynajmniej siedziała cicho, uczepiona Umarłej opiekunki.

— Tom, wysłuchaj mnie. Jestem hisafem. Mówiłeś mi kiedyś, że starzy ludzie w Almsbury opowiadają o krainie Umarłych i o tych, którzy potrafią do niej przechodzić. To wszystko prawda, a ja jestem jednym z takich ludzi.

Tego właśnie miałem nauczyć Tareka. Kiedyś przyprowadziłem z krainy Umarłych armię, która zaatakowała i zabiła jego ojca, i...

— Ta stara opowieść jest prawdą?

— Tak.

— I to byłeś ty?

— Tak.

— Ty? Naprawdę ty?

— Tak?

— Ty? Peter Forest?

— Roger Kilbourne — poprawiłem go.

— Ale naprawdę...

— Tak. Posłuchaj, Tom, nie mamy na to czasu.

To były głupie słowa. Czas akurat mieliśmy. Całą wieczność, jeśli nam się poszczęści. Jeśli nie...

Tom siedział bez słowa, marszcząc czoło. Jego umysł usiłował ogarnąć sytuację, której nie potrafił sobie wyobrazić i którą do tej pory uważał za niemożliwą. Umysł Toma Jenkinsa był jednak wszystkożernym stworzeniem. Potrafił strawić wszystko, choć nic nie zatrzymywało się w nim zbyt długo. W końcu twarz mojego towarzysza przestała się układać w górzyste krajobrazy. Tom zerwał się na nogi.

— To znaczy, że pora ruszać w drogę!

— W drogę? — zapytałem, spoglądając na niego. — A dokąd?

— Do Reginokracji, oczywiście! Uciekliśmy!

Nagle ryknął gromkim, dźwięcznym śmiechem odbijającym się od pobliskiego klifu. Nigdy dotąd nie słyszałem, by ktoś się śmiał w krainie Umarłych, pomijając tylko moją obłąkaną siostrę, ale jej śmiech...

Co się stanie, gdy nas tu znajdzie? Gdy znajdzie Stephanie, której niekontrolowany talent już przedtem wykorzystwała do zamordowania

dwóch osób?

— Tak jest, uciekliśmy lordowi Tarekowi! Skurczybyk na pewno się zdziwił, kiedy po prostu ulotniliśmy się na jego oczach! Jak zdmuchnięta świeca! A niech to, ależ jesteś sprytny, Pe... Roger. Roger Kilbourne. Tak będę cię teraz nazywał. Zasłużyłeś sobie na to! Hinaf!

— Hisaf — poprawiłem go bezradnie.

— Jak sobie życzysz. Sprytny z ciebie chłopak! No dobra, pora ruszać w drogę. Gdzie... W porządku, Jee pilnuje Jej Miłości. Możemy teraz zaprowadzić księżniczkę z powrotem do Reginokracji, a potem po prostu zjawisz się z nią w pałacu. Założę się, że wszyscy troje zostaniemy bohaterami. Dziesięć do jednego. Dziewczęta z pałacu będą nas kochały!

— Tom, zaczekaj.

— Co? Nie widzę żadnych przeszkód, Roger. Pod warunkiem, że możesz nadal robić tę sztuczkę z przechodzeniem. Możesz, prawda?

Czy rzeczywiście mogłem? Nie wiedziałem nawet, czy w krainie Tareka jestem żywy, czy nie. Choć gdybym umarł, to czy nie powinienem już zapaść w bezmyślny trans?

— To się nie uda — odpowiedziałem powoli. — Jeśli przejdę z powrotem, znajdę się tam, gdzie jest moje ciało, to znaczy w obozie dzikusów albo dokądkolwiek zabierze mnie Tarek. Moje ciało zostało w krainie żywych, pogrążone w czymś w rodzaju transu. Nie mogę zostawić go bez jedzenia i picia na dłużej niż kilka dni. Co więcej...

Zmarszczył brwi.

— Czy moje ciało też tam jest? I księżniczki? I Jee?

— Nie. Przeniosłem was tu cieleśnie.

Jak nożyk do golenia, krzesło i parę butów. Tylko w ten sposób ktoś, kto nie był hisafem, mógł przejść przez barierę.

— A czy możesz nas zabrać z powrotem do domu?

— Tak. — Z pewnością przeniesienie do krainy żywych kogoś, kto nie umarł, nie będzie miało tak fatalnych skutków jak w przypadku osób, które powinny przebywać w krainie Umarłych. — Ale wtedy wrócilibyście do miejsca, w którym było moje ciało w chwili przejścia.

— To znaczy do Tareka?

— Tak.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

— Moim zdaniem chyba nie przemyślałeś tego zbyt starannie — wygarnął wreszcie.

— W ogóle tego nie przemyślałem! Dzikusy chciały nas wszystkich zastrzelić. Musiałem coś zrobić.

— George zaplanowałyby to lepiej.

— Jestem tego pewien — odparłem ze znużeniem w głosie.

— I co teraz zrobimy?

— Nie możemy wędrować do Reginokracji po tamtej stronie — odezwał się Jee.

W ogóle nie usłyszałem, kiedy do mnie podszedł. Stephanie mu towarzyszyła. W oczach księżniczki nadal lśniło przerażenie, ale trzymała chłopca za rękę i przytulała się do niego barkiem. Najwyraźniej to, co jej powiedział, sprawiło, że uznała go za swego obrońcę. Milczący Jee! Z pewnością jednak będzie dla niej lepszym opiekunem niż ja. Trudno byłoby sprawić się gorzej.

— A dlaczego nie możemy, Jee? — zapytał z irytacją w głosie Tom, niezadowolony, że mały chłopiec myśli szybciej od niego.

— Bo nie jesteśmy w Reginokracji. Jesteśmy w górach. A u żywych wkrótce zapadnie tam zima. Mamy tylko dwa płaszcze, a ja mam dwa noże od Maggie. Nie mamy pieniędzy. Nie tyle, ile potrzeba.

Miał rację. Jeśli mamy wędrować, to tylko po tej stronie. Gdybym jednak zaprowadził ich w krainie Umarłych do miejsca, gdzie w krainie żywych znajdowała się granica Reginokracji, w czym by to nam pomogło? Kiedy przejdę na drugą stronę, natychmiast wrócimy tam, gdzie porzuciłem swe ciało. Zakładając, że jeszcze żyło.

— Ale jeśli będziemy szli przez prawdziwą krainę, przynajmniej znajdziemy coś do jedzenia — nie ustępował Tom. — Co możemy jeść tutaj? Nic takiego nie widzę.

Miał rację. Nie było tu nic jadalnego. Umarli nie jedli.

Tom spojrzał na mnie.

— Pe... Roger, co mamy zrobić?

— Daj mi się zastanowić!

Wszyscy troje gapili się na mnie, co raczej nie pomagało w myśleniu. Niemniej pozostało mi tylko jedno wyjście. Wstałem.

— Przejdziemy dzień drogi w stronę Reginokracji. To będzie pierwszy krok. Tom, dasz radę nieść Jej Miłość, jeśli okaże się to konieczne?

— Oczywiście. Ale co to nam...

— Przejdziemy dzień drogi w stronę Reginokracji — powtórzyłem, starając się nadać swemu głosowi możliwie najbardziej autorytatywne brzmienie. Po chwili Tom skinął głową. Ufał mi, choć żałował, że nie jestem George'em.

Szkoda, że sam sobie nie ufałem.

Jee przeciął sznur krępujący nogi Toma i ruszyliśmy w drogę. Stephanie szła między Jee a mną, trzymając nas obu za ręce. Bezgłośnie, z początku bojaźliwie, troje żywych ludzi i hisaf wędrowali przez krainę Umarłych.

Nad ziemią unosiły się tylko zwiewne obłoczki mgły. Niebo przesłaniała jednorodna warstwa szarych, nisko wiszących chmur. Biła od nich słaba poświata. Ani drzewa, ani trawa, gdzieniegdzie usiana krzakami albo

kępami polnych kwiatów, nie kołysały się na wietrze. Tu nie było wiatru. Na wschodzie majaczyły góry, przez które w krainie żywych niedawno przeszła armia Tareka; gdzieś na zachodzie znajdowała się dolina królestwa dzikusów. Wszędzie wokół leżeli albo siedzieli Umarli. Nie było ich zbyt wielu, jako że znajdowaliśmy się wysoko w górach, gdzie żyli tylko nieliczni ludzie, a jeszcze mniej ich umierało. Trochę ich jednak widzieliśmy. Myśliwy. Dwaj żołnierze. Cała rodzina, która być może mieszkała tu przez dłuższy czas. Śmierć poszczególnych jej członków mogły dzielić od siebie dziesięciolecia, ale ponieważ wszyscy zakończyli życie w tym samym domostwie, byli teraz razem. Stephanie zauważyła dziecko, leżące spokojnie na trawie i wpatrujące się w niebo. Uścisnęła silniej moją rękę.

Tom zaczął śpiewać.

O mało na niego nie warknąłem, powstrzymałem się jednak. Przez całe życie widywałem Umarłych i wędrowałem pośród nich. On był tu po raz pierwszy. Jego twarz zrobiła się popielata, a na czole i górnej wardze perliły się krople potu. Nie był w stanie nic poradzić na niesamowitą nieruchomość Umarłych, ale mógł przynajmniej zmącić równie przerażającą ciszę.

— Och, dama na koniu jeździć chce — śpiewał, choć głos załamywał mu się przy wysokich nutach — przez cały letni ranek.

Tak oto szliśmy przed siebie, omijając Umarłych, przy akompaniamencie pieśni o damie spragnionej konnej jazdy, myśliwym spragnionym zalotów, żołnierzu spragnionym picia i dziewczęciu spragnionym tańców. Powietrze wokół nas było całkowicie nieruchome, a noc nie zapadała.

Kraina Umarłych rozciąga się albo kurczy, stosownie do potrzeb. Tam, gdzie zmarło wielu ludzi, jedna mila w krainie żywych może się stać dziesięcioma po drugiej stronie. Staw potrafi się zamienić w rozległe jezioro, a mały gaj w potężną puszcę. I na odwrót, jeśli gdzieś w górach, na pustyni albo w niedostępnym wąwozie zmarli tylko nieliczni, dziesięć mil staje się niekiedy jedną. Ale nigdy mniej niż jedną. Dlatego nawet jeśli droga powrotna do Reginokracji była tu krótsza od tej, którą przeszedł Tarek ze swą armią i jeńcami, nadal musieliśmy pokonać znaczną odległość. Po kilku godzinach Stephanie i Jee, którzy ostatniej nocy spali bardzo niewiele, poczuli się doszczętnie wyczerpani.

— Możemy się tu zatrzymać i rozbić obóz — zaproponowałem.

Tom skinął głową. To przynajmniej rozumiał. Nazbierał dREW, wyciągnął swoje krzesiwo i rozpałił ognisko. Właściwie go nie potrzebowaliśmy. Nie było tu zimna, ciemności i dzikich zwierząt, nie mieliśmy też nic, co można by upiec. Posiadaliśmy dwa uszyte przez dzikusów futra, ale były za ciepłe, by je tu nosić. Tom jednak potrzebował ogniska. Rozpałił je jasno, a potem położył dzieci spać. Słyszałem burczenie w brzuchu Jee, ale i on, i Stephanie szybko zasnęli. O Tomie nie można było tego powiedzieć.

— Roger...

— Ty dostaniesz pierwszą wartę, Tom — oznajmiłem. — Masz swoje noże?

— Tak. — Pokazał mi je. — Jakie zwierzęta tu są? Takie jak... jak Cień i Owc? Hej! Jeśli są takie, jak nasze psy, może znajdziemy jakiegoś, żeby dla nas polował i...

— Nie wiem, Tom. Muszę się odlać. Nie oddalaj się od dzieci.

— Nie zrobię tego. Ale, Roger...

— Chwileczkę.

Oddaliłem się, nim zdążył mi zadać kolejne pytanie. Tom nie pójdzie za mną, nie zostawi Jee i Stephanie. Miałem czas.

Gdy już zniknąłem mu z oczu, położyłem się pod nisko wiszącymi konarami sosny górskiej i wbiłem sobie w udo ostry kamień.

I tak złamałem już złożoną Alysse obietnicę, a teraz musiałem się dowiedzieć, jak wygląda moja sytuacja. Jeśli Tarek pozwolił mi żyć i nadal byłem jego jeńcem, natychmiast ugryzę się w język i wrócę do krainy Umarłych. Dzikusy mogą nawet nie zauważyć mojej krótkiej obecności. Z drugiej strony, jeśli nie żyłem, ale z jakiegoś powodu nie zapadłem w trans Umarłych, w ogóle nie będę mógł wrócić do krainy żywych. Nie miałem pojęcia, co wtedy zrobię, ale przynajmniej będę wiedział. Czy żyłem i przebywałem w górach z dzikusami, czy też umarłem?

Okazało się, że ani jedno, ani drugie.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Leżałem pod tymi samymi konarami sosny górskiej, ale między zielonymi szpilkami przesączał się jasny blask. Zaskoczona wiewiórka

przycupnięta w cieniu zaskrzeczała na mój widok i czmychnęła na drzewo. Po chwili rzuciła mi w głowę orzechem.

Wróciłem do krainy żywych, ale nie byłem z armią Tareka.

Zakręciło mi się w głowie. Coś takiego nigdy się jeszcze nie wydarzyło. Na drugą stronę grobu przeszła nie tylko moja esencja, lecz również całe ciało. Żadna część mnie nie została w obozie. „Ulotniłem się”, jak powiedziała by Tom. Jak to możliwe, że przeniosłem się fizycznie do krainy Umarłych, jeśli do tej pory moje ciało zawsze zostawało po drugiej stronie?

Zrozumiałem to stopniowo i ta świadomość wypełniła mi serce chłodem. Było to skutkiem wyłomu uczynionego przez Wrzosowisko Duszorośli w tym, co powinno być nieprzeniknionym murem grobu. Dzięki owemu wyłomowi hisafowie mogli teraz swobodnie poruszać się w obu krainach, a nawet wędrować przez jedną, by nagle i niespodziewanie pojawiać się w drugiej. To był przerażający dowód na to, jak daleko posunęli się Duszoroślanie w swych wysiłkach zburzenia muru dzielącego żywych od martwych.

Nie musiałem się obawiać Tareka, ale w zamian wypełnił mnie strach przed przyszłością. Nie miałem jednak na to czasu. Niemal natychmiast zacząłem drzeć z zimna. Źródłem blasku widocznego za sosnowymi gałęziami była cienka warstwa śniegu lśniąca w promieniach słońca. Wyczołgałem się spod drzewa, otuliłem szczelniej futrem, zamrugalem kilka razy i spróbowałem zdecydować, co dalej. Mógłbym natychmiast przejść na drugą stronę i w ten sposób uciec przed zimą, o której wspomniał praktyczny Jee, ale to nie rozwiązałoby problemu żywności.

Bieg mnie rozgrzał. Tak wysoko w górach mieszkało niewielu dzikusów, ale po drugiej stronie, jakąś milę stąd, minęliśmy dużą grupę Umarłych. Nosili proste ubrania w rozmaitych stylach, niektórzy zimowe, inni zaś

letnie, co sugerowało, że jedna rodzina żyła tam i umierała przez długi czas. Może nadal tam byli. Może uda mi się coś ukraść z pola albo z sadu.

Było już dawno po zniwach. Dom nadal stał, ale niewielkie pole i karłowaty ogród całkowicie ogołoco. Na stoku nad domem pasło się jednak stado kóz. Pilnowało go dwóch chłopców w wieku dziewięciu, może dziesięciu lat. Kozy skubały twarde zielsko powyżej granicy śniegu. Zatrzymałem się na skraju lasu, obserwując chłopców. Czy mieli strzelby? Czy zdołam zbliżyć się do nich na tyle, by ukraść kozę?

Okazało się to zaskakująco łatwe. Wybiegłem z lasu i popędziłem ku jednemu z pasących się zwierząt. Chłopcy zawołali coś do mnie, unosząc z zaskoczenia nastroszone brwi i szeroko otwierając niebieskie oczy. Potem wyciągnęli noże i pognali w moją stronę. Na ich twarzach zdziwienie ustąpiło miejsca gniewnym grymasom. Byli jeszcze dziećmi, ale pochodzili z ludu Tareka, a ja miałem tylko jedną rękę i z pewnością nie wyglądałem zbyt groźnie. Złapałem jednak niczego się niespodziewające kozłą za futro na karku, ugryzłem się w język i zniknąłem chłopakom z oczu razem ze zwierzęciem.

Niemalże sprawiło mi to przyjemność.

Gdy wyszedłem z lasu, Tom spacerował w kółko z zasepioną miną.

— Chrzanione...

Zauważył, co przyniosłem.

— Potrafisz zarznąć kozę, Tom?

Skinął głową. Zaniemówił ze zdziwienia, ale w przypadku Toma Jenkinsa nigdy nie trwało to długo.

— A niech to, gdzie ją znalazłeś? Przez cały dzień nie widziałem żadnych zwierząt, nawet maleńkiego ptaszka. Jest śliczna, prawda? Jestem taki głodny, że mógłbym zjeść...

Umilkł nagle.

— O co chodzi? — zapytałem.

— Czy ta koza... — wyszeptał — jest Umarła? Czy możemy jeść Umarłych? Roger, co jeśli od tego...

— Nie jest Umarła. Przeszedłem na drugą stronę i ukradłem ją z gospodarstwa dzikusów. Żyje, dopóki jej nie zabijesz, Tom.

Jego twarz poweselała. Złapał koźlą, które beknęło żałością, ale nic mu to nie pomogło. Odwróciłem wzrok, by się upewnić, że Stephanie nadal śpi. Jee był myśliwym, ale wydawało się pewne, że księżniczka nigdy nie widziała, jak jej obiad zabijano albo zdzierano z niego skórę.

Zapach pieczystego obudził oboje dzieci.

Mogłem to zrobić. Mogłem zdobyć dla nas żywność, przechodząc w tę i we w tę. Dotrzemy do Reginokracji przez te ciche góry, w których pogoda nie istniała. Potem przeprowadzę wszystkich bezpiecznie do krainy żywych.

Mogłem tego dokonać. Chyba że napotkamy tu jakieś inne formy życia.

Kiedyś już podróżowałem z inną osobą przez krainę Umarłych. Prowadziłem Cecilię z Wrzosowiska Duszorośli przez Ziemię Niczyją aż do granicy Reginokracji. Wtedy jednak żyłem w obu królestwach. Za dnia wędrowałem z Maggie przez ziemie żywych, a nocą z Cecilią przez krainę Umarłych. Cecilia zachowywała się biernie i na nic nie reagowała. Była Umarła. Tylko krajobraz żył, targany burzami, wichrem i podziemnymi wstrząsami.

Teraz wszędzie panował spokój, mgła była lekka i nieruchoma, a Umarli pogrążeni w transie. Nie widziałem żadnych śladów innych hisafów ani siostry. Z jakichś przewrotnych powodów ten brak zaczynał mnie niepokoić. Czy nie wiedzieli, że tu jesteśmy? Czy naprawdę mogłem mieć aż tyle szczęścia?

Nie sądziłem jednak, by to szczęście zaprowadziło mnie w owo miejsce. Kraina Umarłych wydawała się bardziej niesamowita niż kiedykolwiek dotąd, nawet w czasie najgwałtowniejszych zaburzeń. Przychodziłem tu przez większą część życia, kierowany gniewem, rozpaczą, nadzieją albo pragnieniem znalezienia azylu, ale nigdy nie byłem tu obecny ciałem. Zawsze wiedziałem, że zostawiłem je w krainie żywych. Nigdy też nie towarzyszyli mi inni, dla których to wszystko było nie tylko niesamowite, lecz również niewyobrażalne.

— A więc ten człowiek naprawdę nie żyje — odezwał się Tom, gdy szliśmy ku prowadzącej na wschód przełęczy. Wydawała się tu znacznie bliższa niż w krainie żywych. Miałem nadzieję, że rzeczywiście tak jest. Umarły, na którego wskazał Tom, był myśliwym, odzianym w liczne, kosmate futra. Stopy również owinał sobie futrem, a u boku miał prymitywną włócznię. Z pewnością umarł zimą. Jee i Stephanie szli przodem, bym mógł ich widzieć. Księżniczka mocno ścisnęła rękę chłopca. W ogóle przestała mówić, ale cały czas szła naprzód.

— Tak — potwierdziłem. — Nie żyje.

— I po prostu siedzi tu od chwili śmierci.

— Tak.

— A kiedy dojdziemy do miejsca, gdzie umarła lady Margaret, no wiesz, to już za tym wzgórzem, ona też będzie tam siedziała.

Nie pomyślałem o tym. Lepiej, żeby Stephanie nie zobaczyła lady Margaret.

— Myślę, że okrążymy to wzgórze z drugiej strony.

— W porządku. Tak. Masz rację, Peter. To znaczy Roger. To mi się nie podoba.

— Oni nie żyją, Tom — rzekłem wyrozumiałym tonem. — Nie zrobią ci krzywdy.

— Nie boję się ich — zapewnił z powagą. — Tylko... no wiesz. Oni nie żyją.

— Tak.

— A my żyjemy. Przeprowadzisz nas z powrotem, prawda? Gdy już wrócimy do Reginokracji?

— Oczywiście.

— Jesteś absolutnie pewien, że potrafisz to zrobić?

— Tak.

Proszę, niech tak rzeczywiście się stanie.

— W porządku.

Zapadł w niespokojne milczenie. Gdy następnym razem mijaliśmy jednego z Umarłych — to również był myśliwy, ale pochodzący ze znacznie późniejszych czasów — Tom wyjął łuk z jego rąk i zabrał dwie strzały pozostałe w kołczanie na plecach. Dokonując tej kradzieży, obrzucił mnie wyzywającym spojrzeniem, ale nic mu nie powiedziałem. W tym miejscu broń nie mogła zaszkodzić nikomu poza nami czworgiem. Dowiedziałem się o tym kilka lat temu, gdy armia Niebieskich zachowała przytomność za grobem. Nie mogłem jednak Tomowi pozwolić przynieść tej broni do krainy żywych. To była kolejna lekcja, którą sobie przyswoiłem. Na razie nie mówiłem mu jednak o tym. Niech podczas wędrówki znajdzie pociechę w łuku i strzałach. Niepokoił się znacznie mocniej niż Jee, który posiadał zdumiewającą zdolność godzenia się z sytuacją. A może po prostu chodziło o to, że chłopiec wychowywał się przy samej granicy Wrzosowiska Duszorośli i dzięki temu zdawał sobie sprawę, jak niezwykle jest świat, Tom zaś pochodził z Almsbury i nigdy dotąd nie myślał o takich sprawach. A teraz był do tego zmuszony. Niech znajdzie choć trochę pocieszenia w ukradzonej broni.

Nasunęła mi się kolejna myśl. Jeśli ja, hisaf, mogłem teraz wędrować w ciele między krainą żywych i krainą Umarłych, inni hisafowie z pewnością również mogli tego dokonać. Wszyscy, w tym również mój ojciec. Jeśli rzeczywiście uwięziono go w miejscu zwanym Galtryf i przypadkiem odkryje ową umiejętność, żadne więzienie go nie powstrzyma. Być może rzeczywiście przyjdzie mi z pomocą. Jednakże przez całe moje życie ojciec zjawiał się za późno. To był po prostu kolejny taki przypadek. Nadal żywiłem do niego urazę.

Szliśmy przed siebie, mijając kolejnych Umarłych. Tom zabrał tarczę samotnemu żołnierzowi dzikusów i niósł ją z wielką ostrożnością, jakby była węzem i w każdej chwili mogła go ugryźć. Nie porzucił jej jednak.

48

Gdy Stephanie nie mogła już dłużej iść, Tom ją niósł. W krainie Umarłych nie było dni ani nocy, ale żywe ciała nadal je znały. „Wieczorem” rozbiliśmy obóz na szczycie małego wzgórza. Tom po raz kolejny uparł się, że musimy rozpalić ognisko. Upiekliśmy jeszcze trochę koziny. Kiedy dzieci zasnęły, przyjrzałem się okolicy leżącej na wschód od nas. Przełącz faktycznie była tu znacznie bliżej niż po drugiej stronie. Wystarczy jeden dzień wędrówki, by do niej dotrzeć, najwyżej półtora.

Tom chciał rozmawiać. Siedział zgarbiony przy ognisku, wiercąc się nerwowo.

— I na co komu być Umarłym? — wygarnął wreszcie.

— Słucham?

Starłem się ocenić, na jak długo wystarczy nam mięsa i czy powinienem znowu przejść na drugą stronę po coś do jedzenia. Tom pochłaniał mnóstwo żywności, by wykarmić swe masywne ciało.

— Pytam, na co komu być Umarłym? Jeśli tylko siedzi się bez ruchu jak jakaś skała?

Nagle pomyślałem o czymś jasnym i straszliwym — Alysse mówiła, że to miecz — co wyłoniło się z nieba, gdy zabierałem armię Niebieskich do krainy żywych. Nie miałem jednak pojęcia, czym jest ten miecz i co

oznacza dla Umarłych. Wiedziałem tylko, że to wspomnienie mnie przeraża.

— Jeśli już o tym mowa — ciągnął Tom głosem przesyconym teraz gniewem i desperacją — na co komu być żywym, jeśli wszyscy kończymy tutaj? Ty, ja, George i wszyscy staniemy się bryłami siedzącymi w tym okropnym miejscu. Powiedz mi, Roger?

— Co mam ci powiedzieć?

— Na co to komu? Śmierć, a nawet życie? Po co się trudzić?

— Tom — odezwałem się cicho — czy nigdy przedtem nie myślałeś o takich sprawach?

— Pewnie, że nie! Zwykli ludzie o nich nie myślą. Myślą o polowaniu, uprawianiu ziemi, o kolacji, spaniu z kobietami i... o zwyczajnych rzeczach. Ale to wszystko kończy się tutaj!

Ja zawsze myślałem o śmierci. Zawsze ją znałem. Ale też zawsze wiedziałem, że nie jestem zwyczajny. Byłem hisafem.

— Żałuję, że mnie tu zabrałeś — dodał mój towarzysz.

— Gdybym tego nie zrobił, Tarek by cię zabił, a wtedy i tak wylądowałbyś tutaj.

Uśmiechnął się. Widziałem, że gryzie się tym szczerze i głęboko. Dręczył go ból kogoś, kto nigdy nie sięgał myślą dalej niż najbliższa kolacja czy następna dziewczyna, a teraz został do tego zmuszony. Zawdzięczałem Tomowi życie i byłem mu winien lepsze traktowanie.

— Tom, to nie jest wszystko. Nie po tej stronie. A w krainie żywych jest znacznie więcej. Jest tam...

Maggie.

Pojawiła się w moich wspomnieniach tak wyraziście, jakby to ona, nie Tom Jenkins, siedziała obok mnie. Niemalże ją widziałem, czułem jej dotyk i delikatną, słodką woń jasnych włosów. Maggie, która mnie nie opuściła,

kochała mnie, a teraz nosiła moje dziecko. Maggie, którą — uświadomiłem to sobie dopiero teraz, w tym smutnym miejscu, próbując pocieszyć zasmuconego Toma — naprawdę kochałem.

— Co tam jest? — zapytał Tom. Byłem jednak zbyt wstrząśnięty, by odpowiedzieć mu natychmiast. A więc to była miłość. Nie oszołamiająca tęsknota, jaką czułem do Cecylii, czy wywołane przez zioła pożądanie Fii, ale owo potężne przekonanie, że to Maggie powinna być przy mnie, że jej życie splotło się z moim. Pragnąłem nie tylko ją obejmować, lecz również rozmawiać i spierać się z nią, chronić ją i pozwalać, by mnie terroryzowała. Maggie.

— Nie potrafisz mi odpowiedzieć — ciągnął Tom. — Nie ma nic więcej. To koniec. Będziemy siedzieć jak bryły, a wszystko, co mamy wewnątrz, zniknie. Wolałbym w ogóle się nie narodzić.

— Nie — zdołałem wreszcie wykrztusić. Musiałem jakoś pocieszyć Toma, dać mu coś, czego on pragnął, a nie to, czego, jak się przed chwilą przekonałem, sam pragnąłem. — Nie sądzę, by to był koniec, Tom. Ktoś bardzo mądry powiedział mi kiedyś, że Umarli czekają.

— Na co?

— Nie wiem. Tego mi nie powiedziano. Ale prędzej czy później nadejdzie coś więcej.

— Ten ktoś bardzo mądry to był George?

— Nie. Czarownica.

— Cholera, jeszcze i to — wybuchnął. — Nigdy nie wierzyłem w czarownice, a teraz... wszyscy ci Umarli... a ty nas tu przeniosłeś...

Ukrył twarz w dłoniach.

Spróbowałem raz jeszcze.

— Dotrzemy do Reginokracji, a potem wrócimy do domu, Tom. Będziesz miał długie, ciekawe życie i mnóstwo dziewczyn. A gdy pewnego

dnia umrzesz i trafisz tutaj, spędzisz tu tylko pewien czas, jak... jak...

— Jak w gospodzie podczas podróży?

— Tak jest.

— Ładna mi gospoda! — Prychnął pogardliwie i rozejrzał się wokół z niesmakiem, który jednak zaraz przerodził się w nadzieję. — Chcesz powiedzieć, że potem jest jakieś inne miejsce?

— Nie wiem — odpowiedziałem, nie chcąc go okłamywać.

— Ale myślisz, że tak?

— Nie wiem.

— Ale to możliwe?

— Tom, wszystko jest możliwe.

Stanowczo zbyt wiele.

— A w tym innym miejscu mogą być wszystkie dobre rzeczy? Jedzenie, polowanie i dziewczyny?

Wybrałem bezpieczną odpowiedź.

— Nie wiem.

— Ale jak sądzisz...

— Nie wiem!

— Nie musisz krzyczeć! — Na dłuższą chwilę pogrążył się w ponurych rozmyślaniach. — Chyba lepiej zapytam George'a.

— Zrób to — warknąłem i wreszcie się uciszył. Nie pragnąłem zostać przewodnikiem Toma Jenkinsa w wędrownie przez las myśli, jeszcze bardziej obcy dla niego niż kraina Umarłych. Chciałem siedzieć i myśleć o Maggie, czuć tęsknotę za nią, która — jak powoli rosnąca roślina — wreszcie zakwitła po długich latach tworzenia łodygi, liści i pączków. Maggie zawsze była przy mnie, ale nigdy jej naprawdę nie widziałem. Maggie, moja Maggie...

...nie mogłem do niej wrócić, bo inaczej zaprowadziłbym siostrę do mojego nienarodzonego syna.

Musi być jakieś wyjście z tej sytuacji. Znalazłem już bardzo wiele wyjść. Uratowałem troje żywych ludzi, transportując ich do Umarłych. Przekroczyłem nawet bariery krępujące dotąd hisafów, przenosząc na drugą stronę swe ciało, a nie tylko esencję. Z pewnością znajdę też jakiś sposób, by...

Stephanie zaczęła krzyczeć.

Pośród panującej na szczycie wzgórza ciszy jej głos ranił uszy, odbijał się echem od niewidocznych klifów, zdawał się przesywać samą ziemię. Zerwałem się, nim zdążyłem się zorientować, co robię, i objąłem dziewczynkę.

— Wasza Miłość! Co się stało! Co...

Jee złapał ją za rękę.

— Pani, pani, to był tylko sen.

Stephanie potrząsnęła gwałtownie głową. Kozina opuściła jej żołądek, spływając na moją bluzę.

Wymioty wyraźnie uspokoiły księżniczkę. Przez chwilę żywiłem śmieszna nadzieję, że to zwykła niestrawność.

— Zła... dziewczynka... — wykrztusiła księżniczka.

To jednak był sen, i to o mojej siostrze.

— Opowiedz mi o niej, Wasza Miłość.

Stephanie spróbowała mnie posłuchać, bez powodzenia, potem spróbowała znowu. Na swój dziecinny sposób nie była pozbawiona odwagi.

— Zła... dziewczynka... bardzo... się... gniewa.

— Na ciebie? — zapytał z oburzeniem Jee.

Księżniczka potrząsnęła głową. Wolałbym, żeby tego nie robiła, bo bałem się, że znowu zwymiotuje. Tak się jednak nie stało.

— Na... Rogera.

— Dlaczego? — dopytywał się Jee. — Co ci powiedziała? Mnie możesz to powtórzyć, Wasza Miłość.

Nie puszczał jej dłoni, zaciskając swe krótkie i grube palce na jej cienkich i bladych.

— Gniewa się na Rogera za to, że żyje. Chce, żeby umarł.

Pewnie, że chce. Chciałaby, żebyśmy wszyscy umarli. Jee, Tom i ja. To my staliśmy między nią a panowaniem nad Stephanie, byliśmy kotwicą zapewniającą księżniczce łączność z rzeczywistością, przez nas mogła być tylko jej biernym narzędziem, nie czynną sojuszniczką. Pozwalaliśmy dziewczynce zachować zdrowe zmysły. Jak lady Margaret i niania przed nami. Te dwie kobiety zastępowały księżniczkę nieżyjącą matkę, były jej kotwicą. Teraz ich zabrakło i tę samą funkcję pełniło trzech młodych mężczyzn. Ale jak długo to potrwa?

Alysse uważała, że Stephanie nie ma znaczenia. Wszystko wskazywało na to, że się myliła. Moja siostra polowała na księżniczkę, w snach, jeśli nawet nie cieleśnie. Dlaczego?

— Wasza Miłość, czy mogłabyś dokładnie powtórzyć, co powiedziała zła dziewczynka? — zapytałem ostrożnym tonem.

— Powiedziała: „Umrzyj, umrzyj, moje maleństwo, umrzyj”. Mówiła do Rogera. Ale Roger był niemowlęciem. — Naznaczona przez łyzy, wymioty i strach buzia Stephanie miała wyraz dezorientacji. Nic w tym dziwnego. Szalony umysł mojej siostry pomieszał ją z naszą matką i ze mną, niemowlę urodzone wśród żywych z tym, które przyszło na świat w krainie Umarłych. Wreszcie zrozumiałem źródło swego straszliwego snu o matce. To nie było moje wspomnienie, lecz wypaczone wizje mojej siostry. Alysse powiedziała, że łączą nas „więzy krwi”.

Teraz wiedziałem, dlaczego moja siostra ściga Stephanie. Chciała ją wykorzystać, aby mnie zabić, tak jak zabiła lady Margaret i opiekunkę. Czy może raczej to Wrzosowisko Duszorośli pragnęło wykorzystać księżniczkę za pośrednictwem mojej siostry.

— Stephanie — odezwałem się, po raz pierwszy pomijając jej tytuł — to bardzo ważne. Wiesz, gdzie jest zła dziewczynka?

Skinęła głową.

— Daleko stąd.

Daleko stąd. To tłumaczyło, dlaczego nie zaatakowano nas w krainie Umarłych. Moja siostra i jej wyjęci spod prawa hisafowie musieli wędrować przez nią na piechotę, tak samo jak my. Nikt nie mógł złamać tego prawa. Na krótką chwilę pocieszyła mnie materialna natura obu krain. Moja siostra była daleko.

To jednak była marna pociecha. Księżniczka mi towarzyszyła. Istniała możliwość, że ta mała dziewczynka mimo woli stanie się kanałem przekazującym sen, który zatrzyma moje serce. Stephanie mogła mnie zabić za pomocą snu.

Wstałem.

— Znasz nazwę miejsca, w którym jest teraz zła dziewczynka?

Księżniczka znowu skinęła głową.

— Tak. To Wrzosowisko Duszorośli.

— A czy ona tu przyjdzie?

— Nie wiem.

Ale ja wiedziałem. Moja siostra z całą pewnością przyjdzie tu po Stephanie. Musiałem jak najszybciej przeprowadzić swych podopiecznych przez góry, by móc przenieść ich z powrotem do krainy żywych, nim dotrze do nas moja siostra albo jej słudzy.

— Tom, zgaś ogień — rozkazałem. — Musimy ruszać w drogę.

* Wędrówka nie była łatwa. Szliśmy pod górę, ku przełęczy, i zajęło nam to trzy razy więcej czasu, niż potrzebował go Tarek, by zejść ze swoją armią na dół. Mięśnie nóg bolały mnie nieustannie. Wyczerpanie męciło mi umysł. Pragnąłem myśleć jedynie o Maggie i nie mogłem się skupić nawet na niej. Tomowi było trudniej, bo musiał nieść Stephanie, gdy nie była już w stanie iść, co zdarzało się często. Nigdy się jednak nie skarżył, podobnie jak Jee. Księżniczka zaraziła się ich odwagą albo odnalazła własną, odziedziczoną po budzącej lęk matce, i spokojnie znosiła nieustanne zmęczenie.

Nie mogliśmy pozwolić jej śnić. Dlatego któryś z nas zawsze musiał czuwać przy niej, a gdy jej powieki zaczynały trzepotać przez sen, a chude ciało ogarniało drzenie, budziliśmy dziewczynkę potrząsaniem, nim koszmary zdążyły wtargnąć do jej umysłu.

— Obudź się, Wasza Miłość — mamrotałem, często nie mając pewności, czy sam nie jestem uwięziony we śnie o wiecznym zmęczeniu.

— Spokojnie, pani — mruczał Jee.

— Hej, mała księżniczko, spójrz na Toma! — mówił mój drugi towarzysz. — Spójrz na ten ładny kwiatek! Spójrz na... na Rogera! Czyż nie jest przystojny!

Tom najwyraźniej uważał, że dzieci potrzebują nieustannego zachęcania, jakby były owcami, które nie chcą wejść do zagrody. Ja jednak nie byłem przystojny i Stephanie zwracała wychudłą buzię ku Tomowi, przyglądając mu się, jakby był szalony. Pozwalało jej to jednak uciec przed snem.

Potem znowu szliśmy. Znowu jedliśmy kozinę. W wysokich górskich okolicach królestwa dzikusów rzadziej spotykaliśmy Umarłych. Następnie dotarliśmy do przełęczy i po raz pierwszy ruszyliśmy w dół.

— Mięso się zepsuło — oznajmił Jee, rozwijając żałośnie małą paczuszkę z resztkami koziny.

— Fe! Ale smród! — zawołał Tom. — Zakop to, Jee. Roger, potrzebujemy czegoś do jedzenia.

Wszyscy troje gapili się na mnie. Tom z wiarą, Jee z niepewnością. Stephanie z nadzieją.

— Mógłbyś przynieść nam ciastka? — zapytała dziewczynka. — Albo jabłka?

Spróbowałem sobie wyobrazić, że kradnę jabłka z piwnicy bądź ciastka ze spiżarni w domu miejscowych wieśniaków.

— Nie sądzę, Wasza Miłość.

— Ech.

Zasmuciła się.

— Zabierz mnie ze sobą — zaproponował Jee. — Znajdę je.

Chłopiec byłby gotowy ukraść wszystko, czego pragnęła Stephanie, od ciastek aż po klejnoty. Nie zamierzałem jednak zabierać go ze sobą. Nadal nie byłem pewien, co się wydarzy, jeśli przeniosę troje towarzyszy z powrotem do krainy żywych, i nie chciałem tego próbować więcej niż jeden raz. Żywi ludzie mogli się w tej sprawie różnić od butów i nożyków do golenia. I co bym wtedy zrobił?

— Jee, musisz tu zostać, żeby strzec księżniczki. Zaczekaj na mnie.

— Dokąd idziesz, Roger? — zawołał Tom, gdy zacząłem się oddalać.

— Zaczekaj na mnie — odparłem, oglądając się przez ramię. Dlaczego nie chciałem, by zobaczyli, jak znikam, przechodząc na drugą stronę? Powtarzałem sobie, że chodzi mi o to, by nie przestraszyć Stephanie, ale to nie była prawda. Nie wiedziałem, co jest prawdą. Tak czy inaczej, zagłębiłem się nieco w rosnący na stoku las, z którego widziałem skupisko Umarłych w małej dolince. Tam położyłem się na ziemi i przeszedłem na drugą stronę.

Chłód...

Ciemność...

Ziemia...

A potem jeszcze większy chłód i śnieg sięgający moich kolan. Była noc, nisko nad skutym lodem horyzontem wisiał bliski pełni księżyc. Drżąc z zimna, ślizgając się i przeklinając, schodziłem ku domowi, który był niewiele więcej niż prostą chatą. Okiennice zamknięto dla ochrony przed chłodem zimowej nocy. Przy chacie wypatrzyłem jednak rozpadający się kurnik. Z pewnością dam radę włamać się do niego i ukraść kurę, nim dzikusy wypadną z domu, by mnie zastrzelić. Z pewnością dam radę...

— Stój — dobiegł mnie z ciemności czyjś głos.

Omam nie krzyknąłem. Obok mnie stała kobieta, która wyłoniła się z cienia wypełniającego kurnik. Przed chwilą nikogo tu nie było. Miała na sobie gładki, biały płaszcz, a w rękach trzymała duże zawiniątko.

— Stój, Rogerze Kilbourne.

— Co... kto...?

— Nieważne, kim jestem. Liczy się to, kim ty jesteś, a jesteś zdrajcą.

— Zdraj...

— Zdrajcą, tak jest. Jak inaczej nazwałbyś tych, którzy pomagają nieprzyjacielowi? Nie jesteś lepszy od niewiernych hisafów wykorzystujących twoją siostrę.

Podszedłem bliżej, by przyrzeć się jej twarzy. Nie skuliła się, nie okazała strachu. Twarz ukryta pod kapturem jej białego płaszcza nie była ani młoda, ani stara, ani brzydka, ani ładna. Oczy miała zielone.

— Jesteś kolejną z kobiet z widmowej sieci — stwierdziłem. — Tych, które władają sztukami duszy...

— Jestem czarownicą. Dlaczego unikasz tego słowa? — przerwała mi niecierpliwie. Poznawałem ten ton. To był ton Matki Chilton, Alysse,

a nawet Fii, wszystkich kobiet z sieci, które beształy mnie za to, że nie postępowałem, jak mi kazały.

— Nie jestem zdrajcą — sprzeciwiłem się, celowo unikając słowa „czarownica”. — Po prostu potrzebuję jedzenia dla...

— Wiemy, dla kogo go potrzebujesz. Masz.

Wepchnęła mi zawiniątko w ramiona, a potem pochyliła się ku mnie. Z jej wąskich z gniewu ust wydobywał się lodowaty oddech.

— Jesteś zdrajcą, Rogerze Kilbourne, czy o tym wiesz, czy nie. Powiedziano ci, żebyś przestał przechodzić na drugą stronę, a ty...

— Mój ojciec, hisaf, powiedział mi, że...

— A ty nie tylko nie posłuchałeś, ale zabrałeś ze sobą troje ludzi z krainy żywych. Myślisz, że twój ojciec wyobrażał sobie, że mógłbyś dokonać czegoś takiego? Że gdyby to sobie wyobraził, nie ostrzegłby cię, byś tego nie robił? Przyprowadziłeś nawet do krainy Umarłych dziecko o wielkim, niewyszkolonym talencie, a teraz...

— Próbowałem przekonać Alysse, żeby pomogła mi uratować Stephanie, ale ona oznajmiła, że księżniczka się nie liczy!

— Nie wiedziałyśmy wtedy wszystkiego o Stephanie ani o tym, w jaki sposób można ją wykorzystać. Ale to ty mnie niepokoisz, Rogerze Kilbourne. Powiedziano ci, że Wrzosowisko Duszorośli pragnie zniszczyć sieć łączącą żywych i martwych? Powiedziano ci. A mimo to straszliwie uszkodziłeś ową sieć swoimi nieodpowiedzialnymi czynami. Troje żywych przeniesionych do krainy Umarłych, troje żywych, którzy nie są hisafami. Podczas gdy tylko jedna urodzona po tamtej stronie osoba spowodowała tak wielkie zamieszanie! Jak możemy ci wytłumaczyć, co uczyniłeś?

— Dzikusy chciały ich zastrzelić — odparłem. Mimo woli mój głos zabrzmiał jak głos naburmuszonego chłopca, a nie mężczyzny, który uratował swą królową i przyjaciół. Kobiety z sieci zawsze tak na mnie

działały. Robiły ze mnie niegrzecznego dzieciaka. Ratowały mnie, uwodziły, beształy i karciły. Miałem już tego dość.

— Tak jest, chciały ich zastrzelić, i czy nie sądzisz, że Stephanie byłaby bezpieczniejsza pogrążona w transie Umarłych niż jako narzędzie służące twjej obłąkanej siostrze do zniszczenia żywych i Umarłych? Raz już ci to powiedziano. No wiesz, nie pozostałaby w transie na zawsze. Lepiej by było, gdyby umarła.

Rozgniewała mnie jej bezwzględność. A może to nie była bezwzględność, lecz raczej zdolność do sięgania wzrokiem dalej, niż ja potrafiłem to zrobić. „Nie pozostałaby w transie na zawsze”. Ale pogrążyłaby się w nim na bardzo długi czas i obrabowano by ją z życia spędzonego po tej stronie. Miała tylko sześć lat. Mogłaby też trafić do jednego z kręgów Umarłych zniszczonych na wieki przez wiry z Wrzosowiska Duszorośli. Oczyma duszy ujrzałem słodką, chudą buzię Stephanie, podkrążone z niewyspania oczy oraz ciemne, zwisające w strąkach włosy. Wszystko we mnie wzdrygnęło się przed dalekowzrocznym pragmatyzmem kobiety z sieci, gotowej poświęcić księżniczkę, a wraz z nią również Toma i Jee.

— Nie... mogłem... pozwolić... by... ich... zabito — odparłem, wymawiając każde słowo oddzielnie.

— Tak jest, nie mogłeś. I w rezultacie Wrzosowisko Duszorośli zdobyło jeszcze więcej mocy płynącej z uszkodzeń, jakie spowodowałeś w naturalnej barierze między życiem a śmiercią. Musisz przestać przechodzić na drugą stronę. Czy kiedykolwiek zrozumiesz, do czego doprowadziły twoje poczynania? Częściowo z twojej winy hisafowie mogą teraz przenosić do krainy Umarłych swe ciała, a nie tylko esencję. Jak mogłeś samowolnie...

Zza zamkniętych okiennic dobiegł krzyk. Z otwartych nagle drzwi popłynęło światło. Usłyszałem trzask strzelby...

Natychmiast ugryzłem się w język i przeszedłem na drugą stronę. Zdążyłem jednak zobaczyć białą łanię, niemal niewidoczną na tle śniegu. Umknęła spod kurnika i zniknęła w zimowym lesie.

49

W zawiniątku, które dostałem od kobiety z sieci, był chleb, ser i suszone wiśnie. Tom, Jee i Stephanie jedli je ze smakiem, zbyt zaabsorbowani, by choć zapytać, w jaki sposób zdobyłem takie skarby. Chłopiec jednak obrzucił mnie ostrym spojrzeniem.

Usta dziewczynki zrobiły się czerwone od wiśni, jedyna plama koloru na jej bladej twarzy. Tom miał okruszki w brodzie.

Choć byłem głodny, nie zdołałem nic przełknąć. W brzuchu burczało mi od wątpliwości, pytań oraz obaw — realnych i wymagowanych. Czy naprawdę byłem zdrajcą i pomagałem Wrzosowisku Duszorośli w walce o ograbienie milczących Umarłych z tego, co mogło na nich czekać w przyszłości? Czy naprawdę pogorszyłem naszą sytuację w tej wojnie?

Kraina Umarłych nie wyglądała teraz gorzej. Nic się w niej nie zmieniło: delikatne kosmyki bladej mgły unoszące się nieruchomo nad ziemią; słabe, jednorodne światło; bezruch, cisza oraz Umarli, bardzo nieliczni tak wysoko w górach. Poza zasięgiem mojego wzroku z pewnością jednak działo się więcej. Skąd kobieta z sieci wiedziała o tych wydarzeniach — a także o tym, gdzie dokładnie przebywam w krainie Umarłych? Te kobiety nie były hisafami. Nie potrafiły przechodzić na drugą stronę. Nie wiedziałem, co potrafią, a czego nie.

W ogóle nic nie wiedziałem.

— A niech to, ależ to było pyszne — oznajmił z satysfakcją Tom. — Mógłbym teraz przejść dziesięć mil, przekonacie się. I nieść ciebie przez całą drogę, Wasza Miłość.

— Pójdę z Jee — odparła Stephanie. Oczy miała bardziej podkrążone niż kiedykolwiek, a jej delikatne ciało pokrywało stanowczo zbyt wiele siniaków, jak na dziecko. Mimo to rozciągała w uśmiechu czerwone od wiśni usta. Ten uśmiech nie poprawił mi jednak humoru.

Ja, Roger Kilbourne, pomagałem Wrzosowisku Duszorośli. A co się stanie, jeśli — kiedy — sprowadzę troje śmiertelników z powrotem do krainy żywych? Czy pomogę mu jeszcze bardziej?

„Lepiej by było, gdyby umarła”.

Nie. Nie byłoby lepiej. Nie.

— Chodźmy już — odezwał się Tom. — Musimy... A co to?

Jedna z Umarłych wyszła spomiędzy drzew, zmierzając w naszą stronę.

To była stara kobieta, odziana w suknię tak wystrzępioną i wytartą, że w niektórych miejscach pozostał tylko sam wątek, bez osnowy. Oczy miała otwarte, ale nic nie widziała. Poruszała się w dziwnie urywany sposób, nie z drżeniem typowym dla bardzo starych ludzi, lecz raczej jakby jakaś obca moc poruszała jej nogami bez udziału woli. Ręce opadały jej luźno u boków. Twarz miała spokojną.

Tom sięgnął po łuk i strzały ukradzione żołnierzowi dzikusów.

— Nie! — powstrzymałem go. — Ona nie jest niebezpieczna. Jest... — Właściwie jaka? Umarła. Powinna być Umarła, a Umarli tak się nie zachowywali. — Zaczekajcie tu wszyscy.

Nie posłuchali mnie, oczywiście. Jee został na miejscu ze Stephanie, ale Tom podążył za mną, tak samo jak ja szedłem za staruszką. Kobieta posuwała się prosto przed siebie. Przedarła się przez chaszczę, przecięła strumień, a potem przeszła przez gaj wysokich sosen. Przewracała się,

a następnie wstawiała i wznawiała wędrówkę. Nie rozdzierała sobie sukni od upadków ani nie kaleczyła twarzy.

Pokonawszy jakieś pół mili, dotarła do grupy Umarłych. Siedzieli w kręgu złożonym z siedmiu osób. Nim stała się ósmą, złapałem ją jedyną dłonią, odwróciłem od kręgu i potrząsnąłem nią mocno.

— Proszę pani! Proszę pani!

Jej oczy odzyskały powoli wyrazistość. Usłyszałem, jak stojący za moimi plecami Tom wciągnął nagle powietrze. Tego jeszcze nie widział. Ale zawsze to stare kobiety najchętniej ze mną rozmawiają.

— Czego chcesz, chłopcze?

Mówiła po tarecku i ja również przeszedłem na ten gardłowy język.

— Dokąd idziesz?

W jej załzawionych niebieskich oczach pojawił się wyraz zdziwienia. Spojrzała na mnie, na otoczenie i na jednorodne niebo.

— Nie żyję.

— Tak. Dokąd idziesz?

— Donikąd. Dokąd mogliby iść Umarli? Jestem tutaj.

— Co ona mówi? — zapytał Tom.

Kobieta odwróciła się ku jego głosowi i zobaczyła krąg Umarłych. Jej zdziwienie jeszcze się nasiliło.

— Dokąd idziesz? — zapytałem po raz trzeci. Poczułem ucisk w brzuchu. Gdyby potrafiła mi powiedzieć...

Ale nie potrafiła. Staruszki z gór dzikusów niczym się nie różniły od staruszek z Reginokracji. Gdybym chciał porozmawiać o jej dzieciństwie, odpowiedziałyby mi, ale Umarli nie są zainteresowani rozmowami o terażniejszości, nawet ich własnej, nie w wystarczającym stopniu, by zachować przytomność. Na twarz kobiety powrócił spokój, a jej nogi znowu spróbowały powędrować w stronę kręgu.

— Tom, przywiąż ją do tamtego drzewa — poleciłem. — Mocno, żeby nie mogła uciec.

— Mam ją przywiązać? Umarłą kobietę?

— Tak. Urwij pas tkaniny od spodu jej sukni, jeśli nie masz nic innego.

— Ale dlaczego, Roger? Nie może nam zrobić krzywdy.

— Ale może zrobić krzywdę sobie.

Tom wsparł mocno nogi na ziemi, nie zamierzając ruszyć się z miejsca. Staruszka stała między nami. Jej kończyny ciągle się poruszały, choć jedna ręka wystarczała mi, by powstrzymać jej wątłe ciało.

— Nic nie zrobię, dopóki nie otrzymam odpowiedzi, Roger — oznajmił mój towarzysz, jak już kiedyś to zrobił.

Spojrzałem na jego zakłopotaną twarz. Mówił poważnie. Nie wykona żadnych rozkazów, jeśli nie odpowiem na jego pytania, choć wątpiłem, by zrozumiał moje odpowiedzi, uwierzył w nie czy poczuł się nimi uspokojony.

— Wrzosowisko Duszorośli toczy wojnę przeciwko nam wszystkim, Tom. Z Reginokracją, Ziemią Niczyją i królestwem Tareka. To jest prawdziwa wojna, a nie jakiś bunt przeciwko władzy dzikusów. Toczy się ją zarówno w krainie żywych, jak i w krainie Umarłych. Duszoroślanie pragną zniszczyć barierę dzielącą od siebie obie krainy, by zagarnąć moc Umarłych i żyć wiecznie.

Przez twarz Toma przemknęło kilka rozmaitych uczuć. W końcu zwyciężyła litość.

— Roger — oznajmił delikatnym tonem. — To nie ma sensu. Jak śmierć może mieć moc? Ta kobieta nie żyje. Tylko na nią spójrz! To tylko bezwładna szmata, która nie może nigdzie dojść.

Staruszka wciąż poruszała nogami. Palce jej bosych stóp muskały moje buty. Chciałem, żeby przestała. Pragnąłem, żeby Tom wreszcie coś

zrozumiał. Miałem już dość tłumaczenia mu spraw, których nigdy nie zdoła pojąć. Byłem wyczerpany, poirytowany i wystraszony.

— Nie potrafię wyjaśnić ci tego lepiej — warknąłem. — Możesz mi uwierzyć albo nie, jak wolisz. Ale to właśnie przez tę wojnę Stephanie dręczą koszmary, a lady Margaret i opiekunka zginęły. Również z jej powodu mogłem przenieść ciebie, Jee i księżniczkę na drugą stronę grobu. Pamiętasz grób, Tom? Pamiętasz przejście na drugą stronę? Powiedz mi, czy to ma sens.

Pamiętał. Wyczytałem to z jego oczu — ciemność, robaki, odarte z ciała ręce i nogi miotające się bezradnie. Ogarnął mnie wstyd. Byłem winien Tomowi tyle samo, co on mnie. Nie mogłem jednak udzielić mu odpowiedzi, których nie znałem. Wiedziałem, że śmierć ma ogromną moc — „coś jasnego i straszliwego, co rozdzierało niebo” — ale nie miałem pojęcia, w jaki sposób Duszoroślanie panują nad tą mocą. Byłem hisafem i przechodziłem na drugą stronę, ale żeby coś zrobić, nie zawsze trzeba to rozumieć.

— Jeśli ta staruszka usiądzie w kręgu, to pomoże... pomoże Wrzosowisku Duszorośli? — zapytał Tom.

Skinąłem głową. Tyle potrafił zrozumieć: my przeciwko nim.

Przejął ode mnie kobietę, wyjął skądś sznurek, z pewnością również ukradziony któremuś z Umarłych, i przywiązał ją mocno do potężnego dębu. Jego szeroka twarz zrobiła się bardzo blada. Potem wyciągnął z kręgu dwóch kolejnych Umarłych i ich również przywiązał do drzew.

— To wystarczy — rzekłem mu, nie wiedząc, czy rzeczywiście tak jest. — Kręgi potrzebują co najmniej dziesięciu osób, żeby działać. Zachowaj trochę sznura na później.

— Zrobię to — zapewnił Tom z determinacją w głosie. Na jego twarz wróciły kolory. Miał zadanie do wykonania. To zawsze go uspokajało.

Wróciliśmy do Jee i Stephanie, którzy nie zadali nam żadnych pytań. Nie wiedziałem, co powiedział księżniczce chłopiec. Znowu ruszyliśmy w drogę. Tom i Jee nieśli resztę zapasów na plecach. Tak wysoko w górach nie widzieliśmy już więcej kręgów, ale gdy tylko spotykaliśmy samotnych Umarłych, Tom przywiązywał ich z powagą do drzew.

Jedna osoba, dwie, pięć — choć żywi mieszkali tu od tylu stuleci.

— George byłby z ciebie dumny — odezwałem się, czując, że muszę coś powiedzieć.

— Opowiedz mu o tym, kiedy go spotkasz — odparł Tom, nie patrząc na mnie. Nie uśmiechnął się też. To mógł być sarkazm albo nie. Nie potrafiłem tego określić. I nie zapytałem go.

Stephanie śniła.

Nie mogliśmy bez końca jej przed tym powstrzymywać. Krótkie chwile snu, na jakie jej pozwalaliśmy, nie wystarczyłyby nikomu. Zaczęła uskarżać się i jęczeć. Siniaki wokół jej oczu zrobiły się tak ciemne, że gdyby w krainie Umarłych znalazł się jakiś obserwator, pomyślałby, że ją bijemy. Tom, Jee i ja nie mogliśmy też iść przez cały „dzień”, a potem obywać się bez snu, pilnując po kolei Stephanie, by powstrzymywać jej koszmary. Nawet wielkie siły Toma słabły, a — o ile potrafiłem to ocenić — pokonaliśmy dopiero połowę drogi w dół po wschodniej stronie gór. W miarę jak zbliżaliśmy się do Reginokracji, widzieliśmy w krainie Umarłych coraz więcej mgły, ale nie była ona jeszcze naprawdę gęsta. Nadal pozostawała rzadkimi kosmykami unoszącymi się nad ziemią. Ona jednak również niepokoiła Stephanie. Dziewczynka wpatrywała się w szare opary, a potem wciskała twarz w ramię Toma albo w mój bok.

Wlokła się przed siebie, ściskając moją dłoń, gdy napotkaliśmy kolejny krąg Umarłych i w końcu nie wytrzymała.

Było ich piętnastu i wszyscy trzymali się za ręce. Przez jakieś ćwierć mili drogi prawie nie widzieliśmy mgły i teraz zrozumiałem dlaczego: cała skupiała się w tym kręgu. Przesłaniała wszystkie piętnaście głów. Wiedziałem, że gdybym położył rękę na jednej z nich, poczułbym, że wibruje jak ul pełen pszczół. Pośrodku kręgu znajdowało się skupisko ciemniejszej mgły, wirujące powoli.

Tom i Jee stanęli jak wryci, gapiąc się na to z przerażeniem. Nigdy jeszcze nie widzieli czegoś takiego. Ja widziałem, lecz mimo to poczułem dreszcz przebiegający po plecach i brzuchu. Mroczna wirująca mgła składała się z obserwatorów z Wrzosowiska Duszorośli, a jeśli zrobi to samo, co widziałem poprzednio, wszyscy ci Umarli wkrótce...

— Nie! — wrzasnęła Stephanie. — Przegnaj to!

— Pani, pani — mruczał Jee, który uwolnił się od paraliżu i pochylił nad dziewczynką. Na jego brudnej twarzy malował się strach, podobnie jak na jej buzi. Nadaremnie próbował odwrócić dziewczynkę od kręgu.

— Jest tam! — krzyczała. — Jest tam! Chcę do domu! Chcę do niani!

Potem popłynęła burza łez, tym potężniejsza, że długo powstrzymywana. Twarz Toma nabrała kamiennego wyrazu.

— To broń kobiety — stwierdził kiedyś, opowiadając o łzach jednej ze swoich kochanek, Agnes, Joan, Betsy, a może Annie? Czy tak samo myślał o łzach małej księżniczki, która miała dopiero sześć lat? Byłem jednak zbyt zmęczony, by eksplorować zakamarki umysłu Toma Jenkinsa. Myślałem tylko o tym, by jak najszybciej oddalić się od kręgu. Tych Umarłych Tom Jenkins nie przywiąże do żadnego drzewa.

— Weź Stephanie na ręce, Tom — rozkazałem. — Musimy iść dalej.

— Nie mogę — odparł.

Nigdy dotąd nie słyszałem od niego, że nie może czegoś zrobić.

— Muszę odpocząć przynajmniej chwilkę — dodał. — Nie jestem wołem, Roger, nawet jeśli tak o mnie myślisz. Silny, głupi Tom, który zrobi, co mu kazać.

— Wcale tak o tobie nie myślę — skłamałem.

— Nieważne. Muszę się przespać i zrobię to. Tam.

Ruszył na drugą stronę wzgórza, by nie widzieć umarłych. Powstrzymałem ostrą odpowiedź. Wskutek zmęczenia wszyscy zrobiliśmy się kłótlivi, ale ja nie mogłem sobie pozwolić na kłótnie z Tomem. Za bardzo go potrzebowaliśmy. Stłumiłem pretensje — jeśli trudno mu było słuchać rozkazów, niech sam spróbuje prowadzić naszą żalosną grupkę — i ruszyłem za nim, ciągnąc za sobą łkającą Stephanie.

Wszyscy usiedliśmy na ziemi. Natychmiast zawładnęło mną zmęczenie.

— Mógłbyś popilnować Jej Miłości, Jee? — zapytałem chłopca.

— Tak — zapewnił śmiało. Pozwoliłem mu na to, mimo że był dzieckiem, i widziałem, jak bardzo jest zmęczony. Położyłem się daleko od Toma, który nawet przez sen nie rozstawał się z ukradzioną Umarłym bronią: dwiema włóczniami, łukiem, kołczanem strzał wykonanych różnymi rękami, tarczą i strzelbą. W dłoni trzymał jeden ze swych dwóch noży. Po paru chwilach zapadłem w głęboki, pusty sen. O dziwo, od czasu przejścia do krainy Umarłych nic go nigdy nie zakłócało.

A potem do Stephanie przyszedł koszmar.

Obudził mnie jej krzyk. Jee spał... nie, to nie był sen. Zerwałem się i podbiegłem do niego. Nie oddychał.

— Jee!

— Ona przyszła! — krzyczała księżniczka. — Zła dziewczynka. Chce, żebym tu została.

— Jee!

Złapałem jego drobne ciało i potrząsnąłem nim. Wciągnął gwałtownie haust powietrza, a potem znowu zwiśł bezwładnie. Jeszcze nie umarł, ale wkrótce to się stanie. Zabijała go.

Wypuściłem go, uniosłem zdrową rękę i walnąłem Stephanie w głowę.

Osunęła się na ziemię, nim jeszcze na jej twarzy zdążył się pojawić wyraz zaskoczenia. Tom zerwał się z wrzaskiem i w następnej chwili leżałem na ziemi obok księżniczki, a jego nóż dotykał mojego gardła. W jego oczach błyszczały gniew, zdumienie oraz instynktowne pragnienie obrony władczyńi.

— Tom, czy Jee żyje?

Wszystkie te uczucia ustąpiły miejsca zmieszaniu.

— Jee? Zaatakowałeś...

— Zabijała go! Swoim snem.

Nie miałem na myśli Stephanie, ale nawet jeśli mnie nie zrozumiał, odwrócił głowę i spojrzał na chłopca.

— Pozwól mi wstać!

Zrobił to, ale nie dla mnie. W jednej chwili uklęknął między dziećmi. Zacisnąłem mocno powieki, nagle przestraszony tym, co uczyniła moja siostra, i co sam uczyniłem....

Usłyszałem głośne, urywane westchnienie, a potem ochryply krzyk, jakby płynął z uszkodzonego, naznaczonego bliznami gardła. Jee żył.

A Stephanie?

— Oddycha — oznajmił Tom ponurym tonem. — Ale zmysły ją opuściły. Zrobiłeś to, by nie zabiła Jee swoim snem?

— Jak lady Margaret. Jak swoją niańkę. — Nadal czułem dotyk noża Toma. Dotknąłem ręką gardła. Palce splamiła mi krew. — Tom, nie mogłem zrobić nic innego!

— To tylko mała dziewczynka!

— Nie mogłem zrobić nic innego.

Jee nadal dyszał spazmatycznie. Tylko to mogło go powstrzymać przed pobiegnięciem do księżniczki. Podczołgałem się do chłopca i dotknąłem jego ramienia. Skierował na mnie spojrzenie ciemnych oczu. Jego twarz stopniowo odzyskiwała kolory i oddychał coraz regularniej. Potem się rozpłakał.

Objąłem go.

— Cicho, Jee. Nie mogła nic na to poradzić. Nie chciała cię skrzywdzić. Ktoś inny to zrobił za pośrednictwem jej snów. Cicho.

Odepchnął mnie, zawstydzony tym, że okazał słabość na oczach mężczyzn. Gniew był lepszy od strachu, postanowił więc się rozgniewać.

— Co to za inny? — zapytał. — Jesteś czarownikiem. Kto z Kraju Czarowników zabija poprzez naszą księżniczkę?

Tom, tulący nieprzytomną Stephanie, przeszył mnie twardym spojrzeniem.

— Ona jest królową... królową niewiernych — zacząłem. — Mieszka tutaj, w krainie Umarłych. To moja przyrodnia siostra.

Zapadła cisza.

Trwała długo. Tom i Jee gapili się na mnie. Wreszcie złączył ją inny głos.

— To nic nie da, Tom. Stephanie odzyska kiedyś przytomność.

Odwróciłem się błyskawicznie. Stała na skraju sosnowego lasu. Spowijająca ją mroczna mgła pomknęła ku nam, przesłaniając smukłą sylwetkę oraz błyszczącą koronę. Zasłoniła również przede mną trzech mężczyzn towarzyszących mojej siostrze. Po chwili fala mgły dotarła do nas i nie widziałem już zupełnie nic. Słyszałem jednak śmiech siostry dobiegający do nas z oparów, wysoki, przenikliwy i szalony.

50

Wyciągnąłem na oślep ręce we mgle tak gęstej, że straciłem poczucie kierunku. Moja dłoń zamknęła się w pustym powietrzu, ale kikutem drugiej ręki uderzyłem boleśnie w co twardego. To był Tom.

— Masz książniczkę? — zawołałem. Nim zdążył mi odpowiedzieć — brakowało nam czasu, choć jeszcze przed chwilą był on wszystkim, co mieliśmy — poczułem ręce Jee obejmujące mnie w pasie. Tom trzymał przedtem w ramionach bezwładne ciało Stephanie. Musi ją mieć.

Złapałem go, ugryzłem się w język i wszyscy przeszliśmy na drugą stronę. Być może moja siostra spodziewała się tego, bo nie przestawała się śmiać. Jej śmiech był ostatnim, co słyszałem, nim nadeszły

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba wiążąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Byliśmy w krainie żywych. Staliśmy po kolana w śniegu. Jaskrawy blask słońca raził nam oczy. Między bezlistnymi drzewami dał zimny wicher.

Tom coś krzyknął, ale jego słowa uniósł wiatr. Niemalże się spodziewałem, że moja siostra pojawi się zaraz obok nas. Tego jednak nie mogła dokonać. Była uwięziona w krainie Umarłych i nic nam tu nie

groziło. Dokonałem tego. Przyprowadziłem z powrotem Jee, Toma i Stephanie w ich ciałach.

Wtem na tle śniegu zmaterializowała się jakaś postać. Potem druga. I trzecia.

Trzej mężczyźni towarzyszący mojej siostrze. Hisafowie uzbrojeni w noże. Stali niespełna dziesięć jardów od miejsca, w którym kuliliśmy się na lodowatym wietrze. Tom upuścił Stephanie na Jee i skoczył przede mnie. Ukradziona przez niego broń została w krainie Umarłych razem z naszymi płaszczami, ale miał dwa własne noże. Rzucił jednym z nich w najbliższego mężczyznę.

Hisaf zniknął.

Przeszedł na drugą stronę, oczywiście. Widziałem minę, jaka pojawiła się na przesłoniętej oparami oddechu twarzy Toma, gdy nóż wbił się w zaspę. Drugi hisaf uśmiechnął się do niego, a potem do mnie. Krzyknął coś, ale wiatr zagłuszył jego słowa. Był starszy od mojego ojca, miał gęstą czarną brodę, łysą głowę i oczy, które...

Zniknął, nim drugi nóż Toma zdążył do niego dolecieć.

Na jak długo? Ile czasu potrzebowali, by przejść przez grób, zaczerpnąć oddechu, zadać sobie lekki ból, znowu sforsować rozsypującą się barierę zimna i ciemności, by wrócić do nas i...

— Z tyłu! — krzyknął Jee i opadł na ziemię, by osłonić ciałem Stephanie. Tom odwrócił się błyskawicznie. Trzeci hisaf krążył wokół niego z nożem w ręce. Podniosłem ze śniegu jeden z noży Toma i rzuciłem mu go. Ledwie zdążyłem znaleźć drugi, nim wrócił łysy czarnobrody hisaf. Stał piętnaście stóp od nas. Jego nóż lśnił w odbijającym się od śniegu blasku słońca.

Tom skoczył na trzeciego hisafa. Był młodszy, większy i silniejszy od niego, wiedział też co nieco o walce. Zdołał wytrącić nóż z ręki

przeciwnika. Hisaf natychmiast zniknął. W tej samej chwili pierwszy wrócił z krainy Umarłych.

Tom uchylił się przed ciosem. Nóż hisafa trafił go w bok, ale on chyba nawet tego nie zauważył. Całkowicie skupiał się na przeciwniku. Nawet hisaf musiał wyczuć furję wypełniającą potężne ciało młodzieńca, ponieważ zniknął, zamiast ponowić atak.

Czarnobrody hisaf pędził ku mnie przez śnieg.

Tom był szybszy. Pierwszy dotarł do mnie i skoczył na niego. Szarpali się przez krótką chwilę, a potem hisaf rozpuścił się w uścisku mojego towarzysza i zniknął.

— Kim oni są? — zawołał do mnie Tom.

— Hisafami! Tak samo jak ja!

Jęknął.

— Stańmy plecami do siebie! — zawołał, przekrzykując wiatr. Ścisnąłem jego drugi nóż, wiedząc, że jestem zbyt niezgrabny, by zrobić z niego użytek. Peter Jednoręki. Nie miałem jednak wyboru. Nikt z nas go nie miał. Ci hisafowie mogli teraz przechodzić cieleśnie na drugą stronę, tak samo jak ja. Musieliśmy ich zabić, by wrócili do krainy Umarłych i zapadli w spokojny trans. W przeciwnym razie sami tam trafimy, pomyślałem. Wszyscy czworo. Nie. Tylko nas trzech, bo Stephanie będzie wtedy należała do mojej siostry i do tych, którzy nią kierowali, a wątpię, by chcieli, żeby dziewczynka zapadła w spokojny trans. Mogli zrobić z niej użytek.

Jee i Stephanie leżeli na ziemi między mną a Tomem. Trzeci hisaf zniknął, nie próbując ataku. Dlaczego? Czekałem, aż wróca. Wicher zawodził, mroząc mi twarz. Hisafowie nie wracali. Mijały minuty. Co, jeśli po prostu pozwolą, byśmy tu zamarзли, a potem...

Dwaj z nich pojawili się po obu moich bokach, tak blisko, że czułem ciepło ich ciał. Trzeci zmaterializował się nieco dalej. Jeden złapał mnie za szyję i przystawił mi nóż do gardła. Tom odwrócił się i zobaczył nas.

— Jeśli zaatakujesz, Roger zginie! — zawołał mężczyzna, przekrzykując wiatr.

Mój towarzysz zawahał się.

I w tej właśnie chwili drugi hisaf skoczył do przodu. Jego nóż błysnął. Nagły powiew wiatru sypnął mi śniegiem w oczy, oślepiając mnie na chwilę, i nie widziałem, co się dzieje, aż do chwili, gdy wiatr się uspokoił i ujrzałem, że hisaf padł na ziemię, złapany za kostkę przez Jee. Chłopiec zdołał zbić go z nóg. Tom opadł na kolana i wbił mężczyźnie w pierś jego własny nóż. Trysnęła krew, barwiąc śnieg na jaskrawoczerwono.

Ale mój towarzysz osunął się na kolana, a nie skoczył na przeciwnika, co znaczyło...

Nagle usłyszałem w głowie głos siostry — mimo że nie spałem, i to nie był sen.

— Nie zabijajcie Rogera! Złapcie go! Złapcie!

Hisaf trzymający mnie za szyję uderzył drugą ręką w mój nadgarstek. Mój nóż upadł w śnieg. Trzeci hisaf, ten czarnobrody, ruszył nieśpiesznie ku nam. Klęczący obok mnie Tom uniósł wzrok. Jego oczy miały mętny, prawie senny wyraz. Nagle jego spojrzenie się wyostrzyło i mój towarzysz spróbował wstać. Czarnobrody mężczyzna zatrzymał się kilka stóp od niego i uniósł z uśmiechem strzelbę.

— Nie! — krzyknęła znowu moja siostra. Jej furia wypełniła mój mózg kipiącą czerwoną chmurą. — To nie on! Roger nie jest wybranym!

Nie przestawała się drzeć. Uniosłem zdrową rękę i zasłoniłem ucho dłonią, jakby to mogło pomóc mi odgrodzić się od niej.

Nie jest wybranym.

Trzymający mnie hisaf zawahał się. Czy on również usłyszał ten głos? Poczułem, że przygotowuje się do przejścia na drugą stronę. Przesunął nieco ciało, nie wypuszczając mnie, rytm jego oddechu się zmienił. Chciał zabrać mnie ze sobą, zawahał się jednak w chwili, gdy krzyk mojej siostry wypełnił mi głowę — i jemu również? — i w tejże właśnie chwili z nieba spadły dwie sylwetki.

Poruszały się z wielką prędkością. Przez moment miałem wrażenie, że to płaszcze, potem jednak stały się ptakami. Ogromnymi, ciemnymi ptaszyskami lecącymi przez chmury niesionego wiatrem śniegu. Nie, one nie leciały ani nie spadały, lecz nurkowały, niczym drapieżne ptaki atakujące ofiarę. Ale orły, jastrzębie, a nawet sowy atakują z wyciągniętymi szponami, a te ogromne ptaki nurkowały dziobami do przodu, po jednym na każdego z hisafów. Celowały w ich głowy.

Mój hisaf odepchnął mnie na obok, unosząc nóż. Drugi poruszył strzelbą. Obaj jednak byli zbyt wolni. Ptasie dzioby uderzyły w ich czaszki. Potem szpony zacisnęły się na ich ramionach, a dzioby wbiły się w wykrzywione w krzyku twarze raz, drugi i trzeci. Mężczyźni krzyczeli i wyli z bólu. Jeden z dziobów przeszył oko i tryskająca krew zabarwiła biały śnieg na czerwono.

Postąpiłem krok naprzód, dręczony mdłościami i zarazem zafascynowany do tego stopnia, że nie wiedziałem, co robię. Tom podniósł się chwiejnie. Po kilku chwilach było po wszystkim. Jednego hisafa zabił nóż mojego towarzysza, a dwóch pozostałych monstrualne ptaki, które nagle zniknęły. Na śniegu stały dwie kobiety o twarzach wykrzywionych z wysiłku wkładanego w oddychanie. Jedną była biała łania, która przyniosła mi jedzenie, drugą zaś Alysse.

Nie miałem czasu na Toma, który wciągnął nagle powietrze, poznając ją. Trzej hisafowie towarzyszyli mojej siostrze w krainie Umarłych, a teraz

wszyscy leżeli martwi u moich stóp. Moja siostra została sama. Tylko ja mogłem przejść na drugą stronę i powstrzymać ją przed zrobieniem tego znowu: zwerbowaniem kolejnych hisafów, wytropieniem mnie i Stephanie, a także innych osób obdarzonych niekontrolowanym talentem, cielesnym przeniesieniem morderców przez krainę Umarłych. Tylko ja.

Wypełniony gniewem tak silnym, że nigdy nie uznałbym tego za możliwe, tak silnym, że nie byłem w pełni zdrowych zmysłów, przeszedłem na drugą stronę.

51

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba wiążąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Moja siostra stała pośrodku sosnowego gaju, niespełna dwadzieścia stóp od miejsca, w którym przeszedłem na drugą stronę. Wokół niej wirowała mgła. Patrzyliśmy na siebie przez te ciemne opary i po raz pierwszy usłyszałem w głowie jej imię. To było imię mojej matki.

— Katharine! — zawołałem.

Otworzyła szeroko oczy. Mogła być szalona i gniewna — Stephanie powiedziała: „Gniewa się na Rogera za to, że żyje” — ale miała wystarczająco wiele rozsądku, by rozpoznać furię jeszcze większą od własnej. Nie miała obrońców, a ja wreszcie wyzbyłem się strachu. Odwróciła się i uciekła między drzewa.

Popędziłem za nią. Otoczyła mnie ciemna mgła, gęstniejąca z każdą chwilą, aż wreszcie przesłałem cokolwiek widzieć. Został mi jednak słuch. Podążałem za dźwiękiem łamanych gałęzi i deptanego podszycia. Moja siostra miała tu realne ciało, tak samo jak ja, i podobnie jak ja potykała się we mgle.

— Katharine!

Nagle poczułem ją w swym umyśle jako straszliwy wrzask, który nie chciał ucichnąć. Omal nie zaprzestałem pogoni — wszystko, żeby pozbyć się z mózgu tego monstrualnego hałasu. Straszliwy dźwięk utrudniał mi usłyszenie kroków siostry, podobnie jak ciemniejąca mgła nie pozwalała mi jej zobaczyć. Tylko fart sprawił, że uderzyłem kikutem o jej ciało, a potem sięgnąłem na oślep drugą ręką. Miałem ją.

— Nie! Nie! Nie!

To był krzyk przerażonej dziewczynki. Ciało szarpiące się w moim uścisku było drobne i lekkie. *Nie żyję od jedenastu lat.* Miała ciało dziecka, ale zabijała jak najbardziej bezlitosny żołnierz. Nie była tym, kim się wydawała. Żaden z jej uczynków nie był dziecinny. Desperacko wyliczałem je w myślach, by podtrzymać żar furii, który pozwoli mu uczynić to, co konieczne.

Lady Margaret zamordowana we śnie.

Opiekunka księżniczki, zamordowana.

Mój ojciec, uwięziony w jakimś miejscu.

Fia, rozpadająca się i topniejąca groteskowo w moich ramionach.

Umrzyj, umrzyj, umrzyj...

— Nie! — łkała Katharine. — Roger, nie!

Przerzuciłem ją sobie przez ramię i poniosłem z powrotem ku wzgórzu, na którym zobaczyliśmy ją z Tomem po raz pierwszy. Gdy opuściliśmy las, mgła zrobiła się trochę rzadsza i widziałem, dokąd idę. Siostra bezsilnie tłukła mnie pięściami po plecach. Wrzask w moim umyśle nie chciał umilknąć. Był tak donośny, że niemal mnie oślepił, jakby dźwięk również był ciemną mgłą. Prawdziwa mgła zniknęła jednak, gdy okrążyłem wzgórze u podstawy.

Znajdował się tam krąg Umarłych, który tak bardzo przestraszył Stephanie. Całą mgłę w okolicy przyciągnęło wirujące centrum albo głowy samych Umarłych. Wszystkie piętnaście głów wibrowało. Nie miałem czasu zastanawiać się, kim mogli być ci mężczyźni i kobiety, którym chciwość Wrzosowiska Duszorośli miała odebrać wieczność. Nie mogłem ich uratować. Mgła stawała się już brzęczącym wirem, który obracał się coraz szybciej. Alysse powiedziała mi: „Twoja siostra znajduje się w centrum owej sieci. Hisafowie mają nadzieję ją zabić. Nie może im się udać. Przepływ mocy sieci, najpotężniejszej mocy na świecie, nie może zostać tak nagle i straszliwie zakłócony”.

Ale ja nie zamierzałem usunąć mocy Katharine z sieci. Chciałem ją tylko rozproszyć, rozdzielić między wielu, jak wezbrana rzeka, która po wpadnięciu do ogromnego morza nie może zalewać wiosek, obalać drzew i zabijać niewinnych.

— Nie, Roger! Nie!

Przedarłem się przez krąg Umarłych i zaniósłem siostrę na krawędź wiru. Jego brzęczenie stało się tak przeraźliwe, że o mało nie pękły mi bębunki. Chude ciało Katharine szarpało się w moich ramionach. Okładała moje plecy pięściami. Odsunąłem ją od siebie i uniosłem wysoko, wyżej, niż uznałbym to za możliwe z moją jedną zdrową ręką.

Nie byłem w stanie tego zrobić.

Była tylko dzieckiem, dziewczynką, obłąkaną nie z własnej winy, lecz z powodu straszliwych okoliczności, w jakich się narodziła. Mimo tego wszystkiego pozostawała moją siostrą. A ja nie byłem mordercą. Nie byłem. Nie potrafiłem popełnić tego potwornego czynu, nie mogłem zamordować własnej siostry, cokolwiek by uczyniła. Ramiona mnie rozboleły od unoszenia jej wysoko nad głową. Wydałem z siebie

nieartykułowany krzyk, jak zwierzę pełne bólu, gniewu i frustracji. Moja siostra... Nie mogłem tego zrobić.

Nagle Katharine przestała łkać.

— To twoje dziecko jest wybrańcem! — wrzasnęła. — Twój syn! Dostanę go!

Roześmiała się.

To był ten sam śmiech, od którego dreszcz wnikał mi aż do kości. Śmiech, który prześladował mnie w snach... ten śmiech... i chciała dostać mojego nienarodzonego syna.

Nim zdążyła wyprowadzić mnie z równowagi, znowu wydać z siebie ten krzyk, mogący mnie skłonić do zmiany zdania...

Chciała dostać mojego nienarodzonego syna.

...skoczyłem naprzód i cisnąłem ją do wiru.

Usłyszałem straszliwy huk, jakby w ziemię uderzył piorun. Wstrząs oślepił mnie, ogłuszył, zwałił z nóg. Gdy odzyskałem wzrok i słuch, gdy wreszcie mogłem wstać, piętnastu siedzących w kręgu Umarłych zniknęło. Mgła zniknęła. Katharine zniknęła.

Trawa nawet się nie przypaliła.

Otaczał mnie pusty, spokojny krajobraz. Wiedziałem, że zwyciężyłem. Moją siostrę, razem z pozostałymi piętnastoma, pochłonęła mgła obserwatorów z Duszorośli. Być może ich wzmocniła, ale nie będzie mnie już więcej prześladować. Katharine przestała istnieć jako odrębne jestestwo. Zwyciężyłem.

Stałem na pozbawionej życia trawie i płakałem.

Po pewnym czasie, nie wiem, jak długim, usłyszałem, że coś zbliża się do mnie przez mały lasek po drugiej stronie wzgórza. Kolejny wyjęty spod prawa hisaf, który przybył za późno, by uratować moją siostrę? Chciałem się przekonać. Ugryzłem się w język i przeszedłem na drugą stronę.

W ostatniej chwili zauważyłem, że to nie hisaf wyłonił się zza wzgórza, lecz jeden z szarych psów, które nie powinny przebywać w krainie Umarłych.

Ja również nie powinienem.

Przeszedłem do krainy żywych i wróciłem na zimną równinę. Było południe. Śnieg przestał sypać i blask słońca odbijający się od zasp oślepił mi oczy. Tom, Jee, Stephanie, Alysse i biała łania zniknęli. Zostało tu tylko trzech martwych hisafów, na wpół przysypanych śniegiem.

Gdy mój wzrok przywykł do zimowej jasności, ujrzałem światło w sosnowym lasku, gdzie w krainie Umarłych ścigałem siostrę przez mgłę. Płonęło tam ognisko. Ruszyłem ku niemu, potykając się i drżąc z zimna.

Jee i Tom siedzieli skuleni przy ogniu. Stephanie leżała między nimi, podobnie jak dwie kobiety z sieci. Położyły się na białym futrze i przykryły również białym płaszczem z niewyprawionej skóry. Biały królik i biała łania, dwa płaszcze spadające z nieba... Obie kobiety dyszały ciężko, walcząc o każdy oddech, twarze miały popielate i wykrzywione z bólu. Stephanie nadal nie odzyskała przytomności po moim ciosie. Jee spojrzał na mnie, ale to nie o księżniczce ani nie o kobietach z sieci chciał mówić.

— Tom jest ranny — oznajmił.

— Ch... chrzanić to — odezwał się młodzieniec. — To nic.

Leżał na prawym boku, trzymając się za lewy, cały zboczony krwią. Nóż hisafa trafił jednak w cel. Chłód z pewnością spowalniał upływ krwi, ale czerwony płyn nadal sączył się między palcami mojego towarzysza.

— Tom!

Oddychał z wielkim trudem, zupełnie jak kobiety z sieci.

— Tom, czy jesteś ciężko ranny? Jak ciężko?

— Dość... ciężko.

Próbowałem coś dojrzeć pod jego palcami i przeciętą bluzą, ale widziałem jedynie czerwień. Potrząsnąłem gorączkowo Alysse.

— Pomóż mu! Pomóż Tomowi! — Matka Chilton uzdrowiła mnie kiedyś, gdy zatrzał mnie nóż Soleka, ucięła mi rękę, nie zabijając mnie przy tym. — Pomóż mu!

Otworzyła oczy, dysząc ciężko. Sprawiała wrażenie, że mnie rozumie. Potrząsnęła słabo głową, jakby się bała, że może się potłuc.

— Przecież jesteście uzdrowicielkami! Potraficie pomagać ludziom!

Powiedziała coś, za cicho, bym mógł ją zrozumieć. Pochyliłem ucho nad jej ustami.

— Nic... nie zostało... — powtórzyła.

Kobietom z sieci zabrakło mocy. Zużyły ją całą, by zamienić się w potworne ptaki, które uratowały nas przed śmiercią. Nie obchodziło mnie jednak, że ryzykowały własne życie, by uratować nas przed zdradzieckimi hisafami, i nadal mogły je stracić. Nie potrafiły pomóc Tomowi, a dla mojego wzburzonego umysłu znaczyło to, że nie chciały tego zrobić. Nie chciały pomóc Tomowi, którego siła, wierność i odwaga ratowały mnie tak wiele razy.

Nie poradzę sobie bez niego, pomyślałem.

Uniosłem zdrową rękę, opuściłem ją i uderzyłem Alysse w zimny policzek.

— Pomóż mu! Zrób coś!

Nic nie zrobiła. Tom jęknął, nie zważając na dawną kochankę. Wlepił we mnie spojrzenie.

— Tom, spróbuj... proszę... spróbuj!

— Nie mogę. — Nie odrywał ode mnie spojrzenia, jakbym mógł powiązać jego życie z życiem kogoś innego i w ten sposób nie pozwolić mu odejść... — Wracam do...

— Nie!

— Krainy... Umarłych... Przywiąż mnie tam do drzewa — zażądał z wielkim wysiłkiem. — Nie chcę...

— Tom!

— Żegnaj, George.

Uśmiechnął się i na moment znowu stał się dawnym Tomem, zawadiackim i nieustraszonym. Potem z jego gardła wydobył się straszliwy charkot, jego ciało zadrżało i mój towarzysz skonał.

Zawyłem przeraźliwie. Przeszedłbym na drugą stronę, by spędzić z nim jeszcze parę chwil, ale Jee był przy mnie, wciskał swą drobną twarz w mój policzek.

— Nie! Nie! Nie przechodź, Roger! Ona tam będzie.

Zignorowałem go. Złapał mnie za bluzę, nadal częściowo pokrytą lodem, i nie chciał puścić. Próbowałem go strząsnąć, ale przylepił się do mnie jak smoła.

— Ona tam jest. Zabije cię!

— Nie. Nie zrobi tego!

— Nie! Nie możesz tam iść!

— Chłopiec ma rację — odezwał się cichy głos za moimi plecami. Poznałem go. Odwróciłem głowę, pełen smutku, żalu i furii, nadal oblepiony lodem. Tom leżał martwy na pokrytym śniegiem gruncie. Za mną stała Matka Chilton.

Tylko jej głos poznałem. To nie była kobieta, którą spotkałem w aptekarskim namiocie w stolicy Reginokracji albo na szczycie urwiska nad kamienistą plażą, na której zginęła ciotka Jo. To była starucha opisywana przez Toma. Nigdy w życiu nie widziałem nikogo, kto wyglądałby starzej. Ciało miała zgarbione, jej plecy i szyja pochylały się do przodu tak bardzo, że gdyby nie laska, na której się wspierała, upadłaby na

twarz. Spod jej kaptura wysuwały się rzadkie siwe włosy. Twarz, na którą w blasku ogniska padały tańczące cienie, pokrywały zmarszczki głębokie jak wąwozy na Ziemi Niczyjej. Jej szare oczy były jednak klarowne i spoglądały na mnie z litością.

Leżąca na ziemi biała łania uśmiechnęła się, choć nadal ciężko dyszała.

— Roger, nie ma sensu, byś przechodził na drugą stronę za Tomem. To zbyt niebezpieczne i jest już za późno. Przykro mi, że straciłeś przyjaciela, ale to jest cena, którą musisz zapłacić, tak samo, jak te kobiety płacą swoją.

— One żyją!

— Gdy ruszyły wam na pomoc, nie było gwarancji, że ocaleją.

Matka Chilton przeszła obok mnie i uklękła z wysiłkiem obok Stephanie. Przypomniałem sobie, co powiedziały mi o księżniczce Alysse i biała łania. „Lepiej by było, gdyby umarła”.

— Nie dotykaj jej! — zawołałem.

— Nie bądź śmieszny, Roger. — Matka Chilton nie odrywała wzroku od księżniczki, ale jej słowa były skierowane do mnie. — Stephanie nic od nas nie grozi. Sytuacja się zmieniła. Kiedy była jeńcem Tareka, nie mogliśmy do niej dotrzeć i przejąć kontroli nad jej talentem, którego w dodatku drastycznie nie doceniałyśmy. Teraz jest inaczej. Zrobiłeś przynajmniej tyle dobrego, że przyprowadziłeś ją do mnie.

— Mogłaś pójść do niej!

Ledwie wiedziałem, co mówię, ale to pomogło mi zapomnieć na chwilę o Tomie, którego ciało leżało obok na ziemi. Tom odszedł do Umarłych.

— Nie — zaprzeczyła Matka Chilton. — Nie mogłam tego zrobić. Ledwie zdołałam dotrzeć tutaj. Jestem już bardzo stara, oddałam lata, by uratować Toma.

— Kłamiesz! — krzyknąłem, wściekły na nią i na świat. Na oba światy.
— Mogłaś się zmienić w... w... jakie tam zwierzę się zmieniasz!

— Nie na oczach żołnierzy. Natychmiast zabiliby nas oboje ze strachu przed czarami. To wszystko, czego mogłam dokonać, i kosztowało mnie to bardzo wiele. Za wszystko trzeba płacić, Rogerze Kilbourne. Kiedy wreszcie się tego nauczysz? Te adeptki sztuk duszy płacą za uratowanie ciebie. Tom Jenkins również za to zapłacił. By ocalić twoje życie, Alysse i Elaine przybrały postać drapieżnych ptaków, choć żadna z nich nie dzieli z nimi ducha. Wszyscy robimy, co możemy, i płacimy za to tyle, ile musimy.

— Oszczędź mi swego gadania! Tom...

— Jest tak bezpieczny, jak to tylko możliwe dla Umarłych. Wrzosowisko Duszorośli nie skrzywdzi go po drugiej stronie.

— Nie możesz tego wiedzieć.

— Tak jest, mogę. Niech to będzie dla ciebie pocieszeniem. Ach, uczennica się budzi.

Mówiła o Stephanie. Księżniczka otworzyła oczy, dotknęła siniaka pozostawionego na jej głowie przez moją pięść i rozplakała się.

— Przestań — zażądała Matka Chilton tonem tak stanowczym, że zaskoczona dziewczynka poderwała się nagle, a potem natychmiast się uspokoiła. — Jesteś teraz uczennicą sztuk duszy, dziecko. My nie płaczemy.

— Ona jest księżniczką Reginokracji! — sprzeciwił się z pasją Jee.

— Tym też — przyznała Matka Chilton. — A ty jesteś najwierniejszym z jej czeladzi, Jee.

Chłopiec miał zdziwioną minę — być może nie znał tego słowa — ale nadal stał nieustępliwie u boku księżniczki.

— Pani, nie jest ci zimno? Przysuń się bliżej do ognia.

Złapała go za rękę, ale nie spuszczała wzroku z Matki Chilton. Obie kobiety patrzyły na siebie i głębokie spojrzenia dziecka oraz staruszki

wymieniły coś wykraczające poza słowa czy moje zrozumienie. Nie obchodziło mnie, co to może być. Znowu popatrzyłem na Toma.

Leżał na śniegu twarzą do góry, na jego wargach wciąż widniał blady uśmiezek, a oczy wpatrywały się w sosnowe gałęzie, lecz nic już nie widziały. Delikatnie zamknąłem mu powieki. Jak sobie poradzę bez niego? Bez jego odwagi, wesołości i niewyczerpanej energii?

Stłumiłem łkanie i odwróciłem wzrok.

Jee i Matka Chilton patrzyli na Stephanie, ale biała łania wsunęła swą zimną, chudą dłoń w moją. To nie dało mi pocieszenia. Przed Tomem nigdy nie miałem przyjaciela i teraz znowu go nie miałem.

Zostałem sam. Mój przyjaciel odszedł do krainy Umarłych.

Pochowaliśmy Toma w dolince za sosnowym laskiem. Ziemia była tam bardziej miękka, ogrzała ją gruba warstwa zeschniętych liści naniesionych tu przez zmienne jesienne wiatry. Nie mieliśmy całunu, a nie mogliśmy poświęcić futra ani skózanego płaszcza, ale i tak nie miałem zamiaru owijać ciała. Tom Jenkins zawsze żył na całość, nie tworzył barier między sobą a tym, co go spotykało, cieszył się każdym doświadczeniem. Grób powinien napotkać w taki sam sposób. A za grobem będzie bezpieczny. Tak mi powiedziała Matka Chilton, a choć nie rozumiałem jej słów, wierzyłem jej, ponieważ nie potrafiłbym znieść alternatywy.

Wykopaliśmy głęboki grób, Jee i ja, używając mocnych konarów jako łopat, a potem nakryliśmy go najcięższymi kamieniami, jakie mogliśmy unieść, żeby dzikie zwierzęta nie wygrzebały ciała. Zajęło nam to wiele godzin, aż do zmierzchu. Wysilek sprawił mi przyjemność. Dzięki niemu mogłem nie myśleć o Katharine. Prawie.

Nie pozwoliliśmy Stephanie uczestniczyć w pogrzebie Toma. Głowa ją bolała od ciosu, który jej zadałem. Zostawiliśmy dziewczynkę przy ognisku z kobietami z sieci. Wtoczyliśmy z Jee ciało do dołu, zasypaliśmy go

i powiedzieliśmy kilka słów. Nie pamiętam jakich. To nieważne. Żadne nie mogłyby być wystarczającym hołdem dla witalności i umiłowania życia, jakimi cechował się Tom Jenkins.

Nim go zakopaliśmy, Matka Chilton sięgnęła do jego kieszeni i wyjęła stamtąd coś małego. Zauważywszy moje spojrzenie, otworzyła starą, pomarszczoną dłoń. Leżała na niej miniatura przedstawiająca Fię.

— To znacznik — stwierdziłem. — Dzięki niemu hisafowie i moja siostra mogli nas odnaleźć.

— I kobiety zajmujące się sztukami duszy również — odrzekła cierpkim tonem Matka Chilton. — Nie patrz zawsze na złą stronę wszystkiego, Roger.

Głupia rada. Wszystko to było złe: moja siostra, wyłom w murze dzielącym życie od śmierci, wyjęci spod prawa hisafowie, wyprawa dzikusów mająca na celu porwanie Stephanie, która zaczęła się mnie bać, odkąd ją uderzyłem.

— Toporem można rąbać drewno i można nim uciąć komuś nogi — dodała Matka Chilton. — Zło nie leży w narzędziu, ale w tym, jak się go używa.

— Nie masz pojęcia, jakie zło uczyniłem.

W jej starych oczach pojawił się ostry błysk.

— Co? Co takiego uczyniłeś?

Opowiedziałem jej wszystko. Po raz pierwszy i ostatni ujrzałem na twarzy Matki Chilton zdumienie.

— Co to oznacza? — zapytała drżącym głosem.

Mnie o to pytała?

— To oznacza, że zabiłem własną siostrę! — odpowiedziałem z maskującym ból gniewem. — Jestem mordercą. A także to, że Katharine nie zagraża już mnie ani moim bliskim.

— Tak, ale sieć...

Nagle przestała mnie obchodzić sieć. Nie dbałem o Matkę Chilton, Alysse, Stephanie ani nawet Jee. Chciałem Maggie, tęsknota za nią wypełniała wszystkie ścieżki mojego wyczerpanego ciała mordercy, pragnąłem być z nią, jak statek podczas sztormu pragnie jedynie bezpiecznej i spokojnej przystani.

— Roger...

— Zostaw mnie!

Oddaliłem się, zrzucając z ramienia jej wykręconą kościstą dłoń. Uciekłem od grobu Toma, od wszystkiego, co wydarzyło się w sosnowym lasku, aż na drugi koniec pokrytej śniegiem łąki. Wiatr się uspokoił, ale nadal było straszliwie zimno. Drżałem, oplatając się ramionami.

Doliną na dole maszerowała armia.

Widziałem konie i ludzi, a potem zobaczyłem fioletową chorągiew. Z oddali żołnierze wyglądali jak wąska nitka na śniegu. Brnąc przez zaspy, pobiegłem z powrotem do Matki Chilton.

— Armia! Idzie w naszą stronę!

Nie sprawiała wrażenia zaskoczonej.

— Ach, a więc są tu o dzień przed planem.

— Wiedziałaś? Kto to jest?

— Lord Robert Hopewell.

— Lord Robert?

Ostatnio widziałem go w pałacowym lochu. Byłem przekonany, że stracono go, gdy armia Tareka wymaszerowała do domu. Ale nie, teraz poznałem już lepiej Młodego Wodza. Stracenie pokonanego rywala równałoby się uznaniu, że może nie być do końca pokonany. To byłoby przyznanie się do słabości. A może Tarek był bardziej subtelny. Kazał mnie pojmać, bym go nauczył, jak przyprowadzić armię z Kraju Czarowników.

Chciał, by lord Robert żył i na własne oczy zobaczył zaczarowane oddziały dowodzone przez dzikusa, jak ojciec Tareka ujrzał kiedyś takich samych żołnierzy walczących przeciwko niemu. A może Młody Wódz miał jakiś inny powód, by oszczędzić lorda Roberta, powód, którego nie potrafiłem zrozumieć. Byłem tylko hisafem. Albo lord Robert sam uwolnił się z lochu dzięki przyniesionemu z krainy Umarłych nożowi, który mu zostawiłem. Uczępiłem się tej ostatniej myśli. Rozpaczliwie pragnąłem uwierzyć, że kiedyś zrobiłem dla kogoś coś dobrego.

Moja siostra...

— Armia jego lordowskiej mości zmierza na ratunek księżniczce — wyjaśniła Matka Chilton. — Żołnierze bardzo się ucieszą, że nie muszą maszerować dalej ani atakować wojsk Tareka. Zabiorą Stephanie ze sobą, by ponownie zasiadła na tronie pod opieką lorda Roberta. Będę jej towarzyszyła, bo księżniczka oznajmi, że chce mnie mieć za opiekunkę. Jee również pojedzie z nami. Stephanie uczyni go swoim paziem.

— Lord Robert na to nie pozwoli — sprzeciwiłem się, rozżalony, że Matka Chilton rozstawia wszystkich jak talerze na półce w kredensie. Ten pójdzie w jedno miejsce, a tamten w drugie. — Paziowie są szlachetnie urodzeni.

— Niemniej Jee zostanie paziem.

— To bardzo mu się nie spodoba.

— Spodoba się. Będzie mógł towarzyszyć Stephanie i być u jej boku.

— Widzisz przyszłość, tak? — zapytałem z sarkazmem w głosie. — Pewnie którego dnia Stephanie uczyni go księciem małżonkiem?

— Nikt nie widzi przyszłości. Mogę ci powiedzieć, co się wydarzy jutro, bo to tylko konsekwencja tego, co dzieje się dzisiaj, ale nawet to nie jest pewne. Nie bądź dziecinny, Roger.

— Nie jestem dzieckiem.

— To prawda — przyznała i usłyszałem w jej głosie desperację. — Nie jesteś. Nie może cię tu być, gdy zjawią się ludzie lorda Roberta. Nie podziękują ci za uratowanie Stephanie. Odgadną, w jaki sposób tego dokonałeś.

Czary. To właśnie miała na myśli Matka Chilton. Miała rację, lecz mimo to jej słowa sprawiły mi ból.

— Zamierzasz powiedzieć lordowi Robertowi, że księżniczka, staruszka, dwie chore kobiety i dziesięcioletek po prostu wyszli sobie z obozu Tareka i przeszli zimą przez góry.

— To już nie twoja sprawa, co powiem lordowi Robertowi. Musisz nas opuścić, Roger, dla własnego bezpieczeństwa i dla naszego. Musisz odejść natychmiast. Ja zajmę się pozostałymi.

Chciałem odejść, a ponieważ mogłem teraz powierzyć opiekę nad Jee i Stephanie Matce Chilton, zalała mnie potężna fala ulgi, wzbierająca od wnętrza aż po serce. Mogłem pójść do Maggie.

— Ale zanim odejdziesz, dam ci trzy rzeczy — dodała Matka Chilton. Na jej twarzy znowu pojawiła się desperacja.

Nie rozumiałem jej źródeł. I nie chciałem ich zrozumieć. Serce i tak bolało mnie wystarczająco.

— Dam ci jedną rzecz materialną — oznajmiła kobieta. — Dwie pozostałe to przestrogi. Najpierw to.

Wręczyła mi białe futro.

Zerknąłem na ognisko. Stephanie i dwie kobiety z sieci spały odkryte na płaszczu z niewyprawionej skóry. Na ich twarzach tańczył blask ciepłych płomieni. Jee przykucnął nieopodal, również grzejąc się przy ogniu. A za kilka godzin przybędzie lord Robert.

— W kieszeni są noże Toma i trochę pieniędzy — kontynuowała Matka Chilton. — Weź też bukłak na wodę. Powiem lordowi Robertowi, że nie

żyjesz. Po Reginokracji powinieneś wędrować bez przeszkód, pod warunkiem że nie zbliżysz się zbyt blisko do stolicy.

— Dziękuję. A co to są za dwie przestrogi?

— Oto pierwsza. Wysłuchaj mnie uważnie, Rogerze Kilbourne. Gdy moc wypełniająca nici sieci bytu jest zmuszona do nienaturalnego płynięcia od Umarłych z powrotem do żywych, musi też dojść do przepływu w drugą stronę. W przeciwnym razie całą sieć ogarnęłyby coraz silniejsze zakłócenia, które w końcu zniszczyłyby ją całkowicie. Nadchodzą straszliwe czasy. Straszliwsze, niż mógłbyś to sobie wyobrazić. Nawet jeśli nie wysłuchasz mnie już nigdy więcej, zrób to teraz. Dopóki nie poznamy konsekwencji tego, co uczyniłeś Katharine, nie możesz już więcej zakłócać sieci bytu. Nie będę cię prosiła o obietnicę, ponieważ złamałeś już ich bardzo wiele, ale nie działaj już jako hisaf ani nie kontaktuj się z innymi hisafami.

— Nie ufacie im, ponieważ są mężczyznami.

— Być może — przyznała Matka Chilton. — A może mamy powody, by im nie ufać. Być może ty również je masz. Zauważyłam, że ani słowem nie wspomniłeś o uratowaniu swego ojca z Galtryf.

— On nie próbował mnie uratować.

— Wystarczy. — Uniosła kościstą dłoń. — Nie chcę o tym słuchać. Hisafowie głęboko się mylą w kwestii tej wojny i dobrze by było, gdybyś nie próbował iść do Galtryf.

Skrzywiłem się. Czy teraz, kiedy mój ojciec mógł fizycznie przechodzić na drugą stronę, można go było tam zatrzymać? A gdy łamałem obietnicę, że nie będę przechodził na drugą stronę, zawsze miałem poważne powody. Jeśli nie chciałem uratować ojca, to po pierwsze dlatego, że na to nie zasłużył, a po drugie dlatego, że taka próba byłaby daremna. Prawda jednak wyglądała tak, że słowa Matki Chilton nie dotknęły mnie głęboko. Miałem

już dość sztuk duszy, dość kobiet z sieci, a także hisafów walczących po obu stronach tej wojny.

— A co z tą drugą przestrogą? Śpiesz się, Matko Chilton, zmierza ku nam armia.

— Chcesz pójść do Maggie, do Tanwell, prawda? Wiem, że nic, co mogłabym powiedzieć, nie powstrzyma cię przed tym. Ale gdy już odzyskasz Maggie, pilnie strzeż jej oraz dziecka. Nie pozwól nikomu obcemu się do nich zbliżać, zwłaszcza jeśli spróbują to zrobić za twoim pośrednictwem.

— Potrafię sam się zaopiekować żoną i synem.

— Ona nie jest twoją żoną. To tylko fikcja stworzona przez Toma Jenkinsa, pamiętasz? Nie ożeniłeś się z Maggie.

— Jeszcze nie, ale to zrobię. To nie powinno cię obchodzić, Matko Chilton.

— Nic po obu stronach grobu nie obchodzi mnie bardziej niż twoje dziecko. Nic.

Wypowiedziała te słowa cicho, nie spoglądając na mnie. Wola walki natychmiast mnie opuściła, ustępując miejsca niezdrowemu chładowi.

— Kim on jest? — zapytałem głosem, który przerodził się w szept. Kim jest mój syn?

— Naszą ostatnią nadzieją.

— Jest jeszcze dzieckiem! A właściwie nawet nie tym!

— To nieważne — odparła Matka Chilton i nie chciała powiedzieć nic więcej. Zresztą i tak nie miałem ochoty jej słuchać. Wracalem do Maggie, by jej powiedzieć, że ją kocham. Pobierzemy się, a potem zabiorę ją i naszego syna daleko od tej walki, od wojny toczonej po obu stronach grobu, od wszystkiego, co mogłoby im zagrozić. Wreszcie zrozumiałem, jak cenna jest Maggie, i nie utracę jej po raz kolejny.

Matka Chilton odwróciła ode mnie starą twarz, wpatrując się w ogień.

— Ach — mruknęła. Jej głos był cichym, smętnym dźwiękiem w pachnącej sosnami ciemności.

Odszedłem przed przybyciem armii lorda Roberta. Nie chciałem już więcej słuchać ostrzeżeń, wyrzutów i nakazów Matki Chilton. Nie będzie mi mówiła, dokąd muszę się udać, a dokąd nie wolno mi pójść, albo dlaczego nie wypełniłem obowiązków hisafa i zobowiązań wobec sił toczących bój przeciwko Wrzosowisku Duszorośli. Spoglądając na jej wątłe ciało, zgarbione tak bardzo, że samo chodzenie wydawało się dla niej torturą, zastanawiałem się, jak sama zdoła wykonać swe zadanie nauczania Stephanie sztuk duszy. Nie wątpiłem jednak, że sobie poradzi. Jeśli zaś lord Robert Hopewell, który znowu zostanie lordem protektorem, odkryje plany Matki Chilton, dojdzie między nimi do bitwy na epicką skalę.

Niemalże słyszałem głos Toma, mówiącego: „Trzy do jednego na twoją babcię, Peter”.

Pożegnałem się z siedzącym przy ognisku chłopcem.

— Jee, nie mogę udać się z tobą do pałacu.

— Wiem — odparł z poważną miną. — Musisz pójść do Maggie.

— Tak. A ty nie możesz mówić o Maggie nikomu w pałacu. Nawet księżniczce.

— Wiem. Nie mogą cię znaleźć.

— Tak jest.

— Roger — zawołał załamującym się głosem.

Przyjrzałem mu się uważnie w migotliwym blasku ogniska. Jego drobna buzia wykrzywiała się w grymasie bólu. Jee położył dłoń na ramieniu mojej zdrowej ręki. Wyczuwałem, że nawet nie wie, że to zrobił.

— Muszę odejść z moją panią!

— Pewnie, że musisz. Księżniczka Stephanie cię potrzebuje.

— Ale Maggie...

Pojąłem, co go dręczy.

— Myślisz, że odchodząc z księżniczką Stephanie, zdradzisz Maggie — rzekłem z delikatnością w głosie.

Chłopiec zacisnął palce na moim ramieniu.

— Wysłuchaj mnie uważnie, Jee. Maggie cię kocha i będzie jej ciebie brakowało. Ale nie potrzebuje cię tak jak Stephanie. Będzie miała mnie. Stephanie będzie miała Matkę Chilton, ale jak widzisz, ona jest bardzo stara. Przyjrzyj się jej. Jest mnóstwo rzeczy, których nie będzie w stanie zrobić. Poza tym tylko ty rozumiesz, przez co Stephanie musiała przejść w krainie Umarłych. Któż inny mógłby to pojąć? Z kim mogłaby o tym rozmawiać? Księżniczka cię potrzebuje, Jee. Musisz z nią odejść. Dopilnuję, by Maggie to zrozumiała.

Pragnął zapewnień oraz usprawiedliwienia. Jego twarz przybrała spokojniejszy wyraz. W blasku ogniska dostrzegłem rzadko na niej widywany uśmiech.

Udało mi się przynajmniej ukoić serce jednego dziecka.

Ruszyłem w drogę. Miałem białe futro, noże Toma, sidła Jee, bukłak z wodą oraz złote i srebrne monety od Matki Chilton, więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek posiadałem. Ale zarówno pieniądze, jak i futro mogły być znacznikami i zamierzałem się ich pozbyć, gdy tylko będzie to możliwe. Nie chciałem, żeby wytropiły mnie kobiety z sieci albo hisafowie. To będzie wyłącznie moja podróż.

Kryłem się za drzewami, brnąc przez śnieg. Przeszedłem skrajem łąki i wspiąłem się na najbliższe wzgórze na północy. Widziałem stamtąd całą drogę na rozległą równinę Reginokracji. Daleko w dole straż przednia armii lorda Roberta mknęła szybko naprzód. Główne siły maszerowały jedną doliną z tyłu. Wiedziałem, że dotrą do sosnowego lasu przed zmierzchem. Jutro albo może pojutrze, by zrobić przerwę na odpoczynek, ruszą z powrotem na wschód, do stolicy.

Będę wędrował w tym samym kierunku co armia, w stronę Glorii, ale nieco dalej na północ niż żołnierze i znacznie szybciej od nich. Armia eskortująca księżniczkę jest bardziej ociążała niż samotny wędrowiec. Może też kupię po drodze osła. Z pewnością przydałby się Maggie.

Nieopodal widziałem smugę dymu, buchającego z komina na odosobnionym gospodarstwie rolnym. Zima dopiero się zaczynała i z pewnością mieli tam suszone mięso i owoce, a także ser. Zaczekam, aż gospodarz i jego synowie — jeśli ich miał — opuszczą chatę, a potem załatwię sprawę z jego żoną. Kupię zapasy i zamienię białe futro na coś prostszego i mniej przyciągającego uwagę. Wieśniaczka będzie co najmniej półkrwi dzikuską, ale sprzeda mi to, czego potrzebuję. To stare kobiety najchętniej ze mną rozmawiają.

— Nadchodzą straszliwe czasy — powiedziała mi Matka Chilton. — Straszliwsze, niż mógłbyś to sobie wyobrazić.

Ale nie dla mnie. To, co uczyniłem Katharine, pozostanie ze mną aż po kres moich dni, ale teraz wracałem do Maggie i do syna.

Ruszyłem w dół ośnieżonego stoku, zmierzając w stronę gospodarstwa.